

# Biały Książę

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

## **BIAŁY KSIĄŻĘ**

Czasy Ludwika Węgierskiego

### **Spis treści**

#### TOM PIERWSZY

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

#### TOM DRUGI

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

# TOM TRZECI

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

V

IX

X

## TOM PIERWSZY

I

Było to dnia dziewiętnastego listopada, roku Pańskiego 1370. Pomimo wiatru mroźnego, który dał z północy i zimę nadchodzącą zapowiadał, cały Kraków wylał się w rynek i ulicę.

Pomiędzy kościołami Franciszkanów, Świętej Trójcy i Panny Marii a katedrą na Wawelu drogi były, wzgórza, dachy i okna tak nabite, jakby głowy ludzkimi je wybrukowano. I mało co też więcej rozeznąć było można nad głowy różnie pookrywane, odkryte i osłonięte, nad twarze, na których jeden wyraz boleści i trwogi jakiejś był odmalowany.

Na żadnym z tych przemnogich obliczów promyka nawet przelotnej nie widać było

wesołości ni płóczego uśmieszku. Wszystko to stało ciche, skamieniałe, odrętwione, a na wielu zaczerwienionych powiekach ślady łez dostrzec można było. Ponad głowami tego tłumu, z powiewem nierównym wiatru, to głośniejsze, to ciszej, przerywanie, jęcząco odzywały się kościołów dzwony.

Dnia tego ostatnią cześć oddawano pamięci wielkiego króla, po którym płakał kraj cały. Po żadnym jeszcze może łez się tyle nie wylało. Z nim krew Piastów schodziła z tronu, który się miał

dostać obcemu; grzebano z Kaźmirzem cały ten szereg mężów żelaznych, co kraj piersią bronili, a

sercem miłowali, Piastów, co byli ludu tego ojcami i dziećmi.

Ostatni, jak by chciał pamięć wiekuistą zostawić po sobie wyrósł nad wszystkich, nie

rycerstwem, jak drudzy, ale miłością wielką dla całej ziemi tej, którą zjednoczył, rozszerzył, obwarował i pokojem ubłogosławił.

szone, złotem i srebrem przetykanym, na którym wokół spuszczały się pasma sukien

szkarłatnych i purpurowych jedwabów.

Dokoła mar cisnął się tłum w żałobie, z głowy odkrytymi, zawodzący pieśń bolesną,

dziwną, nie kościelną, nie zwykłą ani dźwiękiem, ni słowy, przejmującą, bo ci, co ją nucili, szlochali śpiewając, dłońmi zakrywali oczy, włosy darli na głowach i ręce wznosili ku niebiosom.

A żal ich niekłamany, straszny, do kości poruszał tych, co byli świadkami, i płacz zaraźliwy wybuchał od niego w tłumach.

O pieśni mówiono, że nieuk jakiś, wielkiego serca, z boleści niezmiernej wyśpiewał ją, a wszyscy za nim powtarzali słowa, na które mądrzejsi ramionami ruszali, bo były proste, jakby z ust ludu wzięte, a szły w piersi, jak żelazo ostrzeni bólu swego. Rozlegała się ta pieśń natchniona a nieforemna, głuszac psalmy, głuszac dzwony, i wtórem zwrotek jej tłum cały z płaczem powtarzał: *Rodzica ta ziemia straciła,*

*Straciła rodzica... Żałobą się cała okryła...*

Ani herold, jadący przed marami, aby im szerszą uczynić drogę, i rzucający na prawo i lewo garściami szerokie grosze pragskie, nie mógł im łatwego przejścia uczynić, gawiedź ledwie schylała się po spadające na ziemię pieniądze, inni stali płacząc i popychać się dali, nie wiedząc, że na nich następowano. Żal był prawdziwy, powszechny, wielki.

Dopiero straż królewska z wielkimi halabardami pozłocistymi, rozpychająca nimi gromady i wołająca: — Król! Król! — więcej siłą niż postrachem mogła ścisk wielki rozbić na dwie połowy.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na tę żywą przyszłość...

Orszak królewski był wspaniały i świetny, a sam on też, gdyby nie wspomnienie

Kaźmierzowe, mógł wzrok pociągać ku sobie.

Otaczali go duchowni: stary, na wpół ociemniały Bogoria, który resztę oczu miał z żalu po ukochanym Kaźmierzu wypłakać, Florian krakowski, Piotr lubelski, biskupi. Szedł we zbroi, z podniesioną dumnie głową, z wysoka, zimnym wejrzeniem mierząc tłumy, bez żalu i trwogi na twarzy, znudzony tylko i zubożniały jaki, białą chustę często przykładając do białego a pięknego oblicza. Na hełmie świeciła mu korona drogimi kamieniami sadzona, płaszcz królewski z ramion zwisał. Ręką jedną na rękojeści miecza się spierał.

Ani lud, któremu miał panować, ku niemu, ani on dla tych tłumów nie okazywał tego

pragnienia i nadziei miłości wzajemnej, którą związek ojca z dziećmi mógł zapowiadać. Król patrzył obojętnie, na króla spoglądano z obawą.

Wiedział zaprawdę, iż zmarłego chłopów króla nie zastąpi.

Tylko okazałością dworu olśniewał i moc swą chciał dowieść. Świetnym bywał dwór

Każmirzowy w ostatnich czasach, lecz nigdy Ludwikowemu nie zrównał. A jak zmarły pan

miłościw był cały, tak i ci, co go otaczali, wszędzie i zawsze bratersko się a serdecznie okazowali.

Ludwików dwór miał oblicza pańskie, a dumne, pogardliwie patrzące, jak on, rycerskie, ale groźne, nasepione, odstrasające. Dość było wejrzeń tych węgierskich magnatów, obszytych złotem, by gromady rozpędzić.

Pogrzebowego też smutku ani Ludwik, ni oni nie przywdzieli nawet na ten dzień i chwilę —

ledwie że się pokrzywionymi twarzami nie urągali, mówiąc zachmurzonym i płaczącym: — Teraz myśmy panami waszymi!

Ta groźba panowania ścisłała każdemu, co na nich spojrzeł, pierś wzburzoną.

Inne też postacie orszaku pańskiego ukazywano sobie, szepcząc po cichu.

Szedł poza królem Władysław opolski, który i przy śmierci Kaźmirzowej tu był, i Ludwika nie odstępował. Ten też pańsko wyglądał i piastowska krew płynęła w nim, ale do starych Piastów serdecznych cale nie był podobny. W kolebce czy na zaraniu Niemcy go wzięli na naukę i na swojego przerobili, tak że mówiono, iż języka nawet swego z trudnością używał, a cale go nie miłował. Rozum, bystrość i męstwo patrzyło mu z oczu, tylko miłości w nich nie było. Szedł za królem, nie patrząc na nic i nie widząc tylko jego, jak by czekał słowa, rozkazu, znaku. Niekiedy też Ludwik spoglądał ku niemu, jak by pytał: — Kiedy się to skończy?

Z drugiego boku postępował za królem mąż piękny, wątlej postawy, niewieściego miłego

oblicza, oczu czarnych, gorących, ruchów żywych i niespokojnych. Był to Kazko, książę szczeciński, nieboszczyka ulubieniec, wychowanek i wnuczę. Ten roztargniony stapał, to tu, to ówdzie rzucając oczyma, a na niego ciekawie oglądało się wielu. Był swój, a teraz i on na obcych łasce. Szeptano cicho, że testament królewski, którym on wielu i to książątko obdarzył, łamać miał

Ludwik, a nie myślał woli zmarłego spełnić.

Dalej szły zasłonami czarnymi cale okryte niewiasty. Stara królowa wdowa węgierska,

Łoktkowa córka, naprzód. Dziw było spojrzeć na nią. Ludzie lata jej wiedzieli i liczyli, syn też, czterdziestoczteroletni mąż, ją poprzedzał, a królowa jeśli nie wydawała się młodą, przynajmniej

chciała nią być jeszcze. Wprawdzie na twarzy trochę marszczków gdzieś ją porysowało, ale lice było rumiane, świeże, białe jeszcze, oczy błyszczące, a spod zasłon widny włos nie okazywał siwizny. Jużci chciała mieć na ten dzień twarz smutną, a nie mogła. Rzuciła wejrzeniami tu i ówdzie, dawała znaki, a szła, zapominając się, tak żywo, iż co kilka kroków stawać potem musiała, aby ci, co ją poprzedzali, oddalić się czas mieli.

Obok niej stąpała powoli, z marmurową twarzą zastygłą, z oczyma spuszczoneymi, wdowa Kaźmirzowa, Jadwiga, w czerni cała, zadumana, jak by myślami nie tu już była, ale gdzie indziej. Dwoje jej dziewczątek, córek pańskich, płakało i chustami twarzyczki białe zasłonięte miały, a potykały się coraz na kamieniach i słańiały biedne sieroty.

Dokoła tłum Węgrów cisnął się, półgłosem, językiem nieznanym rozprawiając, palcami ukazując na ulice i domy, a nie czyniąc sobie żałoby z tego, co dla nich było weselem i rozrywką. A gdzie się tłum ku nim nasunął, wnet pięść podnosili nań i marszczyli brew, i za miecze się brali.

Panami się tu czuli.

Przed trzema kościołami zatrzymywał się pochód, mary i tłuimy, na ostatek na Wawel do katedry ciągnęło wszystko.

Drogę do Wawelu, dziedzińce zamkowe, bramy, mury, wszystko już lud zalegał gęsto. Do kościoła ledwie dostojniejszych wpuszczano. Rycerstwo musiało cisnących się powstrzymywać, a krzyki stłumione słyszeć się dawały co chwila.

Biskup Florian wyszedł przed ołtarz wielki, rozległy się pieśni i razem z nim do wszystkich, ile było ołtarzy w świątyni, czekający zbliżyli się kapłani, niekrwawą składać za duszę pana ofiarę.

W pośrodku kościoła na dwóch srebrnych misach leżały kupy groszy, z których każdy brał, ile chciał, i składał przy ołtarzu za duszę pańską, na modlitwy. A że w ścisku nie każdy mógł do ołtarza dojść, wyřęczało rycerstwo, które służbę żałobną sprawiało.

Szli też owi, co mary otaczali, słudzy i urzędnicy nieboszczyka króla, niosąc każdy dań za duszę jego do kościoła, a były one tak obfite i kosztowne, jak wielki był żal po ostatnim Piaście.

Szedł podskarbi zmarłego, Świętosław, z nalewkami srebrnymi i ręcznikami, których król przy ucztach zażywał, i złożył je kościołowi na pamięć. Choć na Wawelu była już jedna, przed zgonem przez samego Kaźmierza ofiarowana najcenniejsza pamiątka, złomek tego drzewa, na którym Chrystus Pan za grzechy ludzkie umierał, w szczerozłotym krzyżu, perłami i drogimi kamieniami ozdobny.

Za podskarbim przystąpił do ołtarza stolnik Przedbór i podstoli Janusz, niosąc cztery misy srebrne, cześnik Petrko i podczaszy Zegota kubki i puchary; marszałek dworu przyniósł kosztowny

naramiennik królewski.

Nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy od drzwi lud odtrącać poczęto, aby się obrzęd

wedle tradycji i obyczaju rycerskiego dokonał... Wjeżdżał na koniu nieznajomy ów, który osobę króla wyobrażał, z przyłbicą spuszczoną, za nim konia podwodnego przywiódł podkoniuszy, a tuż jeden za drugim poczęli po kamiennej posadzce tętniąc kopytami wjeżdżać chorążowie, jeden za drugim.

Była to chwila najboleśniej, ostatnia, gdy u stóp mar królewskich chorągwie naprzód królestwa onego, potem wszystkich ziem kruszyć i łamać poczęto.

Tłumiony płacz ozwał się jękiem i rykiem, chrzęst kraszonych drzewców, rwanie się

przestraszonych koni, krzyki tłumu, śpiew księży, wszystko to razem zmieszane w jeden głos dziki i straszny, najtrwadszych ludzi dreszczem trwogi i szaleńcem jakimś przejmowało.

Zapominali się niektórzy, iż w kościele byli, wielkimi zawodząc głosami, ręce podnosząc do góry. Ponad szmer i łkanie wzbijały się wyrzekania.

Król Ludwik słuchać już dłużej nie mógł wyrazu tego żalu — razem z rodziną i dworem

usunął się z kościoła, na zamek powracając. Na Węgrach i na nim znać było jakby obrazę i gniew, że takimi żałami przeszłość grzebano, jak by już żadnej przyszłości nie było.

I mógł zaprawdę nowy król pomyśleć sobie, iż przy największym o swych dwu państwach

staraniu nigdy tego królestwa nie pozyszcze sobie tak jak zmarły ani mu go zastąpi.

Z jękiem i płaczem z wolna wylewał się lud i wszyscy pogrzebu uczestnicy na podwórce.

Stali tu u drzwi kościelnych, pod murami, na drodze, nie mogąc jakby porzucić grobu tego i rozstać się z nim. Zewsząd dokoła tylko pochwały zmarłego i srogie żale po nim słychać było.

Starzy słudzy pańscy rozsypywali się tak, niepotrzebni się czując, bo król i stara Elżbieta już się nowymi otaczali. Mało kto z Kaźmirzowych miał przy nich pozostać.

Zawczasu ci, co zgon Kaźmirza przewidywali, zbiegli do Budy, starej pani i synowi jej niosąc pochlebstwa i zalecając służby pokorne. Co było lepszego, stało na uboczu, nie myśląc o sobie, zabieglejsi wcześniej miejsca zajęli. Z dawnych ulubieńców i przyjaciół króla ledwie kto miał przystęp do zamku.

Na chleb żałobny dostojniejsi szli do króla i królowej, inni na miasto, które tych dni pełne było nie tylko po gospodarach, lecz gdziekolwiek kąś się znalazł jaki. Przybyli bowiem i Wielkopolanie w liczbie dosyć znacznej, w nadziei, że nowego króla z sobą, jakby na drugą koronację, do Gniezna zabiorą, i Kujawiacy, Sieradzanie i Rusini, i Mazurów trocha.

W godzinę po umilknięciu dzwonów żałobnych na zamku już przeważnie Węgrów tylko

widzieć było można snujących po podwórcach; w ulicach lud gwarzył, opowiadając i

przypominając, co widział dnia tego; we dworze drewnianym pana Dobiesława z Kurozwek, wojewody krakowskiego, natłok gości był wielki. Tu, mówili sobie ludzie, łaska pańska zorzą nową świeciła, a na światło takie ludzie się zawsze garną.

Starzy to byli ziemianie tutejsi Różyce, z których Dobiesław ród swój wiódł, i niemałych imion ludzie, przecie ani z Toporami i Starżami, ani z Leliwami i Sreniawitami o lepszą iść nie mogli, dlatego też może chodzili zwawo około spraw swoich, aby się wzbić do góry.

Lecz nieboszczyk król, jak miłościwym panem był dla wszystkich, tak pochlebców zbyt

zabiegliwych około siebie nie lubił ani im ufał. Szczególną też łaską jego Różyce się nie chlubili, choć ich służby nagradzał i starszego Dobiesława na pierwsze województwo podniósł.

Ludzie rycerscy byli, szczególnie stary, który nie tylko sprawę wojenną, zabawy rycerskie, łowy i turnieje lubił, ale i sam obyczaj ów butny, krzykliwy, pański, świetny, który czasu pokoju zastępuje wrzawę wojenną.

Pan wojewoda lat był około sześćdziesięciu, choć ich na nim znać nie było, bo ruchliwy żywot, dłuższy czy krótszy, nie daje człowiekowi zgnuśnić i zestarzyć. Młodo się więc trzymał, choć synów dwu miał dorosłych, występował strojno a błyszcząco, w domu gościnnie i hojnie, i choć możny, nad możność swą zawsze chciał się postawić.

Dwór też otaczał go pański, stajnie i woźniki jego sławę miały, zbroje najdroższe naszał, w szkarłaty się odziewał i przed ludźmi popisywać lubił.

Syn Krzesław wdał się całkiem w ojca i choć twarzą urodziwą młodszy, obyczajem, mową, głosem kubek w kubek był doń podobny. Oba rozumieli się i zgadywali jak najlepiej.

Drugi syn, Zawisza, choć równie gorącej krwi i do nich z charakteru podobny, lepiej by był

się do konia i miecza zdał niż do ołtarza i rewerendy, z woli ojcowskiej musiał do stanu duchownego iść, powołania doń nie mając.

Nie pytał o to ojciec, księdza mu w rodzinie było potrzeba, bo go zawczasu na wysokie dostojęstwo w kościele naznaczył. Słał więc Zawiszę do Włoch, uczyć mu się kazał i postrzyc go dał, a gdy do kraju powrócił, prędko go na dwór i do kapituły umiał wcisnąć.

Bystrego umysłu, zręczny, przebiegły, młody duchowny szczęśliwie sobie drogę torował, choć żył nie po księżemu. Pachło mu to, co ojcu i bratu, swoboda pańska, ucztowanie, konie, łowy, śpiewki, towarzystwo wesołe i niewieście zaloty. Po trosze przestrzegając, aby nie dać z siebie zgorszenia, gdy się na wieś wyrwał, cugli popuszczając, Zawisza na ludzkie języki nie zważał

wcale. Przyszłości był pewien.



Miał za sobą wiele, bo na nauce mu nie zbywało, w piśmie był biegły, ludzi ujmować umiał

i gdy było potrzeba, układał się do nich. Zaraz po śmierci Kaźmirza, gdy ksiądz Suchywilk z biskupem Florianem do Budy jechali, przyszył się do nich Zawisza, aby na dwór dostał zawczasu.

Królowę starą, Elżbietę, znał dawniej i pochlebiał sobie, że miał u niej łaski. Letnia już pani Bezręka lubiła się zabawiać wesoło i młodzieżą otaczać płci obojej.

Nie było u niej dnia bez muzyki, śpiewu, piasów i pogadank trefnych. Zalecała się jej młodzież, jak mogła, i rej potem wodziła, gdy na łaskę zasłużyła. Ale zarazem niemłoda pani poczynała być pobożną — i z rana do Boga się wdzięczyła, a wieczorem do ludzi.

Młody ksiądz, który i modlitwy z nią mógł odmawiać, i trefne pogadanki z dowcipem

wiódł, a staruszce pochlebiał, pod niebiosa ją wynosząc i z piękności nawet sławiąc, wielce sobie ujął królowę. Pamiętała o nim i gdy przybiegł do Budy z wieścią o śmierci brata jej, łatwo mu było słówkiem pokornym kanclerstwo sobie u staruszki zapewnić.

Domyślano się już naówczas, że Ludwik, sam Polsce niechętny, mieszkać w niej nie chcąc i nie mogąc, spuści matce rządu państwa. Z kanclerstwa u królowej prosta była droga do infuły.

Zawisza przypiął się do sukni Elżbiety i stał jej sługą. Ojciec i brat przyklasnęli. Przez Zawiszę oni dostali się do starej matki, a przez nią do młodego króla.

I teraz już Różyce spoglądali z góry na drugich, wiedząc, że mieli przyszłość przed sobą.

## II

Gdy ludzie dojrzeli, że się Różycom wiedzie, choć około wojewody nigdy pusto nie było, posypali się doń tłumnie. Dobry to był znak. Dobiesław ręce zacierał.

Wiedziano tego dnia na pewno, że Ludwik w Polsce miejsca nie zagrzeje, a komukolwiek

bądź ją zda, byle ciężar z bark zrzucił.

Matka mu się napierała, mówiono, zostać w Krakowie. Tu jej swobodniej było, bo sama

królować mogła, gdy w Budzie druga Elżbieta młoda stała obok. W Polsce przypominała sobie lata młode, ojca, matkę, brata... a i na przyjaciołach staruszce nie zbywało, którzy szeptali jej, aby Polskę uszczęśliwiła i sama nią rządziła, gdy ona właściwie na nią spadała pierw, niż na syna przekazaną być miała.

Nęcił Elżbietę i piękny zamek krakowski, nowo przez Kaźmirza wspaniale zmurowany i przyozdobiony.

Spodziewali się więc Różyce z panią swą na nim rej wodzić.

Wieczorem dworzec wojewody pełen był, choć miejsca na nim nie brakło i dla tłumnego zebrania.

Jak znaczniejsza część ówczesnych domostw, Dobiesławowy dom z drzewa zbudowany, obszerny, zewnątrz się nie wydawał, czym był. Izby duże nie odznaczały się też niczym, gdy wojewoda ich nie zamieszkiwał. Sprzęt w nich tak był prosty, jak u najmniejszego z ziemian. Lecz wszystko to przeistaczało się, gdy tylko wojewoda do dworu zajechał, a drzwi jego miał ludziom otworzyć.

Nagle ściany obwieszano wspaniałymi oponami, ławy okrywały poduszki i sukna, podłogi zalegały kobierce, stoły zawieszano szytymi obrusami, police napełniły srebra i naczynia drogie. Szopa się na pałac, jakby czarodziejską różdżką, zamieniała.

Tak samo puste komory i zastygłe kuchnie, gdy pan przybył, zasypywano, zarzucano zapasami i od rana do nocy uczta trwała pod dobrą ochotą.

Syn Krzesław gospodarzył tu z ojcem wraz, a tak się oba rozumieli, iż jako jeden człek, bez słowa i namowy, czynili w myśl swą zgodnie.

Zawisza mieszkał osobno jako duchowny, a teraz więcej przy starej królowej przesiadywał, dworując, niż u ojca. Przecież dzień żaden nie upłynął, aby się tu z wesołą swą piękną twarzą nie pokazał i nowinki jakiej nie przyniósł.

W wielkiej izbie pod wieczór gwarno (było i niemało dostojnych się ludzi zebrało. Nie licząc pomniejszych, oprócz wojewody gospodarza i dwu synów jego u małego stolika z osobna zasiadali Przedysław z Gołuchowa, wojewoda kaliski, który jeszcze za Kaźmirza wielkorządy w Wielkiej Polsce sprawował i dotąd je dzierżył, Jaszko Kmita, Pełko Zambra, sędzia sandomirski, Wilczek z Naborowa krakowski i małego wzrostu księżyna, Jan Radlica, który naówczas już jako lekarz uczony słynął.

Ci, co znali otaczających wojewodę, łącznie dojrzeć mogli, iż w kółku tym niemal sam jeden Przedysław z Gołuchowa był, który więcej do starego dworu niż do nowego należał.

Sędziowie Obaj już, jak mówiono, ujęci, mieli przeciw testamentowi króla nieboszczyka wyrokować, ks. Jan też około starej królowej z medycyną swą chadzał, choć ona jej niewiele zdawała się potrzebować, cudowną wodą jakąś, którą się co dzień obmywała, utrzymując świeżość płci i zdrowie.

Dla pana Przedysława z Gołuchowa, któremu jako Kaźmirzowemu słudze niespełna dowierzano, powściągliwie prowadzono o sprawach bieżących rozmowę, oczyma sobie dając znaki.

Opodał nieco od stołu, rycerski a pięknie wyglądający, w sukniach z przednich tkanin, w półzbroi szmelcowanej, stał urodziwy bardzo mężczyzna. Był to Otto z Pilicy.

Ten i dla urody, i dla gładkości obyczajów a umiejętności przypodobania się już był też na dworze starej królowej widziany dobrze i należał do tych, których jako przyszłych ulubieńców wytykano.

— Cóż tedy! — mówił powolnie, oczyma mierząc otaczających wielkorządca poznański —

król się nam obiecał do Gniezna? Trzeba go nam tam koniecznie. Nasi Wielkopolanie zazdrośni są, żeście nam korony z Gniezna zabrali i starą stolicę poniewieracie. Niechbyśmy go choć u grobu Mieszka zobaczyli.

Dobiesław uśmiechnął się.

— Po co króla trudzić? — odparł. — Albo to my a wy nie jedno stanowimy ciało? Wszak ci Bogoria wasz go nam wszystkim ukoronował?

Westchnął Przedysław.

— Ano — rzekł — Wielkopolany nie poniewierajcie. Korona ta, coście ją sobie do Krakowa wzięli, u nas ukuta została. Po Chrobrym ci ją macie i po Przemku naszym.

— Stare dzieje! — wtrącił ksiądz Zawisza, śmiejąc się. — Bądźcie pamiętni tego, że nieboszczyk król, którego pamięć czcicie, chciał jednej Polski.

— My też jej chcemy — odparł Przedysław — aliści w jednym człeku jest rąk dwoje i oczu dwoje, tak i u nas.

— Cóż by to było? — przerwał Dobiesław żywo. — Anoby nowy król, gwoli różnym ziemiom, każdej z osobna chyba koronować się musiał i jak było jedenaście na pogrzebie chorągwi, tak byćcie go jedenaście razy namaszczać musieli?

Śmiech się rozległ dokoła, a Przedysław namarszczył nieco.

— Jużci — rzekł — Kujawy osobno koronować go nie potrzebują, ani się o to Sieradz upomni, ale Wielkopolska, gniazdo pierwsze piastowskie...

— Z Piastami się skończyło! — mruknął sędzia krakowski.

Gdzieś w dali ozwało się jakby westchnienia.

Otto z Pilicy słuchał milczący, a gospodarz dodał, łagodząc wielkorządcę wielkopolskiego, który zza stołu wstawał, jak by odchodzić myślał.

— Król do was jedzie, nie frasujcie się, będziecie go mieli u siebie.

Nie chcąc drażliwej przedłużać rozmowy, Przedysław za kołpak wziął i skłonił się naprzód gospodarzowi, potem dokoła i ku drzwiom zmierzał, odprowadzany grzecznie przez Różyców.

Po odejściu jego czas jakiś trwało milczenie, spoglądali po sobie wszyscy, jak by się przekonać chcieli, że teraz sami z sobą są i swobodnie mówić mogą.

— Królowi Ludwikowi będzie co czynić w nowym królestwie — westchnął Dobiesław. —

Dziedzictwo wziął piękne i bogate, ale troski z nim sporo... Mazury się oderwały precz, z Rusią się będzie ciężko obronić Litwie, Brandenburg i Sas już nas kęsają...

Potrząsnął głową.

— Dodajcie i to — cicho bardzo szepnął sędzia krakowski — że choć testament i dawne

pakta tron zapewniają Ludwikowi, ale diabeł nie śpi... Piastów i Piastowiczów jest dosyć i takich, co ino w nich krew królów prawych widzą, także niemało.

— Daremna rzecz i próżny strach — odparł żywo wojewoda. — Jużci ani Władysław opolski, ani Każko szczeciński, ani mazowieccy się nie pokuszą.

— Za nikogo nie ręczę — rzekł sędzia, głową potrząsając. — Sam by może żaden się nie poważył, ale warchoły namówią. Śmiech o tym wspominać, a ja bym i za Włodka gniewkowskiego, co się pono zakapturzył kędyś i z mnichami śpiewa w chórze, nie ręczył.

Śmiać się w istocie drudzy zaczęli.

— Chybaby rozum stracił, kto by go przeciw panu naszemu chciał prowadzić! — ofuknął

Otto z Pilcy. — Na Gniewkowie sobie rady dać nie mógł i to księstwo, które do lada worka schować można, porzucił, a co mu o koronie myśleć?

— Tak ci, tak! — rzekł szydersko sędzia. — Małe księstwo porzucić nie żal, bo co po nim, wielka troska? Ale o ogromne królestwo warto szyi nadstawić...

— Na to — zawołał Otto z Pilcy — ogromne serce i prawicę mieć trzeba potężną, no, a tych właśnie wasz mnich nie miał nigdy!

Znowu zamilkli trochę, a potem ci, co u stołu siedzieli, nachyliwszy głowy ku sobie, cicho coś szeptać poczęli.

Do wojewody schodziło się ludzi różnych tyłu, którzy nie wszyscy z nim trzymali i których on nie był pewien, że poufne zwierzenia musiały się szeptać od ucha przenosić do ucha.

Więcej niż kiedykolwiek po śmierci króla Kaźmirza zarysowały się dwa obozy przeciwne.

Jedni, w nowym panowaniu osobistych szukając korzyści, cieszyli się z niego i starali tylko jak najlepsze ze dworem zawiązać stosunki, drudzy, jaśniej widzący, już upatrywali przyszły kraj upadek, zawiąkania i nieład, na jaki go obojętność Ludwika narazić miała.

Nie ukrywał się węgierski i dalmacki król z tym lekceważeniem spadku po wuju, a raczej po matce, brał go niechętnie, chciał z niego wyciągnąć jak największe dla siebie korzyści, ale serce jego i umysł były gdzie indziej.

Wstręt miał do Polski, śmierdziały mu polskiej szlachty kozuchy i buty; kraj ten swój miał

za barbarzyński, za dziki. Rad był go, jako dziedzictwo, dla rodziny zatrzymać, ale nie chciał tu ani mieszkać, ani rządzić.

Rozpowiadano sobie pogardliwe odezwania się Ludwika i chwymano oznaki niechęci, której nie umiał, nie zadawał sobie pracy zataić.

Już za Kaźmirza poczynający kiełkować antagonizm dwu głównych dzielnic, z których się Polska składała teraz, gdy energicznej, jednoczącej dłoni zabrakło, coraz dobitniej i silniej występował.

Na pogrzebie, jak tłuszcz od wody, wydzielali się, osobno chodząc, stając, radząc,

Wielkopolanie. Zbijali się w osobną gromadę, unikali Małopolanów.

Bogorię oblegano ciągle, domagając się, aby Ludwika skłonił do ponowienia koronacji, do ukazania się choćby w ornacie koronacyjnym i majestacie całym w Gnieźnie. Król Ludwik zniecierpliwiony, ruszając ramionami, półgębkiem coś przyrzekał. Bądź co bądź miał jechać do Wielkopolski, choć Węgrowie, jak *on* stęsknieni za domem, zżymali się i łajali.

Goście ci, u boku Ludwika wciąż będący, straż jego i dwór składający, wcale się nie starali pozyskać serca Polaków. Dumne pany patrzali z wysoka na nich i obchodzili się z nimi, jak gdyby byli nie w odziedziczonej, lecz w zawojowanej ziemi. Wszystko to zniechęcało coraz bardziej.

Zachwianie testamentu nieboszczyka króla, zmiana i poodbieranie legatów, obejście się z wdową po Kaźmirzu, której córki odbierała królowa Elżbieta, dzieci oddzielając od matki, oburzały Wielu. Najazd nie odparty Litwy, strata Santoka, oderwanie się zupełne lennego Mazowsza, zachwiana znowu jedność państwa smutną przepowiadały przyszłość. Liczba niezadowolonych rosła, a duma Ludwika serc mu nie pozyskiwała.

Już dnia tego dostrzec było można w czasie pogrzebu wśród oznak głębokiego żalu niemniej widoczne symptomata odrazy. Na zamku przy żałobnym chlebie, u tego samego stołu, u którego niezapomniany król Kaźmirz tak uprzejmie przyjmował gości, przemawiał do nich tak serdecznie własną ich mową, słyhać teraz było język włoski, francuski, niemiecki, łaciński, tylko polskim się nikt nie odzywał. Na stary dwór Kaźmirzowy nikt nie patrzył, służyć mu nie dawano, podczaszy Węgrzyn opanował napoje, stolnik, komornicy z Budy przybyli zajęli miejsca Polaków,

odepchniętych od sprawowania swych obowiązków.

Jedna stara królowa miała przy sobie kilku młodzieży, z tych, co w obcych krajach bywając, języki inne rozumieli, lecz i ci za Węgrami stać musieli. We wszystkim czuć było panowanie obcych, a pamięć Kaźmirza w większym jeszcze blasku przed oczyma stawała.

Pomiędzy gośćmi wojewody Dobiesława był i ten dworzanin króla, wzrostem i postawą do niego wielce podobny, który czasu pochodzenia osobę zmarłego przedstawiał. Zrzucił on był swe bogate szaty ze skarbca wzięte i przywdział żałobę, jak wszyscy, co do dworu nieboszczyka należeli. Zwał się Lasotą Nałęczem, a w rodzinie, w której wszyscy obyczajem wieku mieli jakieś przezwiska, z młodu go wołano Mrukiem. Pięknej urody, posępny zawsze i smutny, zachmurzony, milczący, znanym był z tego, że albo milczał, pomrukując tylko niezrozumiale, lub wybuchał z jakąś ognistą wymową straszną, która, jak ukrop wytrysnąwszy, nagle potem, gdy się opamiętał, ustawała i grobowym, upartym kończyła się milczeniem.

Lasota Nałęcz na dworze Kaźmirza był jednym z podkomorzonych jego, a że w Krakowie i przy królu ciągle mieszkał, matkę mając tylko jedną, tę też tu, sprowadziwszy, osadził.

Choć Nałęczów siła już było i w Małej Polsce, Lasota Mruk z Wielkiej Polski pochodził i tam miał dalszą rodzinę.

Wybrano go na obchód ten jako najpodobniejszego z postawy do króla, aby nieboszczyka wystawiał. Jemu, jak jemu, zaszczyt ten może nawet był miłym, ale strwożona macierz, uważając to za złą przepowiednię, zrazu pozwolić na to nie chciała, łamała ręce, płakała i potrzeba było perswazji wymownego Jana z Czarnkowa, podkanclerzego, przyjaciela domu, aby rozłzawiona staruszka syna puściła na pogrzeb.

Lasota też, co z początku do serca nie brał swej roli, trwogą macierzyńską został zarażony.

Od chwili, gdy z kościoła wyszedł i przyłbicę długo spuszczoną podniósł, nie przemówił słowa.

Milczący tak, gdy go wojewoda Dobiesław zaprosił, poszedł doń, słuchał rozmów, nie odzywał się, posiedział, powstał tu, a gdy zwawsze gawędy poczęły na gromadki dzielić gości, nie mając tu co robić, ku drzwiom się posunął.

Był w progu już, gdy syknięcie za sobą posłyszał. Obejrzał się. Szedł za nim mężczyzna od niego starszy, ogorzałej twarzy, brwi krzaczastych, ubrany żałobnie, ale pańsko. Nie znanym mu był, sądził więc, że syknięcie dla innych uszu było przeznaczone, i dalej iść chciał, gdy ów nieznajomy za rękę go ujął śmiało, jakby do tej poufałości miał prawo. Mruk zaś z sobą poufale lada komu przestawać nie dawał. Zdziwił się. Trochę jakby z pośpiechu, jękając się, nie znany człek począł:

— Lasota Nałęcz? Mrukiem cię zwą? Głowy tylko ruchem zatrzymany potwierdził.

— Dobrze, zem cię ujął — rzekł oddychając ciężko, a czapkę na głowę nakładając i nie

puściwszy Mruka nie znany pan — dość ci wiedzieć, że i ja Nałęcz Derśław z Wielkopolski, powinieś znać, jakie nas powinowactwo wiąże?

Spojrzał mu w oczy. Mruk, dotąd dosyć dumnie spoglądający, spokorniał widocznie, do czapki rękę przyłożył.

Starszy ujął go pod rękę. Czegoś mu pilno było i jakby gorąco w tej łaźni wojewodzińskiej, z której wychodził.

— Idźmy kędy razem — odezwał się z cicha — potrzeba mi cię, mówić o czym mamy... a niekoniecznie dobrze, aby nas wszyscy słuchali i słyszeli.

Okiem mrugnął. Stali już w ulicy.

— Jeśli nas dwu ma być na rozmowie — odparł Mruk — może byście do dworku mojej matki raczyli. Nie mam izb tak wspaniałych jak pana wojewody, ale ciepły kąć się znajdzie...

— Innym czasem — rzekł żywo Derśław. — Ano przede wszystkim — tu mu bystro

spojrzał w oczy — mów mi, jako ojcu, bobym nim mógł być, szczerą prawdę. Radeś ty z tego Ludwika i z tej starej baby, której młodzieniaszki służą? Widzi ci się, że to z tym dobrze będzie?

Hę?

Zagadnięty Mruk zwykle do odpowiedzi nieskory, zmarszczył się mocno i zadumał długo.

Derśław nogami tupał.

— Ano — zawołał — dobądź, co masz, spod wątroby!

— Za zalem po nieboszczyku — począł Mruk — człek nie miał czasu pomyśleć jeszcze o czym innym. Ale co tu się dobrego spodziewać? Obcy ludzie...

Ramionami poruszył.

Derśław, jakby mu tego dosyć było, ujął go znowu pod rękę.

— Chodź ze mną — rzekł. Przyspieszyli kroku.

W ulicach miasta, choć wieczór nadchodził i godzina, o której zwykle bramy się zamykały, a ludzie do domów wracali, zbliżała, dla natłoku gości obcych bardzo jeszcze było ruchliwo. Snuły się kupki podchmielonych, niepogrzebowe wyśpiewując piosenki. Tu i ówdzie krzyk niewieści nas pół śmiechem wybuchał i nagle ucichał. Przez otwarte drzwi browarów biło pozapalane w nich światło i gwar z nich szedł na ulicę, tak izby jeszcze pełne były.

Pachołkowie prowadzili konie od wody; kramarze zapuszczali okiennice i zamykali ławki.

Gromady mieszczan, gwarząc, stały pode drzwiami domów. Świeciło się wszędzie, ruszało żywo.

Po drodze spotkali jadących z zamku z pocztami ziemian, przeprowadzanych z latarkami

przez chłopaków — duchownych. W rynku i ulicy Floriańskiej jeszcze gęściej znaleźli ludzi, a tu właśnie Lasotę Mruka Derśław prowadził.

W drodze nic prawie nie mówili, Derśław dyszał zasapany. Doszli tak wreszcie do

pokaźnego domostwa, któremu starszy Nałęcz przyjrzał się wprzód dobrze, nim do bramy zastukał, bo ta była zawarta. Niedobrze z miastem obeznany, obawiał się snadź omylić i dopiero znaki balwierza wywieszzone zobaczywszy, dwie miski mosiężne nad wroty, dobijając się począł do bramy.

Dworzec balwierza był duży, na dole zamknięte okiennice tylko prążki światła

przepuszczały, na wyżkach w izbie górnej troje okiennic przysłoniętych widać było, a w nich blask wielki i po błonach przesuwające się cienie ludzi.

Gdy wrota odparto, a oba weszli do sieni, Derśław się zatrzymał i tchnął, jakby mu

powietrza w piersiach zabrakło. Położył rękę na ramieniu Mrukowi.

— Jeżeliś ty króla kochał jak należy — rzekł — no, to ci i jego korona droga, i Piastów krew też... i co posłyszysz, a o co się pytają, z tym się po ludziach nosić nie będziesz.

Mruk się zdziwił trochę.

— Dostyc mi na tym, że wy, panie ojcze, ze mną jesteście — odezwał się — pójdę po waszej myśli, jak się patrzy...

Wschodków na górkę po ciemku domacać się było niełatwo, począł Derśław wołać, jakby u siebie doma był.

— Żuczek, sam tu!

Za drugim huknięciem na górce się drzwi rozwarły, światło z nich potoczyło się ku nim i Derśław, opierając się na Mruku, począł, sapiąc, spinać się niewygodnymi wschodami na wyżki.

Powołany Żuczek, pacholik, z drzazgą w ręku naprędce zapaloną, czekał na nich u wnijścia.

Sionka była mała naprzód, za której nieszczelnymi drzwiami wielką wrzawę głosów słyszeć było.

Kilkanaście różnych odzywało się na przemian i głużyło. Derśław, drzwi popchnąwszy, wszedł, prowadząc za sobą Mruka.



Izba na górcie dosyć była przestronna, ale niska, tak że rośniejsi goście, rękę dobrze

podniósłszy, mogli belek dosięgnąć na pułapie. Ogień się palił na ogromnym kominie, z kilku kłód suchych nałożony.

Ludzi tu było pełno. Jedni na ławach siedzieli, drudzy o stół oparci stali, inni się

przechadzali, rozprawiając żywo i głośno. Widać było, że swoi wszyscy nie obawiali się podsłuchu ni zdrady.

Goście to byli poważni, w większej części lat już nie pierwszych, dojrzały, z odzieży mierząc ich, dostatni, z twarzy wnosząc, nawykli rozkazywać, nie słuchać. Gdy Derśław wkroczył, obejrżeli się ciekawie ku niemu i powitali wołając:

— Otóż i on!

Lecz przybysza zobaczywszy, zamilkli. Derśław Lasotę po ramieniu uderzył.

— Nałęcz jest — rzekł — mój pokrewny, komornik nieboszczyka, świadom tu dobrze

wszystkiego, a pewnie myśli to, co i my, bo po panu płacze. On to osobę jego na pogrzebie wystawiał.

Ciekawie popatrzono na przybysza, który stał milczący. Derśław się obrócił ku niemu.

— Wszyscy my tu swoi — rzekł — ludziska dobre. Zeszliśmy się nie o swoją skórę radzić, ale z boleścią naszą się wygadać. Słuchajże, a bądź baczny... Żebyś zaś wiedział, kogo przed sobą masz...

Wskazywać począł:

— Stary ten Moszczyc się zowie, ten siwy drugi — Oswald jest z Płonikowa, a oto brat

Przedpełk ze Staszowa, pan Stefan ze Trłąga od jeziora i Wyszota z Kórnik, i...

Począł liczyć innych, było ich tylu, że Mruk mało mógł spamiętać.

Na chwilę przerwany rozmowom pilno musiało być na nowo się zawiązać, bo już

niektórzy się wrywali, gdy Derśław, jak by w domu był, na Żuczka zawołał:

— W gardle mi zaschło! Napiłbym się piwa innego czasu, ano, kiedy te pany Węgry tylko wino smoczą, już mi wstyd od nich gorszym być. Żuczek! Wina dzban!

Śmiali się niektórzy, nikt nie protestował.

— Dobra rzecz wino — ozwał się Przedpełk ze Staszowa — zwłaszcza gdy je kto umie

korzeniami przyprawić i osłodzić, ale ja bym się zaklął, pókim żyw, go nie kosztować, bylebym tu na

Węgrów nie patrzył.

— No i ja! — rzekł śmiejąc się, Stefan z Trłąga.

— A ja też — ośmielił się dodać Mruk, na którego za to oświadczenie spojrzeli wszyscy przyjaźnie.

— Daj no pokój — chrapnął z kąta staruszek Moszczyc — jakby wina nie stało, tobyśmy mszy świętej nie mieli, a bez niej żyć nie można.

— Ba — odezwał się stary drugi z Płonikowa — tyle, co do mszy świętej potrzeba wina, i u nas się znajdzie. Nasadzili go benedyktyni u nas i na Czechach!

Wtem Żuczek wniósł dzban i z pewną ostentacją na stole go postawił, a kubki wyciągać poczęto.

### III

Już z pierwszego zakroju rozmowy Mruk się domyślić mógł łatwo, między jakimi ludźmi był i jaki tu duch powiewał. Jak u wojewody Dobiesława, wśród Ludwikowych i Elżbiety dworaków i ulubieńców, ciasno mu było i duszno, tak tu uczuł się między swymi.

Nie sięgał on tak daleko myślami, żeby aż możliwość pozbycia się Węgrów przypuszczał, ale mu z nimi źle było i srom czuł, że orni tu panować przychodzili, i żał mu było, że już skarbiec królewski dostał się w ich ręce, a nawet mówiono, że korony z sobą do Budy wywiezie Ludwik, bojąc się, aby mu nimi innego króla nie ukoronowano, gdy zejdzie z oczów.

Przy kubkach zaraz gwarzyć poczęto.

Dersław na ławie siadł i w boki się podparł.

— Ja przy swym stoję — rzekł. — Nieboszczyk król pan był złoty, serdeczny, prawy ojciec nasz, Panie Boże mu daj chwałę wieczną, ale że w końcu pobłądził, to pewno. Wiele uczynił dla Korony tej, bo któż nad niego więcej? Aliści miał ją dożywotnią w opiece i nią, jak suknią, rozporządzać nie mógł. Dokuczała mu siostra, aby ją synowi jej dał, nie dali spokoju, osaczali, męczyli, puścił ją na Węgry... Ależ nie on ostatnim Piastem był, a korona to piastowska...

Łoktkowe państwo nie było... Piastów było... Toć bym wolał Mazura na pana, choć szepleni, wolałbym którego ze Szlązaków, wolałbym Każka, wnuka nieboszczyka, którego on sam

wychował, wolał Władysława Opolczyka, niż tego Węgra, Francuza, któremu my śmierdzim i on nam...

— O! o! o! — odezwał się ktoś z kąta głosem grubym — tylko nie Opolczyka, Niemiec jest, choć

Piast, Niemiec, jak szląscy... Już się to przekabaciło zupełnie.

— Pan rozumny — wtrącił ktoś.

— Ale rozum ma nie masz — rzekł Przedpełk. — Gadajcie, co chcecie, rozum nie jeden jest, co mi po niemiecku rozumie?

— Każko — przerwał stary Oswald — serdeczne chłopię, ale wątle, ja go znam. Do wszystkiego by się rwał, a przy niczym nie ustoi.

— Co tu gadać o tych Piastach — wtrącił Wyszota z Kórnika — ja wam powiem jedno.

Opolczyk z Ludwikiem będzie trzymał, to jedna wiara; gdyby mu dawać koronę, nie zechce. Woli spokojne księstwo, a walka długa nie jego rzecz. Każko też, byle Dobrzyń miał, tego mu dosyć i nawykł Elżbietę i Ludwika szanować. Mazur, choćby Litwę do siebie ściągnąwszy, mógł się *wazyć*, nie zechce, boby go Krzyżakami nastraszone, a Węgry by mu Mazowsze jego plądrowali, o które stoi. Dla mnie jeden jest tylko, co by go można wziąć i poszedłby.

Wszyscy nań spojrzeli.

— Kto? kto? — poczęli pytać.

— I Piast, i bliski, i taki człek, co nic do stracenia nie ma. Taki pójdzie najłatwiej, gdy mu lada nadzieja zaświeci.

— Któż? — zaczęto naglić.

Wyszota dał im czekać i odgadywać, głowę tarł, nie pilno mu było odkryć, o kim myślał.

Wreszcie zamruczał:

— Ano, Biały, gniewkowski! Derśław ręką zamachnął szeroko.

— Toć go postrzygli, mnich jest, co nam po nim! — zawołał.

— Mnich! Jakby to Kaźmirz też mnichem nie był... Papież go ze ślubów zwolni dla korony.

Milczano trochę.

— Kto z was Białego lepiej znał? — mruknął, zwracając się ku starym, Derśław.

— Jak byś nie wiedział — odparł Moszczyc — zem ja u niego kasztelanem był, a Oswald

(wskazał na siedzącego obok) też mu urzędował. Nie tak ci to stare dzieje, lat parę dziesiątków!

Nikt go od nas lepiej nie zna.

Milczano, słuchając, a stary Moszczyc, jakby chciał się namyślić, co dalej powie, kubka nachylił i powoli wino z niego ssał po kropelce.

— O tym Białym książątku — zaczął tymczasem Derśław — tak różne wieści chodziły, tyle o nim prawiono, że nie wiedzieć, czemu wierzyć. Z wszystkiego, com słyszał, on mi się nie wydaje lepszym od drugich.

— Ani lepszy, ani może gorszy od innych — przerwał stary Moszczyc — ale do żadnego innego niepodobny; kto wie, co by z niego było, gdyby mu siłę dać i gdyby nad nim słońko zaświeciło. Z człowiekiem, bracie, jak z drzewem, może być kołkiem w płocie i osadą chorągwi...

Derśław głową potwierdził i uśmiechnął się.

— Tak, prawda by to była, gdyby człowiek kolcem był, a nie bożym stworzeniem, które ma przeciw wolę i rozumu trochę. Ale no, kiedy go znacie, prawcie nam, co on za jeden ten Biały, dobrze to wiedzieć na wszelki raz.

Wszyscy się obejrżeli na Moszczyc, który, splunąwszy, mówić się gotował.

— To przecież wiecie — odezwał się — że dziad jego, Ziemomysł, był Lotka rodzonym

bratem, ale brat w brata nie wszyscy do siebie podobni. Siedział spokojnie na małym Gniewkowie i mało o nim słyhać było. Synów miał trzech, którzy się jego spuścizną, Bydgoszczą, Gniewkowem i Inowrocławiem podzielili, ale dwu zmarło bezdzietnych, a Kaźmirz tylko gniewkowski dwoje, syna tego od włosów nazwanego Białym, i córkę, którą wydali za bośniackiego króla, zostawił.

Teraz tej Elżbiety córkę, a siostrzenicę jego wziął ten niby nasz król Ludwik. Biały z początku na swoim dziale siedział.

— Wyście mu wówczas kasztelanowali — dodał Derśław. — Tak ci było — uśmiechnął się

Moszczyc — bo choć księstwo niewielkie dzierżał, ale dwór mieć chciał liczny i nie gorszy jak drudzy. Jam był *kasztelanem*, byli i podkomorzowie i marszałek, i podczaszowie, i kanclerz, i wszystkie urzędy i dostojęstwa. Siostra została królową, brat też wysoko patrzył. Naturę miał

dziwną... Jakby dwóch ludzi w sobie nosił. Pod czas bywał spokojny, cichy, gnuśny niemal, nie pragnący nic, obojętny... Robili koło niego, co chcieli, słowa nie rzekł. Nagle przychodziło coś nań, jakby go owad zły pokąsał. Budził się z tego zaspania, rwał, targał, byle czym jątrzył, z całego świata nierad był, narzekał i życie sobie zbrzydzał.

Narzucawszy się tak, nakrzyczawszy, napadło go nabożeństwo, skrucha, żal, łzy,

zwątpienie, obrzydzenie świata i ludzi... Potrwało to czas jakiś, wracał do życia, więc gotuj łowy, dostawaj psów, zbieraj ludzi, dzień i noc w lesie, aż sił zabrakło. Bywał wesół i potrzebował koło siebie ochoczych, to znowu smutny jak noc i w komorze się zamykał.

Na dworze jednego dnia ksiądz miał pierwsze miejsce, potem łowczy, nareszcie lada błazen, który go śmieszył. Widziałem go w takim gniewie, że oszczepem za ludźmi rzucał, to znów dobrym, choć do rany przyłożyć.

Za młodu uczył się dosyć i mówiono, że umiał tyle co ksiądz. Sam sobie z pergaminów czytał, lektora nie potrzebując. Po polsku mówił, po niemiecku, bodaj po łacinie i po włosku.

Wszystko było w nim, bo i twarz, i postać miał piękną, tylko statku nie było. Prawdę rzec, grała w nim wielka krew, wielka pycha, wielkie żądze, których uspokoić czym nie było. Los go, drażniąc, takim uczynił.

Gdy go ożenili wreszcie, myśleliśmy, że uspokoi się, gniazdo uściele i siedzieć na nim będzie, nie pragnąc więcej. Żonę wziął młodziuchną, śliczną, wesołą jak dziecię, a że się oboje miłowali, zdało się, iż raj z nią przyszedł.

Włodek się zmienił, stał dobrym i przy jej krosnach i kądzieli ustawicznie siedział. Śpiewała mu, słuchał, opowiadała, radował się każdemu słowu, przepadał za nią. Za próg dworu od niej odejść ni odjechać nie chciał, że go już, aby męskich zabaw nie zapomniał, prawie wypędzać musiała.

Jak we wszystkim gwałtownym był, tak i w kochaniu tym, a myśmy tylko cicho szeptali:

— Daj Boże, aby mu się i to nie przejadło.

Księżna, jak piękna i świeża, tak bardzo wątła była. Kto wie, z czego wkrótce zaczęła blednąć i słabnąć. Przestraszony książę słał do Krakowa po mistrza Mateusza, ściągnął drugiego od brandenburskiego księcia. Dali jej ziele jakieś pić...

Tymczasem coraz było gorzej a gorzej. Miłość męża jeszcze rosła, ona też żyć i miłować go chciała, ano przeciw woli Bożej ani lekarze, ni modlitwy nie pomogą.

Zwiędło nieboraczątko jak zwarzony kwiat, umarła.

Książę z żalu niepomiernego prawie oszalał... Przystąpić doń, słowa rzec nie było można, przytomności zbył. Baliśmy się, aby sobie złego czego nie uczynił.

Posłano cichaczem po Alberta, księcia strzeleckiego, ojca nieboszczki, przybył on, ale ani ten, ni żaden człowiek mocy nad nim nie miał.

Po pogrzebie przywdział szaty żałobne, zamknął się, począł modlić, księżmi otoczył. Nic mu już nie było w smak, mówił, że życie zbrzydło, począł prawić, że dla niego tylko klasztor został

i cela mnisza.

My, cośmy go z dawna znali, wiedzieliśmy, że się to jeszcze z czasem wszystko odmienić może. Tak się i stało.

Wszyscy żal nad nim mieli. Był mu przyjacielem z dawna i od niego ulubionym Bodcza, starosta w Drdzeniu, człek już niemłody, który synów kilku i jedną młodziuchną córkę miał.

Widząc go tak śmiercią żony nieszczęśliwym, począł Bodcza do niego dojeżdżać, to sam, to z synami, aby go rozerwać i pocieszyć.

Ciągnęli go z sobą, prawie gwałtem, na łowy, na turnieje różne, zapraszali do Drdzenia, gdzie czasem po dwa i trzy dni utrzymać go umieli.

Córeczka też, Bodczanka, młode dziewczę, piękne bardzo, wychodziło doń, gdy u stołu siedzieli, posługiwała, śpiewała, szczebiotała.

Książę, choć po żonie rozpaczał, a na niewiasty ani spojrzeć nie mógł dla wielkiej boleści wspomnienia tej, którą utracił, przecie Bodczanki Frydy owej pieśniom się przysłuchiwał rad, płakał, słuchając, mówiono, że jej pierścień darował, a ludzie szeptali, iż dziewczę się w nim więcej rozmiłowało, niż było potrzeba. Bo książę pono ani myślał o niej.

Ale że mu w Drdzeniu było lepiej niż w Gniewkowie, bo tam o swej stracie zapominał, dawał się do nich wyciągać. Myśmy prorokowali wówczas, aby bodaj dziewczki staroście nie wzięł.

Tymczasem się inaczej stało. Poszedł zatarg o lasy nadgraniczne. Chciano mu je oderznąć, aktami dowodząc, że do księstwa nie należały.

Sporu to nie było warte, bo lasu miał dosyć i na drzewo, i do łowów, a mało o to zdał się dbać. Lecz pod złą godzinę ktoś mu podszeptał, że Staszko Kiwała, sędzia kujawski, granicę samowolnie na sosnach zarębywać każe.

Książę, usłyszawszy to, rzucił się jak rażony. Kania począł wołać, oszczep pochwycił; ludziom kazano wszystkim się zbierać i na granicę.

Gdyśmy zobaczyli, jak wyruszał z podwórca, koniowi ostrogi w boki wraziwszy, prosiliśmy Pana Boga, aby sędziego gdzie nie napotkał, a właśnie Kiwała z kaliszczanami w istocie sosny znaczył i kopce sypał.

Puścił się nań, zobaczywszy go, książę, łając od razu i bezczeszcząc. Kiwała, jak był mocen swym prawem, nie ustąpił. Odparł księciu, że on tu króla osobę na sobie ma.

A ten, nie czekając, oszczep podniósłszy, cisnął i w samą pierś go trafiwszy, w miejscu trupem położył.

Dopiero gdy krew trysnęła, a martwy padł i ludzie, co z nim byli, uchodzić zaczęli, książę osłupiał i poznał, że źle uczynił.

Zawrócił konia, o granicę już nie dbając, i półzyw, na siodle ledwie mogąc usiedzieć, do

Gniewkowa powrócił.

Położyli go do łóżka.

Kazał księży zwołać i nieustanne msze za duszę Kiwały odprawiać.

Tymczasem do Krakowa doniesiono, co się stało, wdowa Staszka pojechała ze łzami do króla, wojewoda kaliski zawziął się. Król pozwać kazał księcia przed się, a groźno.

Chciał Włodek zrazu jechać, zerwał się, potem został. Dzień i noc po izbie tłukł się, sam do siebie gadając, to na ławę padłszy, to na łożo, to w kącie mrużąc, to okna odsuwając, aby powietrza wpuścić, to ognia paląc.

Na ostatek kapelana, który u niego kanclerzem był razem, księdza Jeremę zawoławszy, z listem go do króla Kaźmirza odprawił, nagle się uspokoiwszy. Z czym pojechał, nie wiedział nikt, bo Jeremie pod przysięgą nakazał słowem się nie zdradzić nikomu.

Dosyć prędko powrócił posłany, aż tu wieść gruchnęła, której zrazu nikt wierzyć nie chciał, że książę swoją dzielnicę królowi za kilka tysięcy grzywien sprzedawszy, sam rzuca na zawsze kraj i do Ziemi Świętej iść chce, a potem bodaj do klasztoru.

Popłoch się stał, nikt wierzyć nie chciał, ano prawda była.

Natychmiast poczęto do drogi wszystko sposobić, sprzedawać ruchomości, inne książę rozdawać począł, koni siła i sprzętu Bdczy do Drdzenia posłał.

A tak mu Gniewków i nas pilno opuścić było, że najmniejsza zwłoka do szalu go drażniła i gniew wywoływała. Dzień i noc gotowano konie i ludzi, choć wiele ich z sobą nie brał, bo kosztu chciał uniknąć. Czterech młodych dworzan i mało co więcej pacholców od koni było mu na teraz dosyć.

Suknię sobie pielgrzymią czarną, z krzyżem na piersi, dał szyć. Na piersi też krzyż wziął i na hełm, i tak obdarzwszy niektórych, drugich jakby znać nie chcąc, w świat pociągnął. Tu się dopiero wydało, jak owa Fryda z Drdzenia rozmiłowana w nim była, bo gdy już w podróż

wyruszywszy, do

Bdczy zajechał, a zegnali go, powiadali, że padła jak nieżywa.

Ale o tym pono Biały nie wiedział, bo go inni obstąpili, a rodzina dziewczynę zakryła, sromając się tej miłości jej.

Tu Moszczyc począł trochę, winem usta odwilżył i po chwili, westchnąwszy, ciągnął dalej:

— Co się z nim potem działo, tylkośmy od ludzi wiedzieli i to nierychło. W początku jako w wodę był wpadł; dopiero gdy z Ziemi Świętej wrócił Kaczka Jurek, który z nim aż tam był, odprawiony do

domu się przywłókł i począł rozpowiadać, ile utrapienia doznał, niewygód różnych, niebezpieczeństw i jak za łaską Bożą cudem się dostał na powrót, gdy już nigdy widzieć się swoich nie spodziewał.

Książę wprost naówczas przez niemieckie ziemie aż do na morzu zbudowanego miasta

Winedzii dojechał, o którym Kaczka cuda opowiadał, iż tam domy w wodzie stoją, a ludzie zamiast wozów i koni czółen używają kirem obitych. Stąd na statek wielki siadłszy, na morze się puścili, których burza sroga miotłała długi czas, tak że tylko już śmierci wyglądali, gdy cudem jednego złego czarownika, który na okręcie był i wszystkiego stał się przyczyną, wyrzuciwszy w morze, wnet się ono uspokoiło i na ląd dostali.

Jako potem po tej Ziemi Świętej o wielkim głodzie i skwarze, często garścią mąki, figami i suchymi owocami żyjąc tylko, na osłach, wielbłądach i pieszo całą pielgrzymkę odbywali, grób Zbawiciela i kolebkę, i wszystkie miejsca święte pobożnie zwiedzając, cało wyszli, choć ich rozbójnicy ścigali i choroby z wody tamtejszej i upałów trapiły, ani spamiętam dziś...

Dosyć, że książę, na powrót statku dostawszy, znowu do owego miasta w morzu przybył i stamtąd na cesarski dwór do Wiednia ciągnął.

Kaczka powiadał, że nie pewien był jeszcze, co z sobą uczyni. Jednego dnia się do klasztoru wybierał, drugiego rycerskie rzemiosło przekładał. Z księżmi obcując, ich obyczaj przybierał, trafiwszy na ludzi wojennego rzemiosła, do nich, się garnął. A że na dworze cesarskim tak jak powinowatym był, spodziewał się tu może wielkiego losu. Zawiodły go pono nadzieje, gdyż rychło się na nim poznano, że jak serca wielkiego był, dumy znacznej, tak statku żadnego.

Przechyliła się jakoś waga ku rycerskiej sprawie.

Może też szukając, co lepszego dlań było, w krzyżackim zakonie razem i mniszy habit, i orężne rzemiosło myślał znaleźć.

A że podówczas właśnie z całego świata ochotnicy się zbierali do Malborgu, na wyprawę przeciwko Litwie, posłyszeliśmy nagle, że i nasz książę tu przybywa.

Kaczka, dowiedziawszy się o nim, nie strzymał i że go miłował bardzo, choć zobaczyć pragnąc, pociągnął do niego.

Było to właśnie jakoś po tym, gdy Kiejstut napadł na Angerburg i grodek dobył, a okolice spustoszył strasznie. Chcieli Krzyżacy odwetu, a że gości im naściągało dosyć, bo nawet zza morza z Anglii jeden znaczny przybył, puścili się na Ejragołę i Pastów, gdzie i książę był z nimi.

Wiadomo, jaka to ta wojna Litwy z Krzyżakami, gdzie nigdy prawie do boju nie przychodzi.

Wpadnie Litwin na krzyżackie ziemie, spali, zniszczy, zabierze ludu i ujdzie: pójdą w odwet Krzyżacy, toż czyniąc.



Tak i tym razem było.

Ledwie ksiązę zwycięsko wrócił z tymi Anglikami, a może zamyślał do Zakonu wstępować, bo pono się już i o to z mistrzem układał, gdy wieść przyszła do Malborgu, że Kiejstut z Olgierdem i Patrykiem, mszcząc się za Ejragołę, około Ragnedy ogniem i mieczem przeszli, a pochwyciwszy jednego rycerza Krzyżaka, podobno Hensla z Neuensztejnu, jako stał we zbroi, na koniu bogom swoim na ofiarę go żywcem spalili.

Dopieroż ksiązę, gdy się o tym dowiedział, myśleć począł, że na podobną śmierć narażać się nie było rozumne dla cudzej sprawy.

Krzyżacy go też bardzo pono nie trzymali za poły, bo oprócz ksiązęcego imienia mało co im z sobą mógł przynieść. I tak znowu nasz ksiązę od Krzyżaków ruszył w świat.

— Trudno mu snadź miejsca zagrzać — szepnął Derśław.

— A nie bardzo się temu i dziwić — dodał Moszczyc — że Krzyżaków nie pokochał. Jechał

pono do Awinionu, do papieża, od niego się tam czegoś spodziewając. Tu go też nie przyjęto, jako pragnął. Znużywszy się, z namowy mnichów cystersów do któregoś ich klasztoru udawszy się, do zakonu ich wstąpił.

— Myśmy bo słyszeli, że benedyktynek został — odparł Derśław — choć między szarą a czarną suknią różnica niewielka.

— Ano poczekajcie — rozśmiał się Moszczyc — i do benedyktów trafiemy.

Drudzy milczeli, potrząsając głowami, losy te księcia, na którym nadzieje jakieś zdawano się pokładać, nie bardzo się podobały tym, co mu dobrze życzyli.

— Co za dziw, że u cystersów nie strzymał — wtrącił Przedpełk — zakon bardzo surowy, a ludzie niewzględni. Przecie dla takiego jak on winni byli coś uczynić.

— Nie wiem, jak do tego przyszło — mruknął Moszczyc — ale pono siódmego miesiąca

ksiązę z klasztoru, w którym już pierwsze był złożył śluby, uszedł do benedyktyków do Dyżonu, gdzie go, już nowy habit czarny przywdziewającego, napędzili cystersi w kościele, gdy przysięgę miał składać.

Słyszałem, że się wielki spór wszczął, niemal przy ołtarzu, bo cystersi gwałtem zbiega odbierać chcieli, a benedyktyni go bronili.

Mnichy się skłócili, ale ci, co na swoim gruncie byli, a liczniejsi, zwyciężyli i ksiązę u świętego Benedykta po dziś dzień pozostał.

Gdy Moszczyc dokończył, milczenie panowało długie. Derśław dziwnie głową potrząsał.

— Nie wiem — rzekł wreszcie — czy na biednego, skołatanego tyłu wypadkami,

zniechęconego do życia, liczyć nam co można. Mnich nie mnich, juści by go nam papież oddał, gdyby pięknie poprosić, ale co nam po takim człowieku!

— Nie mówcie tak — gorąco wyrwał się Przedpełk ze Staszowa — właśnie człowiek jak on najlepszy dla nas, bo nam wszystko winien będzie. Po świecie się kręcił, prawda, miejsca nie zagrzewał, bo mu nigdy los nie dopisał. Cóż miał czynić?

Stefan z Trłąga w tąż począł.

— Mężny jest, to wszyscy świadczą. Krew piastowska w nim. Czego więcej chcecie?

— Ano — rzekł Derśław — przy krwi tej ja bym i głowy chciał piastowskiej... Wiem ci, że o innego Piasta trudno, alebym już Każka wolał.

Drudzy się podnieśli i zakrzyczeli:

— Temu złote góry dawajcie, to go nie zwabicie... Ujął go już Ludwik, jego on jest, a o koronie ani myśli...

— I nie ma drugiego krom tego — dokończył Przedpełk. Zadumał się Derśław.

— Czasu dosyć — rzekł — dziś się to ogaduje tylko, a stanowiąc za wcześnie. Na Ludwika się porwać z lada kim i lada czym trudno.

— Wątpię — ozwał się po raz pierwszy, ale gorąco, milczący dotąd i słuchający z uwagą Lasota Nałęcz. — Wątpię ja, abyśmy z królem Ludwikiem, a on z nami do ładu przyszedł. Pan dla Węgrów, dla Dalmatów i Włochów może taki, jakiego im potrzeba, a nam się nie zdał na nic...

Zobaczycie...

— I my tak sądzimy — zwracając się ku mówiącemu, odezwał się Przedpełk. — My, co nas

jest Wielkopolan, tego małopolskiego, krakowskiego króla nie chcemy. A gdy my poczniemy, to i Małopolanie się opatrzą... Króla nam trzeba, co by u nas mieszkał, z nami żył i nas rozumiał. Ten niechaj sobie do Włoch ciągnie, aby mu cieplej było... my innego, w kożuchu, sobie wyszukamy, co mu też nasze kożuchy śmierdzieć nie będą!

Gwar się stał i śmiechy.

— Ino poczekajmy, a rozpatrzmy się — powtórzył Derśław. — Tego czy innego

wyberzemy, a kogoś mieć musimy, i takiego, żebyśmy go już mieniać nie potrzebowali.

Poczęli tedy drudzy z miejsc powstawać, żegnać się i wychodzić, a Lasota wkrótce sam na sam z

Dersławem na górze pozostał.

#### IV

Dersław Nałęcz nie był ani w swej rodzinie, ani w swej okolicy, ani w ziemi swojej

człowiekiem wielkiego znaczenia. Z ludźmi żył dobrze, słuchano go chętnie, ale mu wpływu żadnego nie przypisywano, a on sam, gdy mu kto dał poznać, że on na wpływ ten rachował, wypierał go się jak najmocniej.

Ziemianin był zamożny i należał do szczytu rozrodzonego, który wiele w kraju znaczył, obchodziły go więcej może niż innych losy rodu i dola kraju, lecz, krzątając się około obojga, zdawał się umyślnie zasłaniać drugimi. Wolał, ażeby to, co czynił, szło na karb cudzy, sławy z tego nie szukał, a może i troski, jaką ona za sobą ciągnie, chciał uniknąć.

Ci, co go bardzo blisko znali, chytrym zwali, czasem lisem, śmiejąc się, a nie było to sprawiedliwym, gdyż Dersław fałszu ani zażywał, ani go innym przebaczał, szedł prostą drogą zawsze, nie lubił tylko zanadto się widocznym czynić dla świętego spokoju.

Mało kto wiedział, jak wiele Dersław mógł i czynił, ile myśli poddał, jak ludzi poruszyć i popychać umiał, przecież żadna sprawa ważniejsza nie obeszła się bez niego. Przyznawano ją potem komu innemu, nie upominał się, uśmiechał tylko.

Chociaż do domu i żony przywiązany, choć dzieci kochający, a już wiekiem mógłby się był

tłumaczyć, że spoczynek sobie zapewnił, Dersław z nawyknięcia do zabiegów i krzątania nie mógł nic zaspać. Był szlachecki zjazd jaki, nigdy

Dersława tam nie zabrakło, ruszyło się co i zakotłowało, biegł zaraz. Zawołano do Krakowa, gotów był zawsze.

Czasy to, od Przemkowych począwszy, nie mówiąc o dawniejszych, były w Wielkiej Polsce niespokojne. Za piecem siedzieć mało kto mógł, samotrzeć na gościniec wyjechać trudno się było ważyć. Ponad granicami Sasi i Brandenburczyki łotrowali, od Szląska też wpadali zbóje.

W samej Wielkopolsce od Borkowicza się ich namnożyło, brat jego i syn mścili się za

umorzonego. Inni za ich przykładem puszczali się na łatwy zarobek po drogach. Obdzierano kupców obcych, a gdy tych nie stało, rzucano się i na swoich. Poważniły się rodziny z sobą, wnet, nie szukając sprawiedliwości po sądach, same ją sobie orężem zdobywały. Zajeżdżano dobra duchownym, zagarniano lasy i ziemie nie osiadłe królewskie. Nieład coraz większy się mnożył, któremu wielkorządcy za oczyma króla podołać nie mogli.

Za Kaźmirza już, który rzadko do Wielkopolski zaglądał, Borkowicz zaczął burzyć umysły, jątrząc swoich ziomków przeciw Małopolanom, Krakowowi i władzy królewskiej.

Tam właśnie, gdzie dla bliskiego sąsiedztwa Krzyżaków, Brandenburgów, z ich Sasami i

Szląskiem, trzeba było największego ładu i czuwania, najmniej było obojga. Wielkorządca żaden sobie rady z Wielkopolany dać nie mógł. Bałamucili ich często sąsiedzi, a warchołom dobrze z tym było: gdy się zamąciło, łowili ryby w mętnej wodzie.

Panu Derśławowi, choćby był chciał spokojnie u ogniska siedzieć, czas by nie dopuścił, ale on sam do tego ochoty nie miał. Jeszcze przed przybyciem do Krakowa na koronację przekonał się w Poznaniu, że król przyszedł, Ludwik, prawie wszystkich miał przeciwko sobie.

Wielkopolska daleko mocniej od Krakowian i reszty Polski stała przy krwi Piastów.

Krzyczano, że król nieboszczyk nie miał prawa ziemią, którą dożywotnio rządził, rozporządzać.

Potem zaczęto się domagać, aby przynajmniej koronował się w Gnieźnie, aby sam mieszkał

w Polsce; na ostatek czasu koronacji i pogrzebu duma i lekceważenie doznane od Wągrów dopełniły miary. Zaczęto mówić o innym Piaście i innego sobie króla szukać. Derśław tego tam nie wymyślił, ale kość z kości Wielkopolan, podzielał ich uczucia, a gdy raz na tę drogę weszli, kroczył

i on z nimi. Przechylała się waga na stronę tego Władysława Białego, o którym Moszczyc taką długą opowiadał historię. Nie bardzo on był do smaku Derśławowi, ale innego pod ręką nie mieli, więc na wszelki przypadek trzeba było lepiej tę rzecz roztrząsnąć i bliżej poznać.

Gdy z Lasotą sam na sam pozostali, Derśław, na kominie ognia poprawiwszy, pas rozwiązał; wina sobie i jemu nalał i nogi grzejąc, począł cichą rozmowę:

— Tyś bywał na dworze — rzekł do Lasoty — cóż myślisz, jak nam z tym Ludwikiem będzie? Przypatrzyłeś mu się, co tam koło niego słyszać?

Lasocie mówić tak od razu łatwo nie było, potrzebował, aby go podpalono. Ruszył ramionami, zamruczał coś niewyraźnego.

Derśław patrzył nań pilno, znał on ludzi, zmiarkował, że z mruka nie dobędzie słowa, chyba go po trosze za język ciągnąć i biorąc na spytki.

— Co na dworze mówią, naprzód o królewskim testamencie? Strzymają go czy nie?

Lasota głową potrząsnął, ale jeszcze się nie odezwał.

— Jak tam na księdza Suchywilka patrząc? — dodał Derśław. Lasota zrobił minę dwuznaczną i jęknął:

— Muszą go szczeniść, boć znaczenie ma, ale nie lubią go... Derśław ręce zatarł, znać go to pocieszyło.

— Niech testament pokruszą — rzekł — tym ci lepiej, król sobie nieprzyjaciół przysporzy.

Pomyślał chwilę i westchnął, a zwracając się do Lasoty, dodał:

— Tylko że to u nas, po staremu, na języku dużo... Ludzie się wykrzyczą, nałajają, naburzą, warchołom król nadaniami gęby pozamyka, nie zechcą się na guza narażać i — słuchać go będą.

Zarumienił się Lasota i dopiero z niego buchnęło, aż się starszy zadziwił.

— No, chyba nie — rzekł głośno — chyba nie! Z tym królem my nie wytrwamy... Gdy po

niego ksiądz biskup Florian z księdzem Janem do Budy pojechali, choć mu koronę wieźli, której stara Elżbieta tak dla niego łaknęła, zrazu nawet na podróż do Krakowa nakłonić go było trudno.

Drożył się, wymawiał, ociągał... Matka dopiero go napędziła... i żeby nie mógł się wymawiać, sama pojechała przodem. Przyjmowali go w Sączu i Krakowie, wiecie jak... jak zbawcę, jak ojca, a on nosem na wszystko kręcił... Teraz co najrychlej by chcieli skarbiec zabrać, pieniędzy zagarnąć — i Ludwik myśli tylko, jak by co prędzej powrócił do Budy...

— A któż tu będzie rządził? — zapytał Derśław.

— Jużci stara pani — odparł Lasota pogardliwie — i jej młodzi ulubieńcy... Zawisza, syn Bobkowy, a i innych siła w wielkich łaskach... Babie, aby się kłaniano a prawiono słodczyce i zabawiano ją, na wszystko zezwoli... Opolczyka może na Rusi posadzą, do Wielkopolski poślą też kogo pewnie im miłszego...

Ręką zamachnął Lasota.

— Zaznamy teraz, co to pod obcym być... — mruknął i siadł.

Derśław nic nie odpowiedział.

— A ty z sobą co myślisz? — zapytał. — Zostaniesz przy dworze czy nie?

— Nie — stanowczo i z pewnym oburzeniem odparł Lasota. — Ja liziłapą być nie potrafię, a tu teraz takich potrzeba, co i kłaniać się, i kłamać będą umieli.

— Cóż poczniesz?

— Ha! — zawołał Lasota. — Sam spełna nie wiem. Ojcowizna szczupła, na wieś powracać mi tęskno, do ludzi nawykłem... Służby rycerskiej będę szukał i lepszego czasu czekał.

Derśław głową pokiwał.

— Słuchaj — rzekł — nam w Wielkiej Polsce teraz ludzi będzie siła potrzeba takich jak ty.

Czas. jakiś pociągnie się może spokojnie, potem zamąci się i zawichrzy. Wracaj ze mną, siedź w Poznaniu, zapisz się tam bodaj do wojewody, jaki on będzie. Zdasz się nam. Prawda, że mówny nie jesteś bardzo, ale nam pono więcej ręki niż języka będzie potrzeba.

Lasota się zadumał.

— Na dworze nieboszczyka było was Wielkopolan dosyć... nieźle by było, żebyś ich z sobą wyciągnął. Krakowianie nam chcą panować sami, my tego nie zniesiemy, przyjdzie się z nimi rozbratać, trzeba swoich stąd powybierać, niech nie przepadają.

I pomyślawszy trochę, dołożył Derśław:

— Ze wszystkiego widzę, że nasi bracia na Białego rachują i choć spróbują sobie go

ściągnąć. My się od swoich odszczepić nie możemy. Niech sobie będzie i Biały, aby Wielkopolanie okazali, że też coś ważą. Bodaj zawichrzyć — będą nas potem lepiej szanować. A na naszego Przecławę z Gołuchowa jak tam patrzą? — zapytał stary.

Lasota był znów w usposobieniu milczącym i nieprędko na odpowiedź się zebrał.

— Koso nań patrzą — rzekł nareszcie. — Nic nie wiem, ale mi się zda, że on niedługo na wielkorządach posiedzi.

Derśław się rozśmiał.

— Tym lepiej — rzekł — bo i jego nam dadzą, a jest potrzebny, i Krakowiaka nam przyślą, to już miary doleją!... Ma być co, niechże będzie na dobre!

Wstał Derśław i ziewnął zmęczony, wyciągając się.

— Późno, do kata — rzekł — ja bym już spał, a i ty pewnie po dzisiejszej służbie

wyciągnąłbyś się rad. Do zamku ci nie pora iść, a tam też Węgry może na twojej pościeli się wyciągają, każą ci tu słomy przynieść i kobierczyk zaściłać.

Stało się, jak gospodarz chciał, i po kubku jeszcze na sen dopiwszy, legli oba. Nazajutrz, nim się Derśław zbudził i chrapał jeszcze w najlepsze, Lasota się zerwał już z łoża swego, na palcach wyszedł i na zamek pociągnął. Stary jakby wyprorokował, bo gdy do swej izby spieszył, pacholę w sieniach w starą opończę uwinięte, śpiące u drzwi, przebudziwszy się, oznajmiło mu, że Węgry podpiwszy, nade dnem drzwi u niego wylamali i gwałtem do izby wpadłszy, spali.

Było ich, jak mówił, trzech, więc Lasota sam bójki z napastnikami zuchwałymi rozpoczynać nie myślał, a że się już we dworze ruszano, poszedł do marszałka Węgrów królewskich na skargę.

Z tym, który już nad polewką gorącą siedział, i rozmówić się było trudno. Zamiast w pomoc przyjść wypartemu z własnego mieszkania, począł go łajać jeszcze za niegościnnność i odgrażać się.

Z niczym więc odszedłszy, Lasota musiał swoich zebrać kilku chłopów co najtęższych, a takich, którym już Węgrowie dokuczali, i z nimi dopiero do izby swej wpadłszy, przebudzonych i do oręża się porywających Węgrów precz wyrzucili.

Nie odbyło się to bez wrzasku i bójki, bez krzyków, na które więcej jeszcze Węgrów w pomoc swoim nadbiegło.

Poczęli też i Polacy zewsząd pospieszać, radzi, iż zuchwałych przetrzepią, i byłoby krwawo zajście się skończyło, gdyby starszy nad Węgrami nie przypadł i zmiarkowawszy, że bójka w końcu na niekorzyść ich wypaść może, swoich z sobą gwałtem nie zabrał.

Lasocie już po tym zajściu nie było się co dłużej trzymać na zamku, gdzie się więcej nic oprócz pomsty nie spodziewał; natychmiast więc, co miał, ściągając począł, konie swe przyprowadzić kazał i juki na nie kłaść, aby z zamku precz iść.

Inni, to spostrzegłszy, starzy dworzanie Kaźmirzowi także na gwałt rzucili się z zamku wynosić.

Stała się wrzawa znaczna i co spało jeszcze o tej porze, pobudziło się. Węgierski dwór, zobaczywszy Polaków hurmem skupionych i zabierających się gromadnie zamek opuszczać, pomiarkowali, że z tego nic dobrego nie urośnie.

Ten i ów ze starszyny węgierskiej przyszedł badać i namawiać do zgody, ale słuchać ich nie chciano.

Musieli tedy uciec się do pośrednictwa jakiegoś Węgry i posłano po Krzesława Różyca, syna Dobkowego, aby im w pomoc przybywał.

Zdyszany nabiegł on i gdy mu oznajmiono, o co szło, pospieszył do dworzan, o przyczynę pytając.

Lasota nawet odpowiadać nie chciał, ale na jego miejsce dobrze wyprawną mający gębę

Pełka Śreniawczyk, zwany Pokrzywką, wystąpił:

— Dla nas tu miejsca na zamku nie ma! — zawołał. — Wolimy my sami opuścić go, niż

czekać, aby nas wyżeniono. Panom Węgom ciasno, muszą się szeroko rozłożyć. Wywalili drzwi Lasocie i rozgościli się u niego nie proszeni, jutro mnie to uczynią. U księdza Jana z Czarnkowa, gdyby nie żelazne drzwi, toż samo by było, bo się dobijali. W czas trzeba, co kto ma, zabierać, bo i kaptura stąd jutro nie wyniesiemy.

Inni, pokrzykując, potakiwali Pełce, tak że Krzesław nie wiedział już, co im rzec.

— Pamiętajcie ino — odezwał się — że sobie tym łaski króla nie zaskarbicie, a przecie jej potrzebujecie.

Lasota dopiero zawołał w gniewie:

— Jako żywo! Zmieszał się Krzesław.

— Skarżyć było potrzeba, gdy się krzywda stała.

— Aby nam nałajano! — zawarczał Lasota.

I tak Krzesław to groźbami, to prośbami na próżno usiłując tumult powstrzymać, nie wskórał nic. Wszyscy, co z Lasotą trzymali, konie swe obładowawszy, natychmiast z zamku na miasto ruszyli.

Niektórzy bojaźliwsi odłożyli to, ociągając się. Dano znać królowi pono, który ramionami poruszył, uśmiechnął się i zdawał mało dbać o to.

A że i stara królowa plotki wszelkie lubiła, o wszystkim chcąc być zaraz uwiadomioną, Zawisza, nadbiegłszy za bratem, z doniesieniem pospieszył do niej.

Trochę więcej wzięła to z początku do serca, ale nie poradziła nic, a po godzinie zapomniała, co zaszło.

Królewski dwór tegoż dnia już czynił przygotowania do podróży, bo Ludwikowi pilno było wielce zbyć się wycieczki do Gniezna i Wielkopolski, dokąd go ks. arcybiskup Bogoria ciągnął.

Węgry więc nie mieli czasu dokazywać i dzień ten upłynął jakoś spokojnie.

Wieczorem, jak zwykle, królowa stara zabawiała się. Słychać było muzykę, widać po cieniach w oknach płasających, a śmiechy aż na podwórce dolatywały. Król tam u matki nie bawił długo, drudzy, szczególnie ci, co się przyszłej pani w łaski zapisać chcieli, dosiadywali, póki śpiewać kazała i słuchała pochlebców.

Ze starego dworu nieboszczyka mało kto tam był, lecz nowych ludzi, dawniej mniej znanych, zbiegło się dosyć i na Polakach nie zbywało. Tu już można było zgadnąć, kto w przyszłości pójdzie w górę, a kto w niełaskę popadnie. Tych, co się garnęli do starej pani, przyjmowała bardzo wdzięcznie. Wesołością i pochlebstwem, a piękną powierzchownością ująć ją było łatwo. Młodzieź też po większej części ją otaczała.

Gdy się to działo na zamku, Lasota, precz odjechawszy, gospodę sobie zajął u znajomego mieszczanina na Grodzkiej ulicy, przedział się i szedł do Dersława, bo teraz już nie miał co innego do czynienia, tylko swoich się trzymać. Zastał go nad misą, zajadającego, co mu doma uwarzono.

Zobaczywszy Lasotę, Dersław, który już o rannej przygodzie wiedział, bo się to po mieście



rozniosło, przywitał go:

— A co? Węgry górą...

— Do czasu — rzekł Lasota — jam z zamku się wyniosł.

— No i ze mną do Poznania?

— Jak każecie, ojcie.

— Masz rozum — odparł Derśław. — Dobądź łyżki zza pasa, bo jużci bez niej nie chodzisz, kromką chleba sobie odkrój i jedz, co Bóg dał. Stanie dla dwóch, bo na czterech gotowano.

Lasota, nie dając się prosić, przysiadł się do misy, jak należało.

— Król bodaj jutro do Gniezna z arcybiskupem jedzie — rzekł — wozy już gotują.

— O! o! — zawołał Derśław, przestając jeść — a nie wiecie, czy i korony z sobą wiozą?

Ludziom by wielu gębę zamknął, gdyby się dał w Gnieźnie ukoronować.

— Chyba to nie może być — odezwał się Lasota. — Słyszałem po dworze, iż królowi ta dwoista koronacja śmieszna się widzi. Ale do grobu świętego Wojciecha pokłonić się pojedzie.

— Hm — rzekł Derśław — nam też tam potrzeba być, żebyśmy widzieli, jak się to odbędzie. Co mamy za królem gonić, lepiej go wyprzedzić. Ja już tu robić co nie mam. Pan Przedysław z Gołuchowa też dziś rusza przodem. Gotówes z końmi?

— Jam zawsze gotów — rzekła Lasota — nic mnie tu nie trzyma.

— Ba! — rozśmiał się stary, który żartować czasem lubił. — Nie masz to żadnej mieszczki, z którą byś na cztery oczy się chciał pożegnać?

Ruszył ramionami Lasota.

— Już mi to nie w głowie! — odparł.

— A kędyż poszło? — zagadnął stary i nie czekając odpowiedzi, otarł usta, przeżegnał się, a na chłopca począł wołać.

— Sakwy wiązać — w drogę! Słyszysz, niezdar... za godzinę na gościńcu być musimy! ,

Zwrócił się do Lasoty, pasa popuszczzonego ściągając.

— I was za godzinę czekam — rzekł, czapkę biorąc — a teraz trzeba po swoich pójść i dać hasło: Wielkopolany w drogę!

Tegoż dnia z przymrozkiem, który od południa zaczął brać, przy wypogodzonym niebie, co było Wielkopolan, którzy się kupy trzymali, ruszać zaczęło z Krakowa.

Wojewoda kaliski wyprzedzał ich i króla. Szły wozy arcybiskupa i księdza Suchywilka; jechali też i Nałęcz gromadnie.

Spieszyło się Derśławowi i bardzo, ale nie zawsze człowiekowi idzie po myśli, tak i jemu w tym razie. Zmęczył się niemało w Krakowie, a może i co niezdrowego zjadł po drodze w

gospodzie, dosyć, że drugiego dnia dla wielkich boleści dalej nie mogąc ciągnąć, w lichej karczmie na gościńcu oblegał. Lasota też przy nim pozostał, bo inni pędzili do Gniezna i Poznania, którym pilniej było.

I stało się tak, że co Derśław miał króla wyprzedzić, to teraz ledwie się go spodziewał

napędzić. Nie tyle mu szło o chorobę i cierpienie, bo choć się kulił z bólu, lekcewał go sobie, nie nowiną mu to było, ale na to utyskiwał, iż wszystkiego świadkiem nie będzie i z drugimi w kole nie stanie. Na gwałt zaś ruszyć nie było sposobu, bo na koniu usiedzieć nie mógł.

Gospoda, w której oblegał, oddalona od wiosek, samotna, tak przypadała, iż w niej

orszakowi królewskiemu spoczynek byłznaczony, o czym Derśław nie wiedział ani Lasota.

Rozłożyli się w niej jak u siebie, gdy Węgrowie królewscy, co poprzedzali pana, nadbiegli.

Jednemu z nich koń w drodze nogę zwichnął. Napatrzwszy w stajni deresza, co pod Derśławem chodził, nie pytając, czyj był nawet, Węgier go zaraz pochwycił.

Ludzie Lasoty i Derśławowi rzucili się odbierać. Węgry do mieczów, a była ich siła

większa, tak że kilku z czeladzi porąbali i, nim Lasota wybiegł, nie tylko konia z siedzeniem, lecz opon nachwytał, beczkę z winem i srebrny kubek, na gościniec uskoczyli.

Ani dogadać się z nimi nie było sposobu, ani ich przemóc, bo we dwójnasób tyle mieli rąk, co Nałęczowie.

Stanowniczy Polak, napiły i bezprzytomny, choć się do niego Lasota czepiał, nic nie umiał

poradzić, klął tylko:

— Co ty z tymi Madziarami myślisz się zadzierać! — wołał do Lasoty. — Dziękuj Bogu,

gdy ci głowy z karku nie zdejmą... O konia się będziesz upominał? Patrz, żebyś go krwią jeszcze nie dopłacił.

Węgry ze śmiechem i urąganiem pojechali i na tym się skończyło.

Dopieroż chorego Derśława widzieć trzeba było, gdy mu dano znać, że jego ulubiony

deresz, który miał nogi osobliwe, a mimo to niósł jak w kołysce, przepadł. Pięści obie ścisnął, zęby zaciął, kłął i wnet pomiarkowawszy się, rzekł przeżegnawszy:

— Ziemianinowi konia wziąć, co znaczy, ten tylko wie, kto miał wierzchowego, a kochał go jak... dziecko swe.

Tę tylko miał Derśław korzyść ze straty, że co chorym był, z gniewu i poruszenia zamiast mocniej zapaść, od razu pozdrowiał. Konia od pachotka wzięwszy, natychmiast ruszył dalej.

Ciągnęli tedy za królem już, który pospiesznie do Gniezna dążył, a po drodze napatrzeć się mogli i nasłuchać, co Węgry dokazywały w pochodzie. Kędy przeszli, nie pozostał po nich ani stóg siana cały, ani chata i domostwo, w którym by na ich gospodarstwo, gwałty i zabory nie narzekano.

Rosła stąd wielce niechęć do króla, już i tak nielubionego, a że przy nim stanowniczo i urzędnicy Małopolanie byli, którzy na zbytki patrzyli, nic nie radząc ani zapobiegając, i na nich burzyli się ludzie. I co by ta podróż Ludwikowa miała mu serca pozyskać, więcej ich jeszcze podrażniła.

Gdyby kmieci tylko tak uciskali, którzy dawne czasy na prawie polskim, podwody, przewód i pogonie pamiętali, nie tyle by to raziło, lecz dostawało się i ziemiańskim dworom, i rycerswu, i duchownym, bo Madziary nikogo nie poszanowali. Więc lamenty rozwodzono srogie, a Derśław słuchając ich, to się gniewał, to radował, bo myślał, iż stronę króla mało kto tu teraz trzymać będzie.

Nie jadąc w ślad za Ludwikiem do Gniezna, Nałęczowie w Poznaniu się zatrzymali, gdzie jedni przygotowania czynili do przyjęcia króla, a drudzy się z nich na ową mniemaną do Gniezna koronację wybierali, bo byli i tacy, co w nią wierzyli.

Wiedziano, iż z rozkazu arcybiskupa tron w gnieźnieńskim kościele złotogłowiem i purpurą okryty był przygotowany. Wieść chodziła, że koronę Chrobrego Ludwik z sobą przywiezie z Krakowa.

Tymczasem zawiodły nadzieje. Mimo nalegań arcybiskupa, który żądał, aby król w ornacie koronacyjnym uroczystym zasiadł na tronie, Ludwik z uśmiechem mu odpowiedział, iż tego nie uczyni, boby koronację swą pierwszą w wątpliwość podał.

W zwyczajnym ubraniu znajdował się Ludwik na nabożeństwie w katedrze u grobu

świętego Wojciecha, złożył przy nim ofiarę skromną i krótko zabawiwszy u Bogorii, natychmiast do Poznania wyruszył.

Wielkopolscy ziemianie, już zrażeni tym, że ich żądania lekceważono, w stolicy ziemi swej niezbyt licznie ani tak ochoczo przyjęli króla, jak się spodziewał.

Wszędzie też bawił, jak najkrócej mógł, widocznie się spiesząc, mało komu łaskawsze okazując oblicze, zbywając się ludzi z niechęcią i obojętnością.

Zostawiły więc po sobie odwiedziny królewskie zaród wzajemnej urazy i można było

przewidywać, że między panującym a Wielkopolską rozbrat coraz większy nastąpić musi.

Przedysław z Głuchowa, który lepszego się spodziewał, ośmielił się królowi powiedzieć, co myśleli wszyscy, i chciał go skłonić, aby łaskawszym okazał się dla Wielkopolski, lecz Ludwik ramionami poruszył i prawie go nie słuchał.

Węgrowie zaś otaczający, którym wszystkiego zawsze za mało było, na Przedysława i

Wielkopolan krzyczeli jeszcze i na kraj wydziwiali.

Derśław, tego wszystkiego wysłuchawszy i napatrzywszy się, po kilku dniach Lasotę z sobą zabrał i do domu do Wielkiej Wsi wyruszył.

V

W Wielkiej Wsi Derśławowej, lasami dokoła otoczonej, a ponad jeziorem rybnym osiadłej, pokój panował szczęśliwy, który ona winna była temu, że ją samo położenie broniło. Szlaki uczęszczane z dala szły od niej, otaczające puszcze mokre dostęp trudnym czyniły, a nawet czasu rozruchów i najazdów, które się w Wielkopolsce zagnieździły, Wielka Wieś bezpieczna była. Nie lada też kupą ważyć się na nią mógł napastnik, bo siodło było ludne, ludność zaś mężna i takiego ducha, że jej ku obronie wołać nie było potrzeba. Dwa czy trzy przysiółki, Wólka Złota, Wólka Nabrzeżna i Koleśnicy, tak dokoła były rozłożone, że uchowaj Boże najazdu, stały na straży, minąć ich nie mógł nikt, a ludzie znanymi ścieżkami zaraz mogli znać dać i na gwałt uderzyć.

W ostatecznym razie stare grodzisko obszerne, wałem osypane, bronić się mogło i zawrzeć w sobie niemało ludzi.

Na grodzisku stał i kościółek pod jego obroną, i szop siła było, do których się schronić z dobytkiem mogli wieśniacy.

Derśław mieszkał w domu starym, poprawionym i przebudowanym, który bardzo dziwnie

wyglądał, jak czasem grzyby na drzewie, gdy w kupę urosną ściśnięte. Dachów, daszków, sieni, przejść, podsieni różnych, wyżek, ścian nierównych, wyższych i niższych, okien małych i wielkich, sterczących dymników, nie naliczyć tam było. Do niektórych mieszkań dostawało się po drabinach, do innych trudno było zgadnąć, kędy ludzie włązili. Z jednej strony stara i już rozeschła, a świecąca szparami, przyparta była wieża drewniana, która pono jeszcze za jakiejś wojny i niebezpieczeństwa wzniesiona została, a teraz w niej baby mokre chusty wieszaly, gdy słota była na dworze.

Na takich wygodach, jakich owe czasy wymagały, nie zbywało tu. Był ład w domu, lecz dla oka nikt starej kleci przybierać nie myślał.

Poczerniała od deszczów, okopcona od dymów, gdzieniegdzie w ziemią zapadająca, ze

ścianami skoszonymi i popodpieranymi, już by może nowemu pokaźniejszemu domostwu miejsca

musiała ustąpić, gdyby Derśław, który ją taką po ojcu wziął, a bardzo był do niej przywiązany, nie obronił i nie uchwalił. Syn jego, Wierusz, gwałtem chciał nowy dwór stawić, Derśław się uparł i na tym stanął, póki on żyw, i dom stać będzie, ani go da palcem tchnąć. Wierusz, który gospodarował ojcu i zastępował go, musiał się do woli tej zastosować.

Jak ten dom, tak i mienie Derśławowe nie narzucało się oczom. Dostatek był wszędzie, który nikogo zazdrosnym nie mógł uczynić. Po komorach i zakomórkach pełno było wszystkiego, ale o tym mało kto wiedział.

Derśławowa żona, Jagna, która też z Nałęczów domu była, niewiasta spokojna, jako cień chodziła za mężem, który do niej przywiązany był, powolny dla niej, ale swą powagą czasem czuć dawał, trzymając, iż niewiastom rządzić i prowadzić się dawać nie należało.

Oprócz syna Wierusza mieli córkę Derśławowie, zwaną Piotruszą, dziewczę, które się w matkę wdało, ciche, łagodne a skromne. Może dlatego, że ani ona się ze swoją pięknnością pochwalić nie umiała, ani ojciec z dostatkim, Piotrusza już dwadzieścia lat liczyła, a nikt się o nią nie starał i w domu siedziała.

Wiedziała o niej młodzież, ale młodym blask i rozgłos milsze nad wszystko, a Piotruszą nie słynęła niczym, tylko tym, że matce była prawą ręką, a ojcu dzieckiem najmilszym.

Derśławowi i Jagnie pozbyć się córki z domu cale nie było pilno. Wierusz też, że żonaty nie był, siostrę w domu rad widział.

Gdy stary Nałęcz do Wielkiej Wsi z sobą Lasotą zabierał, może mu na myśl to przyszło, że córce męża prowadzi — może niekoniecznie rad był ją zaswatać niemajątnemu i na dworactwie nawykłemu do lepszego życia powinowatemu — lecz potrzebował go, nie miał gdzie osadzić i mimo obawy wioził z sobą.

Po drodze tylko w rozmowie przebąknął stary, że dla córki ma już upatrzonego człeka, aby Lasota bardzo się do niej nie zbliżał. A chociaż tak nie było, z kłamstwa się rozgrzeszył ojciec dla bezpieczeństwa dziecka swego. Słyszał bo dwór Kaźmirzów, jak pan jego, ze swawolnego obyczaju.

Lecz Lasota młodzieńcze szaty zostawił już był za sobą i o niewiastach myślał mało, teraz zaś o sobie musiał, bo nie wiedział jeszcze, co pocnie.

Do Wielkiej Wsi przybywszy, stary się zaraz zajął z synem pomieszczeniem Lasoty. Dano mu izbę osobną, która od tyłów wnijście miała, sień własną i komory, stajnie dla koni, pomieszkanie dla służby — i Wierusz, który podobny był do ojca, przyjął go jak brata. Rad był

temu towarzyszowi, który mógł mu o dworze i o krajach, jakie z Kaźmirzem zwiedzał albo do których przez niego posyłanym bywał z innymi, opowiadać.

Nawykłemu do życia na Wawelu, gdzie zawsze bywało gwarno i tłumnie, skąd też trzy

kroki było do ożywionego miasta, Lasota Wielką Wieś znajdował pustą i głuchą, lecz miło tu mu było wypocząć i młode lata na wsi spędzone sobie przypomnąć. Derśław zaś ciągle mu powtarzał, że go tu nie uwięził na wieki i że będzie miał co do czynienia.

Oprócz starego gospodarza, jego syna, żony i córki, a proboszcza, który na grodzisku mieszkał i gościem był codziennym, mało tu kogo widywano. Przecież różne wiadomości ze świata, od Poznania i Gniezna nadlatywały. Zawadzali ziemianie o Wielką Wieś, bywali księża u proboszcza, kmiecie z wsi i lasów sąsiednich także czasem plotkę przynieśli.

Postrzegł wprędce Lasota, jakie usposobienie było w kraju, bo wszystko, cokolwiek tu przyszło, co powtarzano, świadczyło o niechęci do Małopolan i króla. Takie tylko wieści powtarzano chętnie, które im dogadzały.

Dowiedzieli się tu wprędce, że Przedysław z Gołuchowa, który miał wielkorządy, już został podkopany i na jego miejsce Krakowianina obiecywano, co ogromnie umysły wzburzało.

— Niech spróbują nam tu nasłać obcego — mówił Derśław — a zobaczą, czy długo u nas wytrzyma! Wykurzymy go, choćby najlepszym był, bo w swej ziemi cudzym ludziom rządzić nie damy. Wielkopolan dosyć jest i z nich człeka wybrać powinni.

Innego dnia przysłała wiadomość, iż król Ludwik, korony zabrawszy z sobą, do Budy odjechał, a starą matkę swą na Krakowie zostawił. Ta zaś jak rządziła — nie mówiono. Śmiano się i ramionami poruszano. Domyślał się każdy łatwo, że nie jej rządy, ale gładkich ulubieńców nastąpić muszą.

Kilka razy stary po język się wymykał do Poznania, to do Gniezna, to do sąsiadów, którzy nad gościńcami siedzieli. Jednego zimowego wieczora gość się też zjawił. Był to duchowny, lat średnich mężczyzna, w którym potomka rodu rycerskiego na pierwsze wejrzenie widać było, bo ramiona i piersi do zbroi miał raczej niż pod rewerendę stworzone.

Powinowaty panu Derśławowi, bo do Nałęczów rodu należał, Jan z Czarnkowa, dosyć już wysokie stanowisko zajmował, bo podkanclerski urząd piastował. Sławny był też z nauki, z prawości i nieskazitelnego życia, ale krwi gorącej, porywczy, języka niepohamowanego, więcej miał nieprzyjaciół niż druhów.

Gdy go z sań wysiadającego Derśław zobaczył, zdziwił się wielce, bo wiedział, że na próżne wędrówki czasu nie miał, nierad się z Krakowa oddalał, a dla urzędu też nie mógł.

— Ojczy mój, a was tu co do nas przyniosło? — schyla- jąc się do ręki jego, rzekł Derśław.

— Gościem mi jesteście najmilszym, lecz Bóg świadek, niespodzianym.

Głosem grubym i mową gwałtowną odparł Janek z Czarnkowa:

— Ja sam, bracie mój, też się nie spodziewałem was nawiedzić. Cóż chcesz? Takie czasy nastały, że ci, przed którymi uciekano niegdy, dziś uciekać muszą. Proszę was o schronienie na czas, bo mnie bodaj więzić chcą! Ale...

Dersław osłupiał.

— Żarty prawicie! Weszli do izby.

— Ba, nie żarty! — zawołał przybyły podkanclerzy. — Umiano tak chodzić około starej królowej, takimi okładając potwarzami, że gdyby mnie suknia duchowna nie obroniła...

Zeszli się tymczasem wszyscy: Wierusz, Lasota, przysła pokłonić się duchownemu

Dersławowa Jagna; skupili się około gościa, którego przyjmowano serdecznie. Ten, rozjątrzony i poruszony, ledwie gniew w sobie mógł utrzymać. Poczęły się tedy opowiadania, pytania i okrzyki podziwienia. Janko z Czarnkowa na przemiany lament podnosił wielki i boską pomstą groził.

— Na zgubę prowadzą królestwo, na upadek i rozerwanie... Niedołężnej babie dał król

rzędy, obsiedli ją pochlebcy, opanowali źli ludzie, więc dla nas, starych sług, miejsca nie ma i nie tylko precz iść potrzeba, lecz życie chronić...

— Lecz cóż oni do was mieć mogli? co zarzucić? — pochwycił Dersław.

— Zmyślili, co chcieli, by się pozbyć — wołał przybyły — nie o mnie idzie, ale o

podkanclerstwo, by mi je wydrzeć, a dać je Zawiszy. Cóż ich kosztuje skłamać i potwarz cisnąć?

Zadali mi, zem po śmierci króla jakieś grzywny sobie przywłaszczają, zadają, że czarownicami się posługuję, że od Żyda Lewka pierścień czarodziejski podarowany noszę... Czy ja wiem zresztą, co mi zarzucają? — rozśmiał się gorzko podkanclerzy. — Musiałem im z oczu zniżyć, więc póki nie spocznę nieco, u was pobędę, a potem do arcybiskupa ruszę...

Dersław ledwie uszom wierzyć chciał.

— To, co ze mną — dodał podkanclerzy — dzieje się z drugimi. Przedysław ustąpić musiał.

— Komu? — podchwycił Dersław.

— Jednemu z tych, których twarz i obyczaj królowej się podobały — śmiejąc się, mówił

Janko. — No, nie ma co się dziwić. Otto z Pilcy, człowiek rycerski, nic mu zarzucić nie można, oprócz że dworuje, gdzie nie powinien...

— Otto z Pilcy! Małopolanin! — zakrzyknął Derśław — na wielkorządach w Poznaniu!

Znam go, wrzędzie by dobry był, ale u nas nie usiedzi... nie damy się...

Raz począwszy gość, nieprzebraną wysypał mnogość jednych nad drugie osobliwszych

nowin o przemianach, które stara królowa poczyniła. Dawnych urzędników oddalono, stanowiono nowych, Różyce ojciec i syn, z nimi ksiądz Mikołaj z Kórnika i siła innych, do królowej nikomu przystępu nie dając, swoich przyjaciół wszędzie podstawiali.

Janko z Czarnkowa malował starą, zdziecinniałą królowę z większym politowaniem niż niechęcią, winę składając na tych, co ją okłamywali.

— Litwa napadła — mówił — to wiecie, myślicie, że wojsko przeciwko niej posłano? Dano pustoszyć aż pod Łysą Górę, a doradcy starej pani nauczyli ją, żeby posłów wyprawiła do kunigasów litewskich i zagroziła im potęgą swojego syna!

Litwini się z nich naśmieli, poszło tysiące ludzi w niewolę, tysiące domostw w perzynę, a królowa cytarzysty słucha, śpiewem się lubuje, płasom przypatruje i słodkich słów słucha. Nie takiego nam króla było potrzeba! — westchnął Jan z Czarnkowa. — Na pokaranie nasze dał nam tę piękną lalkę Pan Bóg, a serce się ściska na to, że dla nas on lalką jest, dla nas on niczym być nie chce, gdy u siebie na Węgrzech sławi się jako pan mądry, dobry i silny, więc nawet skardze naszej i boleści naszej nikt uwierzyć nie zechce...

— A my nie wierzymy — wtrącił Derśław — ażeby on gdziekolwiek mądrym być mógł i

dobrym. Niechaj sobie zresztą Francuz ten Węgrom i Dalmatom, i Włochom szczęśliwie panuje, a piastowską dzielnicę Piastom odda.

Słuchając, ks. Jan podkanclerzy szeroką swą pierśią westchnął i głową trząść począł.

— Kędyż się Piasty podziały?! — począł jakby sam do siebie. — Gdyby nawet możność

była nowego pana wybierać i szukać, gdzie my go znajdziemy? Rozprysła się ta krew na drobne kropelki, na słabe poniki, a dziś nam po wielkim panu, co tyle lat nami rządził szczęśliwie, lada karłem się obejść, lada słabemu w ręce dać władzę nie można. Zły Ludwik, bo lekceważy nas, zła Elżbieta, bo starej babie zabawki w głowie i za słabą ma rękę, aby w niej wodze utrzymała, aliści najgorsze rządy to tym dobre, że się Polsce na kawały rozlecieć nie dadzą.

Derśław aż syknął, tak go ta obrona Ludwika zaboląła.

— Ojczy mój! — zawołał. — Wy byście mieli, na sobie ich niesprawiedliwości

doświadczywszy, bronić?

— Bronię nie ich, ale całości naszej korony — rzekł Janko z Czarnkowa. — Dajcie mi



potężnego Piasta... ale takiego nie macie wy... na świecie go nie ma.

Dersław, choć nierad się był zdradzać z tym, co sam i jego przyjaciele myśleli, przed poważnym duchownym, którego rozum cenił, taić się nie mógł.

— My inaczej myślimy — rzekł — przebaczenie, ojciec mój. Małopoleanie nas lekceważą, chcą nam prawa narzucać. Zaczęło się to za Kaźmirza, tego my nie ścierpimy. Może stać samo przez się Mazowsze, dlaczego byśmy też sobie pana nie poszukali? Piasta znajdziemy...

— Pokażcie mi go — odpowiedział, uśmiechając się, podkanclerzy. — Zdaje mi się, że na dworze wciąż przebywając, gdzie za nieboszczyka przewijali się i siedzieli wszyscy Piastowicze...

znam ich najlepiej... Na małych udziałach zrosli i wielkiej sprawy nie podołają.

Dersław się poruszył mocno.

— Ojciec miłościwy — zawołał — czytaliście jużcić błogosławionego Kadłubka historię, bo nas wszystkich na niej w szkołach uczono... Przecież gdy do korony pierwszego Piasta wzięli ludzie, małym był i rolą a pasieką jemo się parał... jednak z pomocą Bożą wielkie państwo przez niego urosło.

Janko z Czarnkowa uśmiechnął się.

— Stary mój — rzekł — widzę, że z waści nie lada dialektyk, ano posłuchaj mnie. Czasy były inne, świat prosty ludzi takichże wymagał, dziś nie to, co po Popielach wziąć dziedzictwo.

Dersław mruczał nie przekonany.

— Cóż byście mieli przeciwko mazowieckiemu Ziemowitowi?

— Ino to — rzekł Janko — iż gdybyście wy go chcieli, on was nie zechce. Odzyskał świeżo Płock, zbył się lenności, zostawiono go w pokoju, na Ludwika się nie porwie, dość ma doma roboty...

Nie nalegał gospodarz.

— Kaźka szczecińskiego sam nieboszczyk król wychował — rzekł — pan jest możny i serca wielkiego...

— Ten też się nie porwie przeciw Ludwikowi — odparł Janko — ze Szlązaków

rozrodzonych żaden; Władysław opolski jak i drudzy, zwłaszcza że mu albo Ruś, lub inna dzielnica bez trudu się dostanie...

Dersław już miał się wydać z tym, o kim myślano w niedostatku innych, i wymienić

Władysława Białego, lecz pomiarkował się, głowę spuścił i zamilkł.

Janko z Czarnkowa siedział smutny. Cały tak wieczór o różnych sprawach i ludziach mówiono i smutek się tylko ze słów sączył, nadziei polepszenia rychłego żaden z nich nie miał.

Wiedzieli wszyscy naokół, że Derśław, nie chcąc niczemu przodować, nie przyznając się do kierownictwa żadnego, potajemnie najwięcej się około wielkopolskich spraw krzątał. Nie było więc dziwem, gdy we dwa dni po podkanclerzym, w kilka koni tylko, około południa zjawił się wojewoda kaliski, Przedysław z Gołuchowa, którego miano właśnie z wielkorządów wyrzucić dla Ottona z Pilcy.

Możny pan w sile wieku, znaczenia niemałego pomiędzy swoimi, wojewoda kaliski, choć u dworu rad był łaski nie tracić, przecież wolał trzymać ze swymi i w ogólnych sprawach od nich się nie odłączał.

Temu zapewne winien był, że śmiało się o prawa Wielkopolski upomniawszy, aby ich nie zacierano i ziemi tej nie lekceważono, u króla począł być źle widzianym i u starej królowej. A że Kaźmirzowe sługi wszystkie podejrzewano i zamieniano, jego też ten los, co innych, miał spotkać.

Zsiadł z konia pan wojewoda i ze śniegu się otrząsał, mając z wychodzącym gospodarzem powitać, gdy poza nim spostrzegł Janka z Czarnkowa.

Zdumiał się nieco.

— Wiecie albo nie — odezwał się, nogę ze strzemienia dobywając — co mnie spotkało?

Derśław głową potrząsnął potakująco.

— Więc i tego się dorozumiecie, po com do was przybył. Szukam dobrej rady...

Wprowadzono go uroczyście do izby. Derśław okazywał mu uszanowanie wielkie, może

zbytne nawet, lecz miał zwyczaj ten, że się lubił małym czynić, czując, iż nim nie był. Więc najlepsze siedzenie naprzeciw ognia dano panu wojewodzie, który, jakby wcale nie czuł tego, iż go z wielkorządów zrzucano i odebrano mu dostojęństwo i władzę, uśmiechał się wesoło.

— No, cóż wy na to? — odezwał się. — Będziemy mieli Małopolanina w Poznaniu! Brak

tego, aby mnie do Krakowa posłali z łaski swej, ale ja bym tam nie pojechał... Otto z Pilcy godny człek, pan wielki, rycerskiego ducha; szkoda go zaprawdę, bo...

— Bo my go znać nie chcemy! — przerwał Derśław. — Jeżeli jakie prawo jest, przy którym stać musimy, to te, ażeby nas obcymi ludźmi nie obsyłano. W Wielkopolsce tylko my do urzędów i rządów mamy prawo.

Przedysław ręce zmarzłe zagrzewał. Podano kubki na powitanie, Derśław nalewał, a nalewając, szepnął:

— Trzeba nam się nie we dwu, ale w kupie naradzić, bo jest nad czym.

Spojrzeli sobie w oczy i wojewoda zmiarkował, że Janko z Czarnkowa musiał z gospodarzem nie całkiem jednej być myśli.

Porozumienie to milczące nie uszło oka podkanclerzego, który domyślił się, iż

Wielkopolanie knuli może coś takiego, do czego by mieszać się nie chciał. Wkrótce też pod pozorem, iż proboszcza nawiedzić chce, wyszedł z izby.

Sam na sam zostali z sobą wojewoda i stary Nałęcz.

— Ottona z Pilcy się zbyć, rzecz mała — rzekł Derśław otwarcie — my byśmy radzi zbyć się rządów starej baby i tego króla, który nas nie zna.

Przedysław nie dał po sobie poznać, by go to zbytnio zadziwiło, co usłyszał, milcząc czekał objaśnienia.

— Panie wojewodo — odezwał się Derśław — zjechać się nam potrzeba kędyś i pomyśleć o sobie. Wielka Wieś niedogodna, dwór u mnie szczupły, a gdyby ludzie doń ciągnąć zaczęli, wpadłoby to w oczy. W Poznaniu królowa stara swoich ma, co nas podsłuchają i doniosą.

— Dokądże myślicie się zgromadzić? — spytał wojewoda, nie sprzeciwiając się.

— Na nabożeństwo do Gniezna — rzekł Derśław — każdemu człeku jechać wolno, ani to kogo zadziwi, gdy się tam do starego arcybiskupa ziemian trochę ściągnie... Przybędziecie i wy?

— Kędy drudzy, tam i ja pewnie — odparł wojewoda. — Naznaczcie dzień, ludzi słusznych zbierzcie, przyjadę i ja do Gniezna, tak jakom do was przybył. Albo Wielkopolska straci wszystkie starodawne prawa swe, lub dziś się o nie upomnieć musi...

To mówiąc, smutniej się nieco zadumał.

— Lecz co tu o prawach naszych mówić — dodał — i jak je szacować ma Ludwik, gdy dla dzieci króla tego, któremu państwo to winien, nie ma miłosierdzia i sprawiedliwym być nie chce.

Słyszeliście, że córki królowej Jadwidze odebrano, że je do Węgier zabierają, tak jak zabrano korony, i że jawnie głoszą, iż król z obawy, by o spadek po ojcu nie upominały się kiedy, chce je

ogłosić jako z nieprawego małżeństwa narodzone i nieprawe.

Dersław porwał się z siedzenia.

— Testament króla połamano! — zawołał. — Co za dziw, że na domiar z dziećmi się obejdą okrutnie. Świętego u nich nie ma nic. Lecz król Ludwik też czuć powinien, że się na tronie tym słabo trzyma. Syna mu Bóg nie dał, a na córki jego dziedzictwo nie spada. Zejdzie więc korona znowu do Piastów, byleśmy zawczasu jej dziedzica opatrzyli.

Przedysław obejrzał się dokoła.

— Z siebie to mówisz? — zapytał.

— Z siebie, lecz wielu to samo powiada, jak i ja. O Piastach słyhać wszędzie, do nich nas stara powinność ciągnie...

— Milczcież do czasu — palce na ustach kładąc, odezwał się wojewoda. — Gdy kto chce

co skutecznie dokonać, nie powinien się zdradzać zawczasu, pilniejsza dziś rzecz tak Ottona z Pilcy przyjąć w Poznaniu, aby mu ochota odeszła nam się narzucać. Niech wraca dworować starej babie, razem z Zawiszą, Dobiesławem i innymi...

Nim wojewoda wyjechał z Wielkiej Wsi, już Lasota ruszał z niej, opatrzony przez Dersława nauką, do których dworów zajechać ma i komu szeptać, aby się do Gniezna gromadzono na Gromniczną.

Jankowi z Czarnkowa nie przyznali się dwaj spiskujący, co zamierzali.

## VI

Chociaż najtrudniej pono u nas było zawsze ziemianom język za zębami utrzymać,

zwłaszcza gdy serce w piersiach zagrało — choć zarówno Wielko- jak Małopolanie grzeszyli tym zawsze, że tajemnicy, gdyby o gardło szło, nie umieli uchować, ów zjazd na Gromniczną w Gnieźnie rozszedł się jakoś, nie zdradziwszy, co na nim uradzono. Być też mogło, iż gdzie tyle głów i tyle zdań różnych było, na nic nie umiano się zgodzić i dlatego milczano.

Dosyć, że ziemianie, każdy w swą drogę ciągnąc, nie chwalili się tym, co postanowili. Choć nie razem, większa część tych, którzy w Gnieźnie Obradowali, pociągnęła do Poznania. Tu się lada chwila oznajmionego już Ottona z Pilcy spodziewano.

Miasto zawczasu pełnym było, jak by się na przyjęcie jego przysposabiano.

Wielkiego domu Toporczyków dziecię, na dworach cudzoziemskich i w podróżach po

krajach obcych wykształcony, rycerskiej postawy i ducha, uprzejmy, miłość ludzką zaskarbiać sobie chętny, był ten Otto z Pilcy jakby dla pojednania dobrze z sobą zwaśnionych Wielko- i Małopolan najlepiej na oko dobranym. Tylko że już tu, przy swym prawie stojąc, jako

Krakowianina, narzuconego przez królowę, znać go nawet nie chciano. Wprawdzie za sobą zjednanie duchowieństwo miał, które za zgodą przemawiało, lecz nikt go słuchać nie myślał.

Umyślił Otto z Pilcy pańskim orszakiem Poznańczykom okazać, co zaczł był. Wysilił się

więc na poczet liczny i pięknie odziany, na konie cudne, na wozy i woźnicy postrojone, na otoczenie świetne i, jak to już naówczas zwyczajem być poczynało, wjazd swój na wielkorządy z wielką zarządził wspaniałością.

Przed nim już na zamek dla przyjęcia ziemian przybyły kuchnie, beczki i służba mnoga.

Spodziewano się, iż przez ciekawość samą zbiegowisko będzie wielkie.

Przed miastem na konia szkarłatem obwieszzonego siadłszy, w orszaku pańskim, z

uroczystością wielką zajechał Otto z Pilcy na Przemysławowski gród.

Po drodze gawiedzi milczącej stało siła, mieszczan, Żydów i okolicznych kmieci

powychodziły z domostw gromady, ziemianie tylko wcale się nie pokazali.

Na zamku były pustki.

Nie witał nikt, nie przybył nikt. Dopiero nierychło biskup sam z kilku kanonikami znalazł się u nowego wielkorządcy.

To przyjęcie milczące, dziwne, więcej może dumnego Toporczyka obeszło niż opór i jawna niechęć, gdyby mu je objawiono. Było coś pogardliwego w tym usunięciu się, które mówiło: „Nie nasz jesteś, nie znamy cię”.

Biskup starał się go pocieszyć, obiecując, iż się to wszystko, z wolna a łagodnie postępując, zmienić może.

Wielkorządca na pustym grodzie wezwawszy do siebie tych, co z urzędu musieli mu się

stawić, i z tych słowa nie dobył. Przybywali milczący, słuchali nachmurzeni, odchodzili, nic nie obiecując.

Z walczącymi jawnie sprawa lepsza, z takim oporem biernym wielkiej cierpliwości

potrzeba, a na tej właśnie Toporczykowi, krwi żywej i umysłu pańskiego, zbywało.

Z pomniejszych ludzi niejeden by może zwrócił się ku niemu i w nadziei, że coś uzyska, posłusznym by mu był, lecz każdy się obawiał pójść przeciw swoim, wiedząc, że wielkorządcy łatwo się zmieniają, a ze swoimi po wiek wieków żyć potrzeba.

Nie znano i znać nie chciano Ottona z Pilcy. Nie miał on jadąc nadziei, aby go zbyt mile przyjęto, lecz ufał sobie, że uprzejmością i gościnnością powoli serca zjedna. Trafwszy na ten pogardliwy niemal opór, nie wiedział spełna, co czynić.

Ponieważ z biskupem dobrze był, jego pytał o radę. Ten, westchnąwszy do Boga, złożwszy ręce, nic więcej nie rzekł nad to, że czekać było potrzeba i nie okazywać gniewu.

Tymczasem na zamku ciągle pustki były. Oprócz kilku swoich Krakowian, nie miał nikogo, a ci, popróbawwszy się do Wielkopolan zbliżyć, odprawieni ostro, zostali sami jak on.

Po gospodach na próżno szukali znajomości, gdzie się który śmielszy wcisnął, przychodziło do waśni — kilku porąbano, reszta na zamku siedzieć musiała. Nawet ci, co powinowatych mieli w Wielkopolsce, nie znaleźli lepszego od nich przyjęcia.

Tymczasem, jak przed przybyciem Ottona z Pilcy, tak po jego przyjeździe, rozboje i

napady, gwałty i najazdy trwały ciągle. Mało było ziemian, co z dworem trzymali, na palcach można ich było policzyć, ci zaś szczególnie na gwałtowność wystawieni byli. Otto z Pilcy chciał

moc swą i powagę okazać, zarządził pogonie, wyprawił oddziały; nie powiodło mu się zupełnie.

Jego ludzie ani języka dostać, ni pomocy od nikogo doprosić się nie mogli, odprawiano ich jak nieprzyjaciół, znać nie chcąc. Nawet ci, którym w pomoc przychodzili, pozbyć się ich byli radzi.

Cierpiał tak czas jakiś Otto z Pilcy, a coraz bardziej niepokojące wieści go dochodziły.

Duchowieństwo, na które rachował, bezsilne było, w końcu i ono swoim się narażać i z nimi dla wielkorządcy zrywać nie chciało.

Radził biskup z Przedysławem z Gołuchowa mówić i przez niego sobie ziemian jednać. Otto z Pilcy, wiedząc, że powoływać go do siebie byłoby próżnym, bo wojewoda pewno by się nie stawił sam, dowiedziawszy się, kiedy w Gołuchowie go znajdzie, z małym poczem doń pojechał.

Nie byli obcy sobie, bo się już w życiu nieraz spotykali; lecz teraz zaszły stosunki nowe i poprzednik na wielkorządach ani się już w Poznaniu pokazał.

Jednego dnia wiosny, wczesnej nadspodzianie, z gradem i ulewą a wichrem, w złą godziną przybył Otto z Pilcy na zamek gołuchowski. Nie wiedziano, kto był, gdy zajeżdżał, a że gościnnosc u nas zawsze cnotą była najpierwszą, ani spytano nawet, spuszczać brone.

Wyszedł pan Przedysław, pewnie się kogo innego domyślając, i zdumiał mocno, gdy Ottona zobaczył. Rad czy nierad, do domu wpuścić i witać musiał.

Toporczyk już tak był podrażniony tym, co go tu, a nawet po drodze spotykało, iż nie usiadł

ani gościny nie przyjął, póki, co miał na sercu, nie zrzucił.

— Panie wojewodo! — zawołał stojąc w przedsieni. — Wiem, że mi nie jesteście radzi, że wam gościem niemiłym, lecz wy byście do mnie nie chcieli, ja do was musiałem.

Skłonił się Przedysław. Weszli do wielkiej izby dolnej sklepionej. Gospodarz siedzenie pierwsze wskazał. Otto nie siadł.

— Przybyłem do was po radę — odezwał się. — Królowa Elżbieta, na którą król nasz rządy tego królestwa zdał, z porady panów komesów swych i baranów zesłała mnie tu w miejsce wasze.

Chciejcie wierzyć, że ja o to ani starałem, ani dobijałem... Wiedziałem, że mnie niewdzięczną przyjmiecie twarzą... Królowej posłusznym być musiałem, rad bym tylko to czynić, co wam miłym i dobrym być może. Dlaczego wszyscy, jakobyście słowo sobie dali, odsuwacie się ode mnie?

Przedysław pomilczał chwilę.

— Naprzód muszą wam to rzec, co mi najwięcej na sercu leży — odezwał się — a to, że ja też wielkorządy sprawowałem jako powinność, ale nie żebym się ich napierał i o nie ubiegał. Dziś bym ich nie wziął. Byćże to może, abyście nie wiedzieli sami, dlaczego was tak Wielkopoleanie przyjmują? Ziemia ta, gniazdo piastowskie, od której całe to państwo imię wzięło i królów, wydziedziczone ze wszystkiego, nawet z tego przywileju, że korony w Gnieźnie strzegło, zostało przy tym jednym, że je zawsze Wielkopoleanin rządził. Nie mając udzielnych książąt, chciało i chce mieć nad sobą takiego, co by się tu zrodził i wychował.

— Albośmy to w całej tej Koronie nie wszyscy bracia? — zapytał Otton. — Przecie

Toporów naszych siła w Szląsku i tu u was. Jam tu obcy?

— Jeśliśmy bracią, to stryjeczną — rozśmiał się Przedysław — daremna to rzecz inaczej dowodzić, kiedy nas po mowie i obyczaju każdy pozna, że nas nie jedna kwoka wysiedziała.

Zresztą, tu o prawo idzie, a nie o miłość. Gdyby wam Wielkopoleanina posłali do Krakowa, tak samo byście się nań zzymali. Królowa ani król tego nie rozumieją, wy, miłośnicy mój, powinniście byli zawczasu wiedzieć, co was czeka.

Otto z Pilcy potrząsał dumnie głową.

— Tym zawiniłem, że tego nie przewidział — rzekł. — Stało się. Dziś dać się wam

wygnać, mnie, z ramienia króla posłanemu srom by było. Zawierzcie mi, że dobra pragnę i...

Ręką skinąwszy, nie dał mu mówić Przedysław.

— To nic nie pomoże — przerwał. — Obraliście złe stanowisko. Żal mi was, lecz rady na to nie ma.

— Cześć moja nie pozwala mi go opuścić.

— A nasza cześć nie dopuszcza, byśmy inaczej was przyjęli, tylko tak, jako widzicie.

— Znać mnie więc nie chcecie?

— Ottona z Pilcy szanuję — rzekł Przedysław — ale wielkorządcy w Poznaniu

Krakowianina — nie znam.

— Gdzież ono prawo, którego się trzymacie?

— Wieki je zapisały, a czy na karcie gdzie stoi, czy nie, my go sobie odebrać nie damy.

A po chwili dodał wojewoda:

— Przyjdzie do tego, że gdy dziś wszystko pisać i pieczętować potrzeba, bo żadne słowo nie waży, postaramy się o to, na przyszłym, da Bóg, zjeździe jakim, aby obyczaj w pisane prawo się obrócił.

Stali tak naprzeciw siebie, a wojewoda ciągle gościowi siedzenie wskazywał, gdy on już ku oknu otwartemu patrzył, ażali grad i słońce nie przejdą, aby nie mieszkając, się oddalić.

Podano kubki powitalne, nie tknął swego Otton.

— Panie wojewodo — rzekł — mnie się widzi, że wola królewska jest ponad prawo.

Starajcie się ją odmienić, lecz słuchać jej potrzeba.

— A mnie się widzi, że rycerstwo tych ziem prawa swe miało i nawet u swych własnych panów upominało się o nie, cóż dopiero u obcego?

— Ale ten ci królem naszym jest! — odparł Otto.

— Węgierskim i dalmackim więcej jeszcze... — szepnął wojewoda.

Otto się z wolna przeszedł po izbie zadumany.

— Powinniście na to pomnieć — rzekł — że póki żył król Kaźmirz, o to się najpilniej starał, aby z rozerwanego państwa jedność stworzył, bo to siłę mu daje. Chcecie więc rozerwać, co połączył, godzicie na bezpieczeństwo i potęgę Korony tej?

— Nie oddzielamy się przecie ani królowi posłuszeństwa nie wypowiadamy — odparł

Przedysław — lecz chcemy, aby zarówno wielkopolskim był, jak krakowskim.

Poruszył ramionami Otto.

Na dworze szalał jeszcze wicher i grad z deszczem bił o ściany, lecz, nie zważając na to, dłużej już rozprawiać nie chcąc, Otto kołpak swój, który był na stole położył, wziął w rękę, skłonił

się i zmierzał do wyjścia.



— Bez gniewu — odezwał się Przedysław. — Chcecie porady ode mnie, musiałem wam ją dać. Czyńcie, co słusznym widzicie...

— Na stanowisku wytrwać muszę — odparł dumnie Toporczyk. — Wy też rozmyślcie się powinniście, czy walkę wam z królem i królową rozpoczynać się godzi.

— Wyzwano nas — krótko odezwał się Przedysław.

W obu widać było, że nie czuli się nieprzyjaciółmi i że raczej pociąg ku sobie mieli niż niechęć, lecz żaden z nich ustąpić nie mógł.

Grad ciągle na dachach i po ścianach warczał i szumiał.

— Nie czyńcie mi tej krzywdy, abyście dom mój w taką porę opuszczać mieli — ozwał się wojewoda. — Z wielkorządcą rozmowa skończona, a Otto Toporczyk gościem dla mnie miłym.

Dał się przybyły skłonić i rzuciwszy czapkę, usiadł. Spojrzeli na siebie.

— Wielkopolska więc — rzekł — na króla i królową zagniewana?

— Inaczej być nie mogło — począł gospodarz. — Król Ludwik wprawdzie odwiedził nas, tak samo jak Łęczycę i Sieradz, ale w Gnieźnie nawet na przygotowanym dla siebie tronie usiąść nie chciał...

Otto milczał.

— Niesłuszne uprzedzenie wasze — odezwał się po chwili. — Król Ludwik pan jest mądry

i dobry, płynie w nim kropla krwi Piastów, królowa stara Kaźmirzowa siostra, Łoktkowa córka, pani wielce łaskawa.

— Miły mój — rozśmiał się Przedysław. — Policzcie jej lata, czy w tym wieku takim jak nasze królestwo rządzić jej przystało? Dobra jest, ale sama dobroć ta dla nas się w złość obróci, bo źli ludzie z niej korzystać będą i już korzystają. Prawdy do niej nie dopuszczają, kraj się zawichrzy...

Nie dokończył. Smutnie na stół patrzył Otto z Pilcy.

— Gorzko prawicie — szepnął.

— Bo nam goryczą serce zapływa — odparł Przedysław. Tymczasem rozjaśniło się nieco, chmura niesiona wiatrem szybkim w stronę odeszła. Otto z Pilcy powstał, rękę podając gospodarzowi.

— Zaprawdę nie wiem, co pocznę — rzekł — ale z wami rozstać się nie chcę jako obcy.

Prawdę usłyszeć zawsze dobrze.

Szli tedy razem ku sieni, gdzie służba wojewodzińska czekała, i Otto z Pilcy, nie zatrzymując się dłużej, konia sobie podać kazał.

O tej bytności jego u siebie nie rozpowiadał wojewoda. Żał mu było człeka, który tym zawinił, że się lekko porwał na sprawę, której nie rozważył.

Pozostał jeszcze Otto z Pilcy na wielkorządztwie swym miesięcy kilka, lecz silił się na próżno przyciągnąć ludzi ku sobie. Oprócz biskupa i kilku duchownych nikt doń nie zajrzał.

Tymczasem nieład coraz większy szerzył się po kraju, o którym on za późno się zawsze dowiadując, zapobiec mu nie mógł. Każdy sobie sam sprawiedliwość domierzał, nie uciekając się do niego.

Siłą zmóc nie mógł ludzi, bo nie miał innej nad tę, jaką mu rycerstwo wielkopolskie dawało, a to szło niechętnie lub wcale nie przybywało i rozkazy jego spełniało tak, aby skutku nie miały.

Ruszył w końcu Otto z Pilcy do Krakowa do królowej zniechęcony wielce.

Gdy się to działo, Nałęczę, a z nimi znaczniejsza część ojcyców tutejszych, już coraz pilniej nad tym radzili, aby sobie Piasta wybrać i postawić go przeciw Ludwikowi.

Derśław, który na Mazurach pokrewnych miał i znajomych wielu, nimby z drugimi na

Białego księcia, za którym wielu było, głosował, umyślił, gdy wiosna nadeszła, do Płocka się udać, kędy przyjacielem miał Mikołaja z Milanowa, skarbnika przy starszym księciu Ziemowicie.

Zwyczajem swym z tym, z czym jechał, wydawać się nie chciał. Za pozór dobry służyć mu miało, iż Lasotę, powinowatego, który ze śmiercią Kaźmierzowską został bez służby, przy mazowieckich księżętach chciał umieścić. Ani też Lasocie się nie zwierzył z czego innego, tylko mu myśl tę poddał.

— Nim się co innego znajdzie — rzekł mu — abyś nie tęsknił w tej dziurze u mnie

bezczynny, czemu by na Mazurach nie spróbować? Książęta są nasi, a urosli teraz w moc większą, służą u nich ludzie i — dobrze im się dzieje.

— Tak ci — z małym uśmieszkiem odparł Lasota — słyszeliśmy o tym, jako tam pod

księciem Ziemowitem zdrowo i bezpiecznie: kogo końmi nie roztargają albo nie powieszą, temu zdrowo.

— Książę Ziemowit — żywo przerwał Derśław — nie ten już, co był, złagodniał dużo...

Zresztą sami zobaczymy, co się tam dzieje. Stary książę na zajętych po śmierci króla Płocku siedzi i obwarowuje się, młodzi w Czersku i Warszawie. Przy starym mój Mikołaj z Milanowa

skarbnikiem, odwiedzić go pojedziemy. Nie spodoba się nam, siłą nas nie zatrzymają.

Lasota odgadł może, iż nie dla niego samego jechał powinowaty, lecz nie dał tego znać po sobie.

Mazowsze onego czasu dopiero, można było powiedzieć, zaludniać się, karczować i tak jak drugie ziemie osadzać zaczęło. Mało co przedtem, gdy z Litwą zgody i pewnej granicy nie było, ze skraju szczególnie, piaski i lasy pustynią stały.

Osiedlać się ludzie nieradzi byli, bezpiecznymi nie czując. Wielu stąd Litwa nachwytała i w niewolę nauprowadzała, tak że w głąb puszczy rzadka ludność chronić się musiała. Teraz dopiero gościem wioski stawały i po trosze pola wydzierano, choć z nich wielkiego pożytku nie było, i po latach kilku zapuszczano nowiny, wydzierając spod lasu żyzniejsze role. Miasteczka też, wprzód ubogie, po trosze się zabudowały, a i zameczki z kamienia i cegły na wzór kaźmirzowski stawiać poczęto. Wziął książę Ziemowit po królu Płock i całą tę dzielnicę dobrze zagospodarowaną, więc i swoje Mazowsze *na* wzór jej podnosił.

Z Piastów ówczesnych ta gałąź odszczepiona najbujniej i najsilniej się krzewiła. Dlatego na nią spoglądano nie bez myśli, aby jej przyszłe losy Korony całej powierzyć. Nie zdradzano się z tym jeszcze. Derśław i przypatrzeć się chciał dworowi, i przysłuchać, co tam tętniało, i wymiarkować, czy na mazowieckich Wielkopolska rachować może.

Bywali tam z Wielkiej Polski niejedni, ziemianie się kumali i żenili, przecież Mazury jakoś odrębnie stali i zbliżenia zupełnego nie było. Wielkopolanina od Mazura łącno było rozpoznać.

Powolniej tam w te puszcze, na te wydmy piaszczyste, do tych wsi rzadko rozrzuconych

dochodził obyczaj europejski, którego Krakowianie już dużo i Wielkopolska po troszę chwyciła.

Ziemianie na Mazurach żyli z prosta, stary obyczaj, odzież, język, odwieczne obrządki różne się tam, zwłaszcza u uboższych, uchowały. Stosunki z Litwą ponad granicami nawet pogańskiego dużo przynosiły i stare bałwochwalcze zwyczaje odżywiały. W niektórych wioskach, choć ksiądz był, choć się ludzie żegnali, choć do kościoła zaglądali, Pan Bóg prawdziwy razem u nich stał z dawno wygnanymi. Przy weselach, chrztach, pogrzebach proboszcze na wiele obyczajów i pieśni uszy zatykać musieli.

Ponad większymi gościńcami, kędy kupiectwo ciągnęło, u brzegu rzek, które też drogi

stanowiły, lud się już trochę ogładził, w puszczach jeszcze obcego zobaczywszy, a zwłaszcza zbrojnego, krył się i uciekał. Z chat całymi rodzinami zbiegali wieśniacy na widok podróżnych.

Wioski też te, do których rzadko obcy zaglądał, takimi tu jeszcze pozostały, jakimi przed wieki były, chałupy w nich dymne stawiono, a w zagrodzie ludzie, bydło i owce razem na kupie żyło.

I pól niewiele jeszcze widać było, bo się około nich praca rzadko opłacała. Z trzody, z lasu, z rzeki żył włościanin, i z nowin, które na popielisku ledwie radełkiem poruszywszy, a lada gałęzią zabronowawszy, rad był, gdy mu choć rzadki kłos wydały.

Wśród takiego ludu i ziemianin, i ksiądz żyjąc, stawał się po trosze podobnym. Więc tu, oprócz książęcego dworu, niełatwo było ujrzeć suknię kosztowną, zbroję lśniącą i strój wykwintny.

Proste sukno grube, płótno szare i kozuch panowały. Oręż też staroświecki, oszczep drewniany, kęsem żelaza zaostrzony, najpospolitsze były.

Po wsiach wielu żelazo za drogi kruszec uchodziło, na który się łakomiono jakby na srebro i złoto. Nie każdy nóż mógł mlec, lecz się bez niego umiano obchodzić. Na wozach długo potem jeszcze okowy żadnej nie znano, a siekiera w domu wielkim skarbem była. Ubóstwo to pozorne przecież nie czyniło Mazurów nędzniejszymi od innego ludu.

Las był wielką skarbnicą, on dostarczał wszystkiego: jadła, opału, budulca i obuwia, i wici.

Był niby domem, był twierdzą. Na gołych górach i nie zarosłych miejscach ledwie kto się budować ośmielił, bo ten tylko bezpiecznym się sądził, którego dojrzeć i wyszukać było trudno.

Stary Dersław zwykł był się w podróż wybierać, nie gromadząc ludzi wielu, bo wiedział, że poczet wielki a świetny wałęsających się po lasach zbójów przynęcał. On, Lasota, około dziesiątka czeladzi odzianych niepokaźnie, wyjechali z Wielkiej Wsi do Płocka.

Drogę mniej więcej starym zwyczajem przepowiedzianą sobie mieli: do brodu jakiegoś

wprost, od niego nad ruczajem w lewo do wzgórzy piaszczystych, potem doliną na przełaj nad łąką i tym podobnie. Instykt więcej prowadził niż te dane niepewne. Na polach też gdzieniegdzie spotykało się pastucha, z radłem parobka lub wędrownego dziada, którzy drogę do najbliższego miejsca pokazywali.

Spuszczano się na to.

I tym razem Dersław, trochę na Opatrzność Bożą rachując, z miejsca wyruszył, a choć się skazówek w prawo i lewo trzymano, ku wieczorowi zapadłszy w puszcę dziką, tak dobrze zabłądzili, iż gdy noc nadchodzić zaczęła, już myśleli o noclegu pod gołym niebem na polanie.

W tej roku porze nocleg w lesie wielkim nieszczęściem nie był, bo konie napaść na trawie mogli, sami w sakwach chleb i zapas jaki taki mieli, a woń rozpuszczających brzoź i czeremch rozkwitających nie była przykrą.

Miejsce, w którym się znajdowali, ciągle kołując dla natrafienia na jaką ścieżynę, śladu ludzkiej stopy nie okazywało. Las stał pod niebo wyrosły wiekami, miejscami podszyty gąszczami i zawalony łomem, który przebyć było ciężko. Ostępy dawno nie plądrowane, gdyby nie wieczór, zmusiłyby ich do polowania, bo zwierz tu, zabezpieczony, leżał spokojnie w barłogach i ledwie na ciśnienie oszczepu zrywał się do ucieczki.

Derśław powiadał, że takiego dzikiego lasu z dawna nie widział i że chyba bardzo się z drogi zbić musieli, gdy się w taką zapadlinę dostali.

Szukano tylko miejsca sposobnego na spoczynek, gdy spomiędzy drzew ukazała się rzeczulka wśród moczarów, a poza nią na piaskowatym wzgórzu coś jakby stare, opuszczone horodyszczce.

Wiele podobnych już naówczas po kraju spotykać było można, co niegdyś za pogańskich czasów za schronienie i na gromadzenie się wieców służyły, a teraz trawą porastały.

Błoto i rzeczulka dzieliła podróżnych od pagórka, Lasota się rzucił naprzód, szukając brodu, i wkrótce począł wołać ku sobie Derśława, gdyż na moczarach hać znalazł i rodzaj drożyny.

Był to już ślad, że tu w pobliżu ludzie żyć musieli. Puścili się więc podróżni, spodziewając się albo domostwo jakie znaleźć, lub choćby na wzgórkuch suche legowisko.

## VII

Słońce już zachodziło jaskrawo i złocisto, ale na dworze jeszcze było jak we dnie i okolicy dobrze się przypatrzeć mogli. Nie ulegało wątpliwości, iż się ku osadzie jakiejś zbliżyć musieli. Hać świeżo gałęźmi narzucona była tego dowodem. Rzeczka w tym miejscu koniom ledwie po brzuchy sięgała, choć woda była wiosenna.

Na przeciwnym brzegu i kopyt końskich, i nóg ludzkich w piasku widoczne były ślady.

Wiodły one ku górze, na której dotąd zabudowań żadnych i gródka ani wałów widać nie było.

Lecz gdy rozmawiając głośno, wdrapywać się zaczęli na ów kopiec piaszczysty, w chwili gdy się tego najmniej spodziewali, zjawił się przed nimi dziwnie przyodziany i uzbrojony mąż, który im na drodze stanął, jakby chciał dalszy pochód hamować.

Mąż był letni, z długim włosiem siwym, spływającym mu na barki, silny i barczysty, w

kołpaku na głowie podobnym do litewskich, w krótkim przyodziewku z brunatnego grubego sukna, skórzany pasem podciągnięty, nogi mający osznurowane jak wieśniacy i w chodaki odziane. U

boku wisiał mu szeroki miecz w ciemnej pochwie, a w rękuch jednym miał grubą pałkę nabijaną krzemieniami.

Chociaż strój ten prawie go dzikim czynił, twarz wcale nie była pospolitą, rysy miała szlachetne i niegdyś piękne, a dziś jeszcze smutną dumą napiętnowane. Bródka i wąs ciemniejsze od włosów, podstrzyżone, nie osłaniały ust, których wyraz, równie jak czoła namarszczonego, niemal gniew zdradzał.

— Hę! — zawołał. — Dokąd? Kto? Stój! Co was tu zagnało?

Dersław, który naprzód wystąpił, z wymowy poznał, że nie z Mazurem miał do czynienia.

— Na Boga — odparł — cóż tu u was drogi podróżnym nie wolne? Gdzieżeśmy się to dostali?

Po chwili hamujący ich zawołał:

— Dostaliście się, kędy ani was nie potrzebowano, ani wam było potrzeba.

— Więc już zbłąkanym nawet drogi nie pokażecie?

— Gotowem nawet poprowadzić — ofuknął stojący — ale tu wam nic po tym jechać. Tu nie ma ani gościńca, ani gospody. — Skąd wy? — dodał gniewnie.

— Z Poznania do Płocka — rzekł Dersław.

— Lichoż was tu zanosło!?! Wstąpił do piekłów, po drodze mu było! — krzyknął zastępujący ścieżnę.

— No, a gdzież jesteście i kto wy jesteście? Toć wiedzieć wolno — rzekł łagodnie Dersław.

— Co u licha, zbójami nie jesteście...

— Kto ja, to wam na nic niepotrzebne! — wołał nieznajomy. — Nie jesteście zbójami, ale na zbójów możecie natrafić...

Mówiąc to, przyglądał się pilno Dersławowi i jego ludziom.

— Zawracajcież stąd — począł znowu — tędy wam nie droga, a chcecie nocować, to na drugiej stronie rzeki wypas dla koni znajdziecie.

— Na pagórku by nam lepiej było — wtrącił Dersław. Gniewny człek cały się trząsł.

— Powiadam wam, że na pagórku nie ma dla was nic. Z Bogiem, z Bogiem ruszajcie, skąd przyszlście! — I palcem im pokazał w przeciwną stronę.

W spokojnym Dersławie krew grać zaczęła.

— Z mowy waszej — rzekł — widać, żeście nie lada prostym parobkiem, a obchodzicie się z nami gorzej chłopca. Czegóż nas stąd pędzicie?

— Boście tu ani wy, ani nikt niepotrzebny! — począł wołać głośno mężczyzna. — Tu

pustynia, tu nie ma nic. A ktom ja, parobek czy ziemianin, nikomu nic do tego.

— Ależ to u nas jeszcze nie bywało — wtrącił niecierpliwszy Lasota — żeby gdziekolwiek zapierano podróżnemu drogę i nie dawano mu nawet spocząć, a popaść koni.

— Spoczywajcie! Konie paście tam za rzeczką! — krzyknął, tupiąc nogą i podnosząc oszczep, nieznajomy. — U nas, co nie bywało nigdy, to się może stać. Drogę do Płocka gotowem wam jutro rozpowiedzieć.

I drżącą ręką znów pokazał na rzeczkę. Derśław patrzył nań jak w tęczę i od razu uśmiechać się począł.

— Słuchaj, Okoń, a toś ty oszalał czy co?

Gdy to imię wymówił, stary się rzucił i gwałtownie przypadł ku niemu z takim ruchem, że się Lasota miał już do miecza. Derśław pozostał spokojnym.

— Byłbym gardło dał, że ciebie na świecie nie ma! — zawołał.

— Tak, bo Okonia na waszym świecie nie ma, nie ma — począł gniewnie stary.

Lecz powiedziawszy to, jakoś ochłonął i opamiętał się. Derśław podszedł ku niemu.

— Jeślić o to idzie — szepnął mu — abym cię ja nie zdradził, toć minie znasz...

Udobruchajże się, ludzi, kiedy chcesz, za rzeczkę noclegować odprawię, a mnie nie odpędzaj tak bezcześnie.

Okoń zdawał się namyślać.

— No, ludzie za rzeczkę — zawołał — za rzeczkę, i żeby mi się tu nie napychali... nie ma po co!

— To mój powinowaty, młody Lasota Nałęcz — rzekł, wskazując, Derśław — mógłby i on z nami zostać.

— A co on tu robić będzie? — syknął Okoń. — Tam ludziom potrzebniejszy niż tu nam.

Stało się, jak chciał, z wolna czeladź Derśławowa i Lasota zawrócili się nazad, wyrzekając i mruczając, stary Nałęcz pozostał z tym, którego Okoniem był nazwał. Nie mówili do siebie nic, bo ten jeszcze zaperzony i niespokojny do siebie przyjść nie mógł. Spluwał i rzucał się, pomrukując tylko:

— Licho was tu naniósło.

Derśław czekał spokojnie, aby mu odeszły gniewy.

Po chwili Okoń się z ręką wyciągniętą zbliżył do niego.

— Rękę mi daj i poprzysiąż, że ani ty, ani twoi o mnie tu... o tym miejscu i spotkaniu mówić nie będziecie. Okoń zmarł... Co wam do Okonia! — I powtórzył: — Licho was tu naniosiło.

— Pewno, że licho — odparł Derśław — ale ja cię nie zdradzę ani moi... Powiedzże mi, co ty tu robisz?

— Na Chrystusa mi przysięgasz? — podchwycił Okoń.

— I na Ewangelię Jego — palce w krzyż składając i całując je, rzekł Derśław.

Okoń pomyślał chwilę, obejrzał się na odjeżdżających Lasotę i czeladź, którzy już rzeczkę przebywali, stał milczący, aż gdy na zawrocie wierzby ich zakryły, za uzdę wziął konia Derśława i milczący począł go za sobą prowadzić.

Nałęcz dawał z sobą czynić, co chciał. Szli tak ku górze z wolna, a Okoń wreszcie się odezwał:

— Oto widzicie, gdzie się ja zabił. Ziemia była bezpańska, czart jeden wie, do kogo ona należała, ja po dziś dzień o tym nie wiem. Na ziemi bezpańskiej człowiek bez służby i bez pana siadł i siedzi... Nikogom o pozwolenie nie pytał, pusty grodek zajmując, wiecem nierad, gdy mnie tu kto widzi, a rozgada i potem upomni się kto jeszcze albo wyżenie, albo z nim będę wojnę krwawą miał.

— Ale na Boga, Okoniu mój — przerwał Derśław — jakże ty, coś urzędy sprawował na książęcych dworach, coś do ludzi przywykł był, mogłeś tu sięść... tak...

Nie dokończył.

— Właśnie dlatego, że na dworach zęby zjadł, że pański chleb gorzki za długo gryzł, że ludzi zbrzydził, poszedłem na te pustynie! — zawołał Okoń.

— I żyć tu możesz?... sam?...

Na to pytanie Derśława nie odpowiedział Okoń. Właśnie drożyna krata, którą się na

wzgórze spinali, zakręcała się i w wąwozie, jakby między przerwanymi wałami starymi, w dół

nico się spuściwszy, ujrzał Nałęcz, jak misę ogromną wkleśłą, starego grodziska podwórze, trawą zarosłe. Do jednego z usypów przyparta była chałupa na pół w ziemi, na pół z bierwion grubych ponad nią wystająca. Dokoła też szop i kleci było dosyć, ale to wszystko biednie i nędźnie wyglądało.

Gdy w dziedziniec zewsząd osłonięty wałami wjeżdżali, ludzi kilku, jakby na pogotowiu stojących z toporami w rękę, wyrzało i na dany przez Okonia znak pochowali się, oprócz parobczaka na krzywych nogach, przygarbionego, który Derśławowego konia wziął.

Okoń gościa swojego prowadził do głównej chałupy. Tu niewiasta w białej namitce, niestara jeszcze, stojąca w progu, z przekleństwem jakimś, obcego najrzawszy, pierchnęła. Chata była



nędną zewnątrz, ale świetlica w niej mała, chędogą i cała zawieszona orężem, zbroją i skórą, podobną była do namiotu w obozie, kiedy czas go rozbić na dłużej.

Kwaśno Okoń przyjmował starego znajomego.

Miodu dla niego poszedł do kąta sam utoczyć, chleb czarny i sól przed nim postawił i na niskiej ławie siadł przy nim. Sparł się na rękę, zdjęwszy kołpak, i nierychło się odezwał:

— Widzicie to moje państwo... U moich dawnych panów psy lepiej mieszkały, ale mnie tu dobrze, bom ja tu panem też... Co było robić? Służyłem mazowieckim, o małym życia nie postradał

niewinnie, byłem wprzód długo u Białego, włóczyłem się z nim po świecie. Ten się z księcia mnichem zrobił, już nowych panów szukać nie chciałem. Natrafiłem na tę wydmy pustą, powiadam wam, była bezpańska, spodobała mi się, że tu naokół ludzi nie ma, obszary ogromne... wszystko moje... Poluj, kędy chcesz, bij, co chcesz, karczuj, siej, ryby łów, nikt ci słowa nie powie... A dla kogóż Pan Bóg ziemię stworzył? Teraz ona moja... Osiedliłem się. Ludzi trochę do mnie przystało, prawda, że włóczęgi i zbóje, ale ja ich trzymam jak bydło, bijąc i karząc... chleb mają, słuchać muszą. No, i babem napytał, żeby było komu chusty uprać. Jakby się ludzie dowiedzieli, że na pustkowiu ktoś siadł, do gotowego by się kto mi przypytał. Mnie tu nikt nie widział, nie wie o mnie nikt, dlatego i wam nierad. Dersław ruszył ramionami.

— Kto by wam tej wydmy pozazdrościł? — rzekł pogardliwie.

— Tym lepiej, zostanę w mojej dziurze, a po mnie... — Machnął ręką. — Niech będzie, co chce... Parobkom zimą kazałem dąb srogi spuścić i żłób z niego zrobić na trumnę. Wieko jest...

gwoździe są... pochowają mnie tu... i koniec wszystkiemu temu życiu głupiemu.

— Mój Boże! — westchnął Dersław. — Kto by się w was tego Okonia dawnego domyślił,

który dziewczkom głowy zawracał i tak strojno występował, a tak na koniu harcował i oszczepem dzielnie ciskał?!

Uśmiechnął się temu wspomnieniu Okoń.

— Ha — rzekł — konia ja jeszcze i dziś dosiądę i oszczepem rzucę jak dawniej, tylko od niewiast i od dworów mi ochota odeszła.

Milczeli nieco, a Okoń, głowę podniósłszy, spytał:

— Do Płocka? Po cóż wy do Płocka?

— Alboby wam to rzec, albo nie — odparł Dersław. — Wy nie chcecie, aby o was ludzie wiedzieli, ja też nieradem się spowiadać.

— No, to kat cię bierz — rzekł Okoń obojętnie — jedź sobie i do Płocka, i do Czerska, i do

Warszawy, mnie to wszystko jedno.

— Nie wiesz, co się u nas dzieje? — wtrącił Derśław.

— A mnie co po tym? — rozśmiał się Okoń. — Nie chcę wiedzieć o niczym, byle o mnie nie wiadano.

— Juści o tym choć musiało do was dojść, że król Kaźmirz umarł — rzekł Derśław.

— Wieczny mu odpoczynek — zamruczał Okoń. — Pan był dobry, ale pono jak ja mówił, niech po mnie, co chce, będzie.

— Tak, i panuje nam Ludwik Węgierski, a raczej baba, stara matka jego.

— Stara? Ano jej do klasztoru już i pacierze klepać... nie panować!

— Ba, żebyście widzieli, jak świeżo wygląda, a co gachów koło tego trupa się kręci — mówił Derśław. — Ino śpiewy, płasy i ucztowanie a śmiechy...

— Koło niej to zawsze tak bywało — przerwał Okoń — tylko by już ustać powinno. Czas...

— Ta nam króluje — ciągnął Derśław dalej — miarkujcie, jak nam z nią i z jej synem...

— I cóż myślicie?

— Jeszcześmy nie wymyślili nic — rzekł Derśław. Okoń popatrzył nań bacznie, głową potrząsał.

— Niceście nie wymyślili, a wy jedziecie do Płocka? — mruknął. — Odgadnąć łatwo po co! Chcielibyście może Mazura skosztować, gdy wam Węgier nie smakuje?

Derśław zmilczał.

— Ten nie lepszy — ciągnął Okoń. — Baba wam za miękka, a on będzie za twardy. To kat, nie pan...

Żachnął się na te słowa Derśław.

— Co prawicie? — zawołał.

— To, co najlepiej wiem — mruknął Okoń. — Przecież długo panem moim był, a ja u niego cześnikiem. Nie daj Boże w jego ręce się dostać.

— Mówią, że na starość spowolniał? Okoń się rozśmiał.

— Siły nie ma, to złość w sobie kryje — rzekł. Zmierzczało coraz bardziej i gospodarz poszedł do komina drzazgi zapalić dla oświetlenia ciemnej izby.

— Ochotę mi odejmujecie jechać do Płocka — rzekł Derśław — lecz on, nie on, dwu synów ma...

— Byle się w niego nie wdali — syknął Okoń — nie dwu, ale i trzech się znajdzie...

Derśław siedział trochę zamyślony.

— Przed wami się taić nie chcę — rzekł w końcu — wy mi możecie dać radę dobrą.

Wielkopolanie Piasta sobie szukają, aby go królem zrobić. Pomyśleliśmy o Ziemowicie. Jakby ten nie chciał albo my go nie mogli... gotowiśmy waszego Białego z klasztoru wyciągnąć.

Usłyszawszy to, Okoń się z ławy zerwał i śmiać począł dziwnie, aż zanosił.

— O, krętoż około was być musi, kiedy szczupaka nie mając, taką płocicę na stół

kładzicie! — zawołał. — Biały? A toć to taki ksiązę, że nigdy nie wiedzieć, co zrobi jutro...

Zechcecie, pójdzie z klasztoru, zbroję wdzieje, dwa dni się będzie bił, trzeciego klęknie się modlić, czwartego gotów się żenić, a piątego żonkę porzucić!

Śmiał się urągliwie Okoń.

— Wy bo — wtrącił urażony Derśław — na nikim nitki nie zostawicie poczciwej, krzywi wam wszyscy.

— Jako żywo! Białego kochałem i Kocham, służyłem mu. Człek niezły pod czas, ale jutro się gotów wściec, choćby pojutrze płakał na to. Takim się rodził...

— Klasztor ci go uśmierzył i odmienił pewnie — rzekł Nałęcz.

— Bóg wie! — westchnął gospodarz. — Mnie by się temu wierzyć nie chciało. Zmieniają

się ludzie, tylko nie tacy, u których żaden dzień do drugiego niepodobny. Na króla taki pan najgorszy, a choć Mazur ciężką rękę ma i gwałtowny jest, i życie ludzkie u niego słomki niewarte, już i ten byłby lepszy.

Okoń siadł na ławie i w ogień patrząc, dumał.

— Ja bo, przyznam się wara — począł znowu Derśław — o Mazurach mało co wiem.

Dopiero do starego druha, do Mikołaja z Milanowa jadę języka wziąć.

— Na to nie potrzebujecie Mikołaja — westchnął Okoń — ja ich lepiej od niego znam, bom bliżej sypialni i stoła był. Znacie historię jego i onej drugiej żony, a tego syna, którego on teraz tak kocha?

To mówiąc, uśmiechnął się złośliwie Okoń i wnet poprawiając się, dodał:

— Ano, lepiej pono, żebyście się o tym nie ode mnie dowiadawali.

Wstał i, za drzwi się wychyliwszy, o wieczerzę zawołał, na co mu baba swarnym krzykiem coś odparła.

Nim wieczerzę podano, po chłopsku zgotowaną i starą słoniną zaprawną, Derśław miał czas się odezwać:

— Uczynilibyście mi łaskę, Okoniu, gdybyście mnie Mazura waszego nauczyli. Choć

Mikołaj z Milanowa zna go, jak wy, ale jest u niego w służbie, całej mi prawdy nie powie. O tej jego drugiej żonie głuche wieści chodziły tylko, mało co wiem i z głowy mi wywietrzało.

— Jam na to wszystko patrzył — westchnął Okoń. Może by się zdziaczały już człek nie

bardzo rozgadał, ale stary miód był na stole, rozgrzał go i język mu rozwiązał.

Stare przysłowie trzyma o Polakach, że źli są, gdy głodni, można by do niego dodać, że gdy trzeźwi, nieradzi mówią, a wino lub miód nadto ich otworzystymi czynią. Taka to już natura nasza.

Począł więc Okoń po długim milczeniu wywnętrzać się.

— Prawda — rzekł — po dworach książęcych, gdym służywał rycersko i z kluczami,

człowiek miał więcej dostatku, życie było łatwiejsze, lecz niech tam te pieszczoty kart porwie, gdy nigdy głowa na karku nie jest bezpieczną, a lada zły język niewinnego może obalić. Pośliźnie ci się noga, nie znajdziesz, kto by ratował, uciekną wszyscy od zapowietrzonego. Więc już ja na pustyni żyć wolę, kędy oprócz Pana Boga nie ma nikogo nade mną.

Gdy tak rozmawiali, wszedł parobek krzywonoga, bo się zrobiło późno, a na noc jakieś

rozkazy miał wydawać Okoń.

Choć tam nigdy prawie ludzie nie zaglądali, strzeżonego Pan Bóg strzeże, co noc musiała straż chodzić Około gródka. Wyznaczył więc Okoń, kto miał czuwać do rana. Rozmowa się na czas przerwała, wyszli nawet na próg, skąd gospodarz na czeladź zawołał, spytał, kędy na nocleg konie odprawio- no, pogroził niedbałym i stanął nieco, wedle zwyczaju, powietrzem świeżym odetchnąć.

Noc wiosenna piękna była bardzo, woniejąca, a żaby w moczarach pod górą i słowiki w

krzakach na wypródki chórem nuciły pieśń swą i gwiazdy mrugały dziwnie na ciemnych niebiosach.

— Nie już mam spać się kłaść w taką noc, która bodaj od dnia piękniejsza jest — odezwał

się Derśław. — Siądźmy gdzie i praw mi Ziemowitowe dzieje, bom ich żądny.

Przed wejściem do chałupy leżało kilka kamieni, które tam dawno przywędrowały, gdy

gródek jeszcze przed wieki obwarowywano; siedli na nich, i Okoń po chwili powoli rozpoczął, już się prosić nie dając.

Przyszła mu ochota swoje omszone wspomnienia odżywić.

## VIII

To wam nietajno — począł Okoń — że Mazowsze ostatnimi czasy, dopiero zaludniać się i

dźwigać zaczęło, bo przez długi czas samymi klęskami nawiedzane było. Wpadali i łupili je Litwini, dwa razy srogi mór i straszne wrzody spustoszyły całe obszary, tak że z niektórych wiosek żywa nie pozostała dusza. Ze wszystkich stron nieprzyjacioły było otoczone. Każdy je sobie chciał

przywłaszczyć. Musieli radzi nieradzi książęta kłaniać się i dworować, z Litwą się bratać, Kaźmirzowi, nie mogąc oprzeć, hołdowali.

Ziemowit tak na wpół pokorą, wpół oporem wyprasząc się i broniąc Kaźmirzowi królowi, utrzymał się przy całym księstwie, bo teraz już i Płock zajął. Krzyżaków też trzeba było zagadzać i żyć z nimi tak, aby nie napastowali.

Brzemie takie na ramionach mając, może i nie dziw, że książę Ziemowit stał się

podejrzliwym, porywczym, a pod czas nawet okrutnym.

Z poddanych też ciągnął pobory wielkie, bo skarb musiał mieć zapaśny, aby się tam, gdzie zwojować nie mógł, okupić.

Jeszcze za młodu ożenił się był książę z Ofką, opawskiego córką, z którą żył bardzo długo i czworo z niej miał potomstwa, córek dwie i dwu synów. Miał już naówczas prawie sześćdziesiąt lat, gdy mu Ofka zmarła, po której bolał wielce i z żalu się długo utulić się mógł. Dzieci miał już dorosłe, a synowie patrzali tylko, rychło im dzielnice wypuści, aby pójść na wolę.

Trafiło się naówczas, że z Krzyżakami, od których nikt nigdy spokoju nie miał, przyszło do sporu o granice, a choć Ziemowit z nimi w zgodzie żył, że go posadzać zaczęli, iż z Litwą się zwąchał, co prawdą było, dokuczać mu zaczęli.

Więc posły nie posły, listy i groźby, i wymagania przychodzić zaczęły takie, że choć książę ustępował im i przejednać chciał, niczym ich nie mógł uspokoić. Wybrał się więc z prośbą o pośrednictwo na dwór Karola IV do Pragi z pięknym poczem i jak na Piasta królewskiego rodu przystało.

Cesarz go przyjął miłościwie, pomoc obiecał, ale na dworze swym gościnnie zatrzymał. Jaki to dwór był, wy też wiecie, bo głośna o nim po świecie całym sława chodziła. Pięknych niewiast i rozumnych

ludzi pełno na nim było. Na jedne patrzeć, drugich słuchać mógł człowiek i nie nasycić się. A że obojga pono u siebie Ziemowitowi brakło, rad się stary krzepił i bawił. Miał już naówczas lat sześćdziesiąt, jakom rzekł, ale ich na nim znać nie było. Wszyscy ci Piastowie, jak Łoktek, jak Kaźmirz, do późnych lat umieją zachować się młodo. Ten też starym się nie czuł.

Na dworze cesarskim przebywała naówczas z siostrą swą, księżną cieszyńską Heleną,

młodziuchna Ludomiła, córka księcia na Ziembicy, nie mająca jeszcze lat dwudziestu. Była dziewczeczka piękności nadzwyczajnej, a więcej niż urodą, ludzi ku sobie urokiem jakimś przyciągająca, tak że jednym głosem ją tam pod niebiosa wynoszono.

Pomimo wieku swojego ksiązę Ziemowit, gdy ją ujrzał, natychmiast ku niej gorzeć zaczął, lecz sam z początku do tego się nie przyznawał przed sobą, bo czyste szaleństwo było

sześćdziesięcioletniemu kusić się o dziewiętnastoletnią dziewczkę.

Dworzanie, którzy tam z nim byli, a dobrze go znali, zaraz się dopatrzyli, iż mu bardzo w oko wpadła. Szczególniej ulubieniec księcia Bawor, przewrotna sztuka, podczaszy starego, pochlebca i wróg wszystkich, co się o łaski pana ubiegać mogli, sam pono w młodej księżniczce szatańsko się rozmiłowawszy, umyślił staremu swatać, w nadziei, że ją potem sobie pozyszcze.

Wiedział on dobrze, jak z Ziemowitem postępować było potrzeba, dał mu się upić tym

miłowaniem i dopiero gdy stary prawie zmysły postradał, szeptać mu począł, że byleby chciał

ubogą księżniczką, za pośrednictwem siostry dostanie łatwo. Sam zaś, nie wiadomo jakimi drogami, cieszyńskiej moc, bogactwa i potęgę pana swego tak odmalował, że ją pozyskał.

Z synów żadnego nie miał Ziemowit podówczas przy sobie, boby ci, jak później, wystąpili przeciw temu małżeństwu z obawy, aby ich więcej nie przybyło do podziału Mazowsza.

Gdy tylko staremu zabłysła nadzieja, iż Ludomiłę poślubić może, wnet na wszelki sposób, podarkami i przez ludzi księżną cieszyńską sobie zyskiwać począł. Do dziewczeczki też zbliżył się, choć z trwogą od niego uchodziła, i samego cesarza Karola pono w dziewosłębę sobie uprosił.

Słowem, iż nalegania były tak natarczywe i wielkie, że księżna cieszyńska swoją pomoc przyrzekła. Siostrę jakoś potrafiła do powolności skłonić, wielką jej rokując przyszłość, i gdy Ziemowit z Pragi wyjeżdżał, już wiózł wszelką nadzieję, że umiłowaną dziewczeczkę mu dadzą.

Bawor też cieszył się tym, na młodość księżnej rachując i na mądrość swoją.

Lecz gdy do Warszawy powrócił stary, a synowie się o małżeństwie dowiedzieli i córki, wrzawę i lament podnieśli wielki. Nasadzili nań duchownych, nasłali zięciów, wszystko to nie pomogło nic, Ziemowit rozsierzdził się okrutnie, dzieciom zagroził i milczenie nakazał.

Natychmiast do Ziembicy posłał Bawara o małżeństwo się układać, podarki śląc wielkie, obietnice czyniąc księżniczce złote. Więc choć Ludomiła oplakała krwawo ten związek swój, iść musiała.

Wydano ją za starego, z czego łośtr Bawor najwięcej się cieszył, zabiegając o łaski młodej pani.

Lecz próżne to były starania, bo księżna patrzeć ani na niego, ani na nikogo nie chciała. Z

samej obawy męża, który, jak wszyscy starzy, zazdrosnym był i podejrzewającym, oczów na nikogo podnieść nie śmiała.

Był wówczas na dworze naszym młody chłopak, którego i książę, i wszyscy lubili, bo był i pięknym bardzo, i miał w sobie takiego coś, co do niego przyciągało. Włosów jasnych, oczów niebieskich, białej twarzy, tak że się więcej niewieścią niż męską wydawała, był ten Dobek wszystkim miły, a kobiety za nim przepadały. Naturę miał łagodną, bojaźliwą prawie, miłosierną nad miarę, a chętnie usłużną.

Przy tym nie głupi był i nad wszystkich dworzan księcia więcej umiał. Wychował go sierotą na plebani proboszcz w Słońsku, a byli tacy, którzy domyślali się i powiadali, że księżyna mu ojcem był. Miłował go też nadzwyczajnie, sam uczył, z domu nie odpuszczał i ledwie na książęcy dwór, gdy Ziemowit tego zażądał, na służby go oddał.

Tu z pacholęcia, że się umiał zasługiwać, a nieprzyjaciela nie miał, począł zaraz do góry iść, książę go od siebie nie odpuszczał, wreszcie podczaszym swym uczynił. Ano prawda, iż Dobka, tego nie można było nie pokochać, tak za serca chwycił: mową, głosem, uprzejmością i dobrocią.

Gdy księżna Ludomiła na dwór nasz przybyła, a dano jej do posług Dobka, i ona też bardzo go sobie podobała, tak że wkrótce obejść się bez niego nie mogła. Bawor tedy zazdrość wielką uczuł i naprzód począł przeciw podczaszemu knować, różne przeciw niemu winy wynajdować, księciu podszeptować — co się nie powiodło...

Myśmy na to patrzyli, a przewidywali, iż się źle skończy, bośmy Bawora naturę znali złą, mściwą i podstępą, a Dobek też nieopatrzny był i księżna także. Choćby był może rad od niej unikał dla złych języków, nie mógł. Księżna go raz w raz do siebie wołać kazała; czasem późno w noc musiał u niej służbę pełnić i ludzie szemrali.

Bawor pierwszy się z tego wyśmiewać począł i rzucać ostrymi słowami, ale Ziemowitowi

nie ważył się nic sam rzec. Próbował wprzódy, czy inaczej nie skorzysta, i mówią, jakoby raz księżnę samą zszedłszy, zuchwałym słowem ją zaczepił, tak że mu precz iść kazała i więcej się sobie nie pokazywać na oczy. Dobek zaś, jak był w tych łaskach, tak pozostał — i więcej teraz pani niż panu podczaszował.

Lecz że i księżnę Ludomiłę kochali wszyscy, i Dobka lubili, kto mógł, ich zakrywał,

osłaniał, nie dopuszczając, aby Baworowi dać pozór do oskarżenia.

Stało się w ten czas, iż księżna młoda, w błogosławionym będąc stanie od kilku miesięcy, gdy mąż do Cieszyna, do siostry jej w odwiedziny pojechał, towarzyszyć mu nie mogła. Bawor tak ułożył podróż, iż Ziemowit Dobka z sobą wziąć zapragnął, za którym księżna Ludomiła prosić przyszła, aby go jej dla usług zostawił. Ziemowit, nic się jeszcze nie domyślając, przystał na to, Bawora wziął z

sobą, który ze złości zemstę już okrutną układał.

Gdy na dwór księżnej Heleny przybyli, a Ziemowit się tam zabawiał, korzystał z tego

Bawor, aby między ludźmi puścić gadkę, dlaczego księżna nie przyjechała, bo wolała wieczory spędzać z Dobkiem, który jawnie i bezwstydnie kochankiem jej był, o czym świat cały miał wiedzieć.

Zaczęto o tym mówić tak głośno, iż księżna Helena i syn jej Przemysław dowiedzieli się o tym. Ubodła ich ta niesława młodej pani, choć nie wierzyli, by słusznie ją oskarżano, i księżna Helena wprost Ziemowita o to zagadnęła.

Starzec, który żonę nad wyraz wszelki miłował, a o nią wściekle był zazdrosnym, jakby mu się nagle oczy otworzyły, oszalał.

Tegoż wieczora, gdy cały drżący dał się Baworowi rozdziewać, napadł nań, aby mu prawdę mówił, nic nie taił, i skąd by ta wiadomość urosła, pod gardłem natychmiast wyznał.

Bawor, niby przestraszony, do nóg mu padł, płacząc i łkając, i począł dopiero okłamywać księżnę, iż się po nocach z Dobkiem zamykała, że tam on przy niej musiał być nieustannie, że ludzie wielką poufałość jego widzieli i że starzec niegodziwie był oszukanym.

Bawor tak dowodnie wszystko to opisywał, dnie i godziny przywodził, tak jawną tę zbrodnię wystawił, iż Ziemowit mu uwierzył. Spytał go tylko, dlaczego mu wprzód tej tajemnicy nie wyjawiał, na co zradny człek ze łzami, nogi jego obejmując, rzekł, iż tak dobrego pana się litował itp.

Tejże nocy księżę Ziemowit natychmiast Bawora samotrzeć odprawił z rozkazem, aby

Dobka ujął i do więzienia dał. Sam zaś drugiego dnia wybrał się do Płocka.

Gdy się owa rozmowa w sypialni księcia w Cieszynie wiodła, przy której głosu swego

Ziemowit nie miarkował, wykrzykiwał i burzył się okrutnie, jeden z dworzan podsłuchał ją, a że Dobka przyjacielem był, pobiegł i, za wielkie pieniądze najawszy posłańca, odprawił go wprzód, nim Bawor wyjechać mógł, dać znać Dobkowi, by natychmiast uchodził.

Stało się, że choć Bawor dniem i nocą spieszył do Płocka, gdy tam przybył, już Dobka nie zastał. Rzeczono mu, że podczaszy właśnie był na Pomorze pojechał, listy tylko do obojga książąt zostawiwszy, w których o przebaczenie prosił, iż z pewnym kapłanem, udającym się do Ziemi Świętej, pielgrzymkę tę miał odprawić. Zniknięcie to Dobka, pomimo listów, w większe jeszcze podejrzenie księżnę podało.

Przybył stary Ziemowit i żony widzieć ani słuchać jej nie chąc, rozżalony, nieubłagany, służebne dziewczki kazał wziąć na spytki okrutne, a choć nic nie wyznały i niewinność księżnej świadczyły, żonę



wysłał do zamku rawskiego, w więzieniu ją tam trzymać przykazując.

Mało było tej zemsty Baworowi, który nierad, że mu Dobek z rąk uszedł, tak okrutnego

Ziemowita umiał w gniewie i zajadłości utrzymać, że gdy księżna synaczka na świat wydała, udusić ją kazał.

Byłoby i dziecko padło ofiarą złego człowieka, gdyby litościwe ręce nie ocaliły mu życia.

Rozgłoszono bowiem, że nieżywym na świat przyszło, i potajemnie dano je na wychowanie na wieś o mil kilka od Rawy do szlachcianki Hinczowej, która jak około własnego około sieroty chodziła.

Dowiedziała się o tym Salomea, księżna szczecińska, siostra jego przyrodnia, a że wielką litość miała nad zmarłą i o jej niewinności przekonana była, postanowiła wziąć je do siebie.

Ułożono tak, iż nocą nasłani przez księżnę Salomeę ludzie na dwór Hinczów najechali i dziecko uwieźli, nie dając się poznać nikomu.

Siedem lat już upłynęło od śmierci Ludomiły, gdy Bawor, który zawsze w wielkich łaskach był u starego, dowiedział się, że Dobek, powróciwszy z pielgrzymki do Ziemi Świętej, w Prusach się kędyś znajdował. Więc gniew, już uśmierzony latami, znowu wybuchnął w księciu. Umiał go podniecać jeszcze Bawor.

— Choćby nie wiedzieć co kosztować miało, mieć go muszę — krzyknął książę — aby się bezkarnością mi nie urągał!

Bawor sam zajął się tą sprawą. Wysłał więc jędrnego z dworzan, tak umówionego, aby

Dobkowi zaręczył, że lat siedem pamięć wszystkiego zatarło, że książę niewinność jego uznał, przebaczył nieszczęście, którego był mimowolną przyczyną, i widzieć go, a nagrodzić pragnie.

Nie skłonił się zrazu Dobek do powrotu, lecz gdy posłańcy, jeden za drugim, podjeżdżać, powtarzać i upewniać go zaczęli, na ostatek dał się przekonać i pociągnął do Płocka. Przybywał

najpewniejszy, iż go tu łaska spotka i oczyszczenie, a tu nań czekano z krwawym wyrokiem.

Ratować go nie było sposobu, a nikt też z nas ani się domyślał, by stary książę taką zemstę straszną żywił w sercu. Zaledwie zjawił się w Płocku, gdy już czatujący nań Bawor z kilku pachołkami, chwyciwszy go, pociągnął na zamek.

Stałem u drzwi samych, gdy bladego i drżącego, z rękami załamany, nie mogącego już

tnawet o litość prosić, bo mu trwoga mowę odjęła, wepchnięto do izby.

Książę stał w pośrodku blady, czekany w rękę chwyciwszy. Oczy mu zabiegły krwią i usta dygotały. Wiedzieliśmy, że gdy go taki gniew straszny opanuje, na nic nie pomni i własne dziecko gotów

mordować. Dobek, zobaczywszy go, padł na kolana, złożył ręce i ostatkiem sił zawołał:

— Panie, na krew Chrystusa, Zbawiciela naszego przysięgam, jestem niewinny...

Zamiast odpowiedzi książę podniósł czekan do góry i z całych sił uderzył go nim w głowę.

Krew trysnęła, a Dobek padł na ziemię z krzykiem, od którego włosy mi na głowie powstały.

Pachołkowie podchwycili padającego, gdyż krew jego księcia obryzgała.

Ziemowit chciał mówić, ale z gardła mu się tylko krzyk straszny wrywał. Dopiero

ustąpiwszy krok, spał się o stół i nie patrząc na Dobka, zawołał:

— Precz, końmi go rozerwać na szmaty!

Bawor, który to usłyszał, dał znak i broczącego krwią na rękach w dziedziniec zamkowy wynieśli ludzie.

Około starego zaraz się zebrali urzędnicy, kapelan, jego poufni, ale wszystkich odpychał, nie słuchać nie chciał i bijąc w stół rękami, krzyczał ciągle:

— W szmaty zdrajcę rozerwać!

W podworcu też już siepacze gotowi wyrok spełniali. Nikt na to okrucieństwo patrzeć nie miał siły, oprócz Bawora i oprawców.

Mnie, choć na wojnie i w różnych przygodach życia na krew i na męki nieraz przychodziło spoglądać, ogarnął jakiś strach i obrzydzenie takie, że zbiegłem do komory, aby wrzasku męczzonego nie słyszeć.

Gdy potem wysunąłem się z izby, bojąc się spytać, lękając wyjść w podworce, znalazłem

wszystkich milczących, więcej może jeszcze strwożonych niż ja. Zbliżyłem się ku izbie księcia i usłyszałem jęki, narzekania rozpaczliwe...

Stało się, jakom zmiarkował, coś takiego, czego zrozumieć było trudno. Nie śmiałem pytać, gdy Szymczak, który był moim sługą, przystąpił do mnie.

— Wiecie, co się stało? — szepnął mi. Spojrzałem nań.

— Zamordowano go! Szymczak ręce podniósł do góry.

— Aliści nie wiecie, bo go śmierć oczyściła. Gdy końmi ciało rozerwano, okazało się, że niewiastą był, a nie mężczyzną.

Do księcia kapelan przybiegł, wyrzucając mu jego okrucieństwo, oznajmić o tym.

Stary leży, wyrzekając, krzyżem na ziemi.

Bawor ze dworu zniknął.

Ksiązę długo nikomu się nie pokazywał, do nikogo nie mówił, pokutę chciał odprawiać w klasztorze, ale czas zatarł wszystko. Zakazano tylko w jakikolwiek sposób o tym wspominać przed nim. Dopieroż zaczęto śledzić, kto był, skąd pochodził Dobek, i wydało się, że ksiądz, ojciec jego, aby go nie oddalać od siebie, w tej sukni męskiej go wychowywał.

Ksiądz ten w istocie, za grzechy pokutując, do Ziemi Świętej się udał i zabrał z sobą Dobka mniemanego. W tej podróży zmarł on, zostawiając testament, w którym wszystko to zeznawał.

Syn powrócił już sam do kraju i dopiero miał coś przedsięwziąć z sobą, gdy go Bawor ściągnął podstępnie naprzód do Rypina, a potem do Płocka.

Długo Ziemowit przyjść nie mógł do siebie, dwa niewinnych żywoty mając na sumieniu.

Lecz ma tym nie koniec jeszcze...

Ksiązę chory leżał, nieustannie modląc się i modlitwy nakazując po kościołach, gdy dnia jednego oznajmiono, że z Cieszyna przybył franciszkanin ojciec Rajmund, który się z nim widzieć dopraszał. Ponieważ mnicha z pobożności znano, puszczone go do księcia. Sam na sam z nim był, ale tajemnicy nie czyniono z tego, co przyniósł.

Bawor, po roztarganiu końmi nieszczęśliwej, uszedłszy, schronił się do Cieszyna. Tu go sumienie dręczyło i strach ogarniał taki, że jeść ni spać nie mogąc, od najmniejszego szelestu w szal

wpadając, na koniec zachorzał śmiertelnie i przed zgonem księdza Rajmunda wezwał do spowiedzi.

Wyznał wtedy przed nim, iż fałszywie księżnę spotwarzał przez zemstę za to, że go słuchać nie chciała.

Żeby zaś wiarę dano temu, co franciszkanin przyniósł, zarazem mu wiele rzeczy takich pod tajemnicą spowiedzi powierzył, aby je księciu powtórzył, o których nikt w świecie wiedzieć nie mógł. Mówią, że ksiązę, słuchając tego, porwał się i zawołał:

— Chyba zły duch objawił ci, księżo, to, o czym prócz mnie i jednego człeka nikt wiedzieć nie mógł, boby to był życiem przyplacił!

— Ze złym duchem nie mamy do czynienia, my słudzy Chrystusowi, a dzieci Franciszka

świętego — odparł mnich surowo — ale to dowód, że iście ten mi to objawił, który był w części przyczyną złego.

Zaczął księcia do pokuty zachęcać ojciec Rajmund i taką skruchę dobył z zatwardziałego, że rzewnymi łzami oplakiwał okrucieństwo swoje.

Natychmiast po wszystkich kościołach zamówiono nabożeństwo żałobne za duszę księżnej, poczynił książę zapisy na klasztor, a że okazało się, iż dziecię ocalone było przez starego Jarosza, sługę Ziemowita, i oddane do Hinczów, nakazano szukać dziecięcia.

Jarosz natychmiast pobiegł na zwiady, ale tu znowu wieści żadnej już o nim nie znalazł, krom, że czasu nocnego napadu przez nieznanomych ludzi dziecię porwane zostało. Domyślano się w tym sprawy Bawora i Jarosz ze smutku i żalości zmarł także.

Wśród tych utrapień, dowiedziawszy się o chorobie ojca, przybyła doń księżna Salomea szczecińska i aby go oderwać od miejsca, w którym wspomnienia straszne go prześladowały, zaczęła namawiać, aby z nią na czas jechał do Szczecina. Nie mówiła mu nic, tylko jedno, że się spodziewa, a jest prawie pewną, iż mu ta podróż przyniesie pociechę.

Stary był tak przygnębiony, iż się córce dał namówić do podróży. Jechaliśmy też pospołu wszyscy małymi dniami powoli, a księżna Salomea przodem posłała ludzi, aby ojcu przyjęcie zgotowano.

Zdaje się, że czas tak obrachowany był, abyśmy nie pod noc, a za dnia na zamku stanęli.

Stary przez drogę całą mało co mówił, a co mu się nie trafiało, pacierze tylko na koronce drewnianej, którą mu ojciec Rajmund zostawił, odmawiał.

Gdyśmy u wnijscia stanęli, na powitanie nasze wyszedł młody chłopak cudnej urody, skromnie, ale bardzo pięknie przystrojony, który starego księcia, podszedłszy doń, mową bardzo układną powitał. Wszyscyśmy nań oczy ciekawe zwrócili, a książę pobladł i oniemiał, tak nadzwyczajne było podobieństwo owego młodzieńca i do niego, i do całej rodziny.

Ziemowit miał łzy w oczach. Chciał pytać o chłopię, gdy księżna, wzięwszy go za rękę, z nim razem padła na kolana.

— Kochany ojcze, to syn Ludomiły. Jam go tu porwać kazała i u mnie się on wychował.

Przebacz mi, a jemu nie skąp łaski swej.

Książę się rzucił ku niemu i ścisnąć go począł, nie mogąc się napatrzeć i nasłuchać.

Otóż macie całą ową historię krwawą a łzawą, która jakby te brzmi, co je stare baby wieczornicami wymyślać i opowiadać zwykły.

Tamże na zamku w Szczecinie zaraz książę Ziemowit nazwał młodego Henryka synem

swoim, ale znając krew własną i obawiając się, aby synowie starsi nie knowali przeciwko temu, który im miał część spadku ich odjąć, postanowił, aby księdzem był i duchowną suknięwdział.

Zawczasu mu wyznaczył probostwo płockie, obiecując znaczniejsze jeszcze "wyposażenie.

— Dalej już co zaszło, na tom nie patrzył — dodał Okoń — ale mi się widzi, że księża

suknia młodego nie uczyni duchownym, gdyż całe mu się nie chciało jej oblekać i tylko przez posłuszeństwo dla ojca musiał stan ten obrać.

Noc już była, gdy swe opowiadanie dokończył Okoń, zapraszając Derśława, aby przy nim spoczął w rabie, gdyż pościeli na dwu było dosyć.

— Mnie już sen nie bierze — odparł Nałęcz — lada chwila dzień pocnie, pojedę do swoich i byleście mi dali człowieka, co na drogę do Płocka przeprowadzi, ruszę dalej, bo tu robić nie mam co, a i was chcę uwolnić od niemiłej gościny.

— Nie wyście mi niemili, ale wszelakiego oka ludzkiego rad bym ujść — rzekł Okoń. —

Nie chcą mieć, pókim żyw, do czynienia ani z książętą, ani z ich urzędnikami. Gotów bym, jak gniewkowski Biały, ubić sędziego; gdyby mnie chciał stąd wyganiać.

Zamyślił się Derśław.

— Cóż na to mówicie, jeśli Wielkopoleanie mazowieckich Piastów zechcą?

— Sami powinni obrachować, w czyje się ręce oddadzą — rzekł Okoń. — Jakim jest stary

Ziemowit, takim będzie młody Ziemaszko. Janusz powolniejszy, ale i w tym krew odezwać się może. Pomnę księdza w Płocku uczonego, który jednego wieczora bajkę nam opowiadał, jakoby żaby u Pana Boga o króla prosiły. Znudzony skrzekotaniem, kazał im belkę zrzucić. Nierychło się do niej zbliżyć ośmieliły, lecz gdy postrzegły, że nieruchoma leży, jedna i druga skoczyła na nią.

Nuż w krzyk, że im nie kloca, ale żywego pana potrzeba. Co Pan Bóg usłyszawszy, bociana im posłał, a ten z nich dobrą brał dziesięcinę. Otóż obyście i wy, Ludwika na Ziemowita mieniając, tak na tym nie wyszli jak żaby.

Potrząsał głową Derśław, nic na tę powieść nie odpowiadając. Byłby może, tu języka

zasięgnawszy, do Płocka podróży zaniechał, lecz pana Mikołaja z Milanowa chciał też rozpytać i dotrzeć do samego księcia, a dowiedzieć się, co też on by rzekł na to, gdyby go na tron wezwać chciano.

Dniało już dobrze, gdy Derśław wraz z Okoniem do swoich ludzi za rzeczką przybył i

Lasotę znalazł już pogotowiu do dalszej podróży. Stary dziwak przeprowadzać ich nie chciał dać nikomu, miał bowiem na myśli takimi poplątanymi wieść ich drogami, ażeby drugi raz na grodek jego trafić nie mogli.

Nic im o tym nie mówiąc, tak też uczynił, że niby sam nie będąc pewien dróg, do pół dnia ich wodził na przód, w tył, na prawo i lewo, aby się tym obłąkali, i dopiero wymęczony dobrze, gdy Derśław,

domyślając się podstępny, wyrzekać począł i dąsać się, na gościniec wywiódł, a tu, nie czekając podziękowania, z oczów im zniknął.

## IX

Było naówczas zamczysko płockie dzięki Kaźmirzowi królowi tak pięknie z murów

grubych wzniesione, obwarowane, wieżami i bramami umocnione, iż mało równych mu było na całej Polski przestrzeni. Sam nieboszczyk przebywał tu niekiedy, a lubował się tym wielce, że nowa twierdza teraz bodaj i Krzyżakom się oprzeć mogła.

Cała ona bardzo wysokimi murami była opasana, a dla większego bezpieczeństwa nie jedną ścianę obwodową miała, ale dwie, tak że gdyby pierwszą zdobył nieprzyjaciół, stanąłby u drugiej, mocniejszej jeszcze, i na nowo szturmować musiał.

Mury oba u góry po pięć łokci, a w dole więcej jeszcze miały grubości i wszędzie blankami a wyżkami opatrzone były. Narożne wieżycy patrzyły daleko naokół, dwoista brama na wałach i przekopach wodą zalanych tak była mocną i warowną, że nieprzyjaciół do niej niełatwo mógł się ważyć przystąpić, bo tu wszystkie środki obrony najsilniejsze nagromadzone były. Miasto też same, krom nędznych przedmieść, z których lud łatwo mógł zbiec, murem dobrym i okopem obwiedzione było.

Na owe czasy Płock przedstawiał się bardzo poważnie i pięknie, a że miał czas w pokoju się zaludnić i pobogacić, życie w nim dosyć było wielkie i ruch znaczny. Przyczyniało się do tego, iż po śmierci Kaźmirzowej zajmujący, Ziemowit sam tu przebywał, a nie był nigdy bez kilku setek dobrze uzbrojonych ludzi na wzór niemiecki, których choćby przeciw Krzyżakom stawić można było.

Gdy synowie, Ziemaszko Młodszy i Janusz, w Czersku i Warszawie już rządzą i

gospodarzili, stary Płocka z rąk nie puszczał, a i na to, co dzieciom oddał, pilno patrzył.

Chociaż na Mazowsze i na Płock nie napadał nikt i jeszcze się nie było czego obawiać od Ludwika, czujność około miasta i zamku była wielka, i zaledwie w bramie ze swymi ludźmi się ukazał Dersław, natychmiast mu się spowiadać kazano, skąd, za czym i dokąd jechał.

Z prosta więc dążąc do gospody na miasto, Nałęcz stary opowiedział się, iż od Poznania przybywał dla widzenia powinowatego (choć dalekie to bardzo było pokrewieństwo) pana Mikołaja z Milanowa.

Ten, co u wrót języka od niego wziął, snadź zaraz o tym podskarbiemu oznajmić musiał na zamek, gdyż nim Dersław w gospodzie, ledwie ją wynalazłszy, miał się czas rozmieścić, gdy już od zamku staruszek siwowłosa, niespokojnie pytając o gości, nadążył. Zobaczywszy Dersława, zdumiał się mocno, gdyż mu powinowatego oznajmiono, a z tym się nie czuł krewnym. Powitali się jako starszy druhowie.

Nałęcz, zręczny zawsze człek, pół żartem mu się wytłumaczył, iż nie opodal będąc u

Nałęczą, którego Żbikiem zwano, do Płocka dla widzenia go nawrócił. Zerknął pan Mikołaj, tak znając człeka, iż nie bardzo chciał wierzyć temu, lecz pokłonił się, dziękując.

Mąż był pod żelazną ręką księcia Ziemowita do wielkiej baczności na wszystko przywykły i w mowie wstrzemięźliwy. Siedli na stołkach prostych i poczęła się rozmowa, jak zwykle u starych, od przypominania dawnych - czasów i ludzi, których im nie stało.

Mikołaj z Milanowa dopytywał o tych, których w Wielkopolsce dawniej znał, Derśław

zagadywał, jak się jemu wiodło. Stary, choć bardzo jeszcze żwawy, na wiek swój utyskiwał, mówiąc, że tylko dla starego księcia, któremu do obucha służyć rad — trzyma się przy kluczach.

Ponieważ w gospodzie na dłuższe gawędy miejsce niedogodne było, pan Mikołaj na zamek do siebie prosił.

— Żona i dzieci moje na wsi, doma, jam tu sam jeden jako patyk — mówił podskarbi — na książęcym chlebie, więc i przyjęcie będzie, na jakie mnie stało.

Derśław tedy Lasotę swojego stawiał przyjacielowi jako krewniaka, który po śmierci króla służbę utracił.

— Może byście wy potrzebowali dworaka, który już dobrą odbył szkołę? — rzekł, śmiejąc się.

Mikołaj spojrzał na młodzieńca i nic nie odpowiedział zrazu.

— Nie tak łatwo u nas nowemu człowiekowi się umieścić — rzekł po chwili. — Nasz stary książę młodym nie dowierza, niełatwo też do nich nawyka.

— Mój ci takim młodzienaszkiem nie jest — dodał, ukazując, Derśław.

— Prędzej by w Czersku lub w Warszawie służba się znalazła niż u nas — rzekł pan

Mikołaj.

— Nam też z nią niepilno — wtrącił Derśław.

Gdy wkrótce potem na zamek się wybierali, a Mikołaj podskarbi Lasotę też zapraszał,

wymówił się ten, iż dla dozoru ludzi pozostać chciał w gospodzie.

Szli tedy starzy sami na zamek, a po drodze nic baczego oka Derśława nie uchodziło.

Wiedział o tym dobrze, iż chcąc poznać człowieka, tym bardziej takiego, który potęgę w ręku dzierżał, na wszystko, co go otaczało, pilno należało spozierać, bo tu każda rzecz miała swe znaczenie. Tak dobrze odarty kaftan sługi, jak chudy koń żołnierza i obejście się ludzi, a głosy ich, zaraz o panu, do którego należeli, oznajmywały.

Około zamku cicho było, czysto i ład wielki a karność widoczna. Choć służby i pacholków kręciło się dosyć, wrzawy żadnej nie słyszał. W bramach i u wnijsćia, choć pokój był, strażę stały, zbrojni miejsca swe zajmowali.

Drugie wrota przeszedłszy, większą jeszcze cichość w podwórku znaleźli; tu w pośrodku murowany, okazały stał dworzec książęcy, pięknie kryty i dosyć rozległy.

W przedsieniach trochę czeladzi siedziało, jakby na rozkazy oczekując i ust prawie nie otwierając. Jak na wszystkich dworach książęcych, które z zachodnimi państwami miały stosunki, i tu dwornia i rycerstwo więcej z niemiecka i z cudzoziemska poprzybierana była niż dawnym obyczajem domowym.

Pominąwszy główne wnijsćie dworu, pan Mikołaj na prawo szedł z gościem swym, do

skrzydła, w którym miał mieszkanie. Położone ono było tuż przy książęcym skarbcu, który we dwu aż urzędnicy dozorowali. Nie było przepychu żadnego w kilku izbach pana Mikołaja, mało nawet wygody i szczupło sprzętu, bo stary, rodzinę wyprawivszy na wieś, żył tylko tu jak na popasie.

W komorze sklepionej, do której gospodarz wprowadził Derśława, wisiał tylko Chrystus

ukrzyżowany na ścianie i wygodniejsze siedzenie usłane było we wgłębieniu okna, z którego poza mury, na łąki i lasy oko mogło wyjść z tego więzienia.

Pan Mikołaj siadywał tu pewnie tęskniąc za wsią, za lasami, za polami, za swobodą, bo jest we krwi ziemianina polskiego, że zawsze za szerokimi obszary wzdycha i w miasteczku a w murach więdnije. Nie zdradzał tej tęsknicy baczny pan Mikołaj, boby to książę wziął za złe, ale się ona na obliczu jego wycisnęła.

Starzy przyjaciele poufałej jeszcze na nowo rozpoczęli swe wspominki z czasów młodości i Nałęcz miał rozpocząć zręcznie badanie, gdy pacholę wpadło w kusym stroju niemieckim, obcisłym, jakby przestraszone i dyszące, powołując podskarbiego do księcia.

Mikołaj, zaledwie przemówivszy słów parę uniewinnienia, natychmiast na zawołanie

pospieszył do pana. Derśław tymczasem, siadłszy w oknie, mógł się bez przeszkody zamkowi przypatrywać i przekonać, iż surowy w nim panował porządek, a i dostatek pewien, choć nie świecący, widać było.

Wszystko, co tu oglądał, potwierdzało go w przekonaniu, że ten właśnie Piast stworzony był dla Polski, w której porządku było omal i żelaznej potrzebowała dłoni.

Dobry czas zabawiwszy, wolny krokiem powrócił wreszcie podskarbi.

— Jeżeli wam co zlecono i macie do czynienia — odezwał się Derśław — odprawcie mnie.

Pierwsza służba książęca niż powolność dla przyjaciela.



— Nie mam nic — odparł pan Mikołaj — książe tylko miał już wiadomość, czy też

zobaczył, że nie sam wróciłem na zamek, chciał zaraz wiedzieć, kogo miałem u siebie i z czym przybyliście. Jak widzisz, czujni jesteśmy.

Po chwili zaś dodał podskarbi:

— Książe was widzieć chce...

Dersławowi tego było potrzeba, lecz nie dał poznać po sobie, że go to uradowało, skłonił głowę tylko.

— Nieobojętna dla nas rzecz — mówił dalej Mikołaj — co się u was w Wielkiej Polsce dzieje, co na dworze królowej, o czym wy lepiej od nas być musicie uwiadomieni.

— Nie wiem, boć wasz Janusz podobno z Ludwikiem i jego matką dobrze jest i często tam zagłada.

— Lecz dwoje oczu nie zawsze wszystko widzieć mogą. Dersław, nic już nie mówiąc o tym, oświadczył, że na zawołanie księcia jest gotowym.

Tymczasem podskarbi go przyjmował przekąską i winem, które o wielkim zbytku na

dworze nie świadczyły. Jedzenie nieszczególne, a wino było kwaśne. W godzinę może potem też samo pacholę przyszło im oznajmić, że stary książe gościa wielkopolskiego rad był widzieć u siebie.

Szli tedy z podskarbim razem do głównego gmachu i z wielkiej sieni, w której mnoga służba siedziała, cicho się zachowując, przez duże puste izby zaprowadzeni zostali do sypialni starego księcia. Ta była niewielka, sklepiona, z jednym oknem dosyć wysoko umieszczonym, tak że do siedzenia przy nim w murze przez parę wschodów wstępować było potrzeba.

Książe, mąż letni, wzrostu wielkiego, z brodą siwą, podparty na wyschłej żylastej ręce, w długiej sukni czarnej, siedział przy stole. Twarz jego przeciągła, czoło i czaszka wyniosłe, wyraz oczów ostry i przenikający — miały w sobie coś pańskiego, dumnego, nakazującego. Na obliczu tym widać było, że pan jego rozkazywać nawykł i większym się czuł nad losy swoje. Powaga krwi królewskiej okrywała całą tę postać, zmuszającą do poszanowania, obudzającą trudną do pojęcia trwogę. Nawet kto by historii tego człowieka nie znał, domyślałby się w nim nie umiejącego ustąpić ani losom, ani ludziom męża wielkiej woli i gwałtownego charakteru.

Nogi starca spoczywały na podestanej skórze niedźwiedzia. Suknia ciemna i jakby żałobna, bez żadnych wyszywań i ozdób, prawie ubogą się wydawała. Obok ręki, na której był sparty, na stole rzucony leżał różaniec drewniany, przypominający ten, o którym mówił Okoń, że mu go ojciec Rajmund zostawił. Czekan też, na którym się zwykł był opierać, gdy wstawał, tuż był sparty o jego siedzenie. Laska to była razem i broń straszna.

W izbie starca, pomimo wiosny i trochę odsuniętego okna, panował zaduch i zapach jakichś ziół czy

kadzidła.

Gdy weszli, a podskarbi Derśława przedstawił księciu, pokornie mu się do kolan kłaniającego — Ziemowit dosyć długo ani się odezwał, ni poruszył. Ściągnąwszy brwi, wpatrywał się pilnie w przybyłego, jak by jego i myśli w nim zamknięte chciał odgadnąć.

Z pańską obojętnością go przyjmował.

Nareszcie, gdy już Derśław tym zimnym milczeniem był po trosze zmieszany, stary książę głowę ku niemu zwrócił nieco i grobowym głosem odezwał się:

— Skąd jedziecie?

— Od Poznania — rzekł Nałęcz. — Rodzina nasza rozmnożona i rozsypana, a pod te czasy niespokojne rody muszą i wiedzieć o sobie, i trzymać się gromady. Jeździłem po swoich, a niedaleko będąc Płocka starego druha zamyśliłem nawiedzić.

Odpowiedź ta czy zaspokoila księcia, czy nie, zmilczał po niej znowu. Utkwiło w nim to wyrażenie o czasach niespokojnych.

— Dlaczegoż tam u was niespokojnie? — zapytał.

— Nie od dziś dnia tak u nas — odparł Nałęcz. — Kraj daleko od oka pańskiego, wielkorządcy mu nie zawsze podołają. A co dopiero, gdy jak ten, którego teraz mamy, obcy nam są.

Od granicy wpadają rozbójnicy Sasi i Brandeburghi, a za ich przykładem i ziemianie nasi puszczają się na łotrostwa.

Derśław westchnął.

— Czuje to Wielkopolska, iż pod obce poszła panowanie — dodał.

Stary książę powiódł ręką chudą po czole, zmarszczył się... nie odpowiadał. Nałęcz, czy ośmielony, czy próbując, dorzucił jeszcze:

— Piasta nam potrzeba było...

I na to stary nie rzekł nic jeszcze, rękę schylił i począł nią, zamyślony, przebierać różaniec.

Nastało milczenie przykre. Nałęcz się już więcej mówić nie ważył, czekał. Książę swym grobowym głosem rzucił pytanie:

— Kogóż wam za wielkorządcę dali?

— Ottona z Pilicy, Krakowianina — rzekł Dersław, nie tając niechęci. — Nie bywało to u nas jeszcze, aby ze wzgardą tej ziemi obcych przysłano, ale niewiasta rządzi.

Na twarzy Ziemowita, który siedział plecami do okna zwrócony, poruszenie jakieś widzieć się dało, lecz na ukrytych w cieniu rysach Dersław rozpoznać nie mógł, czy uśmiech przebiegł, czy pogardliwie skrzywiły się usta.

— Widzę, żeście nowemu panu nie bardzo radzi — przebaknął.

— On też nam nie ojcem, ale ojczymem jest — rzekł swobodnie Dersław. — Węgry mu milsze...

Księżę poprawił się na siedzeniu.

— Trudno dwom, i tak wielkim, państwom panować razem — począł bardzo powoli. — Na jedno, i mniejsze, ledwie człowiek starczy, dniem i nocą czuwając.

— Wielkopolska by też rada, jak to już bywało — odezwał się Nałęcz — swojego pana mieć i ze swej krwi. Dotąd Ludwik męskiego potomka nie ma, spadnie więc to kiedyś na Piastów.

Słyszac po raz już wtóry tę przegrywkę, Ziemowit odprostował się, sparł na wysokiej krzesła poręczy, ręce założył na piersiach i zadumał.

— Wam — rzekł chmurno — byle panów mieniać. Nigdyście nieradzi temu, którego macie, a pachnie wam inny. Znam ja was ziemian wszystkich. Jeden wam za surowy, drugi za powolny. Chcielibyście sami pono a bezpańscy być, aby was Niemcy zjadły.

— Miłościwy Księżę — przerwał Dersław — surowego byśmy się nie ulękli ani powolnym nie gardzili, byle nasz był własny. Obcego nie chcemy, bo on nas nigdy nie zrozumie.

— A kto was zrozumie? — rzekł szydersko stary. Nałęcz obrażony nieco spuścił głowę.

Milczeli znowu.

— Siedzielibyście spokojnie z tym panem, jakiego wam Pan Bóg i wola króla nieboszczyka nazaczyła — powoli począł księżę, wpatrując się bystro oczyma zasepionymi w Dersława. — Nie znajdziecie takiego Piasta, który by dla miłości waszej ważył to, co ma pewnego, o niepewne się dobijając. Król Ludwik mocnym jest. Tego, co ma, wydrzeć sobie nie da. Ze szląskich naszych żaden przeciwko niemu nie pójdzie, ani ja, ani moi synowie. Jeżeli Ludwik bezpotomnie zemrze lub córki tylko zostawi, to rzecz inna. A i naówczas zięciowie się korony dobijać będą, ci zaś pewnie możni i

mocni się znajdą. Mówią już o tym.

Dersław słuchał ze spuszczoną głową. Przykro mu było, lecz tłumaczył to sobie tym, iż księżę myśli swej przed nieznanym człowiekiem mógł nie chcieć wyjawić.

Księżę, dokończywszy powolnej mowy, którą przerywał kilkakroć, badając oczyma, jakie na słuchaczu uczyni wrażenie, zakaszlał się, podparł na rękę jak wprzód i wpadł w zadumę, zdając się zapominać, że człowieka obcego miał przed sobą.

Potem, jakby zbudzony, zwrócił się ku niemu i spytał:

— A chleb tego roku mieć będziecie?

— Na polach niezgorzej u nas — rzekł Nałęcz.

— O pomorku nie słyhać? — dodał Ziemowit.

— Dzięki Bogu...

— A ludzie zamiast pokoju używać — rzekł księżę — wicherzą się i mordują?

— Na to my sami nie poradzimy — odparł Nałęcz — dosyć, że każdy życia swojego i mienia ustrzeże.

— A wielkorządca?

— Jakby go nie było; innego nam dać muszą, tego słuchać nikt nie chce — rzekł Dersław.

Ziemowit potrząsnął głową.

— Jedźcie z żałobą do Krakowa — ozwał się, pomilczawszy — juści królowa ulituje się wam.

— Wielkopolanie tam ucha nie mają — począł Dersław. — Węgry naprzód, a po nich

Krakowianie, nam tam za drzwiami stać każą, jeśli i od tych nie odpędzą.

Ziemowit uśmiechnął się.

— Zazdrośni jesteście, boć tam pono na dworze Elżbiety wesoło czas drudzy trawia. Pan Bóg dał Elżbiecie jakąś cudowną młodość, którą, powiadają, że czarami utrzymuje a wodą.

Dersław ramionami poruszył.

— Królowa stara, ale doradców młodych lubi — rzekł — i to nas gubi. Lada chłystek, co ją zabawi,

łaski i zaufanie ma, starych sług poodprawiała.

Ziemowit wysłuchał tych skarg, a że z całego rozmowy toku mógł się domyśleć, iż Derśław przybył tu na zwiady, podniósł się więc znowu i powtórzył:

— Radźcie sobie, jak możecie, na Piastów żadnych nie rachujcie. Chybabyście — tu się rozśmiał — biedaka tego spod kaptura wywlekli, który nic do stracenia nie ma. Derśław, jakby wstrzymać się nie mógł, wtrącił:

— Jakby nas bieda zmusiła, kto wie? Ma on dawnych przyjaciół! Gotowi sprowadzić i tego.

Ziemowit głową potrząsał.

— Papież wam go nie da — rzekł — a on też przeciwko siostrzenicy, Ludwikowej żonie, i dzieciom jej oręza nie podniesie, nie mówiąc już o potędze króla. I nie człek to do wojowania a panowania, do których więcej siły potrzeba i wytrwania, niż on ma.

Ręką uderzył po stole, sparł się i zamyślił. Milczenie trwało długo, a rozmowa tak przykre uczyniła wrażenie na Nałęczu, iż kroków parę ku progowi ustąpiwszy, gotów był żegnać się i odchodzić.

Domyślając się tego, stary książę powstał, ujawszy czekan, który stał przy siedzeniu, czekan ten, przypominający Derśławowi niedawno słyszaną Dobka historię. Gdy podniósł się i

wyprostował, siłę w nim jeszcze męską, mimo wieku, widać było i postawę przybrał pańską a rycerską. Głos jego złagodniał.

— Idźcie z Bogiem — odezwał się do Derśława. — Niedobreście mi wieści przynieśli od

Wielkopolski; życzę, by się wam lepiej działo, choćby przez wdzięczność, że o Piastach nie zapominacie.

— Cóż, gdy oni o nas myśleć nie chcą! — odważył się wtrącić Derśław.

— Nie chcą? — podchwycił z dziwnym wyrazem Ziemowit. — Mów: nie mogą!

Skinął głową i z wolna się ku oknu odwrócił. Nałęcz pokłonił się nisko. Książę już nań nie patrzył.

Wyszli z komory i Nałęcz aż do podwórza słowa nie rzekł, tak był strapiony.

"Na tych nie ma co rachować" — mówił sobie w duchu.

Podskarbi go poprowadził nazad do swej izby i z pochmurnej twarzy domyślił się, że posłuchanie przykre na nim uczyniło wrażenie.

— Książę wasz — otwarcie rzekł Derśław — klina mi ostrego zabił w serce.

— He? — spytał podskarbi.

— Nie ja jeden, ale wielka część ziemian naszych na niego rachowała.

Podskarbi słuchał, nie odzywając się.

— Zmusi nas za mnichem gonić — mruknął Derśław.

— Toż go znać powinniście, iż statku nigdy nie miał — przerwał podskarbi. — Nawet i z rozpaczy za pana go wybierać się nie godzi.

Nałęcz siadł i w okno począł patrzeć.

— Krew w nich zastygła — rzekł smutnie — pańskiego ducha nie mają. Łoktkowego ducha, tego, co o głodzie i chłodzie, bez ludzi, państwa się dobijał i dobił. Maluczkim był, a wielkim się stał. Toć nie królewscy synowie są, ale gospodarze i ziemianie, którzy nie wazą kawałka ziemi dla korony, bo im ich miękkiego spokoju żal...

To było słowo ostatnie Derśława, który za podany sobie kubek pochwycił, zmuszając się do wesołości.

— Bądź co bądź — zawołał — ja Piastom piję prze zdrowie! Jeden się przecież znajdzie, co nas i swój ród ratować zechce, aby ta krew, co nam tyle wieków panowała, nie zmarniała na drobnych udziałach i po siołach się nie rozlała.

Podskarbi, uderzywszy w kubek, wychylił go także w milczeniu.

Inną może myśl miał, tu przybywając, Nałęcz, lecz gdy z ust Ziemowita stanowczą wziął odprawę, już gościć tu dłużej nie chciał.

— Miły mój — rzekł do podskarbiego — nie wskórawszy u was nic, bo i mojemu Lasocie na dworze waszym trudno by się było pomieścić, jutro mi trzeba nazad w drogę.

Nie próbował go zatrzymywać podskarbi. Przesiedzieli, tak rozmawiając po cichu, do wieczora, pan Mikołaj gościa odprowadził do gospody i pożegnali się smutni.

Lasota swemu staremu z oczów wyczytał zaraz, że nadąsany powracał, przekonał się o tym mocniej jeszcze, usłyszawszy, że nazajutrz o świcie kazał się do podróży sposobić.

Gdy Mikołaj z Milanowa odszedł, Derśław mu rzekł:

— Nie ma tu co robić. Piastów tu nie szukać. Zniemczeli i postarzeli, indziej ich potrzeba patrzeć.

Tak się skończyła próżna do Płocka wyprawa. Drugiego dnia jechał już stary Nałęcz

milczący i zasepiony, z Lasotą ledwie kilka słów obojętnych zamieniając.

Lecz że naturę miał, która długo markotną być nie mogła, zawsze sobie jakiejś szukając pociechy, gdy jeden dzień się tak nagryzł, wstał potem orzeźwiony i weselszy.

Oko mu się znowu zaśmiało i usta powoli odmykać zaczęły.

— Pomieścić się waści nie udało — rzekł do Lasoty — ale bo też zmarnieć by ci tu przyszło na dworze tym, który jak klasztor wygląda... i z Mazurami byś nigdy nie doszedł sprawy. Rodzili się wszyscy pod ciemną gwiazdą, jak mówi przysłowie. Ale na tym nie koniec. My ludzie jesteśmy uparci. Gdy nas od jednych drzwi odegnają, drugich szukamy, a gotowiśmy i oknem wleźć.

Piastowiczów jest siła, dworów i służby nie zabraknie, prędzej ludzi dla nich nie stanie.

Tak, niby się nie zdradzając przed Lasotą i udając, że dla jego tylko sprawy podróż

przedsiębrał, pospieszał Nałęcz do Wielkiej Wsi. Po drodze tylko na chwilę do kilku dworów wstąpił, ziemianom spotykanym coś podszeptał, a w domu ledwie przenocowawszy, nazajutrz sam do Poznania pociągnął.

## **TOM DRUGI**

### **I**

Orszak, złożony z kilku rycerzy i kilkunastu czeladzi, w dolinie, ponad którą łańcuch wzgórz panował w dali, zatrzymał się na gościńcu. Jadący przodem człeczek na mule palcem wskazywał, śmiejąc się, na znaczne miasto, które stąd dobrze teraz widać było.

Dokoła krajobraz zielony roztaczał się dosyć wdzięczny, acz mało urozmaicony. Oprócz

szarego gór łańcucha, zamykającego z jednej strony widnokrąg, z panującą nad wyżynami górą wyniosłą, małe tylko pochyłości widać było w dolinie winnicami dokoła zasadzonej. Wśród nich niewielkie zbóż kawałki, gdzieniegdzie drzew kupki i domki białe, nędzne, leżały rozpiechłe.

Miasto, na które przewodnik jadącym doń wskazywał, na owe czasy wcale okazało się i

poważnie przedstawiało przybywającym. Wkoło mocnymi mury i basztami otoczone, w środku jeżyło się wieżycami kościołów, podniesionymi zębatymi szczytami gmachów, dzwonicami i różnych kształtów wieżami.

Stało ono na niewielkim pagórku, a poza ścianami murów jego rozsiadły się przedmieścia, całe w cieniach i ogrodach. Widok był piękny, bo gród na stolicę wyglądał i zdawał się wyzywać nieprzyjaciół, tak zbroja jego kamienna była mocna. no na nim opięta i najeżona piętrami bastionów.

Piękny wieczór letni ze złoconym niebem, które prawie w tej porze miało barwę

południowych stref, blaskiem swym dodawał jeszcze wyrazistości widokowi. Każda z wieżyc, każdy

załom muru, dach i szczyt, każda pręga kamienna, rzucając cień silny, uwydatniała się na tle nieba i sinawego oddalenia.

Niektóre części budowli stały prawie sinoczarne, utopione w mroku, inne zdały się

ozłoczone, a gdzieś słońce, bijąc w błony okien, zapalało jakby ogniska na nich czerwone i płomienne. Światło padające z góry, najjaskrawsze na szczytach, powolnym stopniowaniem bladło w dole i rozlewało się w półmroku. Drzewa także na wierzchołkach, jakby pokropione złotem, układały się we wdzięczne grupy fantastycznych kształtów, to pozaokrągłane, to strzelające do góry, zbite w gęste masy i rozwiane jakby we mgłę zielonawą. Podróżni, stojący na wzgórzu, z jakimś uczuciem religijnym wszyscy z wolna krzyż zakreślili na piersiach, wlepiając oczy w miasto, z którego dzwonnice właśnie na jakieś nabożeństwo wołające ozwały się dzwony. Stali daleko, ruchu miejskiego wcale stąd dojrzeć nie było można, głos ten tylko, jakby mowa grodu, witał przybywających powolną jakąś, niezrozumiałą piosenką.

Podózni, jako łąco poznać było po ich okurzonej odzieży, znużonych koniach, opalonych trudem i słońcem twarzach, musieli przybywać z daleka. Czterech ich przodowało orszakowi, reszta jako czeladź i służba trzymała się dalej nieco.

Trzej z rycerzy byli już ludzie niemłodzi, jeden nawet włos miał siwy u skroni, czwarty, młodszy i najweselszego oblicza, może z największą ciekawością przypatrywał się nowemu dla siebie krajobrazowi.

Starsi byli to Wielkopolanie: Przedpełk ze Staszowa, Szczepan z Trłąga, Wyszota z

Kórnika, młodszy i towarzyszący im nie kto inny, jak Lasota Nałęcz. Po długiej i nużącej podróży stali blisko jej celu i nie bez pewnej obawy wpatrywali się w mury tego miasta, poza którymi były ich nadzieje.

Aż tu szli oni szukać w klasztornej klauzurze tego Piasta, którego u siebie nigdzie znaleźć nie mogli. Zeszli na jednego, ostatniego, na tego Włodka, zwanego Białym księciem, o którym nie wszyscy jednakowo mówili. Przykładem tych, co niegdyś Kaźmirza od benedyktynów na tron wzięli, i oni jechali wyzwolić zamkniętego, aby mu do tronu otworzyć wrota.

Skutek był bardzo wątpliwy, *lecz* panowanie i władza mają urok wielki, przychodzili kusić, spodziewali się, że blaskiem korony pociągną, mieli nadzieję, że ze słabego człowieka uczynią potężnego, że z niestałego i chwiejącego się w postanowieniach mocnego bojownika zrobią.

Wszyscy oni znali go niegdyś, wiedzieli, że dziwnym był i rzucającym się łatwo na to, co mu zabłysło, i zrażającym również prędko lada przeciwnością, lecz naówczas był on maluczkiem panem na Gniewkowie, a oni mu przynosili nadzieję polskiej korony. Cała niemal Wielkopolska go wzywała, cała chciała iść z nim i za nim, cała się wzdrygała, pokrzywdzona, przeciw rządóm króla Ludwika i jego matki.

Przedpełk, Szczepan i Wyszota pamiętali go młodszym i zdawało się im, że podróże,



spoczynek, klasztor, cierpienie ukołysały krew gorącą, a dały mu spokój ducha i wytrwałość.

Lasota, dodany przez Derśława, rozkaz wziął patrzeć, słuchać, pomagać, lecz sam występować czynnie nie miał ni zlecenia, ni ochoty.

Najstarszy Przedpełk najmocniej był o tym przekonany, że to, co on wymarzył, miało się znaleźć w Białym księciu. Mówił, że go nauczyło doświadczenie podobnego dojrzewania

charakterów. Szczepan z Trłąga więcej niż na samego księcia, któremu mniej ufał, rachował na to, że oni go otoczą, dozorować będą i kierować nim, że każdy z nich coś mu ze swej siły wleje.

Wyszota z Kórnika miał też nadzieje dobre, lecz je opierał na tym, że się w Białym obudzić musi żądza panowania, będąca we krwi.

Trzej posłowie Wielkopolan mniej więcej godzili się ze sobą w nadziejach, lecz nie w sposobie, jakiego zażyć było potrzeba, aby się one ziściły.

Stary Przedpełk myślał, że zapanuje nad księciem słabym; Szczepan chciał go ująć

swobodą, dostatkiem, świetnym ożenkiem z młodą jaką księżniczką, słowem — światową pokusą; Wyszota sądził, iż pokorą, padaniem do nóg, oddawaniem mu czci najłatwiej go rozbudzą do czynów.

Choć wszyscy oni, głośno mówiąc, nie przypuszczali, ażeby się im mogło nie powieść, i dowodzili, że nie ma człowieka, co by koronę przynoszoną mu odrzucił, jednak każdy z nich, gdy sam z sobą i myślami pozostał, frasował się i wąpił.

Wszyscy, choć się do tego nie przyznawali głośno, wiedzieli, że na dziwaczного Włodka Białego trudno było rachować na pewno. A jakim go klasztor uczynił, tego się tylko domyślać mogli. Od powrotu z Ziemi Świętej nikt nie widział księcia.

W chwili, gdy stolica Burgundii, którą jedni z francuska Dizonern, drudzy z łacińska Dywionem zwali, pokazała się wreszcie oczom długo już tęsknie jej wypatrującym, gdy

przewodnik Francuz pokazał im najwyższą wieżę kościoła Świętego Benigna, przy którym był

klasztor Benedyktynów, a w nim ów książe, wygnaniec dobrowolny, nadzieja Wielkopolanów, wszyscy oni posmutnieli. Losy ich poselstwa wprędce się rozstrzygnąć miały.

Każdemu z nich teraz stanęły trudności zadania. Od czego począć? Jak postąpić?

Przedpełk pierwszy przeżegnał się, znakiem tym wzywając niejako opieki Bożej, za nim poszli drudzy.

Przewodnik, mały człek, twarzy czerwonej, okrągłej, wesołej, lśniącej, rad, że już zbliżył się do celu, był w najlepszym humorze, śmiał się do nich w przekonaniu, iż oni też równie być powinni weseli, i

zdziwił się mocno, zobaczywszy zasepionych.

— Tak, tak, Miłościwi Panowie — wołał w swoim języku, głos coraz podnosząc — to, to

jest stolica Burgundii i wielkich książąt Zachodu (*Grands Ducs d'Occident*). Tam około miasta, chociaż stąd ich nie widać, płyną rzeki nasze, Ouche i Suzon, tam dalej dolina Saony. Ta wieża górująca nad innymi to kościół patrona Świętego Benigna, choć nie mniejszy od niego święty Urban, którego grób ma kościół Świętego Jana. Oto ten za murami. Widać go stąd dobrze. Tam dalej kościół Świętego Michała, a tu, Najświętsza Panna Targowa (*du Marche*), a te mury duże, to klasztor Kartuzów, którzy wino robią doskonale dla Ojca świętego i co roku mu je posyłają, bo takiego, jak nasze, cały świat nie ma. Inne wina to kwas i pikietka przy burgundzkim, a kartuzi mają sekret, że go lepiej niż inni robią.

Stary, rozgadawszy się, nie mógł powstrzymać, zwłaszcza wpadłszy na wino, które lubił.

— Zobaczycie, Miłościwi Panowie, gdy wam benedyktyni, bo podobno do nich jedziecie,

dadzą pokosztować tego, co oni sami piją, he! Chenove, Vosne, Pomard, Volnay, po szklaneczce człowiek odmłodnieje. To życie daje.

Czy tych pochwał winnic burgundzkich słuchali posłowie, którzy konie trochę

powstrzymawszy, w zadumie ciągle na miasto patrzyli, przewodnik nie umiał odgadnąć, widząc jednak, że dość obojętnie przyjmowano jego objaśnienia, zabierał się ruszyć naprzód.

Tymczasem Przedpełk, cichą dokończywszy modlitewkę, odezwał się do Szczepana:

— A co, bracie, nie wystoimy tu nic, jedźmy, trzeba raz to skończyć.

— Tak — odparł pan z Trłaga — co nalano, wypić musimy.

Westchnął.

Wyszota, który czasem się lubił sprzeczać, choć niewiele od nich mężniejszy, podchwycił:

— Tylko śmiało! Przedpełkowi teraz coś markotno i trwożno, no, a ja najlepszą mam otuchę. Z rana baba nam drogę przeszła z pełniuteńkimi dzbanami, z których się lało. Dobry omen.

Rozśmiał się Lasota i dodał:

— Lepszy jeszcze znak, że zajac, który się już nam wysforował drogę przebiec, uląkłszy się zawrócił.

Jechali tedy, z miasta nie spuszczać oka, a to się im coraz wyraźniej rysowało, chociaż ostry blask zachodzącego słońca spełził już był, cały krajobraz leżał w półmroku i w dali tylko ostatni promień światła, oddaleniem zamglony, blado na wierzchołku góry, Afryką zwanej, zawisł.

— Jak oni tu te swe ogrody, jak kościoły budują — westchnął, przyglądając się, Przedpełk

— co za gmachy, co za wieże! A jacy tu budowniczkowie, co kamień umieją wyrzynać jak kość słoniową i rzeźbić tak misternie! Kiedy my coś podobnego potrafimy?

— Jak gdyby — sprzeciwił się Wyszota — nasze kościoły także piękne, choć na inny sposób, nie były. Dajemy Panu Bogu, co mamy. On nam kamienia poskąpił, musimy Mu z cegły wznosić świątynie.

— Tak — rzekł Przedpełk — ale my bo i cegły tak jak Krzyżacy nie umiemy wypiec, polewą ją okryć i tak się z nią obejść, jak ci czarownicy. Oni piszą na murach ceglami, a w Malborgu, ci co z królem Kaźmirzem byli, mówią, z maleńkich kamyków nawet obraz Matki Boskiej ułożyli, przed którym ino na twarz padać. Stoi jak żywa, jak by się zjawiła.

— No — odparł Wyszota — juści temu, co Kaźmirz nieboszczyk pobudował, nic zarzucić nie można. Gmachy są przepiękne, a niech nam drugiego Kaźmirza Bóg da, będą jeszcze wspanialsze...

— Otóż, otóż! — westchnął Szczepan. — Drugiego nam takiego Piasta tylko brak...

Lasota, który pana oplakiwał dotąd, zawołał z wyrazem wielkiej boleści:

— Takiego, jakim Kaźmirz był, nie znajdziemy i wieki miną, a nie będzie! Kaźmirze tacy mrą bezdzietni!

Jadący przodem na mule coraz pospieszał, oglądając się na nich, i tak ich aż do wrót doprowadził. Stała w nich straż miejska, lecz że dzień był gorący, a czasy spokojne, na przybywających niewielką zwracała uwagę. Wyszedł, przecierając oczy, zaspany człek, w półbroi, z halabardą, a bosy, posłuchał, niewiele zważając, co mu mówiono, i ręką im pokazał miasto.

Przewodnik się był zobowiązał zawieść ich do dobrej gospody niedaleko Świętego Benigna, a o której opowiadał, że równej sobie nie miała, zwłaszcza piwnicą, gdyż tam zamkowa dwornia uczęszczała. Gospoda była pod znakiem Złotej Tarczy i szlachta a rycerstwo stawało w niej.

Burgundczyk ręczył, że u Urbana Bonjeana ani głodni, ni spragnieni nie będą.

Jechali tymczasem ciasnymi i dosyć krętymi uliczkami, które wysokie a nierówne domostwa otaczały, dziwnej budowy, z galeriami, znakami, wyskokami murów, klatkami zawieszonymi nad ulicą, z ogromnymi niskimi bramami czarnymi, w których ciemności widać było popstrzone światełkami dziwnie.

W tych przejściach już ludno było i gwaro. Przed niektórymi domami stali ludzie

poubierani w najosobliwszy sposób, rozmawiając głośno, pędzono bydło, prowadzono konie, tu i ówdzie pokazywał się zbrojny jeździec, który drzewcem włóczni zapierających mu drogę rozpychał.

Na naszych podróżnych, po których poznawano łatwo, że z daleka przybywać musieli,

oglądano się ciekawie. A że przewodnik im drogę torował, dowiadywano się od niego o ich pochodzeniu, o którym on pono też mało wiedział. W ten sposób z wolna musieli przebyć znaczną część miasta, nim się na plac przy katedrze dostali.

Lecz po drodze było na co patrzeć, bo choć większa część uliczek brudna była i niepozorna, mijali też gmachy wspaniałe i budowy piękne. Kilka razy się Przedpełk musiał zatrzymać, bo przy rogach domów i po placykach spotykali to Mękę Pańską, to obraz Najświętszej Panny, to wizerunek jakiego świętego, przed którym się pokłonić musieli.

Burgundczyk na ostatek z równą pociechą i równie wesołym uśmiechem, jak wprzód

miasto, tak teraz im wskazywał gospodę Pod Złotą Tarczą. W istocie nad szeroką, otwartą bramą domu rozległego, przez którego okna widać było ogień rozpalony we wnętrzu, wisiła tarcza wyłaczana. Opasły człek, rumiany, jasno ubrany, w czarnym berecie na głowie, stał u wrót, jakby na podróżnego czatując, chociaż gospoda próżną już nie była. We wrotach ludzi zwijało się dużo, z okien buchał gwar.

Gdy się zbliżyli podróżni nasi, a Lasota, który język lepiej umiał, wystąpił dla umowy z gospodarzem Urbanem, znalazł u niego uśmiech przyjemny, ukłon niski i przyjęcie wiele obiecujące. Pan Urban zaręczył, iż nigdzie im lepiej, bezpieczniej, wygodniej ani taniej być nie może. Zachwalał przy tym wino swoje.

Poziadali wszyscy z koni i oddawszy je służbie, która do stajni prowadziła, sami za panem Urbanem weszli do wielkiej izby gościnnej, bo innej wówczas, nad wspólną dla wszystkich, nie miano. Tu na oko trudno miejsce upatrzyć było, tak wszystkie stoły osadzili goście różni, lecz dla dostojnych cudzoziemców Urban postarał się jeden kąt opróżnić. Wszyscy się im ciekawie przypatrywali.

W głębi izby, starym obyczajem, pod oczyma gości była kuchnia. Mogli być świadkami, jak się dla nich przygotowywało jadło i za wcześnie nasycić jego wonią. Skwar i zaduch mimo okien otwartych panował wielki, a i wrzawa przy stołach nie mniejsza. Znaczniejsza część gości już była skosztowała doskonałego Chenove, którym gospodarz słusznie był dumny, języki rozwiązały się i głosy spotężniały, a miarkować ich nikt nie myślał, bo w gospodzie każdy panem i wszystko wolno.

Żołnierze zamkowi, właściciele winnic i posiadłości z okolicy, nawet księży kilku znalazło się za stołami. Wśród tego natłoku nikt z przybyłych, gdy się ze zbroi rozdzielali, pasów popuszczali i mieścili na twardych ławach, nie zważał na człowieka małego, pękatego, z dużą głową, jak kręgla utoczoną, a trochę łysą, z oczyma wielkimi i ustami szeroko rozciętymi, który od wnijścia podróżnych

nadzwyczaj się im pilno i z wielkim przypatrywał zdumieniem.

Tak się zdawał zdziwiony i niemal przelękły, zobaczywszy ich, iż usta wielkie otwarłszy mimowolnie, stał jak osłupiały, nie spuszczać już z nich oka. Człek był lat średnich, spasty, ubrany osobliwie, bo miał suknię czarną i jakby mniszą, podpasaną skórzanym paskiem, a na nogach proste trzewiki bez pończoch, na boso wdziane.

Gdy podróżni nasi usiedli, człowiek ten, z wolna i nieznacznie kołując, tocząc się, podsunął jak mógł najbliżej ku nim i ucho skierowawszy w stronę ich, choć udawał czym innym zajętego, pilno nasłuchiwać zaczął.

Przedpełk z Wyszotą mówili z sobą dosyć głośno po polsku — jakiś wyraz doleciał do uszu ciekawych i mały człek drgnął, zaśmiał się, ręce mu tłuste i mięsiste mimowolnie się złożyły jak do modlitwy, twarz zwróciła ku przybyłym. Z wyrazu jej wnosić było można, iż jakaś nadzwyczajna szczęśliwość całą jego istotą wstrząsała. Uśmiech, który wszystkie zęby białe i gęste obnażył, rozlał się po policzkach, czole, zmienił tę pyzată twarz w promieniejący obraz zachwycenia. Kto by go był naówczas zobaczył, sądziłby, iż miał widzenie niebieskie.

Chwilę postawszy, nagle rzucił się do najbliższego stojącego Wyszoty, pochwycił rękę jego i nic nie mówiąc całować ją począł. Łzy mu na nią strumieniem z oczów płynęły.

Wyszota patrzył nań, nie rozumiejąc, co to znaczyć mogło i czego chciał ten napastliwy człeczyzna, gdy z ust jego wyrwało się:

— Boże miłosierny! Nasi! Nasi!

Po polsku wymówione wyrazy te wszyscy usłyszeli i obrócili się ku niemu. Tłusty ów człek począł się dwoma kulkami bić po piersiach, śmiać się i wołać:

— A toć ja jestem Busław, Buško! A toć ja z tamtych co i wy! Ach, Boże, myślałem, że

dojdę, gdym tę mowę posłyszał! Nie ma na świecie takiej muzyki, jak ta mowa. Miłościwi Panowie, przez rany Zbawiciela, mówcie jeszcze, abym słuchał. Skąd wy tu? Skąd? Skąd?

— My? My? — odparł Przedpełk, zbliżając się. — Co my, ale ty skąd się tu wzięłeś u licha?

Śmiejąc się, ruszył ramionami mały, jak gdyby litował temu dziwnemu zapytaniu.

— Ależ ja jestem Buško! Buško! A któż nie wie o Bušku? Boże miłosierny!

Spojrzeli po sobie wszyscy, ale o tym Bušku nikt nie wiedział i nie słyszał. Wyszota tylko domyślać się począł i wpadł na przypuszczenie, że chyba z Białym może tu przywędrował. Tylko trudno było posądzać księcia, aby tak niepozornego, prawie karłowatego sługę mógł upodobać, za sobą ciągnąć i zatrzymać.

Rzekł tedy Wyszota:

— Słuchaj i miej rozum. Żaden z nas o Bušku nie wie. Kat cię zna, skądęś się tu wziął.

Mów!

Buško z wesołego stał się nagle dziwnie zasepionym.

— A to mi Miłość Wasza śliczną rzecz powiadacie — zawołał — że już o Bušku nikt na świecie nie wie, że o nim, a chyba już i o jego panu wszyscy zapomnieli!

— Któż twój pan? — zapytał Przedpełk. Ruszył ramionami oburzony tylko Buško.

— Mój pan — rzekł. — A, prawda! Sam się wyrzekł dobrowolnie tego, czym był; dziś ma w zakonie imię Benigna, ale przecie słyszeliście o gniewkowskim księciu Włodzisławie? Tak! tak! To był, no i jest mój pan. Ja z nim aż za morze pływałem do Świętej Ziemi i wszędzie, gdzie on był, tam ja byłem. Opuścili go ludzie, on się wszystkich wyrzekł, a mnie sobie wyprosił, że mi przy nim pozwolono zostać w klasztorze i czasem mu posłużyć, choć mnisi sług nie mają.

Tu westchnął.

— Buška wszyscy dawniej znali, że on księciu bajki prawił i pieśni śpiewał. No i teraz w klasztorze, gdy nikt nie słucha, w wielkiej tajemnicy ja mu czasem starą pieśń półgłosem zanucę.

Dla niego ja w tym przeklętym klasztorze się duszę, bo mi tu jak w więzieniu, i nie wiem, jak książe w nim wytrzymać może. On, co był księciem i panem, a tu lada mnich z nim za pan brat i gorzej, gorzej. Przyjdzie czasem opat i, ja tam nie rozumiem, co gada, ale z miny widzą, że nałaje.

Książe musi stać, słuchać, z rękami na piersiach złożonymi, ani mru, mru, jeszcze potem przyklęknąć i starego księdza w łapę całować.

Spoglądając ciągle po sobie, posłowie nasi porozumiewali się oczyma, ciesząc z tego, że im traf owego Buška nastreczył, i Wyszota się odezwał.

— My byśmy bardzo się księciu pokłonić chcieli.

— Ano, czemuż nie! — odezwał się ochoczo Buško. — Ja i tak muszę zaraz powracać do

klasztoru, bo jak bramę zamkną, to nie puszczą, śpij, gdzie chcesz, pod murem. To darmo! Powiem księciu, że panowie są z Polski i chcą go pozdrowić, a jutro rano po nabożeństwie, opat pozwoli...

— Trzebaż go o pozwolenie pytać? — zapytał Przedpełk.

— A jakże! — rzekł Buško, głową potrząsając. — Oni na księcia nic nie zważają, słuchać tu każdy

musi.

— I cóż? Wasz ksiązę rad ze swojego życia w klasztorze? — podchwycił Wyszota.

Buśko zrobił minę dwuznaczną i chwilę się namyślał nad odpowiedzią.

— Albo ja wiem — rzekł — ja od dzieciństwa księciu służę, a co w nim siedzi, nigdy nie wiem, takim go Pan Bóg stworzył. Są takie dni, że on zupełnie już zdaje się mnichem. Modli się, aż jęczy, bije w piersi, płacze, posługi pełni jak najprostszy człek, a potem coś się w nim przewróci i narzeka, aż żal nań patrzeć. Czasem piosnkę gdy zacznę nucić, tupnie nogą, rękę podniesie. — Won mi! Won mi! Precz z tym pogaństwem! — We dwa dni woła, drzwi zamyka i prosi: — Śpiewaj, zlituj się... — Słucha, oczy zakrywszy, i płacze. Czasem mu pozwalają wychodzić z drugim mnichem na miasto, za mury, gdzie stare drzewa. Spotka jadącego rycerza, to się odprostuje, ogień mu z oczów tryska; inny człowiek, skoczyłby na konia; a nazajutrz dyscypliną sobie ciało porzeże aż strach...

Byłby może Buśko opowiadał dłużej, gdyby głucho z dala dzwonek się jakiś nie odezwał.

Rzucił się żegnać, szybko mówiąc:

— Powiem panu o was, zmiłujcie się, nie jedźcie, nie widząc się z nim. Opat pozwoli.

Pokłonił się wszystkim z kolei, Wyszotę najbliższego w rękę pocałował i jak kula potoczył się, przedzierając przez tłum, a spiesząc z powrotem do klasztoru.

Dopieroż rozmowa się żywa zawiązała o księciu i o tym Buśku, którego sobie Przedpełk przypominał z dawniejszych czasów, że przy księciu błazna, sługi, powiernika i przyjaciela pełnił obowiązki, i że Biały, jak mówiono, niekiedy go bił, a czasami obsypywał łaskami i obejść się nie mógł bez niego.

Walał się teraz ulubieniec ów księcia w klasztorze między czeladzią, aby swojego pana, któremu lat służył tyle, nie opuścić.

Przedpełk bardzo wieszował sobie, iż go spotkali, i wnosił, aby przed księciem z początku o poselstwie nie mówić nic, przyjść jako goście, wybadać go i dopiero gdy się okaże skłonny jechać z nimi, wyjawić mu, z czym przybywali.

Wyszota nie bardzo się na to zgadzał, rozprawiano długo, na ostatek zdano jutrzejsze widzenie się na łaskę Bożą.

— Okaże się, co robić mamy, gdy go zobaczymy — rzekł Przedpełk. — Mnie się zdaje, iż

łatwo się domyśli, żeśmy tu nie z przypadku zawędrowali, bo tędy żadna droga nie prowadzi tam, kędy my jeździć nawykliśmy.

W izbie powoli przerzedziło się. W jednym jej kącie zostali na nocleg kupcy jadący z

Paryża do Awinionu; w drugim nasi panowie posłowie sobie kazali rozłożyć na ziemi. Na kuchni ogień dogasał, a wkrótce i stróże poczęli obwoływać gaszenie i pilność nocną.

## II

Cela była dość obszerna, z oknem jednym na ogród wychodzącym. Znać w niej było, że na ród i pochodzenie tego, który się w niej zamknął, pewien wzgląd miano. Ale reguła, której zwłaszcza z nowicjuszami trzymać się musiano, nie dozwalała zakonnikowi więcej mieć nad jedną izbę ani w niej sprzętu wygodniejszego nad spospolity klasztorny.

Łóżeczko twarde stało w jednym rogu, a przy nim klęcznik z Ukrzyżowanym; u okna był stół okryty, na którym kilka ksiąg leżało, lampka włoska i drobnostek kilka z pobożnymi godłami.

Na jednej ze ścian na tle złotym odmalowany święty Benedykt modlący się miał mnichowi przypominać jego powołanie.

W pośrodku izby tej z rana nazajutrz stał słusznego wzrostu mężczyzna, zbudowany silnie, szerokich ramion, w czarnym habicie zakonników świętego Benedykta. Twarz jego piękna, blada, z postrzyżonym włosiem jasnym, z ram tej sukni mniszej wychodziła, malując się wyraziście na szarym tle murów celi. Rysy jej regularne, oczy niebieskie, duże i wydatne, czoło wyniosłe, usta zapadłe i ściśnięte, stanowiły fizjonomię uderzającą wyrazem, charakterem niełatwym do odgadnienia, lecz wcale z suknią i powołaniem zakonnika niezgodnym.

Namiętności gwałtowne całe to oblicze zmęczyły i porysowały niezatartymi śladami przejścia swojego. Coś po nich zostało niespokojnego, podrażnionego, nie okiełznanego jeszcze.

Czasem, gdy czoło i oczy już się zdawały ukołysane i rozpogodzone, w ustach poruszających się i krzywiących, jak gdyby gorycz je struła, ból, ironia, gniew burzyły się niepohamowane. Białe, z długimi kościstymi palcami ręce to habit na piersi targwały, to się przesuwwały po czole dumnym, to zaciskały się namiętnie. Chodził, stawał, przysłuchiwał się.

Być może, iż w ten stan podrażnienia wprowadziła go wczoraj przez Buśka przyniesiona wiadomość, iż jacyś polscy panowie przybyli do Dyżonu i że się dawnemu księciu, dziś mnichowi, pokłonić chcieli.

Usłyszawszy to, Biały rzucił się poruszony i przejęty.

— Jak to? — zawołał. — Więc tam jeszcze nie zapomniano o mnie? Wiedzą? Znają?

Pamiętają?

Buśko od rana czatował przy bramie, aby tych gości pożądaných wprowadzić; dano mu



rozkaz taki. Opat był uwiadomiony. Nie obawiał się on i nie domyślał nic, nie sądził, aby potrzeba było wzbraniać księciu pociechy widzenia ziomeków swoich. Może pamięć na to, iż zbytnia surowość cystersów wygnała go stamtąd, czyniła opata łagodniejszym.

Posłowie z rana, przyodziawszy się pięknie, poszli do katedry wysłuchać mszy świętej i dopiero po niej stawili się u furty opactwa. Buśko, tak nędznie przyodziany jak wczoraj, już tu na nich oczekiwał. Wprawdzie brat Izydor był wyznaczonym, aby przy odwiedzinach jako świadek się znajdował, lecz nie spieszono mu dać znać, gdyż język, w którym rozmowa się toczyć miała, bytność jego czynił zbyteczną.

Posłowie, których starszy Przedpełk prowadził, z Lasotą razem weszli na próg celi, niskim ukłonem witając księcia. Gdy ich zobaczył, na bladą jego twarz na chwilę rumieniec wypłynął, oblał ją całą i zniknął. Księżę stał nie jak mnich, ale jak Piast, który swych wiernych ziemian przyjmuje. Jedną ręką o stół oparty, postawę miał prawie dumną. Po przywitaniu niecierpliwym księżę sam ich, nie czekając, zagadnął:

— Cóż wy tu macie do czynienia? Jakie was tu losy zagnały?

Wyrazy te wymówił po polsku, ale w ich dźwięku i pewnym przymusie a zajęknieniu czuć było, iż się od mowy tej odzwyczaił, że mu przychodziła z trudnością. Na nim samym uczyniło to przykre wrażenie, spuścił oczy.

— Długo by o tym mówić Miłości Waszej — rzekł Przedpełk — jakeśmy się tu do obcego kraju dostali, ale raz już będąc w Dywionie, chcieliśmy naszego Piasta nawiedzić i pozdrowić.

Twarc księcia pofałdowała się nagle.

— Piasta? — podchwycił. — Piasta? Nie ma tu już pod tą suknią (potrzęsnał mocno habitem, jak gdyby go chciał poszarpać), nie ma tu już ani Piasta, ani księcia, ale biedny sługa Boży, brat Benignus...

Skończył ciężkim westchnieniem. Oczy jego pobiegły żywo po przybyłych, szukając znajomej twarzy czy jakiegoś przypomnienia.

— Z kraju, z Polski jedzicie! — zawołał. — Co słyhać? Jak tam siostrzan mój, tak, boć siostrzenicę moją Ludwik poślubił, rządzi się u was, radzi mu jesteście?

— Król Ludwik wcale u nas nie rządzi — przerwał Wyszota — nie ma na to czasu. Więcej pono zajęty Włochami, Neapolem i Węgry niż Polską. Królowa stara u nas panuje za niego.

Ton, jakim to wymówił, więcej znaczył niż słowa. Księżę zrozumiał go, pół uśmiechu

gorzkiego przebiegło mu po ustach.

— A w Gniewkowie, w Złotorzy, kto siedzi? — spytał.

— Starostowie — odparł Przedpełk. — Księstwo wasze na króla idzie.

Ręka księcia, sparta na stoliku, zadrgała. Przedpełk patrzył nań jak w tęczę, badając wyraz twarzy i wrażenia przechodzące po niej, których ukryć nie umiał. Czas jakiś milczeli wszyscy, Lasota się zebrał na odwagę.

— Muszę Miłości Waszej — rzekł — pozdrowienie oddać od starego Bodczy z Drzdenka,

widziałem go i rzekł mi: — A gdybyście tam księcia mojego Władysława spotkali, pokłon mu oddajcie i mówcie, że my go nie zapomnieliśmy i tęsknimy za nim.

Książę cały zwrócony ku mówiącemu zdawał się chciwie połykać te słowa. Zarumienił się, rękę do piersi przyłożył.

— Poczciwy Bodcza stary — zawołał — gdym najniezszczęśliwszy był po stracie żony, on jeden żal dzielił ze mną i w jego domu najmilszą miałem gościnę...

— Córka też jego, Fryda — dodał Lasota — Miłości Waszej ukłon zaszyła.

Rzucił się mnich i krok cofnął, brwi mu się zmarszczyły.

— Fryda Bodczanka — rzekł głosem zmienionym — ależ ta dawno być musi komu poślubiona? Kto jej mężem?

— Nie ma męża — odparł Lasota. — Mówią, że wielu możnych rycerzy pomimo nalegania

ojcowskiego odmówiła. Dziewicą pozostała dotąd, a co dziwniej, tak jeszcze gładką jest i wydaje się młodą, jakby nie miała więcej lat dwudziestu.

Książę spuścił oczy i gryzł wargi, rozmowa ta widocznie przykrą mu była.

Przedpełk, Szczepan, Wyszota milczeli, zdawszy rozmowę na Lasotę, który, jak się im zdało, zręcznie nią pokierował, wedle ich myśli.

— Stary Bodcza — dodał Nałęcz — choć wiedział, że Miłość Wasza wdzieliście suknię zakonną, wszelako, jak uważałem, wcale nadziei się nie zbył, że Miłość Waszą zobaczy u nas.

Mamy przecie benedyktyńskie klasztory.

Biały cofnął się aż do okna i wnet ku posłom się zbliżył.

— Rad bym być jak najdalej, najdalej od was — począł namiętnie — aby przeszłość

zapomnieć, bo ona wrócić nie może.

— Jako? Jako? — wtrącił żywo Przedpełk. — Bóg jeden wie przyszłość. Król Ludwik, jak nasz nieboszczyk Kaźmirz, męskiego nie ma potomstwa, a królestwo nasze nie pójdzie po kądzieli.

Nie! Będziemy mu może Piasta szukać musieli! Kto naówczas wie? Biały z obu stron habit swój pochwyił i począł nim trząść.

— Ta suknia, kto ją raz włożył, do ciała przyrasta! — zawołał. — Nie można jej zrzucić.

— Przebaczy mi Miłość Wasza — odezwał się Wyszota. — Ojciec święty, zastępca

Chrystusa na ziemi, może ze ślubów zwolnić i rozwiązać. Mieliśmy tego przykład na Kaźmirzu, na Mnichu, który tak jak Miłość Wasza w zakonie świętego Benedykta śluby złożył.

— Nie mąćcie mi spokoju — przerwał gwałtownie książe — pokusami tymi. Swiatam się zdradliwego i znikomego raz wyrzekł. Kusicielami nie bądźcie!

Przedpełk z wolna krok naprzód postąpił, rola mu się zdała przygotowaną i czyniąc pokłon, odezwał się:

— Otóż czas Miłości Waszej wyznać prawdę całą. W istocie kusić przybyliśmy, ale nie z własnej naprawy, tylko od ziemi naszej wielkopolskiej, utrapionej wielce, upokorzonej, nieszczęśliwej. Pana potrzebujemy, Piasta chcemy, na Waszą Miłość oczy się obróciły.

Wielkie swe niebieskie źrenice książe wlepił w mówiącego, zdziwiony, przelękły, zmieszany, drżący. Gdy Przedpełk umilkł, on odpowiedzieć nie mógł. Słysząc było oddech przyspieszony, dyszenie ciężkie.

— Coście rzekli? — począł cicho. — Coście rzekli? Ślub mój wiąże mnie jak kajdany, a iść tam, znaczyłoby to przeciw siostrzeńca, przeciw koronowanego króla. Nie godzi mi się.

— Papież rozwiąże sumienie — rzekł Wyszota.

— Mylicie się — odparł Biały. — Ojciec święty we francuskich jest rękach, andegaweńskiemu domowi oddany.

— Na dziś jeszcze o porywaniu się przeciw niemu — rzekł Przedpełk — mowy nie ma.

Tymczasem książe byś swoją dzielnicę odzyskał, gdy i Każko szczeciński ją dostał, i Włodek opolski też na Rusi. Potem, gdyby godzina wybiła...

Książa uszy sobie zatknął. Na twarzy jego przestrzasił się malował i wzruszenie nadzwyczajne, drżał cały.

— Szukałem tu spokoju — zawołał — w tych murach, z dala od kraju, gdzie mnie żaden

głos z niego dojść nie mógł. Żywy zamurowałem się w ten grób, a wy mnie z niego wyciągnąć chcecie, abym z mnicha stał się znowu pospolitym grzesznikiem i duszę zgubił. Precz ode mnie, kusicielu!

Odwrocił się, posłowie stali nieruchomi.

— Grzech Miłości Waszej — odezwał się Wyszota — my rozbierzemy na siebie, niech

tylko Miłość Wasza prósb nie odrzuca. Piasta nam potrzeba, aż tuśmy za nim przyszli; nie godzi się odpychać, co i z prawa, i z widomej łaski Bożej na was spływa. Mnichów, co by chwałę Pańską głosili, dosyć jest, a krwi Piastów nam braknie.

Książę to uszy zatykał, to słuchał, rzucał się w tym szczupłym kącie między stołem a oknem, to cofając, to podchodząc, łamiąc ręce i uciskając piersi.

— Dość — rzekł — dość, na teraz już, proszę was, dosyć tej mowy! Dajcie mi się

rozmyśleć, Bożego wezwać natchnienia, Ducha Świętego pomocy. Idźcie z Bogiem, czekajcie, wezwę was...

Przedpełk dał znak towarzyszom; on sam i oni mieli pewne politowanie nad nieszczęśliwym księciem, który był zmęczony i poruszony straszliwie. Pot kroplami występował mu na czoło, chwiał się na nogach, chwycił za stół.

Nie mówiąc nic, stąpając ostrożnie, posłowie zaczęli iść ku drzwiom. Pierwszy, co je powoli uchylił, Lasota spłoszył od progu przytulonego uchem do drzwi Buśka, który odskoczył jak oparzony i pędem zbiegł w drugi koniec kurytarza. Nie przeprowadzani już przez nikogo, zadumani, trochę smutni, wszyscy wysunęli się z klasztoru z bardzo różnymi myślami i domysłami.

— Nie będzie z tego nic! — zawołał, za furtę wychodząc, Szczepan z Trłaga.

— Któż ci to powiedział? — ofuknął Wyszota. — Owszem!

Przysiędzem gotów, że się rozmyśli. Gdyby nie chciał, nie kazałby nam czekać, dałby odprawę i kazał powracać.

— A gdyby ją nawet dał — wtrącił Przedpełk — ja bym go nie posłuchał i kusił po wtóre, po trzecie. Owszem, jam dobrej myśli, weźmiemy go...

— I ja też tak sędzę — dodał Lasota. — Uśmiechnie mu się swoboda. Mówił, że suknia

przyrasta; znać mu cięży. Gniewków jak Gniewków nie skusiłby, ale więcej się czegoś spodziewać będzie.

Gwarzyli tak, powracając do gospody, gdy Buško, ledwie ochłonawszy ze strachu, bo go na uczynku podsłuchu schwytano, zawrócił się, podbiegł znowu pode drzwi celi, postął chwilę przy nich, przeciągnął się i, otworzywszy je, wśliznął ostrożnie do środka.

Ksiązę klęczał przy łóżku zatopiony w modlitwie, z głową spuszczoną, a rękami maď nią wyciągniętymi. Słyszał czy nie, gdy się drzwi otwierały, tnie poruszył się, nie obejrzał — modlił się. Ze znużenia na duchu osunął się z wolna ku ziemi i przysiadł. Modlitwa skończyła się zadumą głęboką.

Buško stał i śledził każde poruszenie, którego znaczenie długi pobyt przy księciu nauczył go tłumaczyć.

Po pewnym przeciągu czasu Biały powstał nagle, odprostował się, przybrał postawę

niewłaściwą mnichowi, ujął się w bok i spoglądając ku drzwiom, zobaczył Buška, który z dala próbował mu się uśmiechać. Nie odważył się go jeszcze zagadnąć. Ksiązę, którego podpatrzył

wśród walki dusznej, groźno nań patrzył.

— Paneczku, paneczku — cicho począł od progu Buško. — A co? A co? Nie dobrych ja

wam gości przyprowadziłem? Oni nas stąd chcą zabrać! Jak Bóg miły, dobrze by to było! Ach, dobrze! Skończyłyby się nasze męki. Wrócilibyśmy panować do Gniewkowa. Co Panu Bogu po nas, kiedy my się do tej służby nie rodzili, ani ksiązę, ani ja. Ja bym wolał drwa rąbać w czystym polu; tu więzienie i niewola. Lada gbur przewodzi księciu, a minie lada kleryk w kark tłucze i obchodzi się jak z bydlęciem, dlatego że ja po łacinie nie umiem.

Złożył ręce.

— Paneczku, jedźmy z nimi! Popróbujmy szczęścia. Klasztor, no klasztor, kiedy już

koniecznie ma być, to choć tam, w tej ziemi, gdzie nasi ludzie, a tu...

Ksiązę marszczył się, słuchając.

— Milczcie mi! — zawołał. Począł się po izbie przechadzać.

— Gdybym i chciał, nie puszcza mnie stąd — począł na pół do siebie, wpół do Buška, przy którym zwykł być mówić, co mu na myśl przychodziło. — Pokazują mnie tu jak kość wielkoluda, co wisi w kruchcie, za osobliwość gościom swoim, chlubią się, że mają krew królów polskich w zakonie. Musiałem porzucić cystersów, jeżeli od benedyktynów ujdę, co powiedzą ludzie?

— Paneczku — żywo przerwał Buško — a niech oni sobie tu gadają, co chcą, my ich stamtąd słyszeć nie będziemy. Kiedy po nas te pany przyjechały, jedźmy! Jedźmy!

Ksiązę milczał. Ośmielony Buško zbliżył się do niego.

— Niech paneczek przypomni — rzekł cicho — te dni straszne, kiedy mu habit cięży i

piecze, kiedy w nocy zasnąć nie można, bo się Gniewków śni i Polska śni. Wiele to razy chcieliście boso bodaj i o kiju się stąd wyrwać? Albo taki nie było? Albo ja nie słyszał i nie widział?

Lepiejże z nimi teraz jechać, niż gdy ich nie będzie, jęczeć i żałować.

Ksiązę spojrział nań pogardliwie, gniewnie, lecz nie odpowiedział nic, uczuł słuszość uwag tych błazna swego.

Przed wieczorem Buško, posłany do gospody Pod Złotą Tarczę, nazad z sobą jednego tylko Przedpełka prowadził. Ksiązę chciał z nim mówić sam na sam.

Stawił się powołany. Zastał Białego po walce odbytej, po rozmyślach, po wewnętrznych z sobą samym rozterkach, uspokojonym na pozór.

Zobaczywszy wchodzącego, Biały podszedł uprzejmie ku niemu i odezwał się, jakby

naprzód był przygotowany do tego:

— Rozważyłem, coście mi przynieśli. Nie mówię ani tak, ani nie. Mnich, złożywszy śluby, wyrzekłem się woli własnej, nie władam sobą. Mówcie z opatem, poddany mu jestem...

Przedpełk pomyślał mało.

— A jeżeli opat pozwolenia odmówi?

Biały zamilkł. Milczenie było znaczącym. Przedpełk je wołał niż odpowiedź.

— Dziś mam mówić z opatem? — zapytał.

— Dziś lub jutro — odparł ksiązę. — Pora wieczorna może mniej właściwa, dziś ja go uprzedzę o przybyciu waszym, nie mówiąc, z czym przyjechaliście, jutro was przyjmie.

Stary poseł mało co już więcej mógł dobyć z księcia dnia tego; pożegnał go i wyszedł.

Buško, który wszystko podsłuchiwał i namiętnie śledził ruch każdy przybyłych, pobiegł w ślad za Przedpełkiem do furty.

— Z opatem będziecie mówili? — począł szeptać. — O, o, to bardzo kuty człek i wielka

potęga! Ludzie przed nim drżą, myśli zgaduje, a srogi jest, ale — tu głos zniżył — klasztor potrzebuje

wiele, łakomi są, podarkiem wiele zrobić można.

Oczyrna dał znak i zniknął.

Przedpełk, powróciwszy do swoich, opowiedział, z czym go odprawiono. Do opata sam iść nie życzył. Więcej powagi miało poselstwo całe, a i rozmowa, którą trzeba było prowadzić po łacinie lub z pomocą Lasoty jako tłumacza, bo ten język Francuzów trochę umiał, łatwiejszą być mogła.

Znowu więc na mszę świętą ranną przybywszy, wszyscy w strojach swych paradnych, z niej wprost się udali do klasztoru. Tu już na nich oczekiwać musiano i zakonnik od furty krużgankami sklepiionymi powiódł ich do izb, w których opat uroczystość zwykł był gości przyjmować.

Gmachy te ozdobne wielce, pełne rzeźb i malowań, okryte godłami i napisami,

wspaniałością swą musiały na przybyłych wielkie uczynić wrażenie.

Nawet ozdobny zamek krakowski, który za cudo uchodził, nie mógł się równać

benedyktyńskiego klasztoru wytwornemu budowaniu i misternemu przyozdobieniu.

Opat Zachariasz, rodem z południowej Francji, mąż wielkiego ducha, rozumu i nauki,

którego nieraz do rady Walezjusze wzywali, osobą swoją mógł też wrazić poszanowanie. Książęca była postać, dumna, piękna, a przy tym dziwnie pogodna i siłą a energią imponująca. Z

nadzwyczajną uprzejmością, ale z majestatem biskupim przyjął gości, twarzą wesołą, wzrokiem ciekawym.

Ponieważ rozmowa była trudną po łacinie, Lasota jako orator wystąpić musiał. W krótkiej przemowie swej wyraził, że kraj, z którego przybywali, tęsknił, pozbawiony panujących krwi swej, za potomkami rodu, z którym go wieki wspólnego życia łączyły. Z tego powodu chcieli odwiedzić księcia, a zarazem radzi by go mieć u siebie, choćby w którym benedyktyńskim klasztorze. Dodatek ten uczynił Lasota, aby złagodzić nieco żądanie, z którym przychodzili.

Opat w odpowiedzi ostrożnej pochwalił przywiązanie do swych monarchów ziemi im

wiernej, lecz zarazem ubolewał nad tym, iż mnich każdy, zerwawszy ze światem, już żadnym względem spraw świeckich ulegać nie może.

Na to Lasota przygotowany, odpowiedział przykładem Kazimierza Mnicha i odwołał się do

władzy nieograniczonej papieża.

Opat zmarszczył się nieco. Rozmowa splątała się. Lasota wyczerpał argumenty

przygotowane. Posłuchanie przedłużało się nadaremnie, gdyż ze wszystkiego widać było, że opat ani się chciał dać przekonać, ani nawet wdać w rozprawy. Począwszy rozmowę wesoło, zakończył

ją również uprzejmie, pobłogosławił, dał rękę białą ucałować i z niczym odprawił.

Wyszedszy, dopiero postrzegli, iż z daleko mocniejszym od siebie mieli do czynienia, z człowiekiem, co ich odgadywał, zbijał to, czego jeszcze nie powiedzieli, i przełamać się dać nie myślał.

Od opata zaszli do księcia zafrasowani. Biały przyjął ich pogrążony, smutny, niespokojny.

Mogli tylko postrzec po nim, że opór przełożonego podziałał nań jak bodziec.

Mówił już o możliwości swego wyjazdu, jakby o rzeczy postanowionej i tylko od zgody opata zależnej. Wielki więc krok dokonał się, dziwnym sposobem z łatwością niespodziewaną.

Pozostało wyjednanie przyzwolenia opata. Zgodzono się na to, aby doń wysłać Lasotę, który podjął się tego. Cały dzień upłynął na przygotowaniach, naradach, wywiadywaniu się ubocznym o różne szczegóły.

Lasota nazajutrz z pokorą młodego człowieka, ale z wprawą dworaka, który na świecie

bywał i z ludźmi mówić umiał, stawiał się przed opatem. Nie miał jego przebiegłości i nie myślał też nią walczyć z nim. Począł mu się wynurzać otwarcie, dając z siebie dobywać wszystko, co miał

powiedzieć. Był szczerym i naiwnym. Opatowi się podobał, zatrzymał go dłużej. Rozmowa zamiast pół godziny trwała dwie całe.

Oczekujący na powrót jego w gospodzie Pod Złotą Tarczą niespokojni być zaczęli, gdy uznojony parlamentarz ich nareszcie z dosyć wesołą powrócił twarzą. Było to tajemnicą Lasoty, w jaki sposób zdołał wymóc na opacie pozwolenie dla księcia, aby się udał do Ojca świętego do Awinionu i tam przedłożył mu żądanie swoje.

Chociaż więc nie triumfowali jeszcze, krok był znowu uczyniony stanowczy, a ważność jego oceniliby lepiej, gdyby byli wiedzieli, co się w klasztorze działo.

Po odprawieniu Lasoty opat wezwał do siebie Białego. Nikt nie był świadkiem ich rozmowy, która trwała długo, lecz gdy u drzwi czekający Buśko zobaczył swego pana wychodzącego, pomimo otyłości swej poskoczył.

Książę wybiegł na korytarz zmieniany, z twarzą jasną, rozpromienioną, zapomniawszy tych ruchów powolnych i pokornych, do których nawyknięcie w klasztorze tyle go kosztowało. Krokiem pospiesznym pobiegł do celi. Tu było mu ciasno, było mu duszno, śmiał się, chodził, Buśka poklepał po ramieniu.

— Jedziemy I — rzekł.



Wysłał go do gospody oznajmić tam, aby mu konie i co potrzeba do podróży

przysposabiano. Gdyby to było możliwym, wyjechałby natychmiast, lecz wyjazd odłożono do jutra, czekając na listy, które opat miał kazać wygotować; na towarzysza, którego chciał dać księciu; na przygotowanie do podróży.

Buśko, który księcia nie opuszczał nigdy, rozumiało się to samo z siebie, sposobił się też do wyjazdu, nie kryjąc z radością swoją. Jakkolwiek ciężko mu było usiedzieć na koniu z jego krótkimi nogami, a droga, od której odwykł, była dlań okrutnie męcząca, cieszył się z wyzwolenia.

I na księciu widać było ożywienie jakąś nadzieją. Wczoraj jeszcze mnich, dziś przybrał postawę, ton i oblicze książęce.

Przedpełk i towarzysze jego mocno się tym radowali, bo obudzenie w nim rycerskiego

ducha rokowało wiele. Do dnia, po nabożeństwie i błogosławieństwie opata, Biały wraz z towarzyszem swym mnichem, któremu listy do papieża powierzone były, w orszaku polskim zawrócił ku Awinionowi.

Gdy na pagórek wyjechali, z którego Diżon i jego kościoły widać było, Buśko, na końcu kawalkaty jadący, odwrócił się ku miastu, zdjął czapkę z głowy, pokłonił mu się i pożegnał je.

— Bogdajby oczy moje więcej murów waszych nie widziały, tylko wina trochę żal będzie...

Z jakim uczuciem żegnał Biały ten klasztor, w którym czas jakiś pokoju zażywał, nikt, nawet towarzysz, odgadnąć nie mógł. Płakał chwilami i śmiał się, zasępiął i rozmową wcale nie mniszą zabawiał z Lasotą, który więcej mu mówił o pięknej Frydzie Boczance, o łowach w okolicy Gniewkowa, o rycerskich zabawach, niż o tym żywocie zakonnym, z którego obowiązków książę nie był wyzwolonym jeszcze.

### III

Dwa całe lata upłynęły od tej chwili, gdy polscy posłowie Władysława Białego uprowadzili z opactwa świętego Benigna, a ani w Gniewkowie o nim, ni w Wielkopolsce słyhać nie było.

Oczekiwano go też na próżno z powrotem do klasztoru. W Awinionie papież Grzegorz XI,

Francuz rodem, dla dynastii panującej we Francji wylany, z którą tak blisko spokrewnionym był

Ludwik Węgierski, prośby Białego księcia wysłuchać nie chciał. Próżne były nalegania i zabiegi; przewidując zawikłania, jakie sekularyzacja księcia mogła na Polskę ściągnąć, Grzegorz XI stanowczo się oparł uwolnieniu od ślubów.

Posłowie polscy na próżno tu oczekiwali zmiany. Biały oświadczył im, że dłużej w

Awinionie pozostanie, i odprawił do Strasburga jednych, drugich do Bazylei, tam się z nimi

obietując połączyć. Miał bowiem nadzieję zawsze, iż papieża ubłaga.

Minął tak czas jakiś.

Książę na koniec znużony wykradł się tajemnie z Awinionu z jednym podobno Buśkiem i choć od ślubów uwolnionym nie był, suknie zrzuciwszy, w stroju jakimś podróznym, na pół rycerskim, z mieczem u boku zjawił się oczekującym. Lasota chciał go z sobą do Polski pociągnąć.

Była jakaś nadzieja, że się może da skłonić do tego.

Potem jednego poranku, nie opowiedziawszy się nikomu, książę uszedł, zostawiając list tylko, iż musi wprzód udać się na dwór króla Ludwika. Nagonił go uchodzącego Lasota, pragnąc zawrócić, lecz nie mogąc dokazać tego, sam się poświęcił i musiał z nim jechać do Budy. Od tej pory ani o księciu, ani o Lasocie słyhać nie było.

Przedpełk ze Staszowa, Szczepan z Trłąga, Wyszota z Kórnika powrócili do domów, z narzekaniem wielkim na niestałość umysłu człowieka, który gorączkowo chwycił myśl każdą i wkrótce ją równie namiętnie odpychał. Niewiele było można rachować na charakter taki, którego wybryków i zmian nagłych obliczyć nigdy nie było podobna.

W ostatniej swej rozmowie z posłami, on, co ich jadąc do Awinionu, śmiałością swych pomysłów zadziwiał, co marzył już o zdobyciu korony i przypominał im Łokietka, niespodzianie, nagle, zmienił zupełnie plany swoje.

— Niech mi mój Gniewków oddadzą — wołał — nie chcę więcej nic. Potrzebuję spoczynku — przyjaciół dosyć nie mam, zapomniano o mnie, porywać się nie chcę na to, czego nie dokonam.

Ludwik mi Gniewków oddać musi.

Z tą już myślą, niedaleko sięgającą, Władysław pojechał do Budy.

Dwa lata upływało, w Polsce się go przestano spodziewać. Dochodziły wieści, że książę w Budzie na łasce siostrzenicy siedział, nic u Ludwika nie mogąc wyprosić, nawet małego Gniewkowa.

Wstawiała się za nim królowa, na próżno, Ludwik go lekceważył i śmiejąc się, żartobliwie mówił mu:

— Mnichem jesteś, dam ci tu na Węgrzech opactwo w lasach, abyś miał gdzie polować i

skryć się w gąszczach, gdy ci klauzura dokuczy. Wierz mi, to dla ciebie lepsze od Gniewkowa, gdzie ci ludzie głowę zawracać będą, a ty powolny im, głupstwa możesz robić. Żal mi cię. Bądź na Węgrzech opatem!

Mówiono też, iż Władysław, jak opatem być nie chciał, tak i o ślubach zakonnych, od których uwolnionym nie był, zapomniał. Suknię zrzucił samowolnie, nosił się po świecku, włosy zapuścił, miecz przypasał i do panien dworu młodej królowej Elżbiety się przysiadł.

Lecz fantazje te u niego nie były trwałe.

Czasem dosyć było głosu dzwonka, na drodze otwartych drzwi kościoła, rozmowy z zakonnikiem, by nagle napadła go skrucha. Zaczynał pokutować, modlić się, mówił niespokojny o powrocie do celi, dopóki piosenka Buśka i nowi towarzysze z tej drogi go nie sprowadzili.

Buśko, choćby był rad do Gniewkowa wrócić, z którego był rodem, godził się z losem, jaki ich spotkał w Budzie. Wino węgierskie przypominało mu Chenove i Vosne, choć czasem żałował

Pomarda, a o panu swym wyrażał się, podpiswszy, że on takim umrze, jakim żył, na pstrym jeżdżąc koniu.

W Wielkiej Polsce w inną stronę Nałęcz zwracali oczy. Nie rozpaczano, że się mazowieccy do czegoś skusić dadzą.

Tymczasem Otto z Pilcy sam się zrzekł wielkorządów, na których usiedzieć nie mógł.

Doradcy królowej Elżbiety przekonali się, iż Wielkopolsce dać potrzeba było Wielkopolanina.

Mianowano w miejsce jego Sędziwoja z Szubina, którego przyjęto, ciesząc się nim, jak otrzymanym nad Małopolany zwycięstwem.

Było to wczesną a najbrzydszą wiosną 1373 roku. Dersław Nałęcz, któremu starania o pozyskanie jednego z Piastów nie powiodły się, siedział w swej Wielkiej Wsi, mniej teraz ogólnymi zajmując się sprawami. Całą pociechą jego było słuchać obfitych plotek o rozmaitych niepowodzeniach króla Ludwika i starej królowej. Cieszyło go niepomiernie, gdy narzekania na ich rządy słyszał, a żale po Piastach.

Cała też niemal Wielkopolska, choć nic nie mogła przedsięwziąć, aby się spod obcego, jak mówiono, panowania wyzwolić, to co Dersław myślała i czuła. Była nieprzejednaną, była niechętną, najmniejsza zřeczność mogła tu wybuch spowodzić.

Dersław miał zwyczaj mówić i powtarzać z tą jakąś pewnością proroczą, którą czasem przybierają ludzie starzy:

— Zobaczycie! Zobaczycie! Ja powiadam wam, nie umrę, aż znowu Piasta zobaczą na

tronie. Wróci nasza krew, powróci!

Śmieli się z niego niektórzy, ramionami podrzucali, inni, słysząc go z taką stanowczością powtarzającego zawsze jedno, gotowi byli mu uwierzyć.

I wielu w Wielkopolsce powiadało naówczas:

— Derśław Nałęcz ciągle prawi, że nie umrze, póki znowu na tronie Piastów nie zobaczy.

Ludzie wierzyli w powrót starego pańskiego rodu, choć nikt go sobie nie umiał

wytłumaczyć ani się domyślał, jak to przyjdzie.

— Pan Bóg wszechmocny! Bóg czyni cuda! — powiadano. — Czemu by nie miał nam

Piastów powrócić?

Jednego dnia tej brzydkiej wiosny 1373 roku Derśław gniewał się po szlachecku na Pana Boga, na deszcz, na zimno, na wiatr, które mu z domu nie dawały wyruszyć. A siedzieć w domu z synem i żoną samemu, bez nadziei, żeby kto w pluchę taką przywiózł plotkę, bez możliwości wybrania się po nią w sąsiedztwo, Derśław nie lubił. Gryzł się tą nudą tak, że i jeść nie mógł, i wszystkich łąjał a gderał.

Wtem, gdy raz jeszcze zrozpaczony wyglądał przez małe okienko w podwórze, ujrzał z

podziwieniem wielkim przed oknem samym łeb koński, a na łbie tym bardzo sobie dobrze znane rzemieńne z mosiądzem ozdoby, których choć od wielu lat nie widział, był pewnym, że je u Lasoty pamiętał. A tego nieszczęsnego Lasoty już lat przeszło dwa nie było, bo się do Białego przywiązał i z nim pozostał.

Derśław natychmiast wypadł do sieni i tu mu do kolan się pokłonił obmokły Lasota, na

którego twarzy trudów długiej włóczęgi nie bardzo znać było. Wyglądał zdrowo, tylko się na Węgrzech opalił.

— A ty tu co robisz, niewierny człecze? — zawołał wesoło Derśław, ściskając go.

Lasota palec na ustach położył, znać dając, że podróż jego miała cel jakiś tajemny. Weszli do izby. Tu, dla powitania ulubionego powinowatego zaraz się zbiegli wszyscy, stary

Derśław zauważył, że szczególnie córka Piotruszka rumieńcem i uśmiechem przyjaznym przyjęła gościa. Nie w smak mu to było.

Przed rodziną Lasota o powodach przybycia swojego nie powiedział nic nad to więcej, iż mu się do nich stęskniło, ale Derśław dobrze wiedział, iż coś ukrywać musi.

Poszli więc we dwu do komory starego.

— Co się z tym szalonym księciem stało? — zapytał Derśław.

Nałęcz ruszył ramionami.

— Ba — rzekł — szalonym go zowiecie, a ja bym chciał w nim trochę więcej szaleństwa, a mniej rozmyśłów. Dotąd, oto już lat dwa siedziemy w Budzie, prosząc się do Gniewkowa. Królowa nas zwodzi, obiecuje, męża męczy, a Ludwik się w oczy Białemu śmieje, do klasztoru go pędząc.

Ani mnich, ni świecki człek, to habit przywdziewa, to zbroję, to się myśli żenić, to chce pokutować.

— Niechże go... — przerwał zniecierpliwiony Derśław — nie mów już o nim.

— Właśnie muszę — odparł Lasota — bo choć tak rzeczy źle stały, nareście mu się uprzykrzyły obietanki próżne, przekonał się, że królowa nie może nic, a król nie chce. Pogniwał się na Ludwika, gotów siłą iść zdobywać choć swą dzielnicę.

— To dobrze — krzyknął Derśław — to dobrze! Gdy Gniewków weźmie, o co, spodziewam się, będzie łatwo, ochoty nabierze i do dalszych zdobyczy. Zadarłszy się z królem, naszym się stanie.

— I ja tak sędzę — rzekł Lasota — alem ja z tym do was przybył, abyście mu dali o czym i z kim się wydobyć z Budy. Oprócz Buśka, który mu piosenki śpiewa i niedorzeczności prawi, nie ma nikogo. Królowa mu skapo daje na utrzymanie, król umyślnie morzy go, aby opactwo wziął i nie bruździł mu. Trzeba grosza i trzeba ludzi. Wielu ich przyprowadzić nie można, boby to oczy zwróciło, choć kilku mieć musi, aby nas lada zbój na drodze nie odarł.

Derśław potarł włosy.

— Ano — zawołał — jak tylko deszcz ustanie, który przecież wiecznie padać nie może, trzeba do Przedpełka, Szczepana i Wyszoty się udać. Oni coś obmyślą.

Deszcz w istocie ustał nazajutrz, a choć pora była jeszcze chłodna i wietrzna, Derśław wyruszył z Lasotą po dworach tych ziemian, którzy dawniej Białego chcieli.

Ale tu znalazł zrażonych, narzekających nań, zniechęconych i Lasota miał wiele z nimi kłopotu, nim ich nawrócić potrafił. Przedpełek sam jechać już nie chciał, wybrano trzech młodzieży, złożono trochę grosza. Lasota się ofiarował prowadzić.

Pomimo roztopów wiosennych ruszyli zaraz na Węgry znanymi gościńcami, którądy od

Krakowa handel szedł. Do Budy samej wszystkich ich nie przyprowadził ostrożny Lasota; zostawił

w pierwszej wsi pod miastem, gdzie miał znajomego Węgra który z Krakowem kupczył. Sam, jak znikł był jednego dnia ze dworu króla Ludwika, tak nieznacznie się na nim zjawił.

Nie było w tym nic dziwnego, gdyż dla spraw włoskich, dla stosunków swych z całym

światem, węgierski król otoczony był nieustannie przybyszami ze wszystkich stron Europy. Dwór był świetny, liczny, ożywiony, a że się tu sprawy wielkiej wagi ciągle układały, nie bardzo na ludzi pomniejszych zważano.

Biały ksiązę, którego jedna tylko królowa siostrzenica miała w opiece, bardzo podrzędne na dworze zajmował stanowisko. Niekiedy tylko Ludwik, który uczonych lubił, naukę cenił, a w powinowatym trochę więcej jej znajdował niż w pospolitych ludziach otoczenia swojego, zagadywał księcia Władysława o różne kwestie. Ten, choć wiele wiedział, słyszał i czytał, najczęściej go niecierpliwił tym, że maleńkiej nauki swej zaraz chciał zażywać dla okazania swej wyższości nad królem.

Tak w kwestii, która Ludwikowi na sercu leżała, w sprawie sądów bożych, ordaliów, które on chciał u siebie znieść i dowodził ich niewłaściwości, ksiązę Biały upierał się, broniąc instytucji tej, jako przez kościół uznanej. Król Ludwik utrzymywał, że Boga tak samo jak wzywać

nadaremnie zabraniało przykazanie, tak Go też do lada walki powoływać nie godziło się. Ksiązę obyczaju dawnego, dowodzącego wielkiej ufności w Boga i sąd zdającego nań — uparcie bronił.

Ważnili się tak o wiele innych rzeczy, a w końcu ksiązę całkiem serce do niego stracił. W

jednej z tych chwil rozdrażnienia postanowił ująć z Budy i wyprawił Lasotę po pieniądze i ludzi.

Kilka tygodni upłynęło, nim Nałęcz powrócił, i gdy się przed księciem stawił, z wielkim zdumieniem swym znalazł go już ze zmienionym zdaniem.

— Ludzi kilku i pieniądze księciu przywożę — rzekł, witając.

Biały przyjął go chłodno.

Po chwili począł bąkać, iż pora wiosenna nie sprzyjała wyprawie, że królowa znowu

zapewniała go, iż dla niego wyrobi dział w Polsce; zakończył tym, by pieniądze mu oddano, a ludzie powrócili i czekali, aż ich wezwie.

Lasota miał już dosyć tego nieustannego wahania się i zmienności.

— Miłościwy Ksiązę — rzekł — Wielkopolanie przysłali trochę grosza, ale z tym, aby był

użyty natychmiast na podróż. Jeśli Ksiązę zmienileś zamiar, ludzie i pieniądze nazad powrócą, a i ja z nimi, bo też nie mam tu co robić.

Zarumienił się i zawstydził ksiązę, i nic nie odpowiedział.

Lasota gniewny wyszedł. W istocie zabierał się do odjazdu, gdy nazajutrz Buśko nadbiegł, do księcia go wzywając.

Biały namyślił się. Wróciła chęć wyprawy do Polski, miał tym razem najmocniejsze już

postanowienie — ucieczki z Budy. Dwa dni tylko żądał zwłoki. W ciągu nich księżę dwa razy jeszcze wahał się, rzucał poczęty przybór, a w ostatku nagle, pod pozorem polowania, wymknął się z Buśkiem razem na wskazane miejsce i — ruszyli ku Krakowu.

Pełen był najgorętszego zapału i najpiękniejszych nadziei. Wyobraźnia jego snuła już na szczupłym wątku najwzorzystszą tarninę. Lasota, choć w duszy się uśmiechał z tych marzeń, nie śmiał go rozczarowywać.

Jechało się małymi dniami, trochę lękając pogoni, zbaczając z gościńców, a że pora była nie bardzo sprzyjająca podróży, księżę, nim do Krakowa przybyli, znużył się, zniechęcił, opadł na siłach. Musieli go towarzysze podtrzymywać, zachęcać, namawiać. Na noclegi przybywali zrozpaczeni; gdy się trafił spoczynek dobry, męstwo powracało. Tak się wlekli ku Wielkopolsce.

Już się do niej zbliżali, gdy spór wynikł z tego, od czego poczynać i skąd należało.

Lasota i inni wszyscy radzili księciu, alby od Gniewkowa swojego rozpoczął, gdzie miał

przychylnych ludzi, sługi stare. Księżę natomiast, choć łatwo się zrażał, gdy teraz nabrał jakiejś nadzwyczajnej otuchy, nie znał granic fantazji bujnej. Chciał ubiec z czterema ludźmi ni mniej, ni więcej, jak Gnieszno. Dowodził, iż miał tam znajomych, oddanych sobie, iż mieszczenie mu pomogą, a duchowieństwo się ulęknie i jeden z najważniejszych grodów wielkopolskich odda w jego ręce.

Było to tak nieprawdopodobnym i dziecinnym, że towarzysze ogłupieli, lecz Biały ani

mówić z sobą dozwalał, upierał się, stał przy swoim, zmuszał ich do tego kroku.

Szczególniej na jednego mieszczanina Hanke rachował Biały. Ojciec Hanki tego, a byli

ludzie zamożni, pochodził z Gniewkowa i rodzina miała wielką miłość zachować dla swojego księcia. Hanko wprawdzie tak młodym był, gdy księżę z kraju się oddalił, że mógł go nawet nie poznać, Wszelako u niego się on bezpiecznym czuł i, w 'najgorszym razie, pewnego języka chciał tu dostać.

W sam dzień Narodzenia Najświętszej Panny, który przypadał w piątek, wieczorem

przesunęli się nie postrzeżeni przez bramę miasta, a zapytawszy o Hanke, prosili u niego o gospodę.

Nie było jeszcze późno. Bogaty mieszczanin gromadką, która mu się wydała być

ziemianami z okolicy, przyjął uprzejmie. Księżę wszedł do izby z gospodarzem, rozochocony, iż mu się tu bez przeszkody dostać udało, najlepszej myśli, wesoły.

Z gościnnością starodawną Hanko, młody człek, żywy, roztropny, ludzki, kazał natychmiast podać jedzenie, sam przyjmując swych gości i usiłując dowiedzieć się, skąd przybywali. Zrazu nie poznał on wcale ani się domyślał księcia, lecz po jakimś czasie Biały postrzegł, iż mu się bardzo pilno i z

wielkim podziwieniem przypatrywać zaczął.

Uderzyło go i przypomnienie podobieństwa jakiegoś, i to może, iż goście nie umieli

opowiedzieć się, skąd jechali. Bo osobno każdy prawił co innego. Książę, nie myśląc się ukrywać bardzo przed Hankiem, gdy się sam na sam zostali, coś przebaknął o Gniewkowie. Wzmianka ta utwierdziła Hankę w domysłach. Przyskoczył do kolan księcia wzruszony wielce.

— Ja poznałem Miłość. Waszą — zawołał — nie ukrywajcie się przed sługą swym.

Jesteście księciem z Gniewkowa. Ale u nas mówiono, iż do klasztoru zamknęliście się dobrowolnie.

Książę rad, że go z takim uczuciem przyjmowano, nieostrożny i zawsze pod pierwszego

wrażenia wpływem działający porywczo, odparł, śmiejąc się:

— Nie będę zaprzeczał. Tak! Chcę odzyskać, co mi Kaźmirz wydarł niesłusznie, a, kto wie, może i co więcej.

Nieopatrzne to wyznanie w początku bardzo rozczulonego Hankę ostudziło. Uląkł się.

Wtem książę, położywszy mu rękę na ramieniu i sądząc, że go już ma całego, począł

szeptać:

— Jest u was załoga? Jak myślą mieszczanie? Co słyhać między duchownymi? Gdybyście mi pomogli, od Gniezna bym począł.

Hanko struchlał, długo odpowiedzieć nie mogąc.

— Miłościwy Panie — szepnął. — Arcybiskupich ludzi jest z półtorasta głów, a nasze

mieszczanstwo nie rycerskiego ducha i boi się wszelkiego zamieszania. Na miłość Bożą, nie narażajcie siebie i nas!

Mówiąc to, drżał cały Hanko. Książę spojrział nań nieledwie z pogardą, zmilczał.

Tymczasem mieszczanin, który i księciu się narazić nie chciał, a miał resztkę przywiązania do niego, począł mu powoli opowiadać o Gnieźnie, o siłach przeważnych, o mnogości ludu, który by przeciw niemu się mógł podnieść, razem poddając inną myśl.

— Ja to wiem z pewnością — rzekł — że na Włocławku załogi tak jak nie ma. Ledwie kilku ludzi, zamek otworem, ani wątpić, że gdybyś książę wjechał, poddaliby się.

Z równą gorącością, jak przed chwilą chciał zdobywać Gniezno, Władysław chwycił się

myśli opanowania Włocławka.



Hanko mówił prawdę, bo istotnie Włocławek stał prawie bezbronnym i mógł być

ubieżonym, lecz chcąc się Białego pozbyć z Gniezna, tym goręcej mówił, dodając, iż potrzeba było natychmiast korzystać z czasu, bo lada dzień mogą przyjść rozkazy, aby się na czujności miano z powodu ucieczki księcia.

Noc jeszcze nie zapadła była zupełnie, gdy ksiązę, rozgorzawszy ogromnie poddaną mu

myślą opanowania Włocławka, zawołał Lasotę i tej chwili w drogę się wybierać rozkazał.

Tymczasem Hanko, istotnie przejęty tym, że dawnego pana miał pod swoim dachem, na jak najświetniejsze zmagął się przyjęcie. Posłał po najstarszy miód, po wino, mięsiwem zastawił stoły, rozradowany był i poruszony.

Uczucie to podziałało na księcia. Widział się tak dobrze przyjętym, witany tak radośnie i serdecznie, iż uważał to za najlepszą wróżbę i ani wątpił, że Gniewków go przyjmie otwartymi rękami, że wszyscy pójdą z nim, że w dni kilka zbierze seciny zbrojnych. Zapalony tym Biały, pomimo [nadchodzącej nocy naglił o najspieszniejszy wyjazd.

Widząc go tak usposobionym, ani Lasota, ani towarzysze jego nie chcieli ostudzać, gotowi byli iść z nim, gdzie ich powiedzie.

Ksiązę w tej chwili okazywał coś w sobie tak rycerskiego, taką siłę miał i w drugich wlewał, że wszyscy czuli się, jak on, gotowi, choć w liczbie szczupłej, rzucić się na najszańsze kroki. Nie było też bezprzykładnym naówczas ubieżenie zamków przez kilku zuchwałych a zręcznych ludzi.

Lasota rad był, że Białego nareszcie widział takim, jakim go tu mieć chciano.

Zaledwie dokończywszy wieczerzy, ksiązę konie kazał przyprowadzić. Hanko ofiarował się im do bramy towarzyszyć i postarać, aby ją otwarto. Czuł się też biedny człek w obowiązku, ugościwszy pana, jakimś podarkiem wedle ówczesnego zwyczaju go uczcić. Na samym wyjezdnym biegał, łamiąc sobie głowę, co by mu mógł ofiarować, i wreszcie najulubieńszego sokoła, który do łowów był unoszony, przyniósł księciu, gdy już na koniu siedział.

Dar to był w tej chwili, gdy nocą spieszyć musiano i nie bardzo było komu ptaka doglądać, dosyć kłopotliwy, lecz ksiązę i sokoła za dobrą wróżbę uważał. Kazał go jednemu z towarzyszy na rękawicę wziąć, oczy mu kapturkiem przysłoniwszy, i wdzięcznie od Pianki go przyjął.

Tak tedy w Gnieźnie zyskawszy zamiast rycerzy tylko ptaka, którego później Buškowi

oddano w opiekę, i choć się opierał, kazano mu go piastować, ruszyli o gwiazdach ku bramie, przeprowadzeni przez Hanka, drogę im do Włocławka rozpowiadającego.

Noc miała starczyć na dostanie się do grodu, który, jak Hanko zaręczał, stał pusty niemal i bronić się nie mógł.

We wrotach znajomy stróżom mieszczanin otworzyć je kazał, a nikt się z jadących nie

potrzebował ani pokazywać, ni prosić. Zaledwie za wrota wybiegłszy, książę sam stanął na czele szczupłej gromadki, ręką wskazał kierunek drogi i wyciągniętym puścił się kłusem.

## IV

Już gródek włocławski widać było na wyniosłym brzegu Wisły, z miasteczkiem

okrażającym go, dosyć szeroko a ubogo rozsiadłym, gdy na gościńcu, którym jechali, Lasota postrzegł gromadkę konnych, poprzedzającą ich i także ku miastu zdążającą. Chociaż rozpoznać było trudno jadących, wprawne oko mogło się w nich domyślać rycerskich i zbrojnych ludzi.

Spotkanie to nie na rękę było im wszystkim, Lasota radził zwolnić koniom kroku i dać się wyprzedzić, ale książę dotąd trwający w usposobieniu jakimś niepomiernie zuchwałym, przeciwnie, wyprzedzić ich zażądał. Nie dał sobie mówić nic i koniowi wraziwszy ostrogi, popędził wprost na jadących, inni też opuszczać go nie mogli.

Gromadka, która ku Włocławkowi z wolna się zbliżała, składała się w istocie ze zbrojnej czeladzi, na której czele jechał sędziwy mężczyzna, okryty kozuchem z kun dostatnim, z różańcem w ręku. Wyrazista to była twarz, z oczyma przymrużonymi, ogromnymi usty wpółotwartymi, nosem niewielkim i policzkami wystającymi. Ten, kto ją raz widział, poznałby ją zawsze, tak charakterystyczny miała wyraz jakiejś osłupiałej flegmatycznej zadumy.

Książę, pomijając starego, odwrócił się ku niemu i zobaczywszy go, koniowi cugli skrócił.

Stary oczyma, które już niezbyt dobrze widzieć musiały i zmrużały się, z wysiłkiem patrząc, począł

Białemu się przyglądać, gdy ten nagle zawołał doń:

— Gniewosz?

Usłyszawszy ten głos jeździec drgnął cały.

— Z tamtego świata wołanie? — krzyknął. — W imię Ojca! Postaci nie widzę, a głos słyszę gniewkowskiego pana? Toć nie może być!

— A jest! — zawołał książę, stając przy nim. — Gniewosz! Jam jest.

Staremu się dwie łzy stoczyły po bladych policzkach.

— Cud więc się stał — rzekł głosem drżącym.

— Stanie się jeszcze większy, jeśli wy mi, wiernie dochowawszy pamięci, pomożecie. Jadę moje dzielnicę odbierać. Król mi ją oddał...

Bez rozmysłu fałsz ten wyrwał mu się z ust.

— Wy, stary Gniewoszu, ze mną, naprzód do Włocławka. Zamek obejmuję na siebie...

Gniewosz, który różaniec co prędej, przeżegnawszy się, do pasa przyczepił, cugle zagarnął, skrócił i trochę niespokojny obejrzał się, ile książę ludzi miał na zajęcie zamku.

Zobaczywszy kupkę nie liczniejszą od swojej, odezwał się:

— Gdzież rycerstwo księcia?

— Nadciąga — odparł Biały — tymczasem go nie potrzebujemy. Włocławek przecie słowu memu zawierzy i opierać się nie będzie. Za mną, stary!

Gniewosz też opierać się nie myślał, mocno wzruszony jechał obok księcia. Czeladź jego pomnożyła liczbę tych, co warowny bądź co bądź gródek opanować mieli.

Nie było to zamczysko zbyt silnie naówczas obronne, spalone kilkakroć przez Krzyżaków, naprędce na nowo osypane wałem i opasane ostrokołami, niewiele miało murów, nadwerężonych, ogorzałych i polepionych dość niedbale. Tyle podobnych twierdz stało po granicach i domagało się przerobienia ich z gruntu, iż na wszystkie rąk i kosztów nie stawało. Co pilniejsze i co ważniejsze, murowano, reszta kolei oczekiwać musiała. Tak i Włocławek.

Książę, któremu się zdawało, że wpadł na myśl bardzo szczęśliwą, zmyśliwszy, iż mu król sam powrócił jego dzielnicę, pospieszał co żywiej, spodziewając się, że tym sposobem nie tylko Włocławek, ale natychmiast i sąsiednie potrafi ubiec warownie.

Tu już miał przyjaciół, rachował na swoich.

Gniewosz stary, święcie uwierzywszy w to, co słyszał, a miał przywiązanie do krwi i do tego domu Piastów, u których na dworze młode lata przebył, odżył i poruszył się wielce.

— Miłościwy Książę — zawołał, gdy się już do zamku zbliżali — a po co ja tu wam

potrzebny? Włocławek, gdy się tylko ukażecie, na pewno wam zdadzą, czy nie lepiej by było, abym ja z moimi przodem pospieszył do Gniewkowa z radosną nowiną i tam się do was ludziom kazał gromadzić na przyjęcie pana?

Książę pomyślał trochę. Stary Gniewosz wprawdzie orszakowi szczupłemu dodawał

powagi, lecz w razie oporu nic by nie pomógł. Przygotować zaś mieszczan i sąsiednich około Gniewkowa ziemian mogło być bardzo przydatnym.

— Gniewków to nic — ciągnął dalej stary. — Tam księcia otwartymi rękami przyjmą, boć

inaczej im było za was niż teraz za starostów królewskich. Ze Złotoryją ciężej będzie, bo na tej Romlik siedzi z ręki króla, a że mu się dobrze dzieje, gotów trudności robić i opór stawić.

— Gniewoszu mój, przyjacielu stary — krzyknął książę, który nabierał odwagi coraz więcej

— jedź, jedź przodem do Gniewkowa, ale ostrożnym bądź. Będziesz wiedział, komu się zwierzyć.

Zbierz mi ludzi co najwięcej... O Złotoryi naradzimy się w Gniewkowie. Jedź w imię Boże!

Starowina Gniewosz, w którego też duch wielki wstąpił, już dojeżdżając do miasteczka, zawrócił, cały przejęty posłannictwem swym, na prost do Gniewkowa.

Biały pozostał sam. Lasota poznać go nie mógł.

— Kupą teraz, a śmiało! — zawołał. — Wpadniemy na zamek, a tam, zuchwale a śmiało!

Nikt się przeciwko mnie porwać nie waży! Naprzód!

W małym już oddaleniu od wrót byli, widzieli je od gościńca otwarte na oścież, brana była podniesiona, ludzi prawie nie widać. Czasu pokoju nie potrzebowano się zamykać po całych dniach i na noc tylko spuszczano bronę.

Kłusem wyciągniętym, księżę przodem, za nim wszyscy jego towarzysze, czeladź, na końcu Buśko z sokołem trzepiącym mu się na rękę, popędzili na most. Zadudniało, wpadli już w dziedziniec, dopiero ludzi kilku bez zbroi, bosych, wyrwało się z kątów, zaglądając, kto taki przybywał. Biały krzyczał, stojąc na koniu. — Sam tu, do mnie! Kto tu starszy?!

Za księcia przykładem Lasota i inni podnieśli głosy ogromne, wrzawa się zrobiła i w tej chwili przestraszony nią, z mieczem w rękę, ale bez zbroi też i hełmu, wyskoczył z bocznego zabudowania Gąska, dowodzący na zamku.

Był to człek męzny, ale zardzewiały w spokoju, powolny już, bo podstarzały, umysłu tępego trochę. Widząc wpadających na zamek ludzi niewielu, a gospodarzących tu i wołających nań, jak by do tego prawo mieli, nie mógł przypuścić, aby się tu działo coś nieprawidłowego, napaść taka zdawała mu się niemożliwą.

Biały z koniem podjechał ku niemu.

— Wyście tu starszym? — zawołał groźnie.

— A ja!

— Nie znacie mnie? Gąska popatrzał nań.

— Skąd bym miał znać? — odparł.

— To drudzy mnie poznają — rzekł księżę. — Przyjeżdżam z rozkazem królewskim, aby

mi zamek był oddany. Rozumiesz. Jestem księżę gniewkowski. Król Ludwik puścił mi moją dzielnicę, z Włocławkiem i innymi grodami. Zajmuję zamek od tej chwili.

Stary Gąska pogładził węża.

Cóż miał na to odpowiedzieć, nie domyślał się podstępu i zdrady.

— Każ się stawić załodze całej, aby mi wierność ślubowała natychmiast — dodał książę. —

Czasu nie mam do stracenia, bo na mnie już w Gniewkowie czekają.

Odwrócił się do Lasoty:

— Jedź na miasto do sołtysa i wójta, niech mi się mieszczanie zaraz tu stawia!

Nałęcz zawrócił konia i pobiegł. Gąska stał, nie wiedząc, co poczynać. Ludzie zamkowi, nie wołani, na sam krzyk i wrzawę zbiegli się niemal wszyscy. Niektórzy z nich poznali dawniej widzianego księcia; innym też zmiana smakowała, bo w pierwszej chwili zawsze nowe panowanie ucztą się poczyna i piwem oblewa.

Głosy po podwórzu odzywały się radosne ku księciu. Opierać się nikt nie myślał. Biały więc śmiało z konia zsiadł, a zobaczywszy to pierwszy Buśko, który jazdy nie lubił także, z ptakiem swym z siodła się stoczył.

— Prowadźcie mnie do izb, gdzie one są! — zawołał książę do Gąski.

Ten, jak stał na pół odziany, ruszył się posłuszny i drzwi główne popchnął, torując drogę.

Biały dał znać swoim, aby u wrót pozostali, a sam z Gąską wszedł do środka.

Tymczasem Lasota, wbiegłszy do miasteczka, równie zuchwale począł wołać wójta,

ławników, sołtysa i alarm zrobił wielki, opowiadając, że książę zamek zajął i powołuje ich do siebie.

Wiadomość ta jak piorun spadła na mieszkańców Włocławka. Nic się podobnego nie

spodziewano, lecz że zawsze książęce rządy lżejsze bywają niż starostów, a mają urok jakiś, nie przestraszyli się wójt i ławnicy. Wieść po mieście gruchnęła:

— Na zamek! Na zamek!

Z dawnych czasów znajomych i przyjaznych księciu znalazło się ludzi trochę, ci innych pociągnęli. Kto żyw, wdziawszy opończę, przyczesawszy włosy, świętecznego dobywszy kołpaka, pospieszał do zamku, aby pierwszym być do powitania przyszłego pana.

Pomiędzy rybakami, którzy się tu uważali wedle podania za najstarszych osady założycieli, wielu było majątnych, inni handlem mad Wisłą dorabiali się grosza i równie byli zamożni.

Starszyzna ta groszowa nie ociągała się też. Mieć swojego własnego księcia wydawało się im wcale pięknym. Miasto się mogło podźwignąć i podnieść. Rybacy i kupcy myśleli już o tym, jakich by się przywilejów i swobód od księcia domagać mogli.

Z tak różnymi myślami, lecz w ogóle jak najlepiej usposobieni, mieszczanie, kupcy, wójt, ławnicy, wszelkiego zawołania lud — poczęli żywo zdążać do zamku.

Lasota też powracał, spełniwszy polecenie. Ogół ludu z radosnymi twarzami szedł witać pana, a było go już we wrotach, na podwórzu, na gościńcu, na zamku tyle, iż wszelkie niebezpieczeństwo oporu ze strony załogi ustało. Gąska też nie myślał o niczym, tylko o spełnieniu rozkazów księcia.

Biały, nim jeszcze wyszedł do tłumu, który na niego czekał w podwórzu, zawołał Gąskę, który zbroiczkę i hełm przynieść sobie kazał, aby mu ludzi natychmiast zebrał i gotowych stawił do zajazdu Gniewkowa.

Część załogi nielicznej miała pod dowództwem Sciborka Poboga z orszaku księcia pozostać we Włocławku, stary Gąska w pięćdziesiąt zbrojnych ludzi szedł na Gniewków.

I to rozporządzenie, wydane śmiało, nie znalazło najmniejszego oporu. Szczęśliwa

widocznie gwiazda świeciła powrotowi Piasta do swej dzielnicy, wiodło mu się nad spodziewanie wszelkie. Zuchwalstwo jego popłacało, miał więc prawo zostać przy nim i podwoić je jeszcze.

Kto by go widział tego poranka, silnego, śmiałego, rozkazującego, nigdy by się nie domyślał, że cała ta energia była ogniem słomianym, który gorzał jasno, ale trwać nie mógł długo.

Nawet Lasota sądził, że na ostatek człowiek uśpiony w nim odżył i że teraz jest tym, jakim ma być już na przyszłość.

Jeden może biedny, zmęczony Buško, który z równie jak on sam smutnym, najeżonym

ptakiem siedział osowiały w pierwszej komorze i wszystkim do niej zagląającym powtarzał: —

Dawajcie jeść i pić — jeden Buško przeczuwał złego coś i jego podniesiony, wesoły głos księcia nie łudził.

Gromada mieszczan, kupców, rybaków, różnego ludu zalegała już podwórce całe, gdy

książę, namyśliwszy się, nareście wyszedł na przedsienie do niej. Przybrał postać, oblicze, dumę, wzrok nakazujący panującego. Łatwym mu to było, miał w istocie urok pewien, który choć baczniejszego wejrzenia nie mógł oszukać, dla tłumu miał w sobie coś poszanowanie obudzającego.

Panem się urodził, a choć natura ta już siły wewnętrznej swej pozbawioną była, zachowała blask powierzchniowy.

Z uśmiechem na ustach, pańsko, łaskawie, majestatycznie począł witać Biały odkryte przed nim głowy. Wójt pierwszy kołpak podniósł do góry i zawołał:

— Żywie!

Cały gmin z niezmiernym zapałem powtórzył za nim okrzyk.

Skłonił się książę.

Buśko, korzystając z tak dobrego usposobienia, odsunął trochę okna i do bliżej stojących z ruchem niecierpliwym zawołał półgłosem:

— Pić i jeść dawajcie!

Nikt go słuchać nie miał czasu, gdyż wszystkich oczy były w księcia wlepione, uszy wszystkich zwrócone ku niemu.

Polszczyzną trochę łamaną, ale zawsze zrozumiałą, książę przemówił do starszyzny, ciesząc się, iż powraca na swą ojcowiznę, do nich, zalecając im dotrzymanie wiary, obiecując łaski wielkie.

Nic go to nie kosztowało, a mogło pomóc wielce. Przyobiecował więc swobody Włocławkowi, jakich żadne miasto nie miało, myto dla niego na rzece pobierać się mające, skład towaru przymusowy, uwolnienie od opłat wielu.

Okrzyknięto znowu księcia. Zapał rosł ogromnie.

Starszyzna teraz dopiero pomiarkowała, jak się znalazła nieprzyzwoicie, idąc bez podarku na powitanie księcia. Było to przeciw wszelkim tradycjom odwiecznym, które wymagały, aby podwładny ani do pana, ani do sędziego, bodaj do wójta i sołtysa nie szedł nigdy z próżnymi rękami. Rybacy także zmiarkowali, że cześć ich wymagała przynajmniej szczupaka dla pana, a coś mniejszych płotek dla czeladzi.

Zaczęto się w tym ważnym przedmiocie naradzać po cichu, myśląc wyprawić do miasta

kogoś, co by tę omyłkę starał się naprawić i ściągnął coś od mieszkańców, ale czasu byłoomal.

Książę wołał, aby mu, co było na podorędziu, dano do jedzenia, i zapowiadał, że się natychmiast z Gąską udać musi do Gniewkowa.

W podwórzu już szykowali się posłuszni wojacy Gąski, wywodząc konie, chwytając oręż,

jaki się dał znaleźć, i mocno wbici w pychę tym, że straż przyboczną księcia stanowić mieli. Stary pułkownik także przejęty był tym, że u boku pana po długim wypoczynku powołany jest do czynności.

Orszak ten, który miał towarzyszyć Białemu, wprowadzie po świetnych rycerzach, jakich się on napatrzył na dworze Ludwika, nie wydawał mu się bardzo okazałym, prawdę rzekłszy był

lichym, zawsze jednak wart był więcej niż czterech ludzi z dodatkiem Buśka, z którymi tak szczęśliwie Włocławek zając się udało.

O przyszłości nie wątpił już książę, zdawało mu się, że tak samo powinny mu się poddawać

wszystkie zamki królewskie. Przypisywał urokowi swojego imienia, co było dziełem przypadku.

Gniewków, do którego poprzedził go Gniewosz, zdawało mu się, że już miał w rękę.

Tłum okrzykujący go tutaj zapowiadał ogólne uznanie i prędkie skupienie się sił znacznych.

Nie tylko Gąska z ludźmi wyznaczonymi miał stąd towarzyszyć księciu, różnego ochotnika znalazła się w mieście garść spora. I nim rybacy ze swą daniną, a ławnicy z podarkiem z miasteczka pospieszyć mogli, Biały już Sciborka Poboga nad zamkiem stanowiąc swoim starostą i zdawał mu resztę załogi, a sam co spieszniej na koń się siadać zabierał do Gniewkowa.

Buśko zmęczony byłby także chętnie pozostał z sokołem jako część załogi na Włocławku, lecz obawiał się księcia opuścić i zostać osieroconym. On jeden w to nadzwyczajne szczęście pana swojego nie wierzył.

— Gdzie by się jemu poszczęścić co miało? — mruzczał sobie. — My jeszcze pewnie na szenowskie wino do Dyżonu powrócimy.

Smutnych tych myśli ni© dzielił jakoś nikt.

Zalecając na zamku pilność, w mieście posłuszeństwo i wierność, księżę po drodze już

wyposażony baryłką miodu puścił się ku Gniewkowowi. Prowadził z sobą więcej kopy ludzi zbrojnych, miał już we władaniu zamek jeden, drugiego był tak jak pewnym.

Ponieważ Lasota w ostatnich czasach często mu czynił wyrzuty i okazywał nieufność,

księżę z tej chwili skorzystał, aby przywoławszy go do swego boku, wskazać na swe wojsko i rzec z uśmiechem zwycięskim.

— A co, Nałęcz? Powiecie wy mi jeszcze, że nie umiem działać, gdy potrzeba?

— Miłościwy Księżę — odparł Lasota — zdumiewam się, cieszę i tylko życzę, aby tak szło dalej.

— Pierwszy krok najtrudniejszy — śmiejąc się, zawołał Biały. — Gniewkowa jestem

pewny. Czekają tam już na nas. Z dwoma tymi zamkami już się trzymać mogę, ale nie myślę na tym poprzestać, mim się wieść rozniesie, zajmę ich jeszcze kilka. Potem Ludwik się będzie musiał rachować ze mną; Wielkopolan mam za sobą.

Gdy to mówił księżę, twarz mu pałała i promieniała, zdawał się odmłodzony, rumieniec

miał na ustach. Uderzył po mieczu u boku i dodał:

— Reszty żelazo dokona!



Lasota, zmianę szczęśliwą widząc, skłaniał głowę i przyznawał księciu wszystko. Tylko Buśko jechał smutny.

Drogę do Gniewkowa, nie żałując koni, przerzucając się najprostszymi bezdrożami, książę i jego orszak odbył w krótszym czasie, niż się sam spodziewał. Zbliżając się ku temu staremu gniazdu swojemu, Biały spoważniał trochę. Spotykały go tu co krok wspomnienia młodości, szczęścia, pierwszych lat życia niepowrotnych, ozłoconych nadziejami tyłu.

Pomimo zwycięstwa, smutek i jakieś złowrogie przeczucie zaczęły nim zawiadywać. Czuł, że szczęście, jakiego tu kosztował, dwa razy nie powraca w życiu. Chmura przesunęła się po czole i zawisała nad nim, ścisnęło serce.

Nie dojeżdżając do zamku, rozweselił się znowu, widać było, że Gniewosz go tu poprzedził.

Starzy słudzy, dawny dwór, ludzie, co pamiętali minione czasy, konno i pieszo wybiegali na spotkanie. Pomimo opowiadań i zaręczeń Gniewosza nie chciało się im wierzyć, aby książę-mnich, zrzuciwszy kaptur, po latach tyłu do nich powracał. Z Białym dobrze się im działo. Miał wprawdzie dziwactwa swoje, a łaska jego bywała nietrwałą i zmienną, lecz nie był nigdy zbyt okrutnym, pamiętano mu, co dobrego czynił.

Zoczywszy nadciągający orszak, ludzie gniewkowscy podnieśli okrzyk wielki. Niektórzy z nich na gościńcu popadali na kolana, ręce podnosząc, inni do strzemion jego biegli, chwytając i całując nogi.

— Książę nasz! Książę nasz! — krzyczano, biegnąc za końmi, wyprzedzając się, czapki podrzucając do góry.

Buśko, który dotąd kwaśny był i zasępiony, uległ zarazie tego rozczulenia, które wszystkich ogarnęło. Pucułowata twarz jego i szerokie usta uśmiechem się rozjaśniły, podniósł sokoła na rękę, który mu się miotał, tak nieostrożnie, że kapturek źle przymocowany spadł mu z głowy, a ptak, który pęt na nogach nie miał, korzystając z chwili, skrzydła rozwinął i swobodnie puścił się w powietrze. Niewielka była nadzieja, aby teraz do ręki, do której był nie nawykły, powrócił.

Strata się mogła odbić na plecach Buśka, lecz uniesienie i radość były tak wielkie i powszechne, że on wcale na to nie zważał, książę o czym innym myślał.

I jego ogarnęło wzruszenie. Stał znowu na tej ziemi, którą za swą spuścizną, za ojcowską uważał. Lud go tu witał jak pana swego rodzzonego, z którym wieki związek utrwały.

W podwórzu zamku opuszczonego bardzo, który mu się wydał ruiną, nie tylko Gniewosz

stał, nie tylko cała starszyzna miejska, ale kilku ziemian zwołanych naprędce. Oprócz tego gmin cały wysypał się na powitanie. Zapał, jaki się objawił we Włocławku, nie mógł być porównanym do tego uniesienia, z jakim go tu witano.

Jest w naturze ludzkiej to przywiązanie do wspomnień przeszłości. Niejedno serce

potrzebuje lat długich rozłąki i zapomnienia, aby żywej uderzyło niż naówczas, gdy się ta miłość zawiązywała.

Księżę pod wrażeniem triumfu, który odniósł, zsiadł z konia. Tak, był to ten sam jego dworzec stary, u którego progu niegdyś z młodą żoną stał, witany tak samo; u tego progu, który potem po zabójstwie Kiwały, po osieroceniu swym opuścił bez żalu. Był tu znowu i miał drugie rozpocząć życie.

Nie dano mu długo myśleć ani się wspomnieniami zachmurzać, twarze dawniej znajome, zmienione, postarzałe, jakieś inne, choć te same, gdyby widma zachodziły mu drogę. Stare niewiasty, które porzucił tu młodymi jeszcze prawie, płakały. Z dawnej jego służby, która wyglądała świetnie, niedobitki zjawiały się odarte, w łachmanach.

W izbach, do których go prawie na rękach wniesiono, ledwie ściany nagie też same pozostały, odarte, szerniałe, zbrukane. Tylko tęsknica i smutek przyległ do nich, radość, co tu mieszkała, uleciała. Pustką wiało i stęchliwą grobową. Radosne okrzyki dziwnie jakoś odbijały się o te ściany.

Rękami ujął się za głowę i mimo woli na myśl mu przyszło, że był postrzyżonym mnichem, który zakon porzucił i Panu złożone śluby połamał. Dlaczego właśnie w tej chwili to przypomnienie ubodło go w serce?

Nie dano mu się rozzalić. Stary Gniewosz, który się już tu jakby za wojewodę i marszałka razem książęcego uważał, cisnął się do niego. Ziemianie Sikora, Zlazły, Dziegiel, Zaraza, Szaszor — otaczali go z pokłonami i pozdrowieniami.

Wszyscy wyrażali z prosta, jak byli szczęśliwi, że im powracał. Księżę wbity w pychę tym powodzeniem już myślał tylko, jak by z niego korzystać.

— Gniewoszu mój — odezwał się — nie potrzeba tracić czasu. Nim pójdzie głos o minie, trzeba zająć, co tylko się da pochwycić. Lepiej zagarnąć więcej niż za mało. Dzielnicę mi muszą dać, jako Piastowi przystała. Ludzi z sobą przywiodłem z Włocławka, póki czas, potrzeba na Złotoryję co prędzej.

— E, Miłościwy Księżę — pospiesznie odezwał się Szaszor — z Romlikiem sprawa będzie ciężka. Ja go znam, on tak łatwo zamku nie puści. Choćby i listy królewskie widział, nie posłucha.

To kamień, nie człek, a porósł tam w pierze, ho! ho!

— Na Romlika jest sposób — przerwał Sikora.

— Jaki? — podchwycił razem Gniewosz i księżę.

— Romlik się na święta wybrał do brata, do Podgórek — rzekł Sikora. — Nie ma co myśleć, trzeba go nocą dziś jeszcze porwać, a gdy się go ściśnie, musi Złotoryją nam poddać.

Książę w ręce klasnął.

— Natychmiast Szaszor z Sikorą weźcie ludzi i do Podgórek, związanego Romlika mi tu dostawić. Oszczędzim krwi i zachodu.

— Mało tego — odparł Szaszor, który znał dobrze miejscowości — nawet gdybyśmy w dwójnasób ludzi mieli, Złotoryi nie dobędziemy tak łatwo. Zamek mocny, a dwie rzeki go oblewają, ani Wisły, ani Drwęcy nie odwrócimy od niego, oblegać by trzeba, a i osaczywszy, niełatwo się dostać.

— I właśnie dlatego nam ją wziąć jest koniecznym! — zawołał książę. — Kto wie, co może wypaść. Mieć w ręku zamek taki...

Książę nie dokończył, aby się nie zdradzić, ale tego tłumaczenia nie potrzebowali Szaszor i Sikora. Oba byli ludzie młodzi i na przygody łasi. Romlik starosta z dawna obu był nienawistny, bo się górą nosił i raz był Szaszorowi zagroził, a ten, jako ziemianin i do rodu starego należący, przebaczyć mu tego nie mógł. Sam by się do odwetu na własną rękę nie porwał, ale mając księcia za sobą, rad był upokorzyć starostę.

Sikorze nocna wycieczka, napaść na dwór, bójka, po długim wypoczynku smakowała także, rozkaz więc księcia przyjęli z oznakami radości i natychmiast pobiegli po ludzi i konie.

Środek gwałtowny tak był w obyczajach owego wieku, że nikt przeciwko niemu ani

pomyślał stawać. Gniewosz znajdował go słusznym, a Lasota, choć może za śmiałym go sądził, przeciwko księciu się odezwać nie śmiał.

Nie do poznania zmieniony był nieśmiały i wahający się książę, a choć obchodząc swój stary dwór opuszczony i podupadły, kilka razy się zachmurzył i oczy mu zasły łzami, męstwo wracało, zuchwalstwo nie zmniejszało się.

Było ono za gwałtownym, za gorączkowym, by długo trwać mogło, lecz nikt nie badał

głęboko stanu księcia, a Buśko, nawet pod wrażeniem starych wspomnień, dał się im równie jak pan upoić i nie zaglądał w przyszłość...

## V

Ziarnek w Złotoryi, panujący i strzegący okolicy, który położenie i nowo wzniesione mury mocnym i warownym czyniły, zdany był staroście Romlikowi nie bez przyczyny. Człowiek i gród przystawali do siebie.

Stary wojak, który od pieluch rycersko służył i nigdy zbroi nie zrzucił, a sąsiedztwem krzyżackim wiele się nauczył i skorzystał, ma takiego dowódcę pogranicznej twierdzy był

stworzony. Surowy dla swoich ludzi, ale o ich chleb troskliwy, nieubłagany, gdy o karność i posłuszeństwo chodziło, bystrego oka i ucha, wglądający w najmniejsze szczegóły, mordował

siebie i podwładnych, nieustannie się około swego zaniku krzątając. Ten trud stanowił życie jego, gdy mu zabrakło roboty, stawał się zły, gderliwy i nieznośny.

Wiek uczynił go zgryźliwym, podejrzewającym, gadatliwym nad miarę, i choć w gruncie

serce miał dobre, z obowiązku udawał okrutnego i nieubłaganego. Ludzie, co z nim dłużej żyli i lepiej go znali, przywiązali się do niego, kochali starego i nie pomienialiby byli na łagodniejszego z pozoru.

Obcy mieli o nim to przekonanie, że tyranem był srogim, bo odgrażał się nieustannie, słowa cierpkimi szafował, a łajał od rana do nocy. Swoi uśmiechali się z tego, wiedząc, że burze te zawsze się ciepłym deszczykiem kończyły.

Nigdy Złotoryja tak dobrze nie była opatrzoną i obwarowaną; a choć się żadnego napadu nie obawiano, dostatek był wszelkiego przyboru do obrony, straż dzień i noc dokoła chodziły. Na murach kamieni, drabin, haków, kół zębatach, belek gwoździami nabijanych, smoły beczek całe stopy leżały. Wały i opasanie od rzek i od ładu w najlepszym znajdowały się stanie, brona nie podnosiła się, chyba gdy tego była konieczna potrzeba. Żołnierz z załogi nie mógł się potajemnie wykraść na miasto, bo go miano ciągle na oku.

Wychowaniec starego Romlika, zastępca jego i prawa ręka, młody Łukosz Gozdawczyk,

naśladował go we wszystkim. Jemu to dał zamek Romlik na zbliżające się święta wielkanocne, dawszy się uprosić bratu do Podgórek, nie więcej nad półtorej milki oddalonych.

Starosta niegdyś był żonaty, ale żonę stracił młodo, dzieci nie miał i rodzinę braterską, która mu własną zastępowała, kochał bardzo. Wprawdzie na takiej wycieczce na wieś tęsknił za murami zamku, za ludem swym i codziennym zajęciem, ale i tu próżnować nie mogąc, gospodarstwo brata brał pod swe rozkazy i starał się wojskową karność parobkom zaszczepić. Utrzymywał on, że po wsiach nie inaczej wszystko iść było powinno, tylko tak jak w obozie i twierdzy.

Brat Janko (dawał mu się tu rządzić, jak chciał. Był on powolniejszego charakteru i wolał

wesołe towarzystwo a gadaninę szlachecką przy kubku niż zbyt krzątanie się około

gospodarstwa.

Prawdę rzekłszy, naówczas nie było też tak dalece co robić po wsiach. Pól bardzo mało obsiewano, wieśniacy dawali z łąnów gotowy osyp ziarna do dworu, ziemianin konie hodował, bydło rozmnażał, owce dla sukna trzymał, zresztą z barci i łowów korzyści ciągnął.

Niewielu jeszcze mniej zamożnych, a zabieglivszych, do roli się brali na swą rękę.

Rozrodzeni tylko a ubożsi ziemianie pierwsi, kmienci naśladowując, rolę się parać zaczęli, a tych potem możniejsi za wzór brali sobie. Ziemianin, rycerz majątniejszy, wojenno służył i czasu wojny miał korzyść z łupów i żołądu. Janko szczególnie w koniach się kochał i około stadniny pilno chodził.

Dwór w Podgórkach otwarty był i gościnny; gospodarz pośmiać się i słuchać wesołego

gwaru rad był bardzo. Ubożsi ziemianie, których się już wówczas dość namnożyło, tak zwani prości panowie, zjeżdżali się chętnie do niego, bo ich karmił, choć niewykwinicie, ale szczerze. Cały dzień prawił u niego jadło i napój ze stołów nie schodziły.

Żona, do obyczajów jego stosując się, pilnowała, aby na niczym nie zbywało. Ona i starsza córka jej, która za mąż wyszedłszy, wprędce straciła męża, a owdowiawszy, do rodziców powróciła, tak były gościnne, jak Janko. Dom na wiecznie otwartą gospodę wyglądał, a choć mienie było niezbyt wielkie, na niczym nie zbywało.

Stary Romlik, od dni już kilku bawiąc w Podgórkach u brata, choć święta były za pasem, zaczynał się niepokoić o opuszczoną Złotoryję. Choć Łukosza swego był pewnym, nie dowierzał

jego czujności, posądzając go, że od niejakiego czasu do ładnej mieszczki chętnie zbiegał

wieczorami. Chciał niespodzianie go najechać, ale brat nie puszczał. Sprzecali się z sobą, śmiejąc.

Wreszcie Janko pochował konie Romlikowi, siodła mu pozamykał i zaklął się, że nie da mu wyjechać aż po świętach.

Wieczora tego przeciw zwyczajowi w Podgórkach nie było nikogo z gości, bo każdy przed świętami miał coś do czynienia w domu. Nagadawszy się do syta, dwaj bracia z kurami spać poszli.

Prawda, że wstawali też, gdy drugie kury piałły o brzasku.

Romlik sypiał w świronku osobnym na podwórzu, izby zadusznej nie znosząc, bo był do

wolnego powietrza w obozach nawykły. Jak to podówczas po staroświecku wszędzie prawie się działo, na noc żadnych drzwi nie zasuwano, we dnie też, choć wszyscy ze dworu wyszli, sromem było kłódki przywieszać i o zamki się troszczyć. Napaści się trafiały, ale kradzież nigdy.

Romlik, który sen miał bardzo czujny, zbudził się, leżąc na swym sianie otulony opończę tylko, bo mu się zdało, że tętent jakiś usłyszał, a potem ciche w dziedzińcu szeptanie, które w głośniejszy gwar przechodziło. Nie mógł zrozumieć, co by się przygodzie mogło w tak zwykle spokojnym dworze, ucha nastawił pilno, bo wołania i pokrzyki dochodziły go coraz wyraźniej.

Poznał już głos brata i zawodzenia kobiece.

A że nigdy bez miecza u boku nie sypiał, bo to był zwyczaj ziemiański, że go przy łóżku kładziono, równymi nogami chwyciwszy się z pościeli, kord porwał i wybiegł ze świronka.

Dziedzińczyk pełen był konnych ludzi i pieszych, którzy już do dworu wtargnęli. Napaść nocna widoczna. Sam jeden Romlik nic przeciwko gromadzie tej nie mógł, ale nie rozważając, wprost rzucił się na ludzi, co się do dworu cisnęli.

Noc była ciemna; nie postrzeżliby go byli i nie poznali napastnicy, gdyby w tej chwili jeden z nich z chaty, w której czeladź spała, nie wyniósł zapalonej drzazgi, biegnąc z nią do dworu.

Właśnie Romlik z kordem dobytym cisnął się do progu, chcąc sobie torować drogę dla

obrony brata. Szaszor, który stał we drzwiach, postrzegł go, poznał i natychmiast rzucił na niego.

Inni, za tym przykładem idąc, wnet otoczyli, ścisnęli starego, który bronić się nie miał

czasu, z tyłu ktoś przypadłszy, miecz mu wyrwał, cała gromada opasała go, powalono na ziemię i jeden z pacholków, u pasa mający sznury, zaraz nimi krępować począł, ręce mu w tył wyłamawszy.

W mgnieniu oka na barki go wzięto, na konia wrzucono i przymocowano do niego; napastnicy ode dworu odstępili, zaczęli koni dosiadać, więźnia pomiędzy siebie zabrali i spieszo uchodzili z Podgórek.

Zbudzony nagle, ledwie oprzytomniawszy, Janko w jednej koszuli wybiegł ze dworu, gdy już nie było nikogo, i tętent tylko uchodzących a wrzawę posłyszał.

Co się działo z Romlikiem, który ani przyczyny, ani celu tej napaści zrozumieć nie mógł, a jako wojak znieważony wpadł we wściekłość, opisać niepodobna. Nie miał on osobistych

nieprzyjaciół, do żadnej zemsty nie dał nikomu przyczyny, sądził, że go chyba omyłką porwać musiano, za kogo innego wzięwszy, i krzyczeć zaczął okrutnie, że jest Romlikiem starostą i że sroga kara czeka tych, co się na niego targnąć śmieli.

Wtem Szaszor pochylił się ku niemu.

— Wiemy my dobrze, kto jesteś — krzyknął — ciebieśmy tu właśnie szukali. Stul gębę, stary, i milcz!

Ale Romlik wołał ciągle:

— Czegóż chcecie ode mnie, zbójce nikczemne?

Sikora z drugiej strony jadący przy nim nie sądził, aby trzeba było tajemnicę z tego czynić, dlaczego został ujęty.

— Do Złotoryi, z tobą, paneczku, musimy — rzekł — abyś przykazał swoim natychmiast

ją poddać księciu Władysławowi Białemu. Jest na to rozkaz króla. Włocławek już wziął, Gniewków

swój odebrał, a wy mu Złotoryję musicie oddać.

— Niedoczekanie jego i wasze, buntownicy jakież! — krzyknął Romlik. — Rozkaz króla!

Gdyby rozkaz był królewski, nie potrzebowalibyście chwytac mnie podstępnie. Zdrajcy jesteście, ale ja nim nie będę.

Szaszor się rozśmiał.

— Jak cię przypieczeni, zobaczymy — zawołał. — To nie moja sprawa. Co mnie przykazano, spełniłem. Każą cię ściać lub powiesić, prosić za tobą nie będę.

— Choćbyście mi nie tylko grozili, ale męczyli — wrzasnął Romlik — niedoczekanie wasze, abyście ze mnie zrobili takiego łotra jak wy. Gdyby Białych i Czarnych was było nie wiem wielu, Złotoryi nie powąchacie, jest jej komu bronić!

Szaszor już się ujadać z nim dłużej nie chciał, podniósłszy głowę, zanucił znaną ludową piosnkę miłosną:

*Dzieweczko mila,*

*Dzieweczko złota...*

*Byś otworzyła*

*Kęs dla mnie wrota...*

*Stoję na dworze,*

*Okrutna słota.*

*Grom zabić może,*

*Dzieweczko złota...*

Ludzie, co pieśń znali, zawtórowali mu, śmiejąc się, i zagłuszyli wołanie miotającego się a przeklinającego Romlika.

Tymczasem konie popędzano, nazad z łupem spiesząc do Gniewkowa.

Szaszor rad był i triumfował, że mu się to tak gracko udało; Sikora utrzymywał, że gdyby nie on, pewnie by Romlik uszedł, ale zawczasu dwór otoczył radził. Na wołającego i

wymyślającego starego nikt nie zważał.

Romlika dobrze że krew nie ubiła. Przypomniawszy sobie teraz, że się gwałtem do Złotoryi wyrwał, że

go brat nie puścił, że miał przeczucie złowrogie. To się na nieszczęście ziściło.

Skąd się tu nagle wziął Biały książę, w głowie mu się nie mogło pomieścić, bo dawno

żadnego o nim słuchu nie było. Gdyby nie Szaszor, inną by zdradę jakąś przypuszczał. Wszystko to niemal jak sen straszny mu się wydawało, ale czuł się skrępowanym okrutnie, rwał sznury i ciało sobie ranił, nie zmora to więc była.

Pieśń miłosna skończyła się śmiechem i okrzykami, Romlik, korzystając z milczenia, wołać znów począł do Szaszora:

— Prawdę mów, zbój, kto cię na to nasadził? Wiesz, że gardłem to przypłacić możesz?

— Księcia Białego przykazanie.

— Coś ty w służbę jego wszedł?

— A w służbę, i milcz! — odparł Szaszor. — Rychło zobaczysz, co cię czeka.

Starego nie można było zmusić do milczenia, klął i wymyślał bez ustanku. Śmiano się z bezsilnego, a to gniew jego powiększało.

Szaszor, mający doń złość, urągać począł i znęcać się.

— Przyszła i na was kolej! Nie małości żołnierzyskom nadokuczali, a ziemianom nadojedli. Nie zechcecie gardła dać, Złotoryję musicie.

— To dam gardło — krzyczał Romlik.

— Jeżeli was wieszać będą — dodał Sikora — bądźcie spokojni, ja wam spowiednika przyprowadzę.

— A ja postronka dam — rzekł Szaszor.

W końcu znużony, zapieniony Romlik zaciął usta, zamknął oczy i nie odzywając się ani na szyderstwa, ni na pogróżki, jak by nic nie czuł i nie słyszał, dał z sobą robić, co chcieli. Pachołki, konia jego popędzając, bili go po plecach, śmieli się z tego drudzy, Romlik był już jak kłoda.

Konie zmęczone smagano nielitościwie, nagłąc do pośpiechu; nad rankiem zbliżyli się do Gniewkowa. Tu, choć na dworcu część ludzi spała, niektórzy, straż odprawując, przy beczkach piwa siedzieli.

Na ławie, podślawszy starą opończę, Buśko spał twardo. Gdy Szaszor z Sikorą w podwórze wpadli z wrzawą wielką, pokrzykując i głośniejąc swe zwycięstwo, wszyscy się ze snu zerwali; Buśko pochwycił z ławy przestraszony, zegnając. Szaszor, oznajmując o Romliku, pchał go co prędzej do



księcia, aby czasu nie tracić.

Biały też, nie rozdziawszy się, jak stał, zbroję tylko z piersi zdjąwszy, na ławie przy stole zmęczony gorączkowym snem, niespokojnym odpoczywał. Wrzawa go obudziła i wybiegł zaraz z mieczem w rękę, nie wiedząc jeszcze, co się stało, gdy w progu mu związanego popchnięto Romlika.

Starosta spoglądał nań oczyma zakrwawionymi, ale bynajmniej nie ulękły.

— Tyś Romlik? — zawołał, podchodząc, książę. — Ty trzymasz Złotoryję? Znasz mnie?

— Romlik jestem, ale ciebie nie znam i znać nie chcę — odparł stary.

Biały spojrzał nań gniewnie.

— Chcesz czy nie, to mnie poznasz! — krzyknął. — Złotoryję mi natychmiast musisz zdać, albo... gardła twego szczerzyć nie będę.

— Za moje gardło swoim zapłacisz — odparł Romlik. — Złotoryi mieć nie będziesz.

Zdrajca jesteś.

Słyszając to, Biały pobladł, miecz, który w rękę trzymał, zadrgał, chciał go podnieść na starca i strzymał się. Przypomniawszy sobie, że mnichem był.

— Na koń! — zawołał głosem donośnym. — Na konie, do Złotoryi z nim!

Wtem Romlik, któremu znowu rozbudzony gniew spokojnie ustać nie dawał, rzucił się, jak by chciał na księcia wpaść, sznury porwał.

Biały się cofnął.

— Kajdan na niego! — krzyknął. — Okuć go zaraz.

Starostę obalono na ziemię. Czeladź się po łańcuchy i kowala rozbiegła.

Tymczasem inni już konie z szop i stajen wyprowadzili. Lasota, Szaszor, Sikora wołali:

— Do koni! Żywo! Dniało już jasno.

Biały na powrót wszedł do dworu, widok obalonego starca, nie wiedzieć dlaczego,

przykrym mu był, niepokojącym. Zadumany przeszedł się po izbach pustych, znać w nim było wahanie się jakiegoś i niepewność.

Na dworze okowywano starego Romlika, który zęby zaciąwszy, nie targał się już i nie bronił, choć mu ciało szarpano łańcuchem.

Wkrótce potem Biały wyszedł w zbroi i szyszaku na koń siadać, posepny, z twarzą, na której wymuszoną siłę i energię widać było, która go wiele kosztowała. Buśko płaszcz niósł za nim. Siadłszy na koń, obejrzał się księżę i co konie starczą, jechać za sobą kazał do Złotoryi.

Okutego starostę rzucono znowu na konia, dwóch pacholków wzięło go między siebie.

W ciągu podróży Biały razy kilka obejrzał się na więźnia niespokojny, spotykając zawsze wlepiony w siebie wzrok krwawych oczu jego, tak śmiały i wyzywający, jak by się wcale nie obawiał śmierci, którą mu grożono.

Nie odzywali się jeden do drugiego, księżę spodziewał się, iż gdy pod mury twierdzy się zbliżą, na ostatek starego trwoga ogarnie, ale Romlik jechał jak kamienny.

Już niedaleko byli od wrót zamkniętych, gdy księżę stanąć kazał i groźno najechał na Romlika.

— Słyszysz, ty?! — zawołał. — Jeszcze raz wzywam cię, natychmiast mi zamkowym poddać się każesz!

Starosta spod brwi rozrosłych rzucił nań wejrzeniem dumnym i śmiałym i krótko wyjęknął:

— Nie!

— Śmierć cię tu czeka! — zawrzał księżę.

Romlik skrzywił usta, odwrócił oczy i patrzył na zamek swój. Z murów ludzie spostrzegli byli zbliżających się i ku wrotom ciekawie naciskali.

Na wyżki ponad nimi wybiegł Łukosz przestraszony. Wśród gromady łatwo mu było poznać związanego starca, załamał ręce. Nie pojmował, co się stało.

Księżę tymczasem trąbić kazał.

Nim się do Łukosza wysłany Szaszor przybliżył ku wrotom, Romlik, uprzedzając go, z wielkim wysileniem podniósł głos.

— Łukosz — wrzasnął — żebyś mi zamku nie śmiał otwierać, żebyś mi się nie poddawał!

Zdrajcy są, bronić się do upadłego!

Nie mogąc zrozumieć jeszcze, ani kto Romlika prowadził, ani co się stało z dowódcą, ni czego chciano od zamku, Łukosz stał osłupiony.

— Bronić zamku! Nie poddawać! — wołał zajadle, głos podnosząc, Romlik.

Milczenie panowało chwilę. Wtem Lasota począł krzyczeć:

— Bramy zaraz otwierać, zamek zdać; chcecieli życie uchować! Rozkaz króla, gród ma być puszczoney księciu na Gniewkowie!

Łukosz mało co o tym księciu słyszał, nie znał go wcale, nie wiedział, co czynić, ale Romlika rozkaz był dlań święty. Tymczasem pachołkowie pięściami usta staremu zamykali.

Szaszor, który znał Łukosza i wiedział, że jak dziecko rodzone był do starosty przywiązany, począł wołać:

— Jeżeli zamku nie zdacie natychmiast, wyrok wydany, stryczek gotowy, Romlikja tu wara przed bramą obwiesim!

Zbladł Łukasz.

Książa, który na koniu stał, trzymając się nieco dalej, aby go z łuku lub kuszy nie postrzelono, przerwał Szaszorowi, dodając:

— Bramy zaraz otworzyć lub śmierć staroście!

Dla większego strwożenia młodego dowódcy Szaszor z konia skoczył, jak by szukał miejsca, gdzie by wyrok miał spełnić. Romlika dwóch ludzi z konia ściągnęło.

Przed samym zamkiem u mostu stała chata rozwalona, z dachem zapadłym, z której tylko

zrąb pozostał. Obnażone belki popróchniałe zobaczywszy, Szaszor począł wołać, że na jedną z nich postronek zarzucić było można. Książę stał, nie odzywając się już i nie przecząc też.

Pachołkowie powlekli nieszczęśliwego na miejsce wskazane.

Łukosz, który na to patrzył, łamał ręce w rozpacz.

— Stójcie! — zakrzyczał.

Romlik, już pod belką stojąc, począł doń wołać.

— Ani mi się waż!

Młody dowódca nie słuchał, bo mu szło o życie starego, który dla niego był tak jak ojcem, więcej pewnie niż o zamek.

— Pokażcie rozkaz króla! — odezwał się do stojących pod bramą.

Romlik chciał się odezwać, pacholek mu szeroką dłonią usta zatulił.

— Rozkaz króla ja ci przynoszę słowem moim! — zawołał książę. — Zamek otworzyć natychmiast lub starego obwieszę!

Sposób ten zdobycia Szaszor, który dobrze znał przywiązanie Łukasza do starca, pewnie doradzić musiał.

Romlikowi już stryczek na szyję zakładano, gdy Łukosz w rozpaczy wołać począł:

— Dziej się wola Boża, nie dam ginąć staremu, niech król lepiej zamek traci! Ma ich dosyć, a u mnie on jeden na świecie!

Na twarzy Białego zabłysła radość, pokazał się uśmiech, spiął konia, spiesząc już do bramy.

Wewnątrz podnoszono żelazną kratę, Łukosz biegł sam, aby co prędzej starca wyzwolić.

Złotoryja się poddała. Książę Władysław pierwszy wjechał na zamek.

## VI

Tak nadzwyczajne powodzenie, w ciągu bardzo krótkiego czasu, opanowanie Włocławka,

Gniewkowa, a na koniec najbardziej upragnionej Złotoryi, nie tylko księcia wbiło w dumę i dodało niezmierniej odwagi, ale wszystkich przy nim będących upoiło.

Lasota nie wątpił, że od tej chwili, gdy już z Włocławka, Gniewkowa i załogi zabranej na zamku mieli kilkuset ludzi zbrojnych pod swym dowództwem, dalsze zdobycze pójdą łatwo.

Pierwszy ten krok, zawsze najtrudniejszy, był uczyniony. Stary Gniewosz podjął się ziemian i ubogich panoszków z okolicy ściągać pod chorągwie książęce. Niektórzy, zasłyszawszy o tym, co się stało, biegli sami, ofiarując usługi swoje.

Białego księcia poznać nie było można, szął go niemal opanował, już nie gniewkowskie

księstwo myślał zagarnąć, ale bodaj całą Wielkopolskę. Czuł się bohaterem, sobie przypisując, co było dziwnym tylko składem okoliczności.

Buśko chodzący za nim i wpatrujący mu się w oczy, rychłoli zmieni się i wybrykiem jakim dzieło dokończy, zaczynał sądzić, że szczęście może go uczynić wytrwałym.

Na zamku, ponieważ dostatek się wszystkiego znalazł, rozporządzano się, nie pomnąc o

jutrze. Ludzie przybyli z Białym gospodarowali, odbijano komory, wyciągano zapasy, wytaczano beczki, chwymano co lepsze zbroje.

Szaszor, który nie bez przyczyny sobie po części przypisywał zdobycie Złotoryi i nim był

podbudzony do nowych jakichś zamachów, gryząc palce, chodził po podwórzu. Nie dosyć mu tego było. Widział się już w przyszłości naczelnym wodzem księcia, dowódcą na zamku, kto wie, jakim dostojnikiem nowego władcy. Chciał dać jeszcze większy dowód swojej przebiegłości i dowcipu.

Księżę tylko co był zrzucił szyszak, porozpinał się i zabierał spocząć nieco, a myśleć, co dalej czynić i gdzie się sam ma z dworem i siłą swą mieścić, gdy na progu, wąsy kręcąc, pokazał się z miną butną Szaszor.

— Miłościwy Księżę — odezwał się. — Kiedy się wiedzie, trzeba korzystać, szkoda czasu.

Później się ludzie opatrzą, ciężiej przyjdzie gródki zdobywać.

Biały wstał z twarzą rozjaśnioną.

— Cóż myślisz? — zapytał.

— My byśmy dziś z tą siłą mogli się puścić na Szarlej, i ten by się nam zdał.

— Sądziysz? — spoglądając nań nieśmiało, szepnął księżę.

— Jak mi Bóg miły, kiedyśmy Złotoryję wzięli, Szarlej zdobędziem.

— Jakim sposobem? Szaszor wąsa darł.

— Ja znajdę sposób — rzekł. — Nim konie spoczną i zjedzą, pchnę takiego człeka, com go pewien, aby popłoch rzucił w Szarleju i oznajmił im, że Złotoryjęśmy wzięli. Złękną się, Szarlej, choćby przyszło oblegać, nie taki mocny, załoga mała. Poddadzą się.

Na twarzy Białego razem z radością pewien strach się malował, lękał się stracić, co już trzymał, przez zbytne zuchwalstwo. Zawahał się.

— A jeśli się nam nie powiedzie? — bąknął nieśmiało. — Pokusić się i odejść ze wstydem

— gorzej, niż się nie porywać.

— Ale my Szarlej weźmiemy, jeśli tylko prędko się nań rzucimy — gorąco wtrącił Szaszor.

— Nie może to być, aby się nie ulękli, tylko czasu nie tracić!

Biały wahał się jeszcze, lecz Szaszor drżał i kipiał z niecierpliwości.

— Niechaj Wasza Miłość nie zwleka, pojutrze będzie za późno. Żelazo bić, póki gorące.

Szarlej weźmiemy.

Jeszcze nie mógł słowa stanowczego wyrzec Biały, gdy słuchający rozmowy od progu

Lasota, przejęty i zarażony zuchwalstwem Szaszora, krzyknął:

— A czego czekać? Iść!

I to by może nie przeważało jeszcze, gdyby w kącie nie postrzegł księżę Buśka. Ten stał z miną szyderską, jakby mówił oczyma: — „Oto go mam, już się zawahali stchórzy”.

Wzrok ten ubódł Białego jak wymówka, zawstydził się.

— Na Szarlej! Rób, jakęś powiedział: iść! Załogi część ze Złotoryi weźmiemy z sobą, a włocławskich i gniewkowskich tu zostawić. Ślijże przodem stracha, my za nim.

Szaszor z radości, że mu się księcia namówić udało, przybiegł go w rękę pocałować, kołpak na głowę włożył i wypadł jak szalony w podwórze. Miał tyle jednak pomiarkowania, że nie okrzyknął jeszcze głośno, dokąd i kiedy iść mają, począł tylko załogę rozdzielać, ludzi wybierać i w imieniu księcia przywłaszczył sobie moc nad wszystkim. Nikt mu się nie sprzeciwiał.

Człowieka, który trwogę miał przodem zanieść, już wybrał zawczasu, do kąta go wziął, naszeptał mu, co było potrzeba, na koń wsadził i z zamku precz z pośpiechem wypchnął.

Wieść o wyprawie na Szarlej nie rozeszła się jeszcze była pomiędzy ludźmi księcia, nie wiedzieli o tym, tylko Szaszor, Lasota i Buśko, który był milczący, a nie dowierzając przyszłości, starał się tylko z obecnego stanu korzystać. Z Gniewkowa, z Włocławka, co mógł pochwycić w sakwy, pakował, i na Złotoryi też, zawsze w imieniu księcia po kątach wszystkich wietrzył, czyby się co nie znalazło.

Sam księżę dotąd niewiele własną wolą działał, niosła go jakaś fala szczęśliwa, dawał jej pchać się dalej. Najśmielsze marzenia jego przechodziło to, co się ziściło w przeciągu dni niewiele, zaczynał wierzyć w jakieś przeznaczenie. Jasno jednak nie widział przyszłości, sądził, że ona przyjdzie i na-

— Powiadano, że też nie myślała ślubować nikomu — rzekł Lasota, który zdawał się myśl księcia odgadywać.

Biały się przeszedł z głową spuszczoną po izbie.

— Pozdrowienie należy odplacić wzajemnym — szepnął cicho. — Bodcza, synowie jego

Dobrogost, Ulryk i Arnold mogliby mi być pomocni. Chciałbym posłać do nich kogoś.

Spojrzał na Lasotę.

— Miłościwy Panie — odezwał się zagadnięty — ja mogę się przydać w Szarleju, kiedy nań iść mamy. Szaszor bardzo dobry do rady, ale gorączka. Nierad bym go odstąpić.

Słuchał z uwagą Biały i głową dał znak, że się zgadza.

— A więc z Szarleja, da Bóg, pójdziecie do Drzdenka z pozdrowieniem ode mnie.

Przyszła mu zarazem myśl śmiała posłania pięknej Frydzie choćby pierścienia przy

pozdrowieniu. Niestety, pomimo zdobycia trzech grodów, książę nie miał jeszcze nawet złotego kolca, które by mógł ofiarować! Zmilczał więc, myśl tę zachowując w sobie.

Szaszor, który się palił do wykonania poddanego planu, nie dał się księciu długo zabawiać się marzeniami. Zaledwie konie zostały napasione, załoga przebrana, siła, która miała iść z nimi, skupiła się, wołał już do koni.

Książę z pośpiechem począł zbroję wdziwać i otrząsłszy się ze swych marzeń, przybrał bohaterską postawę. Mało co sam czynił, lecz chciał, aby mu wszystko przypisywano. Począł rozporządzać się głośno i przynaglać.

Chciał Łukosza, który mu się z twarzy podobał, zostawić na zamku przy Sikorze, gdyż on najlepiej go znał, lecz okazało się, że Romlik i on, korzystając z chwili zamieszania, gdy na nich nie zważano, zniknęli.

Łukosz, zaledwie otwarłszy bramę, wymknął się do starego, który ze stryczkiem ma szyi, zrozpaczony, leżał na ziemi, widząc zamek stracony. W pierwszej chwili odepchnął on Łukosza jako zdrajcę, widziano, że młody długo u nóg jego leżał o przebaczenie prosząc; co się potem stało z nimi, nikt nie wiedział. Oba znikli.

Sikora więc został z załogą na pół nową, ale że zamek był mocny, a polecono mu trzymać się bacznie i zapas był wszystkiego znaczny, obawy o Złotoryję nie miano żadnej.

Szaszor, w nowy szyszak zdobyty w Złotoryi przybrawszy się i parę piór czaplich

zatknąwszy u wierzchu, już sobie zupełnie dowództwo przywłaszczył. Rozkazywał, ustawiał ludzi, mianował starszyznę. Książę się do tego nie mieszał wcale. Jechał znów pogrążony w zadumach.

Dzień był już, gdy zamek i mięścina ukazały się nadciągającym pod Szarlej.

Szaszor patrzył pilnie, chcąc wnieść z jakiejś oznaki, czy wysłaniec jego dostał się tu i poprzedził ich postrachem.

Zdawało się to prawdopodobnym, gdyż mimo bardzo ранней pory, a zupełnego w kraju

spokoju, około gródka, na wałach, ujrzeli snujących się niespokojnie ludzi. Na jednej baszcie postrzegł Szaszor kilku, którzy zdawali się tam stać na czatach, wypatrując, czy się co w okolicy nie pokaże.

Nowemu dowódcy, któremu nie zbywało na przebiegłości i rycerskim instynkcie, szło o to, ażeby siły, które prowadził, jak najgroźniejszymi się z dala okazały. Rozporządził więc ludzi swych tak, aby się długim sznurem ciągnęli, z rzadka rozbiwszy się; i wojsko w istocie mogło na pierwszy rzut oka omamić, wydając się liczniejszym, niż było.

Książę, ujrawszy gródek, stanął, odwrócił się i oczyma zaczął szukać Szaszora, który w skok ku niemu przybiegł. Wzrokiem pytał, co teraz poczynać mieli. Szaszor, nie tracąc wielkiego ducha, którego przez drogę w sobie jak mógł zagrzewał, chciał gwałtownie napaść i o ile było można, osaczyć gródek, wrzawą i zuchwalstwem zastępując siłę.

Nie sprzeciwił mu się książę.

Zbliżywszy się więc ku zamkowi, oddziały dostały rozkaz opasania go, a Szaszor na koniu z kilku dobranymi, nieustraszony, podbiegł pod wrota. Tu już widać było ludu dosyć skupianego, jakby się bronić zamyślał. W pysznym swoim szyszaku, ale zbroi niezbyt dobrze piersi

okrywającej, z mieczem do góry, z głową zadartą, Szaszor przyskoczył wołając:

— Kto tu starszy?

Ponad wrota wystąpił człek przygarbiony, w płaszczu długim, na mieczu sparty.

— Książę Władysław gniewkowski — począł donośnym głosem grzmiącym Szaszor i

wskazał na stojącego na koniu — przybywa zająć wasz zamek. Otwierać wrota!

Głowę podniósł, stary milczał długo.

— Co za gniewkowski książę? — odparł. — My tu nie znamy żadnego. Jeden, co był, to się wyrzekł ojcowizny i sprzedał ją, a kaptur wziął, innego nie ma.

— Ten ci jest. Papież go uwolnił, a król mu oddaje dzielnicę.

Słuchając, stary głową potrząsł.

— Wrota otwierać!

— Idźcie od wrót, bo się bronić będziemy — rzekł stary powolnie.

Spoza niego wystąpił w tej chwili łucznik z ogromną kuszą już napiętą w rękę i bełtem opatrzoną, oparł ją na poręczy ganku — zdawał się czekać tylko, rychło mu dadzą znak puścić bełt, który wprost na Szaszora wymierzył.

Cała kupka, która z nim pod wrota przybyła, na widok tej zuchwałej groźby krzyk ogromny podniosła. Sypały się łajania i groźby. Wołano, że Włocławek, Gniewków, Złotoryja już się poddały.

Stary słuchał spokojnie. Zdawało się, że to nawet pewne na nim i na innych, co się z okien pokazywali, czyni wra- żenie; wtem czy przypadkiem, czy umyślnie, ogromny ów łucznik, trzymający kuszę, pociągnął znaczek, bełt świsnął i uwiązał w piersi Szaszora przy samym skraju zbroi.

Młody dowódca krzyknął, chwycił ręką za tkwiący w piersi bełt, chcąc go wyrwać, zachwiał



się na koniu, pobladł i stoczył z niego na ziemię. Towarzysze skoczyli do niego ratować, lecz krew mu buchnęła ustami, drgnął jeszcze parę razy i — skonał.

Książę, który nie opodał patrzył na to, cofnął się kilka kroków. Okrzyk zgrozy rozległ się szeroko. Ludzie, którzy przyciągnęli z Białym, rzucili się ku murom i z łuków do stojących na nich strzelać poczęli. W jednej chwili, bez rozkazu żadnego ku wałom i ostrokołom z toporami, z oszczepami posypało się, co żyło. Załoga jeszcze się była nie przygotowała do obrony. Rachowano może, iż ten strzał i trup odstraszą. Stary dowódca znikł.

W twierdzy popłoch się musiał stać. Drzazga, który był Szaszora przyjacielem i powinowatym, na jego miejscu począł dowodzić, zagrzewali i inni. Lasota trąbić kazał i krzyczeć, że gdy zamek zdobędą, nikomu życia nie darują.

Przy pierwszej napaści obrona była słaba, potem zaczęto rzucać kamienie i kilka bał, ale tak niezręcznie, że się, nikogo nie raziwszy, stoczyły.

Żołnierz wzięty ze Złotoryi, któremu o to szło, aby Szarlej nie zawstydził go, a spodziewał się też przy zdobyciu łupu, szturmował zajadle. Sam książę, nie zbliżając się, na małym pagórku pozostał widzem bezczynnym.

Wszystko to niedługo trwało jakoś, ponad wrotami wywieszono gałąź zieloną, dowódca wyzywał na rozmowę. Drzazga nie chciał słuchać, książę kazał podbiec Lasocie i na wszystko się godzić, byle mu grodek poddano.

Śmierć Szaszora nikogo się nie zdawała obchodzić, czeladź jego, płacząc, trupa uniosła nieco dalej, siadła nad nim i płakała, nikt zresztą na biedną ofiarę nie spojrział.

Lasota upoważniony przez Białego, który sam przez się nic nie czynił, a ludźmi się posługiwał tylko, dopadł do wrót i śmiały, a zabiciem Szaszora nie ustraszony wcale, zażądał, aby go na rozmowę puszczono do środka.

Oblężeni musieli gwałtownym napadem już być przerażeni, gdy stary, który wpród występował i przy którego boku łucznik stał, gdy strzelił, wcale się już nie pokazał; wystąpił człowiek lat średnich, który na dowódcę nie wyglądał; furtę kazał otworzyć i przyjął u niej Lasotę, widocznie onieśmielony i pokorny. Tuż przy wnijsciu była brudna izbica dla straży, z niskim pułapem, zaduszna i zaśmiecona; weszli tu Lasota, a za nim trzech starszych zamkowych.

— Ludzie, co wy sobie myślicie?! — krzyknął porywczo Nałęcz. — Macie być lepsi niż

Włocławek i Złotoryja? Obronić się ani myśleć! Zamiast co byście mieli ująć sobie przyszłego pana, postrzeliliście mu zdradnie jego przyjaciela!

— Nie zdradnie! Nie! — odparł jeden ze stojących. — Głupi łucznik wycelował wprawdzie, ale się zaklina, że bełt sam, ani wie jak, z kuszy wyleciał...

— Myślicieź się bronić?! — wołał Lasota. — Weźmiemy zamek nie dziś, to jutro, a was czeka albo śmierć, lub dziesiątkowanie.

Trzej wysłani patrzali po sobie.

— Gdy się zdamy na łaskę — rzekł jeden — będzie się książę mścił za swego. Łucznika, który strzelił, nie ma. Postrzegłszy, co się stało, rzucił kuszę i przez ostrokół się spuściwszy, uszedł; będzieź za niego niewinny odpowiadał?

— Zdawajcie zamek zaraz — odparł Lasota — otwórzcie bramy, poddajcie się księciu, a ja w tym, mścić się nie będzie.

— Niechże jego słowa usłyszam — odparł jeden — a potem — uderzył się po głowie — dziej się wola Boża.

Lasota, któremu pilno było, rzekł rześko:

— Chodźcie za mną.

Zawahali się nieco trzej rozmówcy, poszeptali z sobą, jeden z nich wybiegł, powrócił, naradzali się znowu; Lasota naglił; ociągając się, poszli za nim wreście.

Książę stał ciągle na koniu opodal, niecierpliwiąc się, aby co prędzej Szarłej dostać, gdy Lasota, wiodąc za sobą wysłanych, zbliżył się do niego.

— Miłościwy Panie — rzekł — ludzie ci zaprzysięgają, że Szaszor został trafunkiem zabity, i proszą, aby go nie mszczono, a zamek poddać gotowi. Zaręczyłem im to, lecz pragną mieć wasze słowo książęce.

Białemu pomsta za Szaszora wcale podobno na sercu nie leżała, z widocznie rozjaśnioną twarzą ręką dał znak, że przystaje, a Lasota dodał z siebie:

— Musicie rodzinie za głowę zapłacić i tyle.

To powiedziawszy, nie dając im czasu do rozmyśłu. Nałęcz odezwał się głośno:

— Wrota otwierać, bronę podnieść, a do łańcuchów u brony nasi ludzie żeby byli!

Wysłani pokłonili się księciu, w stronę zamku dając od siebie znak, aby otwierano.

Rozsypani oblegający poczęli się zbierać u wnijsćia, książę zatrzymał się jeszcze chwilę na pagórku,

spoglądając zwycięsko ku zamkowi. Wrota otwierano, brona z wolna podchodziła do góry. Szarlej był zdobyty kosztem życia jednego człowieka.

Z radosnym okrzykiem pierwszy oddział, w którym byli gniewkowscy ochotnicy i Drzazga zastępujący Szaszora, wpadł na zamek. Lasota towarzyszyć chciał księciu, który z pewną oględnością, powoli, gdy już znaczniejsza część jego sił była na zamku, skierował się także ku niemu. Czwarty gród już poddawał się szczęśliwemu zdobywcy, który miecza nawet z pochwę nie obnażył... Nie wierzył sam szczęściu swojemu.

Drzazga i Lasota, nie pytając o rozkazy Białego, natychmiast objęli mury, postawili strażę i przez szpary patrząc na tych, co od zemsty uchodzić chcieli, dali się im wymknąć bezkarnie.

Lasota, trochę polityk, rachował na to, że księżę, krew rozlewając, nieprzyjaciół sobie przyczyniać był nie powinien. Stary więc dowódca, łucznik, a z nimi kilku jeszcze wymknęło się, gdy drudzy wchodzili.

Szarlej, choć nie był tak zaopatrzony jak Złotoryja, miał jednak zapasy, a co księciu najpożądańszym było, dowódca, pospiesznie uciekając, nie miał czasu swych groszy praskich zabrać i dosyć znaczna suma ich znalazła się w skrzyni, której zamek odbito. Oprócz tego sukna, odzieży, kun, trochę srebra i koni Biały po nim odziedziczył.

Buśko się też pożywił i nazajutrz do kościoła mógł w pięknej nowej sukni wystąpić, zrzuciwszy ciemną, wyszarzaną, która mu zakonne czasy przypominała.

## VII

W Poznaniu, we dworze wielkorządcy Sędziwoja z Szubina, który po Ottonie z Pilcy wziął

Poznańskie, nie było teraz tak pusto jak za jego poprzednika. Wprawdzie Sędziwój ów, Toporczyk, na poły Krakowianin, do Małopolan się krwią liczył, lecz trzymał województwo kaliskie, w Wielkopolsce osiadły był i rodziną z nią związany.

Przyjęli go Wielkopolanie jako swego dla świętego spokoju, bo nieład, najazdy, rozruchy i krwawe walki już się im naprzykrzyły, a Sędziwój mąż był energiczny i dzielny. Miał dar rządzenia ludźmi i jednania ich sobie.

Jak wszyscy Toporczycy, oprócz tych, co nieco zubożeli, Sędziwój naprzód nauczyciela

duchownego miał w domu, który go przysposobił do podróży, potem jechać musiał do Włoch, do Francji, na dwór cesarski, aby się świata uczyć, języków i obchodzenia rozumnego z ludźmi, bo każdy z Toporów miał się prawo spodziewać, że na wyższe dostojeństwa postąpi i u boku króla w radzie zasiądzie. Z takich podróży, zwykle z mentorem duchownym odbywanych, powracali do kraju młodzieńcy, z których potem wedle potrzeby lub wojewodów, albo i biskupów robiono.

Sędziwój od natury obdarzony szczodrą, pojętny, bystry, przy tym rycerskiego obyczaju i charakteru, należał do wyboru ludzi w Polsce, do kwiatu i śmietanki. Równych mu było niewielu.

Krwi niegdyś gorącej, ale już wiekiem uśmierzonej wielce, miał powagę i umiarkowanie, a do wszelakiego stanu ludzi zastosować się umiał.

Nie było wówczas łatwo ze wszystkimi tymi żywiołami, z jakich się społeczność składała, zarówno się zbratać, dać im zrozumieć i zastosować do ich obyczaju. Obok panów takich jak Sędziwój z Szubina, którzy na żadnym ówczesnym europejskim dworze nie byliby się zakłopotali, a wszędzie umieliby pozyskać uznanie, stała szlachta nieco otarta obcowaniem tylko z ludźmi, a pełna buty, niżej zaś jeszcze owi panoszą i ubodzy szczytowi ziemianie, których mowa i obyczaj mało się różnił od kmieci. Ci spraw kraju, potrzeb jego i zawiłych kwestii wcale nie rozumiejąc, karmiąc się posłuchami, łatwowierni, namiętni — zawsze byli do poruszenia łatwi, a do uspokojenia trudni.

A było takiego ziemiańskiego, można powiedzieć, gminu więcej daleko liczbowo niż głów rozumnych. I gdy z rozumnymi łącno było się porozumieć, z tamtymi niepodobna, bo ich trzeba było zyskiwać sobie, biorąc za serce i za ich słabości.

Sędziwój miał tę wyższość nad innymi, że i z biskupami a panami umiał się obejść, i z

pomniejszą bracią porozumieć. Wierzyli w niego, a że przystępnym był, uprzejmym i łatwym, więc go i kochali.

Mąż powagi wielkiej, gdy konieczność wymagała, umiał ją na kołku powiesić i być z

małymi małym. W samej też swej rodzinie Sędziwój miał takich, z którymi jak z dziećmi poczynać sobie było potrzeba.

Za młodego niegdy, zuchowatego, wesołego, mężnego Krystyna ze Skrzypowa ojciec

Sędziwoja wydał był córkę. Lata z tego człowieka, który postawą i butą się odznaczał, uczyniły teraz wielki ciężar dla rodziny i niemal zakałę. Ciężkie to było utrapienie ten szwagier Toporczyka, który ojcowiznę puścił, mienia utrzymać nie mógł i cały swój czas spędzał w najpospolitszego gminu otoczeniu, byleby mu do kubka i pijatyki dotrzymywało.

Gwoli siostry Toporczyk musiał szwagra to tu, to ówdzie na zamku sadzić, dawać mu

starostwa dzierżyć, aby z głodu nie umarł, a raczej, aby pić co miał i z daleka się trzymał od wojewody, który wstydzić się go musiał.

Sędziwoj z Szubina, podówczas niemłody już, niestary też, był, można rzec, w sile samej, bo w owe wieki konia przed siódmym rokiem nie brano do zaprzęgu, człowiek rzadko przed trzydziestym się żenił, a we czterdziestym i pięćdziesiątym ledwie dojrzewał.

Znać na nim było ród i krew, piękną miał postawę i ta może go zaleciła więcej królowej Elżbiecie, która męską urodę ceniła, niżeli rozum jego i naukę. Z rodziną możną naówczas w Wielkiej Polsce Sędziwoj był połączony i to także wpłynęło zapewne, że ten ród na wielkorządach go popierał.

A były one w tym kraju, którego stan wielce niespokojny wymagał czujności największej, bardzo trudne. Pierwsze wystąpienie, gdy się Sędziwojowi powiodło, szło teraz z rządami łatwiej coraz. Miał więc nadzieję mądry pan, że powoli tu ład i spokój zaprowadzi.

Na dworze jego gościnnym, bo u wielkorządcy innym być nie mógł, nie przebierało się

ziemian, przyjeżdżających z żalami, prośbami lub po radę. Na same święta wielkanocne tym tłumniej się rodzina, powinowaci i przyjaciele a słudzy pańscy zgromadzili. Więc i duchowieństwa, któremu biskup Jan Doliwa przewodniczył, i z Krakowa goście, i Niemców jakichś parę do stołu wielkanocnego pobłogosławionego zasiadło.

Z prastarych czasów słowiańskich i lechickich przeniósł się był ten Obyczaj ucztowania wiosennego o Wielkiej Nocy. Pogańską niegdyś obiatę duchowni zawczasu zaczęli święcić, aby jej nadać charakter chrześcijański, i tak się nasze owo święcone zrodziło, a w obyczaj poszło. Stał

tylko obok jej malowanych starych baranek, obraz Zbawiciela, i krzyżyk nad nim zatarł wspomnienie przeszłości.

Właśnie w wielkiej izbie ma zamku zasiadać miano do tej wielkanocnej uczy, która po

twardym a ścisłym poście, osobliwie ostatniego Wielkiego Tygodnia, bardzo była pożądaną. Byli tam i tacy co za grzechy i przez wielką pobożność od Wielkiego Czwartku wieczery nic w ustach nie mieli.

Sędziwój z Szubina oprócz biskupa Doliwy bardzo dostojnych gości miał wielu. Poznański wojewoda Wicek Kępa zaraz szedł po pasterzu, dalej Toporczyk pokrewny Zaklika z Międzygórza, duchownego stanu mąż, byli i sędziowie, i kanclerze, i wojennego stanu ludzie.

Na nieszczęście tegoż dnia, aby się szwagrowi zalecić, przybył też i Krystyn ze Skrzypowa, a wojewodzie dosyć go było widzieć w swym domu, zwłaszcza przy obcych, aby mu się czoło chmurą okryło.

Choć tam wojaków, jak on, dosyć się znajdowało, między nimi wszystkimi wcale

niekorzystnie się wyróżniał. Twarz sama wiekuiście płomienista, niekiedy aż sina, zdradzała nałogowego opcja. Choć na święta wielkanocne przybrał się jak najpyszniej, suknia i uzbrojenie mówiły, że już nie dbał i nie wiedział, co na siebie włoży. Krzywo na nim siedział kaftan, miecz u boku wisiał niezgrabnie, a włosy na głowie jak zboże po burzy wyglądały.

Choć mało kto mu się uśmiechał i mile go przyjmował. Krystyn był niezmiernie wesołego usposobienia, oczyma i ustami śmiejąc się do wszystkich, a ze wszystkimi za pan brat sobie postępując. Niekiedy surowe, ostre spojrzenie Sędziwoja, rzucone nań, trochę go uśmierzało, lecz wkrótce potem niepomierną, karczemną wesołością wybuchał.

Biskup sam już był stół pokropił wodą święconą i jajami się obdzielać zaczęto, gdy u drzwi izby jakieś zamieszanie się stało, gwar i niepokój. Sędziwój nawet się nie obejrzał w tę stronę, bo

świętecznego dnia zbyt być dla czeladzi surowym nie chciał.

Tymczasem około drzwi coraz się większa kupka ludzi zbierała, z (pochylenymi głowami słuchających jakichś szeptów przerywanych wykrzyknikami. Niektórzy ze słuchających ręce załamywali. Stało się widocznie coś, o czym wojewodzie oznajmić nie śmiano.

Wśród gromadki ciekawych, poza domownikami, dojrzeć było można mężczyznę lat średnich, w odzieży podróźnej, zbłoconej i obryzganej, z twarzą bladą, opowiadającego coś i namiętnie rękami w różne strony ukazującego. Był to wojak, który pot z czoła uznojonego ocierał, suknie na sobie stargane poprawiał i zamierzał widocznie wniść do izby, a nie śmiał.

Obejrzał się wojewoda ku drzwiom, coś go tknęło i zawołał pacholika:

— Idź, zobacz, co tam u drzwi za zbiegowisko!

Chłopak pobiegł, wcisnął się, stanął i jakby przykazania Zapomniał, nie wrócił prędko.

Sędziwój niecierpliwy posłał drugiego, ale i ten u drzwi utkwiał.

Był to znak, że się coś niedobrego przygodzie musiało; ze zmarszczonym czołem, iż właśnie w tę porę, gdy dar boży pożywać miano, zaszła jakaś przeszkoda, wojewoda wstał już sam i pospiesznym krokiem poszedł ku progowi.

Zobaczywszy go, obłocony podróźny szyszak już cały zdjął, ludzie się rozstąpili.

— Drzemlik? A ty tu skąd i z czym? — zawołał, patrząc nań surowo, wojewoda.

Wszyscy milczeli, Drzemlik, mając mówić, zagryzł usta, oczy jego tylko i twarz oznajmiły, że przywoził złą nowinę.

Tego się wojewoda domyślił łatwo, nie spodziewał się jednak nic wielkiego i ważnego.

— Mówże — odezwał się spokojnie. Zająknął się Drzemlik.

— Coś ty w drodze zaniemiał? — zapytał pan z Szubina.

— Trudno bo to rzec, z czym przybyłem — odezwał się, wzdychając, żołnierz. — Nie

wiadomo skąd zjawił się Władysław książę, ten, co na Gniewkowie siedział, no i Włocławek wziął, Gniewków, opanował Złotoryję, Szarlej mu się, słyszę, też poddaje...

Wojewoda uszom nie wierzył.

— Oszalałeś! — zawołał.

— Tak jest, jakom rzekł — smutnie powtórzył Drzemlik — tak jest. Do Włocławka wpadli, nie wiem

jak, w Gniewkowie dawni służy go przyjęli. Złotoryję opanował zdradą, bo Romlika porwali i śmiercią mu grozili, aż Łukosz z obawy o niego bramy otworzył, a Szarlej pewnie się mu też poddał, bo już ludzi kupę miał, a ziemian się dużo z nim połączyło. Poblądł Sędziwój.

— Kiedyż się to stać mogło? — począł głosem podniesionym. — Cztery zamki opanować, na to potrzeba czasu! A żebyś ty dopiero pierwszy tu przybył z wiadomością...?

— Cztery zamki wziął we dwa dni — odparł, ramionami ruszając, Drzemlik.

Wojewoda cofnął się na krok.

— Kto cię wysłał? skąd? kiedy?

— Ze Złotoryi uciekłem, gdy na Szarlej ciągnęli — rzekł Drzemlik. — Na to, co się stało, własnymi oczyma patrzałem. Nie mówił mi nikt, bobym nie wierzył.

Gdy wojewoda jak osłupiały stał, badając posła, od stołu, przy którym nań oczekiwano, zaczęto spoglądać nań i Kępa, wojewoda poznański, zmiarkował, że go tam coś złego u drzwi zatrzymało — wstał i podszedł ku niemu.

Sędziwój się zwrócił do Kępy.

— Patrzajże, wojewodo — rzekł — ten nam krasne jajko wielkanocne przywozi, prędzej bym się był tatarskiego najazdu spodziewał.

Kępa, niecierpliwy człowiek, krzyknął zaraz do Drzemlika.

— Gadaj, co jest?

— Gniewkowski ksiązę się zjawił i cztery zamki mu poddano.

— Jako? Mnich?

— Przy mieczu i we zbroi widziałem go pod Złotoryją.

— Złotoryja się poddała! — zawołał na głos Kępa.

Od stołu, od święconego, posłyszawszy to, zerwali się wszyscy.

Zmięszali się goście, nikt nie rozumiał.

— Cóż? Napaść krzyżacka? — wołali jedni. — Litwini wtargnęli! — mówili drudzy.

Nikommu gniewkowski ksiązę na myśl nie przyszedł.

— Ktoś chyba postawę jego na siebie wziął — odezwał się Kępa. — Wszakże sprzedał swą

dzielnicę, pieniądze od króla wziął, cysterszem czy benedyktynem go postrzyżono. Biskup się przeżegnał ze zdumienia.

— Nie może to być — rzekł — bo wiem, że w Dyżonie świątobliwy żywot prowadził.

Papież nasz uwolnić go nie mógł od ślubów, dla króla naszego... Nie może to być...

Sędziwój dumął zasmucony.

— Ojciec mój — odezwał się do biskupa — przedsię może to być, bo kto znał Władysława, uwierzy wszystkiemu. Ani się dziwię, że on kaptur zrzucił, ale zdumiewam temu, że ludzie się znaleźli, co za nim poszli.

Kępa przerwał gwałtownie:

— Oto macie, com mówił, a o czym ostrzegałem. Gotowi nawet takiego księżęcia wziąć, byle kogo przeciw królowi postawić.

— Tak — odezwał się Sędziwój — tak, ja, co go znałem, powiedzieć mogę, iż nie ważyłby się na taki krok, gdyby go stąd źli ludzie nie pociągnęli. O wyjściu z klasztoru słychać było, a i o tym prawiono, że się bez przyczyny Wielkopolan nie stało, ale na Węgrzech na łasce królowej mieszkał i miano mu opactwo dać.

— Sam je sobie tu wziął! — rozśmiał się Krystyn, szwagier wojewody. — Zuch mnich! I jeszcze się gotów ożenić.

Żart był nie w porę, namarszczyli się wszyscy. Wojewoda stał posępny. Zwrócił się do gości.

— Racście daru Bożego zażywać — odezwał się — ja do ust nic nie mogę wziąć, dopóki do króla gońca nie wyprawię, królowej nie dam znać i ludzi nie każę zbierać. Po czterech zamkach uzuchwalony gotów się rzucić na inne. Na warchołach, co się do niego przyłączyć gotowi, nie zbywa. Radzić potrzeba zawczasu.

Pomimo zaproszenia goście stali, nie myśląc o chlebie, bo każdy był ciekaw jakichś szczegółów. Wyciągnięto od progu Drzemlika, badając go, lecz mało z niego dobyć się dało.

Smutną tylko historię Romlika opowiadał.

Ruszano ramionami, podziwiając osobliwą przygodą; a byli i tacy, którzy o niej powątpiewać chcieli, gotowi przypuścić, że przybyłemu we łbie się pomieszało.



Całe wesele, pocięcha i spoczynek dni świątecznych strute były, na twarzach wszystkich malowały się obawy o jutro. Człowiek, który mógł w przeciągu dni kilku tyle dokazać, z pomocą tych przyjaciół, których się domyślano, pokusić się też gotów był o więcej. Sędziwój z Szubina, nie wyznając tego przed nikim, przewidywał już sprzysiężenie jakieś przeciw Ludwikowi. Wiedział, ilu tu miał niechętnych.

On, biskup i Kępa rozmawiali jeszcze po cichu, a drudzy otaczali Drzemlika, gdy pacholę nadbiegło oznajmując, że Romlika też Łukosz ze Złotoryi przywiózł. W ten sposób potwierdziła się wiadomość i sam wojewoda, nie czekając, aż stary dowódca będzie się mógł mu stawić, wyszedł go szukać.

Łukosz po skrępowaniu i umęczeniu Romlika musiał go tu na wozie, sam przy nim jadąc, jęczącego, zbolałego przywlec, bo wojewodzie wielkorządcy chciał się koniecznie tłumaczyć.

Zobaczywszy go, ledwie dźwignąć się miał siłę. Krzepki stary był nagle zmieniony okrutnie, nie mógł sobie przebaczyć, że oddaleniem się swym z zamku był utraty jego przyczyną.

Ujrzawszy wojewodę, mimo bezsilności dźwignął się na pokrwawionych od łańcuchów, i sznurów rękach.

— Winowajcę macie przed sobą! — zawołał rozpaczliwie. — Tak! Trzeba mi było dać się skusić i do brata pojechać na święta! Porwano mnie stamtąd, a oto ten niegodziwiec dla ocalenia mi życia Złotoryję im oddał w ręce.

Łukosz przerwał żywo:

— Karz mnie, Miłość Wasza, gdy chcesz! Sądziłem i sędzę, że łatwiej będzie odebrać zamek na króla, niż memu dobroczyńcy życie przywrócić.

Stał milczący.

Sędziwój, wysłuchawszy, zwrócił się do starego.

— Nikogo nie winie — rzekł — napaść była niepocziwa, niespodziana. Przewidzieć jej żadna żywa dusza nie potrafiła. Lecz skądże ten książe? Kto z nim?

— Skąd? Z piekła! — krzyknął Romlik. — Z nim tłum i szuja, która by do pierwszego lepszego zbroja była się przyłączyła!

— Wiecie, że i Włocławek, i Gniewków opanowali? — pytał Sędziwój.

— I Szarlej pewnie — dodał Łukosz.

— Skądże wziął ludzi? — badał wojewoda.

— Po drodze nam opowiadali ci, co z Włocławka zbiegli, że i dziesięciu koni nie miał, gdy na zamek tamtejszy wpadł. Krzyknęli, że jest rozkazanie królewskie, aby zamek zdawano, ludzie się ustraszyli.

— Przykazania królewskiego nie ma i być nie może! — zawołał wielkorządca. — Stawiłby się był z nim do mnie.

— Z Włocławka, zabrawszy część załogi, pobiegł do swojego dawniej Gniewkowa — ciągnął dalej Łukosz — a tam się do niego zbiegło pono różnego ludu dosyć. Zaraz też z nimi popędził na nas, ale wiedział, że zamku inaczej nie weźmie, jak zdradą. Dlatego starego (tu wskazał na wóz) w Podgórkach chwycili i chcieli wieszać.

Około wozu, na którym leżał Romlik, gawiedź się zbierała, wojewoda stał nad nim zadumany ponuro. Wtem człowiek się przecisnął ku niemu w odzieży, która zamożnego mieszczanina poznać w nim dawała.

— Naprzód on zawitał do Gniezna — odezwał się, kłaniając wojewodzie. — Bodaj czy nie mieli na myśli tak samo próbować tam, jako później we Włocławku. Ale tu go poznał Hanko, do którego zajechał, i zbył się go...

Wojewoda słuchał z podziwieniem. Nie było już wątpliwości, że się po opanowaniu czterech grodków w siłę zbiwszy, rzuci i na inne. Potrzeba było, nie tracąc godziny, zbierać siły i wystąpić przeciwko najeźdźcy.

Znał Sędziwój, jakie były w Wielkopolsce marzenia i zamiary znaczniejszej części ziemian.

Powodzenie mogło poruszyć umysły. Rozkazawszy na zamku pomieścić Romlika, miał już iść wojewoda wyprawiać gońców i bodaj sam usiąść na konia, gdy z rozmaitych stron zbiegowie i ci, co wiernie służyli mu, nadciągając zaczęli.

Co najdziwniejsza, nadjechał i stary Dersław Nałęcz, którego wojewoda wcale się nie spodziewał. Rad mu był więc, chociaż przebiegły spiskowiec tnie po co innego tu przybył, tylko żeby wziąć języka i zobaczyć a posłuchać, jak tu poczynać będą. Udawał obojętnego i lekceważącego.

— Co myślicie, panie wojewodo? — odezwał się po przywitaniu. — Dziw to jest, że taki niezdara, jak ten książę, tak szalone miał szczęście, lecz mnie się zdaje, że ono nie potrwa.

Przypadek to zrządził.

Sędziwój był małomówny.

— Co się stało, o tym już i mówić niewiele warto, a zapobiec, aby się gorsze jeszcze rzeczy nie działy — odezwał się zimno.

Dersław poruszył ramionami, rad był więcej też przysłuchiwać się, niż mówić.

— A może się on tam na tych zamkach trzymać? — spytał.

— Nie spodziewam się — odparł Sędziwój — łatwiej je było wśród pokoju zaskoczyć, niż obronić.

— Ludzie doń, słyszę, kupami się wloką zewsząd — rzekł Dersław. — Mówili mi, że już kilkuset ma.

Sędziwój pogardliwie ruszył ramionami.

— Na cztery zamki nie za wiele — rzekł — a moich stu nie dałbym za jego czterystu, boć to gmin czarny.

— Ano, liczba! — bąknął Dersław, który może chciał trochę rzucić popłochu. — Coś sobie pono i Węgrzynów zamówił.

— Tym pilniej trzeba się nam też skupić i iść na niego! — zawołał Sędziwój. —

Spodziewam się, że i wy mi w tym pomożecie?

Dersław się trochę zmieszał.

— Ze mnie starego przybytek niewielki — rzekł. — Sił macie i tak dosyć. Przybyłem tylko, aby was przestrzec.

Dziękując chłodno, wojewoda wprowadził go do izby. Sam jednak gości tu swoich przyjmować nie mógł, a znaczniejsza ich część wiadomością tą spłoszona rozchodziła się.

Krystyn tylko ze Skrzypowa, szwagier wojewody, korzystając z popłochu, zasiadł jeść i pić, zapraszając do siebie ochotnych, jako w braterskim domu.

— Ponieważ wojna się zapowiada — wołał — trzeba się posilić na nią. Głodnemu ani myśl dobra nie przyjdzie, ani ma ochoty wiele. Nalewać kubki! — mówił, do służby się zwracając. —

Brat Sędziwój uczynił mnie tu gospodarzem.

Derśław siadł, nie odmówiwszy miodu, aby się przysłuchać.

— Cóż wy na to? — zapytał Krystyna.

— Ja na to jak na lato — zawołał, śmiejąc się, już trochę podchmielony Krystyn. —

Królowi zamki nie przepadną, jedno książątko gniewkowskie, o Jezu, nie straszne, a może dla mnie gdzie na odzyskanym grodzie okroi się służba, rad będę!

— Myślicie, że z gniewkowskim tak łatwo pójdzie — odezwał się Derśław — ale to szalona pałka, bez mózgu człek, a takim się szczęści! Wiecie, ilu u nas tałatajstwa po gościńcach się włóczyło, wszystko to pójdzie na służbę do niego. Wczoraj nie miał stu, jutro może mieć tysiąc.

— Zapominasz o tym — odparł Krystyn — że wedle wszelkiego podobieństwa mieszka nie ma nabitego, a bez groszy najemnika nie dostanie.

— Jako? — zawołał Derśław. — Albo to nie słyszeliście, od czego Łokieć poczynał? Z taką kupką, jak i on, i bez złamanego denara?

Krystyn jakoś nieustraszony śmiał się.

— Z Czechami miał do czynienia, to co innego było — rzekł. — Tamten słabo siedział na tronie, a nasz Ludwik, ho! ho!

Derśław nie śmiał nic rzec w tym domu przeciw Ludwika, ale mruknął:

— Tylko że Ludwika u nas nie ma, a stara baba...

Krystyn popijał. Derśław sądził, że przez niego najprędzej popłoch rzuci i poczał:

— Nie lekceważcie małego. Bieda go wiele nauczyła. Szczęście szalone ma. Nie bez tego, żeby w Złotoryi i Szarleju, i od gniewkowskich grosza nie dostał. Siła i u nas takich jest, co mu gotowi dać.

— To co? — rzekł Krystyn. — Będziemy z mnichem wojowali! Tym lepiej, człowiek się pożywi i ręce zdrętwiałe odżyją.

Zostali w kilku za ledwie przy stole, którego mało kto dotknął, tak wszyscy zajęci byli około wojewody, wysyłającego już gońców, posłów, żołnierzy, wici.

W podwórzu, mimo dnia wielkanocnego, z kołaczem w jednym ręku, z biczem w drugim, z

gębami pozapychanymi, naprędce do ust spragnionych niosąc kubki, które im czeladź napelniała, pacholkiwie wybierali się cna różne strony.

Derśław na wszystko pilne miał oko. Doczekawszy się Sędziwoja, rozmówił się z nim

jeszcze i nad wieczór wybrał się nazad do domu.

O kilkoro staj za miastem czekał nań zakapturzony jeździec.

— Jakie rozkazy? — spytał.

— Siedźcie cicho! Sędziwój się ostro bierze do księcia, tamten wątpię, żeby mu dotrzymał.

Trzeba czekać, jak się dalej wątek zasnuje. Nie da mu pono zagrzać miejsca we Włocławku ani w Złotoryi.

Poszeptali coś jeszcze i zakapturzony jeździec, konia ścisnąwszy, w las się puścił, a Dersław z głową zwieszoną na piersi powoli nazad do Wielkiej Wsi, odmawiając pacierze i przysłuchując się głosom wieczora, podążał.

## VIII

Przyjaciele starzy księcia Władysława na wieść o jego przybyciu i powodzeniu

niespodzianym poruszyli się wszyscy, ale nigdzie radośniej nie powitano nowiny tej jak w Drzdenku. Stary Bodcza wprawdzie nie najlepsze miał wyobrażenie o zdolnościach i wytrwałości Białego, kochał go, miał dlań słabość, lecz politowanie się do miłości tej przykładało.

Jedna córka Bodczy, Fryda, broniła księcia, za którą szli niekiedy bracia Ulryk, Dobrogost, a nawet Arnold. Z tych trzech pierwszy był mu może najprzyjaźniejszym.

Właśnie w sobotę przed Przewodami na zamku w Drzdenku wszyscy zgromadzeni byli.

Letni już Bodcza, który piwa wieje pijał, a ruszał się mało, roztył się w ostatnich latach niepomiernie i dawnych swych rycerskich obyczajów zaniechać musiał.

Córka Fryda, która za mąż wyjść, jedni powiadali — nie chciała, drudzy twierdzili — nie mogła, wielką nad ojcem miała władzę. Niewiasta też była, której mało kto, częściej z nią obcując, nie uległ w końcu.

Niegdyś piękna bardzo, teraz jeszcze przystojna i dość świeża, umysł miała nad krasę, chociaż jak wszystkie wówczas niewiasty czytać ani pisać nie umiała, właśnie może dlatego w pamięci nadzwyczajnej zatrzymywała wszystko, czym ją obcowanie z ludźmi mogło zbogacić.

Pieśni, modlitwy, gadki, przysłowia, wiadomości o krajach obcych były u niej na zawołanie.

Zdumiewała niejednego, co się uczonym być sądził, a miała też tą śmiałość kobiet pięknych, co swą siłą znają, że nikomu nie ustępowała.

Mówiła kilką językami wcale dobrze. Dom cały był w jej rękach i na jej głowie, a że ojciec mało mógł się ruszać i chyba przez okno w podwórze wyjrzał, ona za niego rozkazy dawała i urzędnikom panowała, którzy jej słuchać byli nawykli. I szło wszystko ładem wielkim w Drzdenku, tak że

Bodcza, który ją z początku chciał za mąż wydać koniecznie, teraz jej nikogo nie swatał, bo mu z nią było dobrze, a bez niej by sobie rady nie dał.

Z musu Fryda Bodczanka pomimo niewieściego wdzięku, o którego zachowanie była

troskliwą, rozkazując ciągle, coś męskiego obyczaju przybrała. Ruch jej i postawa czasem wojaka młodego przypominały. Nie przeszkadzało to jej wieczorem, gdy wolną była, do ręki wziąć cytrę i przy niej polskie lub niemieckie nucić piosenki, gościom ojcowskim głowy zawracać i zalotnie się uśmiechać.

Jeżeli jednak który z nich wejrzenia wyzywające brał za dobrą monetę i myślał sobie coś na nich budować, szorstką i szyderską dawała odprawę.

Twierdzono powszechnie, iż od tego czasu, gdy Biały u nich w Drzdenku przesiadywał,

rozmiłowała się w nim bardzo i zarzekała, że za innego nie wyjdzie, tylko za niego. Gdy potem przysłała wiadomość, że mnichem został, nie zraziło ją to, upierała się przy swym, iż powróci.

Śmiały się z niej niewiasty, z którymi poufała była, lecz lata jej tej wiary nie wybrały z serca.

Gdy się w Drzdenku po raz pierwszy dowiedziano o poselstwie do Białego, piękna Fryda

rozpromieniała zwycięsko. Była pewną, że gdy wróci, do niej też powrócić musi. O ważności ślubów zakonnych nie miała takiego wyobrażenia, by one wielkiego rodu męża wiązać mogły. Była pewną, że księcia rozgrzeszy papież i uwolni.

Wprawdzie wszystkie te nadzieje zachwiały się, gdy księżę zamiast do Gniewkowa pojechał

do Budy i długo o nim słyhać nie było, lecz Fryda Bodczanka miała wytrwałość wielką, przecucia jakiegoś, upór niewieści.

Drugi raz zwycięsko na ojca spojrzała teraz, gdy nadbiegł poseł po zdobyciu Szarleja, oznajmujący, iż księżę cztery zamki zdobył i starych przyjaciół pozdrawia. Poseł ten, Lasota, choć przybył z próżnymi rękami, bo księżę podarku kosztownego nie miał, a lada jakiego nie chciał słać, sprawił nadzwyczajną radość. Fryda spytała go, czy się księcia spodziewać mogą, lecz Lasota nie obiecywał go, tłumacząc, że wiele będzie miał do czynienia około odzyskanej dzielnicy, aby ją do stanu takiego przyprowadzić, by się obronić mogła.

Włocławek, Gniewków, Złotoryję, Szarlej trzeba było w żywność opatrzyć, w ludzi, w maszyny i w pieniądze. Fryda rozumiała to, posłała życzenie szczęścia. Dumną nim była.

Od tej chwili Bodcza, Dobrogost, Arnold, a szczególnie Ulryk spędzający święta w

Drzdenku, o niczym nie mówili, tylko o Białym. Wszyscy znali go z bliska i dobrze, stary pono najlepiej. Ten głową potrząsał, nie obiecując sobie wiele. Ulryk, przeciwnie, łudził się tą energią, którą księżę czasem okazywał, tym gwałtowniejszą, że była wybuchem słabym właściwym.

Dobrogost też nie rozpaczał o nim.

Było to wieczorem już i przed gośćmi, dla towarzystwa Bodczy, który przez cały boży dzień piwo popijał, stały spore kubki, przy których wiodła się rozmowa o gniewkowskim księciu. Fryda się do niej nie mieszała, wchodziła i wychodziła, przysłuchując się tylko. Na podwórzu mrok był, w izbie mrocznej jeszcze. Stary na podosłanej miękko ławce w kącie, u rogu stołu odpoczywał.

Fryda właśnie była wyszła.

— Mówcie wy, co chcecie — począł głosem nieco ochrypłym, jękając się i spluwając — ja kocham go, to pewna, ale mu nie rokuję dobrego nic. Jest jak to konisko, co zaprzężone bryka, wierzga, rwie się, a najpierwsze ustanie.

— Tak to było, gdy młodszym bywał — przerwał Ulryk, syn Bodczy, chudy i słuszny mąż, twarzy wesołej, o niskim czole i wejrzeniu jasnym, a niegłęboko sięgającym. — Zналиśmy go w tych dniach żywota, gdy go boleść szarpała, więc zmieniony był, ale mu na męstwie i na rzutkości nie zbywa. Juści to zdobycie zamków nie lada sprawa.

— Daj mu, Boże, jak najlepiej — szepnął Bodcza, popijając — ja się boję o niego. Gdyby jeszcze Otto z Pilcy był wielkorządcą, ale z Sędziwojem...

— Tak, Sędziwój rozum ma i męstwo, i umiejętność zażycia ludzi — przerwał Dobrogost

— lecz nie ma w Wielkopolsce. miru. Znają go ludzie wiernym Ludwikowi i Elżbiecie, a tych mało kto lubi.

— I — dodał Arnold — cichaczem ci, co po niego posyłali, pomagają będą Władysławowi.

Chłopię przyszło w kominie ogień maniecić, aby izbę rozświecił, gdy zatętniało na moście zamkowym i trzech konnych wpadło szybko w dziedziniec.

Arnold oknem wyrżał.

Fryda, która od bytności Lasoty *co* dzień chodziła strojna, z utrefionymi włosami, z łańcuchem na szyi, niby dla świąt, a w istocie dla jakiejś nadziei, do której się nie przyznawała, wbiegła żywo do izby. Rumieniec miała na licu i drżącym głosem odezwała się:

— Ktoś przybył...

Kończyła wyrazy te, gdy w progu ukazała się postać rycerska, mąż w płaszczu na ramionach, lekki szyszak zdejmujący z głowy.

Mimo upłynionych lat, poznali wszyscy w nim księcia Białego. Fryda, zbladłszy, o stół się oprzeć musiała. Otyły Bodcza dobywał się z siedzenia. Dobrogost, Ulryk i Arnold spieszyli na spotkanie.

Książę stał długo jak posąg w progu, z oczyma wlepionymi we Frydę, która drżąc cała, witała go też wejrzeniem;

— Przyjaciele moi — odezwał się wreszcie gość głosem, w którym wielkie odbijało się wzruszenie — przyjaciele moi, przybyłem do was. Zbiegłem choć na godzin parę.

To mówiąc, płaszcz z ramion zsunął i z wolna począł się ku środkowi izby posuwać. Bodcza ze łzami go ścisnął. Dobrogost i Ulryk wyciągali ręce, on się przecisnął pomiędzy nimi do stojącej dalej Frydy.

Lecz jej i jemu na powitanie wzajemne wyrazów zabrakło. Dziewczę sromało się i ulękło, czując, że ją może nie taką znajdzie, jaką pamiętał. W nim wspomnienie jej z widokiem zmienionej i zwiędłej nieco walczyło. Przyniósł tu w pamięci obraz świeżej, rozkwitłej, a znajdował choć jeszcze w kwiecie, lecz już dojrzałą, poważną niewiastę.

Nim te obrazy zlały się z sobą i rzeczywistość zatarła pamiętkę zbladła, Biały nieporuszony stał naprzeciw niej. Ujął jej rękę i powoli do ust przycisnął.

Fryda zarumieniła się i odżyła, wyprostowała, zwycięskim znowu wejrzeniem mierząc przytomnych. Radosne głosy Ulryka, Dobrogosta, Arnolda mieszały się z sobą.

— Wina na przywitanie gościa naszego! — począł Bodcza natarczywie. — Frydo, każ podać, co dom ma najlepszego, bo gość to wielki, a, Bóg świadek, niespodziewany...

Biały, który zjawił się tu nie bez pewnej obawy i zasepienia a troski, wnet się ożywił. Twarz rozweselona odmłodziła i zatarły się na niej ślady widoczne przebytych lat w celi klasztornej.,

— Pokruszyłem więzy, które mnie przykuwały — odezwał się — i spodziewam się nie dać ich już włożyć na siebie. Pan Bóg mi poszczęścił, ale potrzeba jeszcze wiele, wiele, bym stanął u celu.

— A tak — westchnął, wpół go obejmując otyły Bodcza. — Z Sędziwojem sprawa...

— Nie tyle się o nią troszczę — zawołał książę — jak o to, aby w Budzie mi królowa siostrzenica dotrzymała słowa. Mam jej obietnicę, że mnie popierać będzie. Jeżeli się czas jakiś utrzymać potrafię tu, królowa to wyrobi u Ludwika, że mi odda dzielnicę.

Słowa te wyrzeczone z taką śmiałością, jak gdyby prawdą były, uczyniły radosne wrażenie na słuchaczach. Książę w istocie łudził się. Jeżeli miał obietnicę królowej ogólne co do zapewnienia swego losu, nie stosowały się one wcale do obecnego położenia, którego królowa przewidywać nie mogła ani pochwalić, ani uniewinnić.



Lecz Biały, dla dodania sobie męstwa, zmyślał przed samym sobą to, co pocieszać go

mogło. Zapewnienie to o opiece królowej przyszło w porę i powitano je kubkami, które właśnie przyniesiono. Fryda drżącą ręką, z uśmiechem, sama mu najpiękniejszy złocisty becherek podała, a książę, patrząc jej w oczy, wychylił go do kropli.

Bodcza, który na nogach z ciężkością się mógł długo utrzymać, do siedzenia zapraszał.

Dobrogost już mu krzesło przysposabiał.

Wtem książę zwrócił się ku drzwiom i pozostałemu przy nich Lasocie dał rozkaz, aby konie popasł i o wchodzącym z północy księżycu miał je do odjazdu gotowe. Bawić nie mógł, jak powiadał.

Wszyscy się w niego z wielką wpatrywali ciekawością, a najpilniej Fryda, która śledziła w twarzy, czy się jego uczucia i charakter nie zmienił. Znajdowała go w istocie innym, starszym może, lecz takim, jakim wprzód nie bywał nigdy, podniesionym na duchu, mężnym, ufającym sobie i szczęściu swojemu. Ten wyraz oblicza wkrótce usprawiedliwiły słowa, które w początku powoli, potem coraz żywiej i goręcej z ust jego płynąć zaczęły.

Ulryk i Dobrogost wieszowali mu odzyskanej dzielnicy.

Uśmiechnął się lekceważąco.

— Moja dzielnica — rzekł — tylko na to mi służy, abym miał gdzie pierwszą postawić stopę.

Podniósł głowę dumnie do góry i spojrzął na Frydę.

— Moja dzielnica — dodał — będzie dla mnie obozowiskiem, miejscem dogodnym, z którego robić zamierzam wycieczki.

Słuchano go z uwagą; on z lekkomyślnością człowieka, który tajemnicy w sobie utrzymać nie umie, począł nie wyzywany mówić z zapałem:

— Wiecie, że niegdyś chodziłem z Krzyżakami na Litwę, miałem nawet myśl jakąś wstąpić do ich zakonu. Mam z nimi dobre stosunki, kilku towarzyszków broni; sądzę, że gdy się do nich odezwę, zrozumieją interes swój i będą mi pomocą. Wielkopolscy ziemianie nie cierpią Ludwika, chcą Piasta, przecież nie kto, tylko oni mnie z klasztoru wydobyli. Mam więc świetniejsze nadzieje niż błahe księstwo gniewkowskie. Szczęście mi się wyraźnie uśmiecha, jest w tym palec Boży.

I wsparłszy się jedną ręką na stole, mówił ciągle z zaufaniem tym w sobie:

— Zaprawdę, życzę dobrze mężowi mojej siostrzenicy, a lepiej jeszcze jej samej i córkom, ale one nie utrzymają się na polskim tronie. Dość im będzie Węgier i Włoch do podziału.

Milczeli słuchający, najmocniej zdumionym był stary Bodecza. Nie poznawał tego

człowieka, którego pamiętał zniechęconym od świata i wzdychającym do spoczynku.

Ulryk i Dobrogost z czią spoglądali na niego.

— Wszystko to — rzekł Bodecza powoli — możliwe przy łasce Bożej, lecz wiele potu i krwi na to potrzeba.

— Ludzie płyną do mnie, cisną się, mam ich więcej, niż się spodziewałem — rzekł Biały.

— Grosza mi brak trochę, ale go Wielkopolska dostarczyć musi. Ludwik zajęty Włochami, sił wielkich przeciw mnie wystawić nie będzie mógł, tymczasem ja się w nie wzmogę. Złotoryja mocna jest. Włocławek także trzymać się będzie.

— Masz, księżę, wodza już wybranego? — przerwał Arnold. — Na tym wiele zależy.

Księżę znowu się uśmiechnął.

— Dopóki go nie mam — rzekł — sam nim będę! Prawda, że z mnicha nagle nim zostać

byłoby innemu trudno, ja mam we krwi to, zem do wojny stworzony. Teraz dopiero czuję, że to było przeznaczenie moje.

Tak się przechwalał księżę, a gdy parę kubków wychylił i wejrzenie pięknej Frydy zagrzało go więcej jeszcze, nie taił już, że się o koronę polską dobijać myśli. Mówił to z takim zaufaniem w losy swe i siłę, że wszystkim, nawet Bodeczy, powątpiewającemu o nim, zamknął usta.

Na twarzy Frydy odbijało się każde jego słowo. Chciałaby była nie stracić żadnego, móc nie odchodzić i nie spuścić oczów z niego, przybliżyć się doń, lecz starania o wieczność zmusiły ją do wyjścia.

Zaledwie kilka kroków zrobiła w korytarzu, gdy przy słabym blasku ogniska, które przez otwarte drzwi kobiecej komory wpadało tu, ujrzała maleńką a pękatą postać jakąś cisnącą się jej do kolan i usiłującą pochwycić rękę.

Śmiech towarzyszący się napaści przypomniał jej i dal poznać Buśka, który tu niegdyś z księciem przesiadywał i uprosił się dziś za towarzysza, aby miłe powitać wspomnienia.

— Buśko, to ty chyba! — zawołała Fryda, której wszystko, co do księcia należało, miłym było.

— Ja! To ja — odparł zadyszany mały — Takem go prosił, że mnie wziął tu z sobą. O, moja królowo! Jakże tu u was dobrze i miło!

Fryda go wprowadziła za sobą do izby. Spojrzała nań przy świetle ogniska. Wydał się jej bardzo nabrzęklym, zbabiałym i starym, ten dawniej wesoły i pocieszny śpiewak i bajarz.

On ją znajdował jak dawniej piękną i całując kraj jej szaty, powtarzał to. Fryda śmiała się rada.

— Twój pan, Buśku — zawołała — także zyskał na męskiej urodzie, a urósł na takiego bohatera. Jak rycersko wygląda!

Ruszył ramionami służka, który znał dobrze swojego pana.

— Królówko moja — szepnął poufnie — nie ma się co go bać. Jemu takie bohaterstwo przychodzi i odchodzi łatwo, a że się nie odmienił wcale, ja za to ręczę.

— Przecie dokazaliście cudu! — zawołała Fryda.

— My? — szepnął Buśko. — Ani on, ani ja się do tego nie przyznamy. Samo się to zrobiło.

Fryda się zmarszczyła.

— Niedobrze służysz swemu panu — rzekła — kiedy mu ujmujesz sławy.

— Ja? Ja go kocham jak własną wątrobę! — zawołał Buśko. — Nikt go tak jak ja nie kocha, ale nikt lepiej go nie zna. Najwięcej się o niego boję, gdy mu najlepiej, bo tylko co nie widać, gdy on sam psuć zacznie.

Rozgniewała się piękna Bodczanka i nóżką tupnęła.

— Niegodziwy jesteś! — krzyknęła. Buśko pocałował rąbek jej sukni.

— Królowo moja, wy mnie sądźcie surowo — odezwał się. — Ja to mówię, abyście wy go trochę otrzeźwili. Zdobył, sam nie wie jak, cztery zamki, więc już o koronie marzy i króla chciałby z tronu zrzucić, a jemu gdyby Gniewków dali, dość by było.

Fryda popatrzyła nań groźnie.

— Rozum swój zachowaj dla siebie — rzekła surowo. Buśko odstąpił krok i widząc, że się wdał w nie swoją rzecz, począł szeptać ciszej:

— Królowo moja, gdybym ja wam mógł opowiedzieć, jak on przez te lata ciężko za wami

wzdychał, a często wspominał... Jak mi wasze pieśni w klasztorze sobie nucić kazał... A myślicie, że byłby swoją celę opuścił, gdyby go tu wasze nie wabiły oczy? Wszystko to, co on czyni, tylko dla was. Byle wytrwał!

Tu usta sobie dłonią jakby napuchłą zamknął, śmiejąc się.

— Przecież sam mówisz i dowodzisz, że wytrwać umie — odparła Fryda.

— Ale nie we wszystkim — westchnął Buško. — Z Dyżonu pojechaliśmy do papieża, tam

nam nie chcieli nic dać i nic zrobić. Żeby był zaraz puścił się do Polski, już byśmy wszystką biedę przebrnęli, ale do Węgier, do siostrzenicy jechał. Cośmy tam czasu zmarnowali! Król omal znowu go w kaptur nie ubrał. Szczęściem, że o was pamiętał, piękna Frydo...

Bodczanka milczała, słuchając.

Dziewczynie kubek przynieść kazała i podała go sama Buškowi, który od dawna

pożądliwymi oczyma dokoła rzucał.

— A, królowo moja — westchnął, kubek przyjmując — musiało mu w Dyżonie być bardzo

tęskno, kiedy takie wino dobre porzucił. Ale on go tam czasem do ust nie brał, tak był stęskniony.

Bywało, siedzi w nocy, nie śpi, wzdycha, a gdy postłyszysz, że czuwam, albo o was rozpowiadać, lub waszą jakąś pieśń nucić mi każe.

Fryda byłaby słuchała chętnie opowiadań pochlebcy, który skutek ich obrachowawszy, rad był ją karmić nimi, lecz z izby gościnnej dochodził ją głos Białego. Pospieszyła tam pod pozorem przygotowań do zastawiania wieczerzy.

Rozmowa była bardziej jeszcze ożywiona niż przedtem. Biały na jawie marzył i zapalał się swymi snami.

— W Gnieźnie — powiadał — mam swoich przyjaciół, przekonałem się, że o mnie nie

zapomnieli. Z jaką serdecznością witał mnie tam poczciwy Hanko i jakiego mi pysznego darował sokoła.

To mówiąc, nagle zmarszczył się. O sokole zupełnie był zapomniiał wśród wypadków żywo

po sobie następujących. Sokół, którego nie widział, wprowadził go w niepokój jakiś.

Wstał i postąpił ku drzwiom.

— Wybaczcie — rzekł — zapomniałem był o tym sokole, a właśnie ze mną jest ten,

któremu go powierzyłem. Co on, z nim zrobił, wiedzieć muszę.

I księżę cały już sokołem tylko zajęty, nie zważając, ani gdzie był, ani na to, że nań wszyscy zdziwieni tą zmianą patrzali, pobiegł ku drzwiom, wołając na głos Buška. Był gniewny i zapłoniony.

Buško, który kubka dopijał w komorze nieco oddalonej, nierychło wołanie usłyszał i

przybiegł z twarzą wesołą. Na myśl mu nie przyszło nawet, ażeby księżę się miał o sokoła troszczyć i

upominać.

Z twarzą groźną, głosem gniewnym Biały poskoczył ku słudze.

— Trutniu! Coś zrobił z Hanki sokołem? Mów! Powierzyłem ci go? Gdzie się podział?

Kędyś go zostawił?

Buśko dał mu się wyburzyć, milcząc nieco, znał go dobrze. Wiedział, że ten gniew gwałtowny niebezpieczny jest, ale przejdzie rychło. Zmuszonym był skłamać na razie. Przybrał minę poważną.

— Miłościwy Książę — rzekł z przybraną pokorą niemal szydersko — nie mogłem razem pilnować osoby waszej i sokoła, zwłaszcza że sokół był niespokojny, jak gdyby także myślał gniazda zdobywać. Zostawiłem go we Włocławku.

Książę ochłonął, odszedł go gniew, dał znak Buškowi, aby szedł precz. Śpiewak się do ziemi pokłonił i zniknął.

— Sokół ten — powracając od progu, począł książę — jest wielkiej ceny, króla godzien.

Nigdzie, nawet we Francji i we Włoszech, takiego nie widział sokoła. Buśko się nie zdał na niańkę dla tego wychowańca, muszę go tu do was odesłać, bo minie teraz nie czas się nim zabawiać.

Wieczera była bardzo wesoła. Piękna Fryda, sama nie siadając, krążyła około biesiadników, stając najczęściej u krzesła księcia. Bodecza pił tyle, że mu się kleiły oczy. Dobrogost żywy spór wiódł z Arnoldem, mieli więc sposobność Fryda i on szeptać z sobą poufale.

Dziewczę było śmiałe.

— Buśko mi po swojemu baśni prawił — rzekła — jakobyście mu moje pieśni śpiewać kazali. Nie wierzę temu. Gdybyście tęsknili za mną, nie zostawilibyście samej tak długo.

Książę-mnich był cały pod urokiem czarnej kobiety wywiera, gdy dawno nie obcowało się z nimi poufalej. Wydawała mu się tak piękną, a nade wszystko tak ponętą tym, że mu jej oczy o miłości mówiły.

— Frydo — zawołał — Buśko nie kłamał, tęskniłem i dla was wyrwałem się stamtąd, gdy mi oznajmiono, że wolną jesteś! Frydo — dodał ciszej — jak skoro jeden z mych zamków umocnię, porywam cię...

Zarumieniła się Bodeczanka.

— Przywieź księdza z sobą tylko, który by nam ślub dał, pojedę.

Książę zaczerwienił się i zmieszał.

— Stanie się po twej woli — rzekł — a gdy się to dopełni, uczynisz mnie niezwyciężonym, bo mojego szczęścia bronić będę.

Cichym szeptem skończyła się rozmowa.

Wtem przez okno przeciwległe, za błonami wyrzał czerwony, przekrojony na wpół księżyc wschodzący. Biały porwał się od stołu.

U progu stał Lasota, a za nim opończą okryty, rozkołysany napojem i ucieszną rozmową

Buśko.

— Na koń! — zawołał Biały. — Musimy przede dniem być w domu.

I dwie dłonie wyciągnął ku gospodarzowi i jego synom, ścisnął rękę Ulryka, a cofającą się do progu w cień Frydę ujął wpół i w czoło pocałował.

Lekki stłumiony okrzyk dał się słyszeć, na moście tętniało. Biały, świszcząc piosenkę jakąś, pędził z powrotem na zamek.

## IX

Upłynęło dosyć czasu, wiosna była w pełnym rozkwicie, upały letnie się zbliżały, książę i jego przyjaciele gotowali się do obrony na zamkach zdobytych.

W pierwszych dniach padła na nich trwoga, z Wielkopolski od Poznania głośzono o

niezmiernych przygotowaniach Sędziwoja z Szubina, spodziewano się go co chwila. Z pośpiechem dopełniano liczby ludzi potrzebnych na załogach, zwożono pochwytnie u wieśniaków zboże, siano i zapasy. Żale i skargi rozlegały się wszędzie, lecz ani Biały, ni jego ludzie wcale nie zważali na nie.

Tymczasem dni, tygodnie, miesiące płynęły, a Sędziwój z Szubina znaku życia nie dawał.

Wódz był cierpliwy a mądry. Rachował on na to, że długa obawa i prózne oczekiwanie

zmoże i znuży nieprzyjaciela. Nie chciał krwi daremnego przelewu w domowej wojnie.

Czasu jednakże nie tracił. Posłańcy jego przekradali się pod rozmaitymi pozorami do obozu Białego, wielu z nich zaciągało się w służbę jego, aby podpatrzeć, co się tam gotowało. Z tych ochotników potem znikali niektórzy, do Poznania zbiegając z językiem.

Wojewoda był o wszystkim najlepiej zawiadomiony. Wahał się jeszcze, od czego i kiedy rozpocząć, lecz przygotował siły przeważne, tak aby być pewnym zwycięstwa. Z rachuby jego wypadało na ten zamek naprzód uderzyć, który był pierwszy zdobyty.

We Włocławku wojewoda miał najwięcej oddanych mu ludzi. Gotowano wcześniej gmin i załogę, groźbami zemsty jej odbierając ducha.

Książa przebywał z kolei to w Złotorzy, to w Szarleju, to w Gniewkowie. Z początku ściągali się doń z ochotą, z wolna jednak, gdy zapłata zalegała, niedostatek się okazał, przyjaciół ubywać zaczęło. Stary Gniewosz tylko, Drzazga, Sikora, Lasota i kilku młodzieży, którym wojna pachła, dwór księcia składali.

Trwał jeszcze książę w usposobieniu rycerskim, w nadziejach najświetniejszych, i gdzie bez niebezpieczeństwa energię bezkarnie okazać było można, posuwał ją do gwałtowności i przesady.

Lecz po tych wybuchach już często opanowywało go znużenie. Czas mu się wydawał długim, bezczynność go wysilała. Na krok żaden napastliwy, choćby był chciał, porwać się nie miał z czym.

Ledwie było czym grodki poobsadzać.

Buśko, wpatrując się w niego, w twarzy chmurnej widział już symptomata bliskiej zmiany i zwrotu. Głową potrząsał, węzłki tym skrzętniej zbierał i zabezpieczał, ale nie śmiał mówić nikomu.

Zabawiano się tymczasem na zamkach, bo książę potrzebował pobudzających rozrywek.

Stoły zastawne były po całych dniach, a często i nocą. Gardłował przy nich Buśko, a czasem i ściągnięte z różnych dworów dziewczęta-śpiwnice. Z Torunia dostarczano wina, które Krzyżacy z piwnic swych sprzedawali, przywożono przyprawy i wymyślniejsze przysmaki.

Chciał Biały oprócz tych zapasów coś więcej u Krzyżaków dostać i posyłał do nich potajemnie, ofiarując się im jako hołdownik Zakonu, jeśliby mu pomogli do odzyskania dzielnicy.

Zakon, czy niewiele rachował na takiego sprzymierzeńca, czy oszczędzał króla Ludwika, czy inne miał rachuby, zbył księcia milczeniem. Nie przybył nikt stamtąd i Białego na rozmowę nie zapraszano.

Książę obrażony, co był wielkim Zakonu wielbicielem i obrońcą, z wolna wymyślać nań zaczął, a lekce go sobie ważyć. Do książąt mazowieckich tajemne posły wróciły też z odprawą obelżywą prawie.

Wszystko to, choć nie odebrało jeszcze całkiem odwagi księciu, zachwiało jego nadzieje, zaćmiło

marzenia jasne. Pokrywał tajemnicą i milczeniem te niepowodzenia, lecz wieść o nich przeciskała się do przyjaciół i odbierała im ochotę służenia osamotnionemu.

Mieli też sposobność przez ten przeciąg czasu przekonać się, że Biały, który mówił i

obiecował wiele, do czynności nie bardzo był skory. Władał nim, kto chciał, tak rad był, ażeby go ktoś zastąpił i część ciężaru wziął na siebie. Gniewosz, Drzazga, Lasota rozkazywali, rozporządzenia ich często były sprzeczne, książe wzywany do rozstrzygnięcia sporu zdania własnego nie miał.

Najulubieńszym zajęciem jego było, u stołu zasiadłszy, odgrażać się i przyszłość odgadując świetną, nią się upajać. Niekiedy zamykał się z Buśkiem, kładł na pościeli, ręce pod głowę i śpiewać kazał albo go ze słowem jakim posyłał do Frydy i na odpowiedź czekał niecierpliwym.

Zdawało mu się, że ociąganie się Sędziwoja z Szubina było spowodowane postrachem jego imienia i znaczenia.

— Wie pan wojewoda — mówił — że za mną Wielkopolska cała i tylko na hasło czeka, a ruszy się. Ho! ho! Mądry pan. Zna, że nie pożyje mnie łatwo!

I śmiał się, spozierając po swoich, z których wielu mu potakiwało; a gdy Gniewosz lub Lasota ozwali się czasem, że zbyt ufać nie można powolności Sędziwoja, książe się gniewał i bezmózgimi ich nazywał.

Zarozumiałość ta rosła jeszcze, lecz znużenie już z nią walczyło. Aż jednego poranka od Sikory przybiegło pacholę z oznajmieniem, że Sędziwój ciągnie na Włocławek. Sikora, którego tam osadzono świeżo, błagał o siłę większą albo o odsiecz przynajmniej.

Jak piorun padła ta wieść na księcia i dwór jego. Biały który się jej wcale nie spodziewał, na czas jakiś oniemiał, zdrętwiał, obezwładniał. Nie umiał radzić, wygodniej mu było uznać to bajką, próżnym popłochem, niedorzeczną plotką.

Parę dni upłynęło na zupełnej beczynności. Lasota gotów był odsiecz prowadzić, Biały się (pogniewał, ludzi od swego boku dać nie chcąc. Szło mu o własne bezpieczeństwo.

Posłano na zwiady pod Włocławek. Biały z niedowiarka stał się niespokojnym. Przyjaciele, co mu patrzył w oczy, spostrzegli, iż się zachwiał i nie wiedział, co poczynać. Nie chciał się zamykać ani w Gniewkowie, ani w Złotorzy, ni w Szarleju. Wahał się to za jednym, to za drugim gródkiem, na ostatek umyślił pozostać z oddziałem swym w polu, w obozie — niby aby przyjść z pomocą na zawołanie, gdzie by się potrzebną okazała.

Włocławek był już oblężony. Przybywający stamtąd opowiadali, że siły wojewody były

wielkie, rycerstwo zbrojne doskonałe, a zamek tak opasany i zagrożony, iż niechybnie poddać się będzie musiał.

Wszystkiemu temu książe zaprzeczył, złażał posłańców, zamknął się w swym namiocie, a



Lasocie rzucił tylko, by czynił, co chce, ku obronie, bo go za nią odpowiedzialnym czyni.

Buśko głowę zwiesił. Godzina zmiany się zbliżała. Książę jeszcze się odgrażał wieszaniem zdrajców, karami okrutnymi na tych, co by go się wazyli opuścić, lecz głowę tracił. Było to co dzień widoczniejszym.

Do obozu księcia po cichu dostała się wiadomość o groźnych listach królewskich, które ziemianom zapowiadały za pomoc daną księciu karę główną i zabór majątków. Z wolna płochliwsi zbiegać zaczęli, szeregi się przerzedzały.

Od Sikory wreszcie przyjechał goniec oznajmujący, że zamek tak był już opasany, iż od dni dziesięciu żywności brakło i głód do poddania się zmuszał. Białe łajał i kłął tylko, odpędził

posłańca, krzycząc, że się bez Włocławka obejdzie, jeżeli go niepocziwi zdradzą służby.

We dwa dni potem Sikora sam przybiegł, bo zamek mieszczanie i załoga do poddania się zmusili, a on z murów się spuściwszy, gardło ratując, uszedł.

Gdy się ukazał, nie śmiano go prowadzić do księcia, nie wiedziano, jak mu o tym oznajmić.

Gniewosz stary nie chciał brać tego na siebie, aby być zwiastunem klęski. Lasota odmawiał

pośrednictwa. Przed dworem stał z głową spuszczoną, z rękami w kieszeniach Buśko. Ponieważ czas naglił, a wiedziano, iż staremu śpiewakowi wiele było wolno, napędzono go, aby on szedł

Białemu o przybyciu Sikory oznajmić. Zrazu słuchać nie chciał, opędzając się tym, że, jak mówił, jemu do tego nic. Zawrócił się jednak, pomyślawszy, i poczłapał do izby księcia.

Ten leżał na pościeli wyciągnięty, z rękami pod głowę podwiniętymi i oczyma w pułap wlepionymi. Ponieważ po chodzie poznał Buśka, wzroku nań nawet nie zwrócił, posłyszawszy kroki..

Buśko siadł na swym miejscu zwykłym, na pieńku niskim, pokrytym gunią i westchnął.

— Jest tam gość — rzekł mrukliwie — ale nie śmie wnijsć.

— Kto?

— Niedobry gość — zawołał Buśko — ja nie chcę go oznajmywać.

Podniósł się trochę książę i popatrzył nań. Jak pałką po głowie Buśko go uderzył:

— Włocławek diabli wzięli. Zmarszczony książę opadł na posłanie.

— Wzięli — dodał — no to co? Mieliśmy cztery, zostały trzy, i tego jeszcze aż nadto.

Białe milczał.

— Ja się tym nie zgryzę — mruknął Buśko — a i księżę nie powinien. He? Gdybyśmy

żadnego nie mieli, dlatego nadzieja była i nie rozpaczało się. Włocławek, prawdę rzekłszy, zawadzał nam, na co on był księciu?

Patrzył mówiąc.

Biały, który łatwo się dał, gdy potrzebował bodźca, prowadzić lada komu, podniósł się z pościeli i odezwał:

— Na Boga, ten błazen ma więcej rozumu niż my wszyscy. Nie ma od czego siwieć ani czego rozpaczać.

Buśko głową kiwnął.

— Niechże panisko wyjdzie i pokaże im, że do serca nie bierze takiego bzdurstwa — rzekł

Buśko. — Oni wszyscy księciu w oczy patrzą i co w nich wycytają, to śpiewają.

— Kto przybył z tego Włocławka? — zapytał księżę, który się wysilał na okazanie obojętności.

— Sikora — rzekł Buśko — głód ich zmorzył. Musieli pierwszych dni strasznie jeść i ogromnie pić, więc na krótko stało.

Księżę z wolna podniósł się cały z posłania, suknie na sobie potargane ociągnął, pomyślał

trochę, miecz stojący u łoża przy ścianie przypasał, szyszak na głowę nałożył, w bok się wziął, rozprostował i począł iść ku drzwiom. Buśko włókł się za nim.

Na przedsieniu stał Sikora upokorzony, z rękami zwieszonymi, jak winowajca. Biały, zobaczywszy go, stanął naprzeciw. Udał, że o poddaniu się nic nie wie.

— Ty tu? — zawołał. — Pewnie zamek głodem wzięli? Ja to dawno przewidywałem. Nie przybyłem na odsiecz, bo o Włocławek nie tak wiele stoję, a sił na to szafować nie mogę.

— Mieszczanie i załoga winna wszystkiemu — odezwał się Sikora — ja trzymałbym się był jeszcze.

Księżę ręką zamachnął obojętnie. Wszyscy przytomni, patrząc nań, dziwili się krwi zimnej i przytomności księcia. W istocie był już w takim stanie, że się musiał przed ludźmi ratować kłamstwem. Mówił, czego nie myślał.

W duszy miał wszystko za stracone, poczynął znużony szukać sposobu ratowania się z tej toni. Swej beczynności i zaniedbania nie przypisywał tych skutków, ale brakowi poparcia, na które rachował.

Obejrząwszy się dokoła, z miną dumną, skinął na Gniewosza i poprowadził go do wnętrza.

— A co? — rzekł do niego. — Spuściłem się na was, pięknieście mnie pokierowali.

Rachowałem na Wielkopolskę, zdradzili mnie, wywiedli w pole.

— Księżciu jeszcze przecie Złotoryja, Szarlej został i Gniewków — odezwał się Gniewosz.

Biały ruszył ramionami.

— Sam nic nie zrobię — rzekł — Wielkopolanie mnie zdradzili.

Przeszedł się po izbie.

— Będę się bronił do upadłego — zawołał nagle. — Wezmą Złotoryję, zamknę się w

Szarleju, zabiorą Szarlej, pójdę do Gniewkowa, dam się ubić na stosie gruzów!

Spojrzał na starego, śledząc jego myśli.

— Będziemy się bronili — odparł stary, nabierając ducha — ludzi na tyle grodów było za mało. Jesteśmy teraz silniejsi.

— I ja tak sądzę, silniejsi teraz jesteśmy — powtórzył książę. Pomyślał trochę.

— Słuchaj, Gniewosz. Hm? O tobie mało kto wie, że byłeś ze mną. Gdybyś ty tam podjechał i u Sędziwoja dostał języka, dokąd myśli ciągnąć?

Gniewosz drgnął trochę, niezbyt sobie życzył dostać się w ręce Sędziwoja.

— Ja bo jestem za stary i za ciężki — rzekł z wolna — obrotniejszego potrzeba.

— Ale ty tu jeden rozum masz — przerwał Biały — jedź, głowy ci nie zdejmą

Gniewosz podumał, pochlebiało mu poselstwo, nie sprzeciwiał się.

— Ano — bąknął — kiedy trzeba, popróbuję.

Poszedł się przysposabiać do podróży. Książę kazał sobie kubek wina grzanego przynieść, wypił je i legł znowu na pościeli. Coś musiał robić, a ochoty nie miał do niczego. W sobie już nie czuł ani woli, ani mocy.

Buśko wszedł i siadł znowu na pieńku. Biały spojrzał nań.

— Słuchaj — rzekł cicho — wszystko to na nic. Nam by sobie parę dobrych koni wziąć i ruszyć nazad do Budy. Ja wiem, że Ludwik by mnie dobrze przyjął.

— Zawczasu jeszcze — pokręcił głową Buśko — a cóż będzie z panną? Szkoda jej, i znowu każą w habit się oblec.

— I to prawda! — odparł książę. — Masz rozum, ja zawsze mówiłem, że ty rozum masz.

Rozśmiał się mały.

— Ja też to samo mówiłem sobie zawsze, a to bieda, że oprócz księcia nikt mi wierzyć nie chciał.

— Ludwik — przerwał Biały — nie jest zły człowiek, ale mu się zdaje, że jest taki wielki, iż drudzy przy nim nic nie znaczą.

— Ludwik? — powtórzył Buśko. — Zły nie jest, ale jak mu się robak nawinie pod nogę, to zgniecie.

— Przecież ja nie jestem robakiem — ofuknął Biały.

— Alboż ja to mówiłem? — odparł Buśko. — A zawsze mu się pod nogą nawijać niebezpiecznie.

Nagle porwał się książę z pościeli.

— Nie! Nie — zawołał. — Nie ma nic jeszcze straconego! Błazeństwo ten Włocławek.

Przecie ja go wziąłem we czterech ludzi!

Rozśmiał się.

— Tak, a Sędziwój paruset potrzebował, aby mi go odebrać. Prawda?

Potwierdził Buśko, książę coś zanucił, śpiewak mu zaczął wtórować, lecz urwał nagle i spojrzał groźnie.

— Cały ten świat — krzyknął — panowanie, moc, bogactwo i baby wszystkie, i wszystkie błyskotki marne, garści kłaków niewarte! Plunąć na to! Nie ma się o co dobijać.

Zaczął się śmiać siedzący w kącie.

— Ja to jeszcze w refektarzu czasu postu u benedyktynów, gdy śmierzdzącą oliwę dawali, powtarzałem — rzekł poważnie. — Powtarzałem to nieraz, mając buty dziurawe, a książę się śmiał ze mnie.

Biały już może myślał o czym innym, fantazja jego ciągle się na nowe przerzucała drogi.

Po wieczerzy był wesół bardzo, kazał grać i śpiewać Buškowi, kazał ludziom wytoczyć piwa, być dobrej myśli, krzyczał głośno i naśmiewał się ciągle, powtarzając jedno, że gdzie on czterech ludzi potrzebował, to Sędziwoj kilkuset.

Nazajutrz do dnia, po tym rozweseleniu sztucznym, z rana wstał Biały wybladły, zestarzały, bezimówny i na rękach sparłszy głowę, wzdychał. Po cichu znowu przyznawał się Buškowi, że wszystko było stracone.

Tymczasem Gniewosz wyprawiony na zwiady pociągnął ku Włocławkowi. Przez cały dzień wlokąc się w słotę, która nagle go zaskoczyła po upałach, nie spotkał nikogo, z kim by się mógł rozmówić. Po gospodach przejezdni mówili, że Włocławek był wzięty, ale że przy obleganiu go Sędziwoja nie było. Tylko z ręki jego Jaśko Kmita. Zawczasu stanął na nocleg Gniewosz w wiosce kościelnej i na probostwo poszedł do znajomego plebana.

Zdziwił się, znajdując tu, choć już było po Zielonych Świątkach, świeżym tatarakiem wysłane izby, umiecione podwórko i jakieś przygotowania jakby na przyjęcie gości.

Proboszcz ksiądz Wawrzyn powitał go z uśmiechem.

— Nie wiecie, rychło wojewoda nadciągnie?

— Jaki?

— Ano, przecież go pewnie poprzedzacie, nasz pan Sędziwój.

— Ale ja o bożym świecie nie wiem — odparł, cofając się, Gniewosz — a jeśli się go spodziewacie, nie będę wam natrętnym.

— Owszem, zostańcie — prosił ksiądz Wawrzyn — tylko go co nie widać.

Chciał złapany tak stary wysliznąć się, ale nim go proboszcz puścił, już wojewoda z dworem swoim nadciągnął. U wnijscia zobaczywszy i poznając Gniewosza, zawołał nań:

— Chodźcie na plebanię, dobrze, zem was napytał; mam mówić w wami.

Stary trochę ścierpł, lecz strachu po sobie pokazać nie chciał.

Chwila upłynęła, nim wojewoda się rozłożył, przywitał, rozmówił z księdzem i mógł do Gniewosza zwrócić. Był spokojnego umysłu, nie okazywał najmniejszej troski i swobodnie tak

począł sobie, jak by sprawy gniewkowskiego księcia na świecie nie było. Uczyniło to na starym wrażenie. Wtem Sędziwój rzekł, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Słyszeliście u księcia Władysława i musicie wiedzieć, co on zamierza? Żli ludzie złą mu myśl poddali, gubi się biedaczysko. Żal mi go.

Gniewosz tylko coś niewyraźnego przebaknął.

— Wiecie co? Gniewosz, byliście z nim dobrze, póki czas, ratujcie go.

— Cóż ja mogę, panie wojewodo? — zamruczał stary.

— Będziecie mogli, gdy zechcecie, powiedzieć mu słowa prawdy — ciągnął dalej poważnie wojewoda. — Dawno się od kraju oddalił, nie zna go, nie widzi tego, że się na żaden sposób nie utrzyma, gdy ja na niego pójdę; król nań zagniewany, mógłby go rozbroić pokorą, a tak nie otrzyma nic, życie może stracić lub pójść na długoletnią niewolę. Włocławek wzięty, ten sam los Złotoryję i inne zamki czeka.

Ruszył ramionami.

— Nakazano mi największą surowość — mówił — nikomu przebaczonemu nie będzie.

Głowy na karku nie pewien.

Choć nieco przestraszony i otwartą mową Sędziwoja wywiedziony ze złudzeń, Gniewosz chciał spróbować stanąć w obronie Białego.

— Panie wojewodo — rzekł — trzeba bo mieć litość nad nim i pomiarkowanie. Przecież w jego żyłach krew naszych królów płynie.

— Tak — przerwał Sędziwój — ale się ona tak zmieszała przez wieki z różnymi ścieki, że jej już tam nie poczuć i nie poznać.

— Żal go...

— A co to pomoże, gdy sam sobie szkodzi i nie żałuje siebie — podchwycił Sędziwój. —

Mnie go też żal, a dlatego, gdy moi żołnierze go ubijają, nie powiem słowa. Nie ma dlań ratunku, tylko pokora i przebłaganie króla, którego zdradził.

— Wywłaszczono go niesprawiedliwie — rzekł Gniewosz.

— Jako żywo, sam on się wywłaszczył i wyprzedał, pieniądze wziął od Kaźmirza.

— Innym ponadawano dzielnice — odparł stary.

— Przecież mnichy nie panują, a on habit wziął i choć go zrzucił, nie przestał być mnichem.

Zamilkł Gniewosz.

— Przyjacielem mu jesteście — rzekł, przybliżając się do starego, wojewoda. — Zaprawdę, powinniście do opamiętania go przywieść. Gdy nas do ostateczności doprowadzi, zły go los czeka, poddawszy się, miałby we minie orędownika.

Stary się namyślał.

— Naprawdę to mówicie? — spytał.

— Żart by mi nie przysłał — odezwał się z powagą Sędziwój. — Sprawa nie na drwiny, bo w niej o żywot i poczciwość chodzi. Bronić się może miesiąc, dwa, ale w końcu osaczę go, wezmę i gdy mi się w ręce dostanie...

Tu zamilkł nieco.

— Cóż go czeka? — spytał Gniewosz.

— U mnie sprawa króla i pokój kraju pierwsze oko w głowie. Jeśli warchoł ma nam wiecznie pokój mieć... — Ręką pokazał na szyję. — Rzecz skończona...

— Okrutnikiem nie będziecie — szepnął Gniewosz.

— Sprawiedliwym być muszę — ciągnął Sędziwój — a sprawiedliwość litości nie zna.

Gniewosz, pod którym nogi trochę drżały, przysiadł się w rogu na ławie.

Wojewoda tymczasem z plebanem rozmawiał, śmiejąc się. Żartował z niego, że go obje ze swym dworem. Zwrócił się potem do gościa, który powoli z ławy się poruszył. Staął naprzeciw niego.

— Wiesz co — rzekł — nie tak ja jestem serca okrutnego, jak sądzisz. Znasz księcia, jedź

do niego, powiedz mu, niech w pokorę uderzy, będę sam za nim do króla przemawiał; niech nie roi o piastowskiej swej krwi, ma przykład na Mażurach, którym rozumu nie brak, że najbezpieczniej siedzieć spokojnie. Król mu pewnie coś wydzieli, królowa się za nim przyczyni. Niech siebie i ludzi nie gubi.

Tak rozpoczynając od niechcenia Sędziwój, widząc, że Gniewosz powoli mięknie i

przekonać się daje, nastał nań silniej, goręcej, namówił wręście, żeby do księcia jechać, a zaręczył mu, iż pokorą jedną się ocali.

Cały wieczór trwały o tym rozmowy, a nazajutrz, gdy Sędziwój ku Włocławkowi dalej

ciągnął, Gniewosz się zawrócił szukać Białego. Nie był pewien, gdzie go znajdzie, bo z księciem z dnia na dzień nic nikt przewidzieć nie mógł. Wśród nocy nagle wyciągnął w pole, zawracał i coraz co innego wymyślając, natychmiast przyprowadzał do skutku.

Gniewosz spieszył niespokojny. Wojewoda zupełnie go przekonał, iż opór i walka były próżne. Sam stary, teraz z bliska się przypatrzywszy księciu, niewiele sobie po nim obiecywał.

Chciał go ratować, gdy Sędziwój tak litościwym się okazał.

Właśnie księżę tego dnia udał się był do Gniewkowa, stamtąd mając wielką ochotę nocą dobiec do Drzdenka dla pomówienia z Ulrykiem i Dobrogostem. Już miał konie kazać siodłać, gdy Gniewosz zmęczony nadjechał.

Poszli z nim natychmiast do komory osobnej, lecz nim przybyły miał czas zdać sprawę ze swej wycieczki, Biały mu przerwał wykrzyknikiem:

— Wiesz, Gniewosz, ptak, którego mi w Gnieźnie darowano, przepadł! Buškę muszę kazać wsadzić w dyby.

Dziwny ten wykrzyknik pozostał bez odpowiedzi, księżę też już o pytaniu zapomniał, o ptaku i o Bušku.

— Cóż przywozisz? — rzekł żywo.

Gniewosz z pewnym wahaniem rozpoczął ostrożnie opowiadanie. Biały słuchał go z pozornie natężoną uwagą. Brwi mu się ściagały. Gdy stary w ostatku poselstwo swe sprawił, porwał się księżę zapalczywie.

— Nigdy w świecie o łaskę ich prosić nie będę. Ginać raczej, ginać, jak mnie przystało, z mieczem w dłoni. Sędziwój się mnie lęka! Jakże ty, stary niedołęgo, nie dopatrzyłeś tego, nie zrozumiałeś. Chcą mnie na lep lada jaki pochwycić. Nie, nie! To, co mówisz, dodaje mi otuchy.

Czuję, że mam siłę, że za mną kraj cały. Włocławek? Myślą, że się ulęknę tego, iż mi go odebrali.

Zrobili wysiłek, aby mnie przestraszyć.

Gniewosz zamilkł, nie mogąc przemówić słowa, tak prędko i zapalczywie księżę, sam się podbudzając, coraz zasypywał go słowami.

— Zdrajcy! Zdrajcy! Wszyscy zdrajcy! Ale ja się pokonać im nie dam. Zginę z mieczem w ręku, gołą garścią mnie nie wezmą.



Dał mu się wykrzyzczyć stary i zamilkł. Po chwili jednak zapał ten już przygasać począł, głos cichł, oko się zamgliło, książę padł na posłanie. Zaszła w nim zmiana, zaczął wypytować Gniewosza o szczegóły, powtarzać sobie własne wyrazy Sędziwoja. Badał i nie odzywał się już z tym, co myślał. Trwało to dobry czas. Gdy Gniewosz zamilkł, Biały Westchnął.

— Zresztą — rzekł cicho — cóż mi to szkodzi za poręką Sędziwoja na rozmowę się z nim udać potajemnie? Jak sądzisz? Nie pochwyci mnie?

— Słowo dał. Zjechać się możecie gdzieś na uboczu. Biały głęboko się zadumał.

— Gotów bym z nim mówić — rzekł. — Któż wie? Ja tu tak bardzo na nikogo rachować nie mogę. Lasota mi nie mówi nic, ale Buśko co dzień przynosi wiadomość, że ktoś w nocy drapnął.

Ludzie mnie opuszczają. Gdym płynął do Ziemi Świętej, pomnę, mówili marynarze, iż gdy okręt ma przepaść, szczury się z niego wynoszą. To są szczury... Znużony jestem, mój stary. Gdyby mi mój Gniewków oddali, nie potrzebowałbym więcej, Fryda Bodczanka pójdzie za mnie. Papież mnie zwolni ze ślubów. Królowa Elżbieta przemówi za mną.

Gniewosz, który tylko co słyszał go zaklinającego się, że umrze z mieczem w rękę, popatrzał nań zdumiony.

— Chcesz, książę, bym mu widzenie się z Sędziwojem ułatwił? — zapytał.

Zwrot jakiś znowu nastąpił w umyśle Białego, zaciął usta.

— Sam nie wiem — rzekł. — Zobaczymy do jutra. Szli spać. Książę sobie piosnki śpiewać kazał.

— Wiesz — rzekł do Buśka, któremu się ze wszystkiego zwierzał — może by nam czas było spocząć. Ta wojna to obrzydliwa rzecz. Z konia na koń, ani zjeść, ani się wyspać. Bitwę rozumiem, ale nim do niej przyjdzie! I po co się to wszystko zdało?

Zamilkł i śmiejąc się zapytał:

— Buśku, a ty byś się jeszcze ożenił? Mały rozśmiał się.

— Gdybym księciem był — rzekł — czemu nie! A prostemu człowiekowi na starość...

Oczy się kleiły Białemu, który już dalszego wyводу swojego śpiewaka nie słyszał. Zasnął.

Jak na świt, posłał książę po Gniewosza, musiano go budzić. Kazał mu się zbliżyć do ust swych uchem.

— Jedź do Sędziwoja — rzekł. — Chcę mówić z nim, niech mi słowo da i żeby o tym nie

wiedział nikt. Ptak mi zginął, to zły jest znak. Sen miałem niedobry. Odpocząć pragnę. Niech Sędziwój mi Gniewków wyrobi. Ja tymczasem pojedę do Drzdenka i posiedzę tam. Bodcza i Bodczanka zawsze mi radzi.

Wysłuchawszy polecenia, stary kazał sobie zgrzać piwa, różaniec na rękę wziął i zabierał się wyjeżdżać; zawołano go do księcia.

— Wiesz co? — rzekł, wstając z pościeli. — Może byś nie jechał? Sam nie wiem...

Gniewosz popatrzył nań zdumiony.

— Nie sądz bo — nagle zawołał Biały — że nie jestem pewny, co czynić. Owszem, lecz...

Nie dokończył.

— Bądź co bądź — dodał — wybrałeś się — jedź! Nie wiem, czy to na dobre wyjdzie, lecz namówiłeś mnie. Rób, jak chcesz.

I legł na pościel znowu. Stary przyjaciel smutny i chmurny siadł na konia.

## **TOM TRZECI**

### **I**

Nie czekał Sędziwój z Szubina na odpowiedź od księcia, którą Gniewosz miał mu

przywieźć. Nagliły i inne sprawy nie mniejszej wagi, a wedle przekonania jego w związku będące z Białego napaścią i warcholstwem.

Wielkopoleanie burzyli się ciągle przeciwko rządowi Ludwika. Spokój przez nich zakłócany nie został dotąd, lecz wojewoda wnosił z pewnych poszlaków, iż lada zrzeczność wybuch

sprowadzić może. Gdyby się księciu gniewkowskiemu powiodło, łatwo by za sobą mnogich mógł pociągnąć, którzy na rządy węgierskie narzekali.

Po ustąpieniu Ottona z Pilcy, po objęciu wielkorządów przez Sędziwoja, umysły się były cokolwiek uspokoiły; nowe rozporządzenie króla Ludwika rozjątrzyło je więcej jeszcze niż narzucenie Ottona z Pilcy.

Chciwy grosza, nie zaspokojony tym, co mu rządy matki z Polski przynosiły, król Ludwik wzorem innych krajów chciał w Polsce powszechną naznaczyć daninę. Nie wyjęte z niej było nawet duchowieństwo, dawniejszymi przywilejami od wszelkich opłat oswobodzone.

Ogłoszono rozkaz Ludwika, mocą którego tak ziemianie jak dobra duchowne składać mieli do skarbu "poradlnę", królewszczyznę, z każdego łanu wynosić mającą sześć groszy praskich i w naturze korzec żyta, owsa korzec. Na owe czasy podatek to był znaczny, szczególnie dla rozrodzonych,

uboższych ziemian.

Małopolska, Krakowianie zamożniejsi, zresztą pozyskani już na stronę Ludwika, przyjęli to prawie obojętnie, w Wielkiej Polsce wrzawę podniesiono niezmierną. Była ona zwiastunką tym upartszego oporu, że duchowieństwo, dotknięte, przyłączyło się do ziemian i jawnie trzymało z nimi. Odgrażano się na wszelki sposób, zjeżdżano, zmawiano, wiązano i poprzysięgano, że jeśli król pobór ten wyciskać zechce, wówczas córek jego na tron po nim nie dopuszczą. Stary obyczaj nie znał spadku tronu po kądzieli.

Wrzenie, jakie wywołało poradlnie, w chwili gdy jeden z Piastów zajeżdżał swą dzielnicę i zamki zdobywał, niepokoiły Sędziwoja z Szubina. Należało mu i Białego jakimkolwiek kosztem odwieść od orężnego dobijania się swego księstwa, i ziemianom dać jakąś nadzieję, że pobór poradlnego zostanie zmieniony. W tym celu po drodze miał wojewoda zamówione spotkanie z Domaratem, kasztelanem poznańskim, w wiosce jego na uboczu położonej. Oprócz nich przyjaźni królowi zjechać tam mieli na narady.

W kilka koni Sędziwój puścił się do Pierzchną, gdzie Domarat nigdy nie mieszkał, więc i dworu nie miał, ledwie chatę dla włodarza i szopy dla stada i trzody. Na łące pod wsią rozbite były namioty.

Ziemian zjechało się już dosyć, Grzymałów, Łodziów i innych szczytów, które królowi były życzliwsze.

Nadawała się wioszczyzna niewielka, a na uboczu położona, do tego zjazdu, który nie powinien się być rozgłosić. Można było sądzić, wjechawszy w zieloną dolinę otoczoną lasami, w której nad jeziorkiem Pierzchno stało rozsypane, że się tu na jakąś wojenną gotowało wyprawę.

Ziemianie naówczas wszędzie z sobą to rycerskie swe powołanie wieźli i gdziekolwiek

zebrali się gromadnie, występowali zbrojnie. Był to i obyczaj, i potrzeba. Szczególniej w Wielkopolsce rodzin wiele od prawieków tu osiadłych i napływowych z ziem innych — wiele z sobą było w nieustannych zatargach. Zwaśnieni, bodaj na gościńcach się spotykając, rwali do mieczów, a kto by bezbronny lub bez ludzi ruszył z domu, życiem to mógł przypłacić.

Kilkunastu gości u Domarata znaczyło około seciny koni i czeladzi. Obozisk więc z dala był

jakby oddziału, co na wyprawę się sposobił. Namioty szare porozbijano między dębami, niedaleko jeziorka, a że izb nie miał na przyjęcie kasztelan, na trawie i pod gołym niebem częstował po staroświecku.

Ludzie jego, koły powbijawszy w ziemię, wrota na nich od szop i spichrzów pokładli, za misy służyły deski i hładysze a prosta glina. Piwo w beczkach na skrzyżowanych kijach, z kubkami drewnianymi i wiadrami, do orzeźwienia przygotowane było.

Kasztelanowie i wojewodowie nie potrzebowali jeszcze wykwinniejszej strawy ni napoju, przynajmniej w podróży i obozie. Obyczaj smacznego ucztowania, korzennych przypraw,

umiejętnie zaprawnych winnych pigmentów i polewek, powoli od Krzyżaków wchodził, lecz brzydzili się nim ci, którzy w prostocie życia zbytek dawnych ojców obyczaju szanowali.

Sędziwój z Szubina, w domu własnym przyjmując dygnitarzy i duchowieństwo, musiał na więcej się zdobywać, lecz w pospolitym życiu więcej od drugich nie wymagał.

Z czarnego świeżo wypieczonego chleba krajano kromki potężne, zjadano ser, było pieczone mięso, a przyprawą do tego wesołość.

Zaledwie się zjawił oczekiwany wojewoda, gdy wszyscy się ku niemu rzucili.

Domarat był średnich lat, a wielkich sił i zdrowia rycerskiego mężczyzna, rumiany, hoży, krzykliwy, z sercem na dłoni. Witając wojewodę, z którym żyli w przyjaźni, wziął go wpół i niemal do góry na żart podniósł.

— Miłościwy Panie — krzyknął do swych, co go otaczali się zwracając — należałoby was jako zwycięzcę podnieść na rękach.

Okrzyknęli: Żywie! — drudzy, czapkami podrzucając.

Wojewoda śmiał się, ale półgębkiem, czoło miał zmarszczone.

Tuż stali oprócz Domarata Łodzią zwany Wilkiem, Grzymała Zębacz i kilku innych.

Podkanclerzy poznański Iwo stan duchowny przedstawiał, on też Łodziów szczyt nosił.

— Włocławek się poddał — dodał Domarat — dobry znak, zatem rychło pójdą i inne zdradą ubieżone grody.

— Daj Boże, i ja się tego spodziewam — odparł zimno Sędziwój — ale na to pracować potrzeba. Złe nie śpi.

— Uparać by się z tym jak najrychlej — wtrącił Domarat. — Gdyby Białego który łucznik ustrzelił, nie gniewałbym się. Bogu ni ludziom z niego nic, a póki żyw, my spokoju mieć nie będziemy.

— Ja bym tego przekonania był — zawołał Sędziwój, siadając na pieńku — żeby mu król dał do życia jakiś wydział. Siedziałyby spokojnie na nim.

— On?! — podchwycił Domarat. — Nie utrzymał się w klasztorze, a miałby na małym kęsie dać za wygraną? Parę miesięcy byłoby cicho. Szepnęłby mu kto, podszczęł, wyrwałby się znowu.

— Przecież go wiek warcholstwa oduczy — westchnął Sędziwój.

— Ja w to nie wierzę — zakończył Domarat.

Poczęli się wszyscy sadowić, gdzie kto mógł, przy wojewodzie, który posepnym był ciągle i w ziemię patrzył.

— Nie w porę nam też król z poradnym przyszedł — dodał. — Ci, co mu byli niechętni, pono wniebogłosy znów krzyczą.

— I odgrażają się — rzekł Wilk.

— Po dworach się Nałęcz zjeżdżają i wiecują, krzyku dosyć — mówił Zębacz.

— Bo jest czego krzyczeć, gdy skórę drą — wtrącił podkanclerzy poznański Iwo. —

Niechby król z ziemian i kmieci brał, bo mu się coś należy, ale z duchowieństwa?! A toć i nam poradne dawać każe. W cóż się obróca stare przywileje?

Ksiądz, mówiąc, ożywiał się coraz bardziej, a był snadź gorącego temperamentu, bo mu krew na twarz występowała i ręce drżały, miotając się.

— Każą naprzód poradne nam płacić, wbrew zwyczajowi, a dalej nas do innych ciężarów wpręgą. Myśmy przecie do tego nie obowiązani, bo gdy rycerstwo krew daje, my między ludźmi a Bogiem związek trzymamy, my dusze dajemy nasze. Siedzimy na tej ziemi, ale król i pan nasz w Rzymie jest. Ludwik do nas nie ma prawa ani do dóbr naszych. Tak ci jest! — dokończył i o stół uderzył.

— Ojciec Iwonie, to i wy przeciw królowi? — odparł Sędziwój.

— Nie przeciw królowi, nie — zawołał Iwo — ale przeciw tym, co mu źle radzą!

Zamilkł na chwilę ksiądz i począł wprędce:

— Ale to poradne nie tylko dla nas, wszystkim ono niepomiernie zacięży. Panie Boże odpuść, czy go nie doradził kanclerz Zawisza dla przymilenia się panu, ale mu nim piwa nawarzy.

— Prawda — wmieszał się Domarat — że wrzawa okrutna, że co było ucichło i ułagodziło się, teraz znowu wre. Niechby król pamiętał, że córki tylko ma, a u nas córki nie dziedziczą. Nie dopuszczają ich ani zięciów do tronu. Głośno to mówię.

— Wiem o tym — rzekł Sędziwój spokojnie. — Ano, gdy wielka wrzawa zawczasu, to i dobrze, z wielkiej chmury mały deszcz bywa.

— Nie zawsze — szepnął ksiądz Iwo. — Do pewnej miary człowiek znosi cierpliwie, w końcu oszaleje.

— Właśnie gdy tak źle jest — począł Sędziwój — my, cośmy królowi wierni, powinniśmy starać się radzić i złego nie dopuścić.

— Do Krakowa by z tym słać — rzekł Iwo — my sami nic nie zdołamy; albo raczej do Budy, bo z królową Elżbietą o tych sprawach darmo chcieć mówić, ona odsyła do syna.

— Tak — szepnął, śmiejąc się, Domarat — a syn odsyła do niej.

Spojrzeni po sobie, głowami potrząśli i umilkli.

— To bieda — dokończył kasztelan.

Sędziwój potoczył oczyma dokoła, jak by chciał się przekonać, że między swymi jest i otwarcie mówić może.

— Trzebaż było na ten czas właśnie, gdy tu się wszystko burzy u nas, aby Biały przyszedł jakby wyzywać niechętnych. Najmniej mu się poszczęści, gotowi się garnąć do niego. Dlatego wszystko muszę zaniedbać, a z nim skończyć, inaczej nasza gromadka wiernych królowi...

— Ho! — zawołał Wilk. — Nie damy się!

— Z tym poradnym naprzód trzeba końca — wtrącił Iwo. — Póki ono nad nami ciężać będzie, pokoju nie zaznamy.

— O poradne pewnie król zjazd zwołać musi — rzekł Sędziwój.

— Znowu na Węgrzech? — spytał Domarat. Milczenie było odpowiedzią.

— Król daleko odjeżdżać nie może, pewnie nad granicą gdzieś miejsce wyznaczy — dodał Sędziwój. — A że się spodziewa burzy od ziemian, woli ją przebyć pod własnym dachem.

Na wszystkich twarzach odbiła się ta wiadomość smutnie.

Ten i ów wtrącił coś jeszcze, troska była widoczna, a ksiądz Iwo więcej niż wszyscy złego przewidywał. Z mowy jego już przekonać się mógł wojewoda, że duchowieństwo, nawet najlepiej dla Ludwika usposobione, zniechęcone zostało i gotowe było opornym podać rękę. Zafrasował się bardziej jeszcze. Tak upłynął czas do wieczora.

Gdy się to tu działo, Gniewosz powracał od księcia, szukając wojewody. Nie znalazłszy go, nalegając mocno, od dworu jego dostał wiadomość, że go w Pierzchnie trzeba było szukać, i nie chcąc z niczym powracać, puścił się za nim.

Już była noc, gdy nadjechał. Sędziwój przyjął go bardzo wdzięcznie. Widać było, iż mu rozmowa z księciem była na rękę, w porę i wielce pożądana.

Z Domaratem pomówiwszy, gdy lepszego miejsca na takie widzenie się nie było, postanowił tu oczekiwać na księcia.

— Rzeczcie mu, że słowo rycerskie daję, iż ani zasadzki, ni zdrady nie ma się obawiać ode minie. Niech przybywa, wy z nim, czekać ma niego będę.

Dano przewodnika przez lasy na krótsze drogi staremu Gniewoszewi, który raz jeszcze

puścił się w podróż, Pana Boga prosząc tylko, aby Białego zastał takim, jakim go porzucił. Pomimo swojego przywiązania do niego, widział Gniewosz teraz, że na jego stałość liczyć wiele nie było można. Przypisywał to i położeniu smutnemu, i rozdrażnieniu. Niespokojny oczekiwał na przybycie posła księżę. Ile razy gniewał się na siebie, iż zezwolił na zjazd z Sędziwojem, i ile razy sobie wieszował tego, policzyć nie mógł nawet Buśko, który z twarzy jego jak z książki czytał.

Nie przyznał się Biały przed nikim do tego kroku, którego się wstydził, i wyrzucał go sobie.

Szczęściem, gdy Gniewosz nadjechał, trafił na chwilę dobrą, księżę postanowił był jechać.

Wyobrażał sobie, iż powagą swą, wymową, dostojnością ujmie i oślepi wojewodę, a wymoże na nim, co zechce. Zdawało mu się, że sprawa teraz dobrze stała, lepiej niż kiedy. Sędziwój wzywał go do układów, musiał więc od króla mieć skazówkę i pozwolenie na to.

Myśli tej schwyciwszy się księżę, tryumfujący zawczasu, siadł na konia. Służbie nie

powiedział wcale, dokąd się udaje, a dozwalał domyśleć się, iż do Drzdenka na krótko jedzie. Nie wziął z sobą nawet Buśka i jeden, Lasota mu towarzyszył, a drugi parobczak niemy, którego zwykle używał, gdy chciał zataić, co czynił.

Z Pierzchną część gości się rozjechała nazajutrz. Oprócz Domarata pozostał ksiądz Iwo i Wilk. Ostatni spał dnia tego, bo dużo wprzód pił z wieczora.

Sędziwój, sam na sam chcąc widzieć się i mówić z księciem, namiot sobie osobno rozbić kazał na piaszczystym brzegu jeziora, ludzi poodprawiał i tu niespokojny dość oczekiwał na Białego.

Szło o to wielce gniewkowskiemu księciu, ażeby postawą nawet i powagą w wojewodzie

poszanowanie obudził. Najpiękniejszą więc zbroję, szaty, łańcuch, płaszcz włożył na siebie, a im biedniejszym się czuł, tym dostojniejszym chciał okazać.

Przyznać też to było potrzeba, że na krótki czas złudzić mógł, umiejac się postawić, jak na Piasta przystało. Tylko wprędce to panowanie nad sobą przechodziło, niecierpliwość czyniła go płochym, porywczym, dziecinnym, a powaga cała, przybrana mozolnie, znikwała.

Im się bardziej lasami ku Pierzchnu zbliżali, tym ksiązę stawał się niespokojniejszym, konia pędził, nużyło go zbyt długie już oczekiwanie.

Pokazało się nareście jeziorko, wioska i rozbity namiot u brzegu. Ksiązę wysłał przodem Gniewosza. W chwilę potem Sędziwój przyjmował go u progu namiotu swojego.

Byli sami. Biały pomimo wielkiego wysiłku już ledwie mógł się z krwią zimną utrzymać.

Gdy do namiotu weszli, a wojewoda siedzenie ukazał, ksiązę, milczący dotąd, spojrział nań, wyzywając na słowo.

— Wierz mi Miłość Wasza — począł Sędziwój spokojnie i chłodno — iż tylko dobra chęć

dla niego do tego kroku mnie skłoniła. Nie rokując nic pomyślnego dla was, ksiązę, rad bym od twardego losu osłonić, od gniewu króla, od wszelkiego nieszczęścia, jakie na siebie ściągnąć możecie.

Ksiązę poruszył się i przerwał.

— Za dobrą wolę dziękuję — rzekł — ale nie widzi mi się, aby mi wielkie

niebezpieczeństwo groziło. Mam przyjaciół, do stracenia niewiele, do zyskania, kto wie ile. Wy też potrzebujecie pokoju.

Sędziwój wpatrzył się w niego.

— Jeżeli ksiązę ludzi się będziesz tym, iż orężem coś na królu wymożesz, niestety, źle się to skończy. Siły moje są aż nadto wystarczające na opanowanie zamków waszych, tak jak wzięliśmy Włocławek. Ubiec je niespodzianie łatwo było, nikt nie przeczuwał naówczas żadnej napaści, utrzymać się ksiązę nie będziesz mógł.

Przymuszony uśmiech przebiegł po ustach Białego.

— Król Ludwik jest tak na Miłość Waszą zagniewany, iż w listach swych rozkazuje mi postępować bez miłosierdzia, bez żadnego względu. Ani za życie wasze ręczyć nie mogę.

Pobladł, słysząc to, ksiązę.

— Nawet w najgorszym razie — rzekł — królowa mnie obroni.

— Nie wiem — odparł Sędziwój — ale za to ręczyć nie mogę, iż królowa srogi żal ma do



Miłości Waszej. Możesz się ksiązę trzymać nie wiem jak długo, w końcu wpadniesz w ręce moje, to nieochybna.

Próbował się Biały uśmiechnąć jeszcze, lecz na wpół zarysowany uśmiech jego zmienił w wyraz troski, nim rozkwitnął.

Sędziwój, stojąc, mówił ciągle:

— Wierzaj mi, ksiązę, słowo rycerskie daję wam, ocalić was pragnę, a ocalenia innego nie widzę nad pokorę i zwrócenie się o łaskę i przebaczenie do króla.

Biały się porwał z siedzenia.

— Ale ja chcę, ja muszę mieć dzielnicę moją — zawołał — to co mi Kaźmirz zapłacił za nią, szyderstwem było, nie ceną. Należy mi Gniewków, Kaźmirz niechętnym był dla mnie, uciekać musiałem od gniewu jego. Dzielnica mi się należy.

— Nie przeczę, że i żal, i prawo jakieś ksiązę mieć możesz — rzekł Sędziwój — ale łatwiej zyszczesz wyrozumienie i łaskę, gdy prosić zechcesz, gdy do serca króla się odezwiesz, niż wyzywając go. Potężnym jest, obraża go to. Król Węgier, Dalmacji i Polski mocen jest przecie pokonać was, a jeśli nie wywiera całej siły, to dlatego tylko, iż nadto jest jej pewnym.

Biały podparł się na rękach i zadumał.

— Niech Miłość Wasza rozważy, porachuje, co lepsze — dodał Sędziwój. — Ja zmuszać go ani chcę, ani mogę, ale proszę, byś litość miał nad sobą.

— A wy mi za króla ręczycie? Odda Gniewków mój? — zawołał nagle Biały, podnosząc oczy.

— Ja *tęczą* za to tylko, że waszą sprawę całą siłą moją popierać będą — odezwał się Sędziwój. — Nie polecono mi nic, to, co czynię, z własnego serca i popędu robię, król nie wie o tym. Użyję wszelkich środków, abym wymodlił u Ludwika przebaczenie.

— Przebaczenie! — podchwycił urażony ksiązę. — Ale ja ani łaski, ni przebaczenia nie żądam, chcę sprawiedliwości!

— Król jest w swym prawie — odparł Sędziwój. — On wam nie odebrał Gniewkowa, spadkiem po Kaźmirzu go wziął. Nie pokrzywdził was, ale litościwym być i względnym może.

Zachmurzyło się oblicze ksiązęce.

— Wierz mi, wojewodo — rzekł — tak mówiąc, my nic nie sprawiemy.

— Boleć mnie to będzie — rzekł Sędziwój — ano, inaczej ja nie mogę.

Przerwała się rozmowa na chwilę, wojewoda nalał kubki, podał jeden księciu, a widząc, że do ust niosąc swój, zawahał się Biały, jakby czegoś w tym napoju obawiał, uśmiechnął się dumnie.

— Oto piję sam — rzekł urażony. — Masz więc ksiązę dowód, iż mu nie podaję trucizny, a kubki zamieńmy.

Zarumienił się Biały, zmieszał i żywo kubek podany wychylił. Roztargniony był,

niespokojny i smutny. Sędziwój pozostał takim, jakim był, uprzejmością tylko w przyjęciu nagradzając nieprzyjemne wrażenie, jakie na księciu słowa jego czyniły.

Biały nie poczynał na nowo rozmowy. Siedział czas jakiś milczący i zatopiony w sobie.

— Najuboższy z ziemian — odezwał się wręście — ma kawał gruntu, na którym panem jest, miałżebym ja ojcowizny mojej być pozbawiony?

— Miłość Wasza wyrzekłeś się jej sam — rzekł Sędziwój — wstępując do zakonu i

poprzysięgając ubóstwo. Z tych ślubów, jak u nas mówią, papież go nie rozwiązał i król stoi przy tym, że do zakonu powrócisz.

— Nie, papież mnie uwolni! — zawołał ksiązę. — Nie myślę wracać, nie!

— I w tym król by być mógł pomocnym, wstawiając się do Rzymu — rzekł wojewoda —

lecz potrzeba, byś ksiązę go przejednał, a na to sposobu innego nie ma, tylko oddać mu zamki i prosić o przywrócenie łask i względów.

Ksiązę potrząsnął głową, lecz poznać było można, iż się te nadzieje, z którymi przybył, rozchwiały, że osłabł i niepewien był, jak ma postąpić.

Sędziwój powtarzał stale toż samo, Biały coraz słabiej opierał, na ostatek przedłużona aż pod wieczór rozmowa zamknęła się tym, że nie dając żadnej stanowczej odpowiedzi, ksiązę prosił o czas do namysłu dni kilka, i spiesznie konia dosiadłszy, uciekł od wojewody.

W drodze Gniewosz na próżno się chciał czegoś dowiedzieć od niego. Schylony na kark

konia, rzucał oczyma dziko, zżymał się przez drogę całą, a przybywszy do Gniewkowa, rzucił się na pościel, na żadne nie odpowiadając pytania.

Nazajutrz wstał rano i poszedł oglądać zamek, liczyć swych ludzi, gniewając się i burcząc.

Powróciwszy do dworu, legł, zawoławszy Buśka do siebie. Śpiewak i baśniarz siedział długo, nim się od niego słowa doczekał.

Zerwał się z łoża i nagle zawołał:

— Buśku, to są wszyscy zdrajcy! Oni mnie w końcu ubiją albo w ręce królowi dadzą. Wolę sam mu się poddać!

Buśko aż podskoczył ze swego siedzenia.

— Poddać się — krzyknął — mając trzy zamki? Poddać się?

— Jutro będzie ich może dwa, a pojutrze żadnego — rzekł książę szyderczo. — Ludzie uciekają, a ziemian już połowy nie stało. Wielkopole, co mnie w to wciągnęli, opuścili, znikli.

Wolałbym był Boga chwalić u Świętego Benigna.

Zadumał się bazarz stary.

— A, tak, wino było dobre, ale strawa brzydka i księża surowi. Wolę tu albo we Drzdenku, choć tam mnie piwkiem poją.

Przeszedł się książę po izbie.

Czas uproszony do namysłu jeszcze był nie upłynął. Jednego dnia napadła go chęć wojowania; kazał częstokoły bić na wałach i natychmiast odwołał rozkaz.

Ciągnęło się tak dni kilka. Nikt już nie mógł odgadnąć, co książę myślał, ale ci, co do niego przystali, coraz mniej mając w nim ufności, uchodzili.

Jakieś tajemnicze przygotowania zaczęły się około księcia, wysłał Gniewosza, nie pytał już ani o Złotoryję, ani o Szarlej i niespodzianie zniknął w nocy. Buśko tym razem mu towarzyszył, Lasoty nie brał z sobą.

Jednego ranka siedział w Wielkiej Wsi Derśław, od skwaru się schroniwszy do chłodnej izby, w której ciemność panowała, i prawdę rzekłszy, drzemał, gdy usłyszał w progu powitanie:

— Niech będzie pochwalony! Przetarł oczy, stał przed nim Lasota.

— A ty tu co robisz? — zawołał, porywając się, Nałęcz.

— Przybyłem was o gospodę na jaki czas prosić — odezwał się Nałęcz.

— Książę cię odprawił?

— Nie, ale nam uszedł do swych przyjaciół do Drzdenka, a zaimki królowi poddać kazał, choć na rok żywności miały i bardzo się w nich mógł jeszcze bronić, gdyby chciał i umiał.

Uderzył w szerokie dłonie Derśław.

— Otóż masz, piastowska krew i nadzieje nasze na nich! — krzyknął rozgniewany i oburzony.

Trwało to chwilę, uspokoił się natychmiast Nałęcz.

— Ha! — rzekł. — Indziej sobie i kogo innego szukać będziemy musieli. Jeżeli Sędziwój sądzi, że tym już skończy wszystko, to się myli. Jeszcześmy nie dali za wygraną.

To mówiąc, wychylił się, do drugiej izby przeszedłszy, przez otwarte okno, pięść złożył i zatrałił w nią znanym sposobem.

W czwał nadleciał chłopak.

— Niech mi wnet siwego kulbaczą — krzyknął — a żywo!

— Ano, wieczór nadchodzi — odezwał się Lasota.

— Tym lepiej, bo skwar przejdzie — odparł Derśław — Trzeba się Nałęczom naradzić, co czynić. Prawdę rzekłszy, rachowaliśmy na Białego, już, już, a bylibyśmy go podparli i pomagali mu, ale ma słomie się nie opierać!

Splunął stary.

— Konia! — powtórzył raz drugi; zwrócił się do Lasoty.

— A i ty musisz ze mną — dodał — żeś tylko co zsiadł z konia, to nie szkodzi w twoim wieku nic. Będziesz mi potrzebny.

Nie pożegnawszy żony ani córki, Derśław wdrapał się na konia z pieńka u wnijścia i oba ruszyli wyciągniętym kłusem.

## II

Rok upływał, jak książę beczynny na zamku w Drzdenku gościł. W początku miał nadzieję pewną, że król ujęty jego pokorą co najmniej mu Gniewków powróci. List pokorny i błagający wyprawił do królowej Elżbiety, zdawało mu się z dnia na dzień, iż goniec powinien nadjechać z Budy. Słwał nieustannie do Sędziwoja, domagając się skutku jego obietnic, wojewoda odpowiadał, że i od króla nie było nic.

Jawnym się wreszcie stało, że król Ludwik, odebrawszy swe zamki, uspokojony, nie

dowierzający, żadnej siły nie chciał dać temu, który jej mógł nadużyć.

Gdy po zdaniu zamków, którego się nikt nie spodziewał, bo powodu do tego kroku jawnego nie było, Biały ze swym dworem, wozami i końmi zawitał po raz pierwszy do Drzdenka, prosząc Bodczy o gościnność i spowiadając mu się z tego, co uczynił, Fryda, dowiedziawszy się o tej dobrowolnej abdykacji, wybiegła rozgniewana, rozplomieniona, bez mowy, drżąca, z rękoma załamany. Nie chciała wierzyć tak niecnemu poddaniu się, nie mówiła do księcia, odwracała się od niego.

Niemający trud miał Biały, nim ją potrafił ubłagać, uspokoić i wytłumaczyć jej, że w ten sposób tylko dzielnicę swą odzyska. Śmiała i przenikliwa kobieta rzuciła mu w oczy wymówkę najboleśniejszą tchórzostwa i łatwowierności.

— Nie dostaniecie teraz nic — zawołała mu — nie, bo się was i nie lękają, i nie potrzebują!

Jednakże oczekiwano, choć niecierpliwie się zzymając, odpowiedzi. Biały pozostał w

Drzdenku, pił i rozprawiał z Ulrykiem i Dobrogostem, ściągał do siebie potajemnie przyjaciół; na przemiany rojono nadzieje i obmyślano plany zemsty, gdyby się nie ziściły.

Po kilku miesiącach, po coraz zimniejszych odpowiedziach Sędziwoja, nie było już wątpliwości, iż księcia zbywają niczym.

Byłby się może dał zrażony i zniechęcony zamknąć gdzie w klasztorze i przyjął opactwo na Węgrzech, gdyby nie Fryda. Ona mu nie dawała pokoju. Ona ściągała do Drzdenka ludzi, kupowała mu sprzymierzeńców, wymyślała różne środki rozpoczęcia na nowo tego, co raz tak nieszczęśliwie się skończyło.

Łatwy do przekonania, zmienny a słaby, książę poszedł pod jej rozkazy. Drzdenko stało się gniazdem nieustannych narad i przygotowań. Dniami i nocami przyjeżdżali tu wysłańcy i biegli słudzy na różne strony. Zaciągano ludzi, których oddziały w sąsiednich lasach utrzymywano, dopóki by ich nie zebrało się tyle, aby coś z nimi rozpocząć można.

Stary Bodcza, synowie jego Ulryk, Dobrogost i Arnold czynnie księciu pomagali. Nie było dnia bez zjazdu w Drzdenku lub okolicy. Ociągającego się księcia sromem wypędzała Fryda, zmuszała go do czynności i na ostatek rozbudziła w nim ducha aż do szaleństwa. Znowu mówił o mieczu swym, o waleczności, o tym, że musi być zwycięzcą lub umrze.

Dawnych pomocników z Gniewkowa, ze Złotoryi ściągano pieniędzmi i obietnicami.

Cały ten ruch nie uszedł baczного oka Sędziwoja z Szubina. Niepokojono się nim nieco w Poznaniu i nagładano z daleka.

Szczęściem Wielkopoleanie, zawezwani na zjazd do Koszyc, gdzie się o królewszczyznę

nieli z Ludwikiem rozprawić, przywódcy ruchu, głowy, bez których się nic nie poczynało, nie byli w domu, nie potrafił więc Biały wielkich sił z Wielkopolski ściągnąć, choć na niechęć kraju tego coraz jawniejszą rachował.

Pomimo to z różnego ludu wałęsającego się ponad granicą, z ludzi luźnych, gawiedzi chciwej zarobku, a lekko ceniącej życie, kupka się jakaś zebrała.

Szpiegi Sędziwoja donieśli mu o niej, podsłuchano, że Biały miał nadzieją naprzód napaść na Złotoryję. Rachowano na to, że dowództwo nad nią oddał był Sędziwój szwagrowi swemu, owemu Krystynowi ze Skrzypowa, któregośmy u niego widzieli. Wymodlił je on sobie na klęczkach.

Gdy niebezpieczeństwo zagroziło Złotoryi, Sędziwój postrzegł, iż na szwagra niewiele liczyć może, ani na czujność jego, ani na odwagę. Doniesiono mu, że Krystyn po całych dniach z lada pachółkami pijąc, zabawiał się. Postanowiono więc zastąpić go kim innym.

Wszystko, co się działo w sprawie Białego księcia, naprzód szło do Frydy Boczanki, a przez nią dopiero dostawało się do niego. Księżę siadywał rycersko i starannie ubrany po całych dniach w izbie, słuchał, co mu mówiła, napawał się tym, rozgrzewał i posłusznie kroczył, gdzie mu wskazała.

Dnia tego nad wieczór znajdujemy go także w komorze Frydy, która trzymała przy sobie chętnie księcia z obawy, aby zostawiony sam sobie nie zmienił usposobienia. Na przemiany śpiewając mu rycerskie pieśni, opowiadając dzieje bohaterów i szczęśliwych zdobywców państw i królestw, śmiejąc się z nim, przynosząc mu czasem upiększone wiadomości i nie całkiem prawdziwe z kraju poselstwa, Fryda umiała go zagrzewać tak, aby się do nowego trudu nie zniechęcił. Obiecywała mu powodzenie nieochybne.

Podbudzony przez nią księżę nie tylko już w nie wierzył, ale śmiałymi nadziejami ją wyprzedzał. Uległy tej kobiecie, którą za narzeczoną swą uważał, bez której żyć nie mógł, jak powiadał; głośno oświadczał, iż ją poślubi, że gotów jest sam iść i o to prosić papieża.

Fryda pierwsza obmyśliła opanowanie Złotoryi, budując je na inieopatrności i pijaństwie Krystyna. Miała tam już swoich ludzi, stosunki, przekupionych w załodze, którzy wrota otworzyć mieli.

Patrząc na ich dwoje, gdy razem z sobą byli w tej komorze Frydy, na niego rozpartego na wygodnym siedzeniu, pobrzękiwającego na cytrze, zapatrzonego w pułap, bawiącego się albo jej różańcem na stole rzuconym, lub rąbkiem zapomnianym, rozprawiającego o przyszłości, jakby baśń układał, a na nią żywo poruszającą się, odpowiadającą krótko i rześko, spoglądającą nań z góry, rozkazującą, można było sądzić, że on był przebraną niewiastą, a ona mężczyzną.

Biały dla niej coraz większe miał uwielbienie, chciał się podnieść w jej oczach, bo mu często dokuczała szyderstw, aby go do czynności pobudzić.

Dnia tego Fryda wyszła była z komory swej na chwilę, bo ją często odwoływano.

Niespokojną była i rozdrażnioną. Na zapytania księcia nie chciała jednak odpowiadać, bo zwykle tała przed nim wszelkie trudności i małe niepowodzenia, aby go nie zrażać nimi.

W czasie niebytności jej Biały w myślach się zatopił, zachmurzył. Nie lubił być sam z sobą, bo go złe przecucia ogarniały. Potrzebował zawsze kogoś, co by w nim wygasający ogień podniecał. Najmniej do tego przydatnym był Bodeza, małomówny i ociężały, zabawiający

przyszłego zięcia namową do kufla, bez którego sam obejść się nie mógł. Ulryk, Dobrogost lub Fryda najmilsi mu byli, a w niedostatku ich choćby Buśko, który albo śpiewał, lub śmieszył go, albo słuchał niedorzeczności, które prawił.

Na dłuższy czas nieco pozostawiony sam sobie książę zaczynał tęsknić i znajdować, że

niepotrzebnie narazić go chciano na nowe niebezpieczeństwo. Sądził, że jadąc do Budy, do królowej siostrzenicy, daleko by tam więcej i łatwiej mógł sprawić nad to, co mu kazano takim trudem zdobywać.

Myśli te już go całkiem zaczynały opanowywać, gdy drzwi otworzyły się z łoskotem i Fryda weszła krokiem zwycięskim, 7, piosenką na ustach. Wzięła się rękami w boki, postawę przybrała męską i stanąwszy naprzeciw księcia, zawołała:

— No, rozbudźcie się! Widzicie, że wam dobrą wieść przynoszę!

Książę, który był rozciągnięty niedbale na siedzeniu, porwał się.

— Dobrą? — zapytał.

— Tak, bo ja tylko dobre zawsze wam przynoszę! Toście już wiedzieć powinni.

Nie mówiąc nic, czekał książę na obietnicy spełnienie. Fryda patrzała nań z rodzajem politowania.

— Dwa dni — zawołała wesoło — chodziłam z kamieniem na piersi. O mało nie rozbiło się wszystko o przenikliwość tego przekłętego kłamcy Sędziwoja, który raz już was uwiódł. Wiecie, że w Złotoryi dowodzi szwagier jego Krystyn, który pije po dniach całych, a po nocach jeśli nie pije, to śpi pijany. Takiego nam tam właśnie było potrzeba. Sędziwój precz go chciał wziąć ze Złotoryi, bo już coś czuje i obawia się o nią.

— O, niegodziwy! — zawołał książę. — Ale cóż na to poradziliście?

— My? Nic, ale Krystyn sobie poradził. Srom dla niego okrutny być wyrzuconym, pobiegł do szwagra, pojechała z nim żona, jęli modlić a błagać.

Fryda w ręce klasnęła.

— Wrócił Krystyn nazad do Złotoryi, poprzysiągłszy tylko, że jej do zdechu bronić będzie.

— No, i na ostrożności się teraz mieć musi! — zawołał Biały. — Cieszyć się nie ma czym.

— Och, och! Stary pijanica — zaśmiała się Fryda. — Oprze się on nieprzyjacielowi, nie wątpię, że z mieczem w rękę biłby się do ostatniej krwi kropli, ale miecz mu wytrącimy z dłoni.

Przykaż księżę swym ludziom, aby pod Złotoryją byli gotowi i zbliżyli się ku niej.

Zdumiony patrzył na nią Biały, śmiała się Fryda.

— Mam tam — rzekła — dobrze opłaconych ludzi, rybaków, którzy mu jutro wieczorem dobrą baryłkę mocnego wina z Torunia przywiozą i pić ją z nim będą.

— Z rybakami, on? — zapytał, powtarzając, księżę.

— Piłby choćby z parobkami, byle pić, a wino było dobre — podchwyciła Fryda. —

Przyrzekli mi, że go w śmierć spoją. Naówczas, gdy jak kłoda leżeć będzie, mamy ludzi, co nam wrota otworzą. Zamiast krwi przy zdobyciu Złotoryi, poleje się tylko wino!

To mówiąc i uderzając w ręce, zawróciła się z poskokiem i zawołała nakazujące:

— Ale rozbudźże się, księżę! Wstań, idź, każ ludzi pozbierać, bo się pewnie po wioskach rozleźli. Nie trać czasu, żywo!

Księżę chciał już odchodzić posłuszny, gdy Fryda go, kładąc rączkę na ramieniu, zatrzymała.

— Złotoryję tak jak mamy! — rzekła. — Jestem swojego pewna! Nie popsujże mi, księżę, znowu to, cośmy ledwie w części mogli naprawić.

Biały słuchał z pewnym rodzajem upokorzenia.

— Tak! — dodała. — Księżę jesteś nadto dobry, nadto łagodny. Potrzeba być

nieubłaganym, trzeba być okrutnym. Niech wszyscy drżą przed księciem! Pamiętaj!

Stał jeszcze zadumany księżę, jakby ważył, co mu powiedziano, i chciał coś odpowiedzieć na to, gdy Fryda wyciągnęła rękę z uśmiechem.

— Daj mi na to rękę i słowo! — zawołała. — Będiesz srogim! Wielkie dzieła nie



dokonywają się miękką ręką, krew łać się musi. Kto chce panować, musi walczyć, a co mu na drodze staje, sprzątać. Tylko grozą dokazać coś można.

Paliły się jej oczy, gdy to mówiła, rozjaśniła twarz, pierś poruszała się żywo, uczucie odmłodziło ją, stała się piękniejszą, niż była. Biały pod urokiem tego blasku, który twarz jej rozjaśnił, wyciągnął dłoń, objął ją drugą ręką i chciał do piersi przycisnąć, ale mu się wyrwała.

— Idźże, książę! — zawołała natarczywie. — Dość będziemy mieli czasu na słodkie słowa, gdy zostaniesz zwycięzcą, gdy będziesz tym, kim być powinienes. Idź!

Jak popchnięty słowy tymi, książę upojony, rozżarzony, wybiegł żywo, wołając na swych dworzan. Wprędce potem zatętniło. Fryda patrząca z okna widziała, jak siadł śpiesznie na konia i ku lasom się oddalił.

W Złotoryi w istocie dowodził znowu Krystyn ze Skrzypowa, ale choć poprzysiągł bratu żony, iż nie zaśpi godziny jednej, że czuwać będzie dniem i nocą, a za Złotoryję gardłem ręczy, powróciwszy, naprzód zażądał napoju, którego mu żona odmówiła. Powstała stąd kłótnia małżeńska, pojono go wodą, dając jeść, co chciał. Krystyn był wściekły. Żona stała na straży.

Wtem wieczorem znać dano, że rybacy przynieśli mu podarek. Ogromny szczupak wzbudzał podziwienie wszystkich, ale oprócz niego pod połą siermięg ukryta była baryłka wina.

Krystyn wziął ich na rozmowę do siebie. Tu się dopiero okazało, jak poczciwi ludzie byli ci rybacy. Na widok baryłki starosta odżył. Natychmiast musiano skosztować napoju. Wino było z krzyżackiej piwnicy z Torunia i, jak upewniał Sumak, starszy rybaków, to właśnie, które tylko sam mistrz pijał z 'marszałkiem.

Nalano kubki.

Za późno dowiedziała się o nich żona, chciała baryłkę zabrać, ale Krystyn postawił jej się tak groźnie, iż ze łzami ująć musiała. Aby nie była przeszkodą wesołej chwili, zamknięto płaczącą babinę.

Zaczęli pić natychmiast, na złość upartej niewieście. Sumak i Trzysz, dwaj wybrani do upojenia Krystyna rybacy, sławni byli z głów twardych, lecz i starosty lada czym powalić nie można było. Baryłkę dopijano, gdy jeszcze stary szermierz przytomnym był i trzymał się na nogach. Trzysz na dany znak w skok popłynął po drugą. Tymczasem Sumak pilnował, aby pierwsza wysuszoną była do dna.

Starosta i rodem, i stosunkami wielkimi pan, przy kubku najlichszego człeka do siebie przypuszczał i tak się z nim godził, jak gdyby nigdy z lepszymi nie bywał. Z prosta go żartami zabawiający grubymi Sumak pilnował, aby na jego jeden kubek starosta dwa i trzy wychylał. Więc choć głowę miał dobrą, gdy baryłkę kończyli, już w niej nie było bardzo jasno, tylko humor coraz lepszy przychodził.

Trzysz, który po wino do Torunia popłynął, oprócz tego, jakie dla starosty miał przywieźć, beczkę

miodu starego, mocnego dla czeladzi z sobą zabrać postanowił, a starosta, sam pijąc, dla załogi też piwa kazał wytoczyć z odbitej gwałtem piwnicy.

Starszyzna zamkowa piła w jednej izbie, rybacy ze starostą w drugiej, czeladź na

podwórcach i, jak się wzięła ta pijatyka z wieczora, końca jej nie było. Krystyn, gdy raz sobie podchmielił, obyczajem nałogowych pijaków pragnienia dostawał nienasyconego, lał w siebie i w drugich bez miary i końca.

Zagrzany winem, które mu coraz lepiej smakowało, gębę też rozpuścił i plótl, co miał na sercu, a że na nim kamieniem leżało to, iż mu Sędziwój nie dowierzał i z zamku chciał wyrzucić, a

'innemu go dać, ciągle powtarzał.

— Ogadali mnie źli ludzie, że ja już do niczego i nawet tej dziury nie potrafię obronić. I od kogo? Od takiego trutnia jak ten Biały Książę, który garść ludzi ma ledwie, ciurów, włóczęgów, żebraków! Otóż niech przyjdzie, niech przyjdzie, niech spróbuje, a ja mu to pokażę, co Krystyn ze Skrzypowa może! Ja im pokażę!

Sumak i przybyły z nową baryłką Trzysz potakiwali mu w najlepsze:

— Co tu się bać? Kogo? Tego wywłoki, który ani pieniędzy, ani wojska nie ma?!

Starosta się odgrażał:

— Ja bym chciał, żeby on się na Złotoryję porwał; dałbym co za to, bobym go zbił albo i pochwycił. Mówią na mnie, że stary, niedołęga, i piję. A pewnie, że piję, gdy jest co pić, bo mnie to życie daje.

— Słuchaj, Sumak — dodał — ty, choć prosty rybak, ale człek dobry i na winie się znasz...

Ja prze twoje piję...

Pił potem przez zdrowie Trzysza, a później i Krzyżaków, co mieli rozum i takie wino

sprowadzali. Śmieli się i podśpiewywali. Sumak i Trzysz patrzyli tylko, rychło go upoją. Był ci dobrze oszołomiony, lecz jeszcze zmysłów nie stracił. Nalewano więc dalej i zachęcano, aby w baryłkach nic nie zostało.

Czeladź i starszyzna już w znacznej części była snem zmorzona i legła, gdzie kto mógł, na ławach, na stołach, w przedsieniach i w podwórzu pod ścianami. Na zamku coraz się robiło ciszej, noc już była późna, a starosta jeszcze opowiadał swym towarzyszom dzieje dawne, szczególnie wypadki, w których on wszystkich pogrzebłszy przy pijatyce, sam został prawie trzeźwym i ani go potem zaboląła głowa.

Jednakże wśród tych gadek i śmiechów Sumak postrzegł, że starosta chwiał się na jedną i drugą stronę, głowa mu opadała na piersi, usta stały otworem, a oczy się mimowolnie kleiły.

Widząc to, rybacy jeszcze kubek mu naleli, namówili, że wypił, i pokłoniwszy się do nóg, a polecając łasce jego, na co im bełkotaniem odpowiedział, odeszli.

Miało się na brzask, gdy wszystko w zamku we śnie głębokim pogrążone zostało. Była to wigilia Wniebowzięcia Najświętszej Panny, więc nikt dla tak świątecznego dnia nie potrzebował nazajutrz do pracy się spieszyć i zasypiali wszyscy szczęśliwie.

Sumak i Trzysz chcieli się wydobyć z zamku, aby dać znać, iż para, nadeszła kusić się o zdobycie jego, lecz nie mogli znaleźć nikogo i dobudzić się, aby im furtę otworzył. Sami zaś nie umieli i nie mogli sprostać zamkowi.

Kluczów nie wiedzieć kędy było szukać. O mało więc cały ten podstęp i zachody nie spelzły na niczym. Czas upływał, ludzie mogli, wypawszy się, przetrzeźwić.

Tymczasem ci, którzy obiecali dopomagać, tak spali jako i drudzy. Sumak nadaremnie, szarpiąc ich i bijąc, usiłował rozbudzić. Musiał więc ostatecznego użyć sposobu i wlaższy na blanki, że się spodziewał kogoś z ludzi Białego w pobliżu, począł wołać: — Bywaj!

Jakoż gdy trzykrotnie na różne strony powtórzył wołanie, posłyszał sykanie i lekkie huczki od dołu. Pochyliwszy się, znowu nawoływać począł:

— Drabiny przystawiajcie, a rączo, bo teraz wszyscy śpią. Wrót otworzyć nie ma komu.

Znalazły się snadź przygotowane drabiny i w chwilę potem na blanki drapać się zaczęli co najśmielsi. Tu ich Sumak i Trzysz przyjmowali, napędzając, aby się nie ociągali. Wszystko było we śnie pogrążone.

Ze dwudziestu naprzód ludzi po drabinach wpadło na zamek i zaraz po podwórku się rozsypali wiązać pijanych, a broń im odbierać, co się tak szczęśliwie udało, że nikt prawie nie krzyknął, a wielu nie czuło, co się z nimi dzieje.

Kilku do furty się dostało i kluczy nie szukając, wyłamali ją łatwo. Stał tedy zamek otworem już dla reszty i cała gromada Białego pod dowództwem Drzazgi na zamek wtargnęła.

Nie spieszono do starosty, bo Sumak ręczył, że leży jak kłoda i ani go wiązać, ani się o niego lękać nie potrzeba.

Zabierało się na dzień, gdy wszystko było skończone, a dwaj rybacy pospiesznie uszli.

Drzazga, mając sobie wskazaną izbę Krystyna, postawił u drzwi straż. Umówionym było z księciem, który sam się narażać nie chciał, pewnym nie będąc powodzenia, iż miał w miejscu bezpiecznym oczekiwać na wiadomość. Posłano do niego, gdy wszystko było skończone, a nawet załogę pobraną w niewolę, powiązaną do lochów sprzątnięto.

Książę nadjechał zdyszany, rozgrzany bardzo i uradowany. Utkwiło w nim to słowo Frydy, które obiecywał sobie wziąć za skazówkę i być mu posłusznym, słowo zalecające nieubłaganą surowość.

Przypisywał teraz sam wszystkie swe niepowodzenia zbytnej powolności i pobłażliwości.

Przez cały więc czas, gdy do zamku jechał, najuroczystsze sobie samemu dawał słowo,

poprzysięgał, iż będzie postrachem, będzie tyranem okrutnym, gdy na nieszczęście inaczej nie można było być zdobywcą.

Pierwszy przykład srogości tej chciał zaraz dać na Krystynie ze Skrzypowa. Nic mu ten winien nie był, ale jako szwagier Sędziwoja z Szubina, przeciw któremu Władysław pałał

największą żądzą zemsty, musiał za niego pokutować. Biały, który miał przy sobie jednego Buśka, do którego mógł mówić otwarcie, potrzebując wywnętrzenia się i przechwałki, odwrócił się do niego:

— Słuchaj, Buśku. Z Krystynem starostą co zrobić? Powiesić go? Hę?

— Paneczku, na Chrystusa Zbawiciela, a toż za co?

— Za co? Łajdak jest, pies jest, niegodziwiec! Odgrażał się przeciwko mnie, bezcześcił, nazywał wywłoką. Są ludzie, co słyszeli! — wołał Biały gorąco. — Dostyc wreście, że Sędziwoja szwagier, za to wisieć powinien.

Buśko głową kręcił.

— Miłościwy Panie — rzekł — jak wy zaczniecie wieszać, to oni nas potem będą też ciągnęli do góry. A, uchowaj Boże, mnie wezmą...

Książę się po swojemu zadumał.

— Paneczku — rzekł Buśko. — Wieszać, to z tego nic nikomu nie przychodzi, chyba krukowi i robactwu. Czy nie lepiej okup wziąć, a teraz go do ciemnicy posadzić?

— Na Boga, rozum masz! — krzyknął książę. — Rzucić go okutego do więzienia, i niechaj Sędziwój ratuje męża siostry, tysiąc kop...

Buśko się rozśmiał.

— Tyle on nie wart. — rzekł. — Ja bym go za pięćset dał, wygłodziwszy.

Biały nic nie odpowiedział, bo właśnie stanął u otwartej bramy.

### III

Piękny ranek sierpniowy oświecał obraz, który oczom księcia mógł się też wydać bardzo uroczym.

Malowniczym był w Istocie. U wrót otwartych, których brona była podniesiona, stała kupa wesołych, śmiejących się, pokrzykujących ludzi.

Kto by nie wiedział, z czego się składało wojsko Białego, spojrzawszy na tych ciurów, łatwo by poznał zbiegów, włóczęgów, warcholów i hołyszów po gościńcach i lasach

pozaciąganych. Wprawdzie ledwie najdostojniejsze dwory i pułki naówczas jednostajnym

uzbrojeniem i strojem pochwalić się mogły, lecz najlichszy dwór biedniejszego nawet ziemianina czyściej i porządniej wyglądał niż Władysławowskie ciury.

Ani wzrostem, ani twarzami, ani płcią, ni postawą dwu prawie nie było do siebie

podobnych; tylko włóczęga, tułanie się po lasach, niewygody i ubóstwo czyniły ich z sobą pokrewnymi. Nie było na jednym opończy całej, kołpaka nie pomiętego, zbroi nie potłuczonej, a uzbrojenie każdy miał różne, wszyscy najlichsze: toporki, mieczyki, lada jakie cepy łańcuszkami związane, oszczepy stare, łuki swojej roboty, tarczki z drzewa, nędznie skórami, co się same na powietrzu wyprawiały, powleczone. Na nogach od skórzni podartych, do łapciów chodaków, przez które palce patrzyły wszystko tam było, prócz porządnego obuwia.

Dwóch czy trzech chlubili się żelaznymi garnuszkami na głowach, starymi i bez nosów. Inni chustami mieli powiązane głowy, spod których rozczochrane włosy widać było.

Pomiędzy tą osobliwszą gromadą i jasne włosy, jak len kędziory, i czarne jak smoła, i strzyżone, i długie się mieniały, tak jak wzrosty od najogromniejszego olbrzyma do przysadzistego karła.

Chociaż przy zdobyciu Złotoryi do żadnego krwi przelewu nie przyszło, niektórzy z nich krwią byli pomazani pozasychałą, inni mieli świeże blizny i pozalepiane liśćmi zielonymi rany.

Stojąc dosyć długo w lesie, gawiedź ta, pojona i karmiona staraniem Frydy, przy kościach i przy misach tłukła się i zabijała, ledwie ich starszyzna od tego mogła powstrzymać.

Wszystko to w lesie dzikim, w półcieniu a mroku mogło się wydawać mniej strasznym,

mniej wstrętnym, ale teraz o białym dniu, w blasku poranka, ohydny było.

Książę, spojrzawszy na to wojsko swoje, którego dowódcy, z wyjątkiem Drzazgi, nie lepiej się stawili, zarumienił się ze wstydu, serce mu się ścisnęło, upokorzony był tym, że zszedł na taką szuję.

On, co na dworach cesarskim, papieskim, Ludwika i tylu innych napatrzył się pięknego

rycerstwa i sam wytworność lubił, zmuszony będąc posługiwać się tymi zbójami pozbieranymi po lasach, uczuł gniew w sercu do tych, co byli jego upadku przyczyną. Na myśl mu też przyszło, jak on z taką zbieraniną odpadków ludzkich, ze śmietniska zagarniętą, potrafi się oprzeć wojsku Sędziwoja i króla Ludwika, jak będzie mógł ład i karność wśród nich utrzymać?

Na okrzyk wrzaskliwy, którym go powitano, książę ledwie dumnym głowy skinieniem

odpowiedział, koniowi dał ostrogę i przebywszy most, wpadł na podwórcę.

Tu, jeszcze z konia nie zsiadłszy, groźno zawołał, gdzie był Krystyn starosta. Drzazga stojący tuż odparł, że śpi upojony, a straż ma u drzwi.

— Okuć go natychmiast i do najgłębszego wrzucić lochu, na chleb i wodę, pana szwagra wojewody!

Z okna zamku usłyszała ten wyrok okrutny stara żona i z krzykiem bóleści, z załamanymi rękami, wybiegła do księcia, rzucając się przed nim na kolana. Cała we łzach, na pół omdlała niewiasta wzbudziłaby politowanie w każdym, i księżę by też może miał nad nią miłosierdzie, gdyby świeżo nie poprzysiągł sobie, że okrutnym będzie.

Kazał ją, odwracając się, pachołkom wziąć pod ręce i precz wieść, a zamknąć. Rozległy się jęki i szlochanie, lecz księżę był w takim usposobieniu, iż boleść ta jeszcze go uczyniła zajadlejszym. Przypomniał sobie, iż ta kobieta była Sędziwoja rodzoną.

— Zamknąć mi i tę babę — zawołał — żebym wrzasku jej nie słyszał!

Gdy się to działo w dziedzińcu, pachołkowie, którym rozkaz dano okuć starostę, rzucili się z bydlęcą radością na niego, zrzucili uspiętego z łoża i ledwie rozbudzonego poczęli targać, miotać nim, naigrawać się, wiązać, wołając o łańcuchy.

Krystyn oprzytomnieć nie mógł. Jeden z pachołków wylał mu wiadro wody na głowę. Aż na dziedziniec dochodziły wściekłe jego krzyki. Wrzawa ta, z którą się mieszały śmiechy oprawców, szczęk mieczów, brzęk niesionych kajdan, wcale nie raziła Białego. Zdało mu się, że teraz dopiero szło, jak iść było powinno.

Buśko, który z konia się stoczywszy, poszedł pod ścianę pot z czoła ocierać, patrzył na swojego księcia i poznać go nie mógł. Nadzwyczaj był czynnym, sam się we wszystko mieszał, rozporządzał, rozkazywał. Natychmiast kazał bronę spuścić, wrota zamknąć, strażę postawić, nikogo nie wpuszczać. Przy sobie z lochów powiazaną załogę dał po jednym wyprowadzać, razem z Drzazgą wybierając z niej ludzi, których by użyć można.

Zajęty był właśnie tym przebieraniem ludzi, którzy ze strachu do nóg mu padając, sami się w służbę prosili, gdy okutego już Krystyna, otrzeźwionego strachem i wodą, wywiedziono w podwórcę.

Stary opój chciał, gwałtem się wrywając, ku księciu się zbliżyć, o miłosierdzie go prosząc, lecz na znak dany pachołkowie mu gębę zatknęli i pchając gwałtownie, a bijąc, do pobliskiej ciemnicy wrzucili, z której wprędce stłumiony krzyk się dał słyszeć.

Czas jakiś Biały jeszcze sam po podwórcach się kręcił, chcąc koniecznie czynnym okazać, poszedł na blanki, wlaź nad wrota, opatrywał bronę, okrażał mury, wlaź do pustych komór, kazał

sobie otwierać izby i szopy, sam przez się wszystko sprawdzając, aż w ostatku znużony Drzazdze dał ręką znak, aby resztę za niego dopełnił, i na zamek do izb starościńskich prowadzić się kazał.

Tu Buśko, gorliwy zawsze o własną i pańską wygodę, już go był poprzedził. Znali trochę Złotoryję z pierwszego jej zdobycia, lecz teraz lubiący wczasy Krystyn i żona jego lepiej ją na przyjęcie nowego pana przygotowali.

Buśko znalazł sługi Krystyna, spiżarnię, zapasy i już w nich gospodarował. Ze strachu spełniano rozkazy. Sam on, prawem zdobywcy, splądrował zakątki wszystkie, powyciągał z nich, co tylko wartość jaką miało, zagrabił jako łup, a babom jadło i napitek gotować kazał.

Znalazł więc księżę, wszedłszy do wielkiej izby, co potrzeba było na przyjęcie i Buśka, marszałkującego bardzo poważnie i stanowczo.

Wielki wysiłek, na jaki się zdobył księżę, znużył go mocno, byłby swym zwyczajem rzucił się na posłanie spoczywać, gdyby mu Fryda i jej rozkazy na myśl nie przyszły. Siadł więc do stołu.

Buśko chciał go zabawić pociesznym opowiadaniem o wielkiej trwodze żony Krystyna i o nim, lecz księżę słuchać go nie chciał. Potrzebował być czynnym.

Podano jadło, kazał wołać Drzazgi, który natychmiast się stawił. Znał on księcia dość dobrodusznym i powolnym; zdumiał się, słysząc go odzywającego się głosem zmienionym i nakazującym:

— Na czas powierzę wam Złotoryję, ale mi głową za nią odpowiecie.

Drzazga spojrział nań tylko.

— Tak — mówił z zapalem księżę. — Nauczyło mnie doświadczenie, że surowym być

potrzeba. Będę okrutnym, będę nielitościwym, i wy powinniście nim być także. Na krótki czas zmuszony będę się oddalić, bo na jednej Złotoryi nie poprzestanę, Ulryk tam czeka na mnie. Jadę natychmiast. Wy zostajecie tu. Powierzam wam tego łotra Krystyna. Z ciemnicy mu nie dać wyjrzeć! Chleb i woda! I za niego mi odpowiadacie.

Pilno słuchał Drzazga, lecz księżę nagle sparł się na rękę, oczy utopił w podłogę, zamilkł.

Zabrakło mu już dalszych rozkazów. Począł wołać o konie, dziesiątek ludzi miał tylko zabrać z sobą.

Buśko na ten raz pozostawał na straży przy Drzazdze.

Pilno było księciu pochwalić się swym powodzeniem przed Frydą, a oprócz tego

przrzeczone miał, gdyby Złotoryja wzięta została, posiłki od Ulryka, Arnolda i Dobrogosta, którzy się razem z nim ofiarowali inne gródki iść zdobywać. Fryda ręczyła za braci, a przez ojca Bodczę, którym władała, pewną była, iż ich zmusi do dania posiłków narzeczonemu.

Z równym prawie zapalem, z jakim biegł do otwartych bram Złotoryi, poleciał teraz księżę do Drzdenka, wiedząc, że tam niecierpliwie nań lub na wieść od niego czekają.

W istocie Fryda, która go na tę wyprawę uzbroiła w oręż, w ludzi i w męstwo, nie mogła na chwilę spocząć, wyglądając niespokojna końca sprawy, którą sama przygotowała.

Była pewną, iż Krystyn się da upoić, że rybacy dotrzymają danego słowa, lecz lękała się czegoś niespodzianego, a najwięcej lekkomyślności i zmienności Białego. Najmniejsza przeszkoda mogła go tak łatwo zrazić, jak się dał na krok ten namówić.

Wyglądając ciągle posła, Fryda wyszła na wyżki nad bramą, skąd daleką okolicę widać

było. Zabiło jej serce, gdy zobaczyła kupkę jeźdźców pędzącą wprost ku zaimkowi. Nie ulegało wątpliwości, że wieźli jej upragnioną wiadomość, poznała z dala samego księcia i przeraziła się w początku. Zdało się jej, z pośpiechu wróżąc, że mógł uciekać. Zagryzła usta i oddech wstrzymała, jeźdźcy zbliżali się szybko.

Wtem ksiązę spostrzegł ją, a raczej po białej zasłonie na głowie domyślił się, że to ona była; podniósł rękę do góry, dając znak, którego jeszcze nie rozumiała. Pochyliła się ku bramie, gdy nadjeżdżający głosem wielkim zawołał:

— Złotoryja nasza!

Fryda zbiegła na jego spotkanie, a tuż i Ulryk, i Dobrogost, oczekujący także, nadciągnęli.

Powtarzał im coraz głośniej:

— Złotoryja nasza!

Fryda rzuciła się ku niemu z okrzykiem radosnym. Ksiązę z wielką dumą i pewnością siebie uśmiechnął się.

— Widzicie — zawołał — że nie jeden raz tylko umiem zamki zdobywać. Złotoryja moja,

Krystyn wzięty w niewolę, a pan szwagier będzie musiał za niego dobry okup zapłacić, jeżeli mu życie ocalić zechce. Teraz Ulryk ze swymi Sasami musi mi pomóc do dalszych zdobyczy.

Fryda zwróciła się żywo ku bratu:

— Gotów jest, idzie z wami.

Ulryk stał, choć może niezbyt chętny, lecz zrezygnowany spełnić wolę siostry. Uśmiechało mu się też po spoczynku spróbowanie czynne rycerskiego rzemiosła.

— Dokąd myślicie? — zapytał.

— Nim pójdziemy na Gniewków — począł Biały żywo bardzo i z zapalem wielkim, który

Frydę wielce uradował — bo ja Gniewkowa jestem pewny, jakbym go już wziął, wszystkich tam po sobie mając, wiesz, bracie, myślę się tam rzucić, gdzie mnie się wcale nie spodziewają, na biskupi



zamek Raciąż. Księżę gród w żołnierza nie bardzo musi być opatrzony, a skrzynie w nim pełne.

Pożywimy się na dalszą wyprawę.

Ze śmiechem popatrzył na Frydę, wywołując od niej pochwałę, której mu nie poskaąpiła.

Ulryk potrząsnął nieco głową.

— Raciąż nie tak jest łatwy do wzięcia, jak wy myślicie — rzekł — mury ma dobre, zamek okolicy panuje, podejść go trudno.

Księżę, który w zapale nigdy się nie rachował z niczym, oburzył się i ręką zamachnął.

— Moi ludzie i wasze Sasy rady mu dadzą! Ulryk się uśmiechnął, ruszając ramionami.

— Ano, chętnie — rzekł — na Raciąż... jam gotów. Natychmiast zbierać Sasów posłano, a Fryda, dumna swym narzeczonym i jego męstwem, zarazem się zajęła przyjmowaniem go,

żywieniem, dopytywaniem o Złotoryję i wyprawę brata.

Biały powtarzał, nalegając, że musi na Raciąż pospieszać. Czuł, że na długie wytrwanie przy jednej myśli nigdy rachować nie może, i spieszył z wykonaniem, aby jej nie porzucił. Znał tę swą słabość, iż lada co mogło go zbić z drogi; a na raciąski skarbiec rachował wiele, ktoś mu o nim splótł przesadzoną baśnią.

Fryda, która przez czas pobytu jego w Drzdenku nadto go dobrze poznała, sprzeciwiać się mu i osłabiać jego męstwa nie myślała. Ona też zarówno z bratem Ulrykiem wątpiła może, by zamek w Raciążu do zdobycia był łatwym, ale gdyby mu to odradziła, czuła, że całą sztuczną energią jego zachwiać mogła. Powodzenie go uzuchwalało, napaść niespodziana udać się mogła, a najmniejsze przeciwieństwo go zniechęcało.

Natychmiast rozesłano gońców po gromadkę Sasów, których miał Ulryk dostarczyć.

Niewielu ich było, lecz wszyscy doskonale zbrojni, a każdy z nich stał za kilku takich włóczęgów, jakimi Biały księżę się posługiwał.

Sam zresztą Ulryk był wielkiego serca, lubił przygody rycerskie, porywy śmiałe, a im

niebezpieczniejsze były i dziwniejsze, tym więcej go nęciły. Zamek, w którym by mógł być

walczyć z olbrzymami i wojować smoki, był mu najmilejszym. Dla niego ta awanturicza

wycieczka pod Raciąż była zabawką doskonałą, z której sobie obiecywał uciechy wiele, choćby nawet skutku pożądanego nie odniosła.

Księżę karmiony i pojony przez Frydę, która go jeszcze zagrzać się starała i ducha w nim obudzić, śmiał się a puszczał cugle marzeniom, jak zwykle coraz zuchwalszym.

— Z Raciąza — wołał — dobrze się tam pożywiwszy, idziemy na Gniewków mój, na

Włocławek, może potem na inne gródki i włości sąsiednie. Zobaczycie, byłem ich kilka opanował, a tego pewny już jestem, obudzi się szlachta Wielkopolska, posypią mi się ochotnicy. Zmieni się położenie moje natychmiast, Sędziwoja powoli opuszczą wszyscy, przechodząc do mnie. O, teraz my się inaczej będziemy trzymali i lada obietnicami nie damy ułudzie! Król Ludwik musi się ułożyć ze mną, bo mu koronę na głowie jego zachwieję.

Fryda, śmiejąc się, potakiwała.

— Gdy was tak mówiącego słyszę — szeptała, pochylając się ku niemu — serce mi rośnie, wytrwajcie tylko, wytrwajcie!

Tym upomnieniem, które było zarazem wymówką, Biały się uczuł dotknięty i żywo począł się bronić.

— Przecież powinnaś, jasno czytając w mej duszy, wiedzieć, że nie ma na świecie

upartszego nade mnie człowieka. Po latach tyłu powróciłem do mojego Gniewkowa, gdy każdy inny zapomniałby go i wyrzekł się. Odebrali mi go podstępem, wyłudziła obietnicami fałszywymi, idę powtórnie, nie jestemże wytrwały? Żelazny?

Wśród tej rozmowy Ulryk wszedł do izby cały we zbroi święcącej, od stóp do głowy nią okuty, z szyszakiem wspaniałym w ręku, i nogą nogę uderzywszy, aż ostrogi długie zabrzęczały, zawołał rażno.

— No, Sasi moi nadciągają! Ślijcie po waszych ludzi, aby się stawili na miejscu, w którym połączyć się mamy. Na Raciąż? Wiem, że tamtejsze mnichy doskonały miód dla biskupa płockiego sycą. Napijemy się go.

Fryda nie myślała ich wstrzymywać. Aż do wsiadzenia na koń towarzyszyła księciu, opinając na nim zbroję, podając rękawicę, wesołą twarzą otuchę wlewając w niego.

— Gdy Gniewków zdobędziecie — rzekła cicho — gotowam tam was odwiedzić?

Biały rozśmiał się wesoło, konie prychały wróżbą dobrą,

Ulryk do swych Sasów przemawiał. Fryda powiewała chustą białą, ruszyli więc bardzo żwawo i ochoczo.

Przez całą drogę księciu się prawie usta nie zamykały. Bawił Ulryka opowiadaniem o tym, co ma czynić, a choć ten nie bardzo ufał w ziszczenie świetnych nadziei przyszłego szwagra, bawiły go one. Razem z tym żadnej potrzebnej ostrożności przy najściu na Raciąż nie zachował

książę. Niecierpliwy, nie usłuchał rady Ulryka, aby w lesie spocząć do nocy, a później nie postrzelonym podkładać się pod mury.

W biały więc dzień, gdy się orszak złożony z Sasów i zbieranej drużyny księcia ukazał na równinie otaczającej grodek, postrzeżono ich zawczasu i na gwałt uderzono. Ludzie biskupi lub przestrzeżeni byli, albo się mieli na baczności, bo nim podstępiono pod mury, ludu się na nich zebrało siła i wrota były zamknięte.

Tu się okazała wielka nieporadność bohatera, który nie wiedział, co poczynać, i odgrażając się a krzycząc tylko, wołał, aby mu natychmiast zamek poddawano.

Ulryk tymczasem okrążył go dokoła. Tuż do zamku przypierał kościół z dzwonnica, do

której biskup Zbylut przybudował był ogromną izbę sklepioną dla przyjmowania duchowieństwa, które się do niego zjeżdżało. Dzwonnica wprawdzie, grubymi szkarpami podparta, stała za mur okólny, lecz były w niej nieopatrznie zostawione okna bez krat i żelaznych okiennic, o których zdaje się zapomniano. Na skinienie Ulryka, któremu to dobywanie stało za najmiłą zabawką, Sasi zgromadzili około niego, ludzi księcia i jego samego zostawując u wrót, nawołujących nadaremnie dowódców i ucierających się próżno słowami.

Sasi na skinienie Ulryka rzucili się natychmiast z drabinami do okien dzwonnicy, których nikt nie bronił. W mgnieniu oka kilkunastu ich wdrapało się do jej wnętrza, drzwi wyłamali i znaleźli się w rodzaju pustego sklepionego kapitularku, z którego łatwo już na zamek dostać się było. Ulryk sam wytrzymać nie mógł i z konia zsiadłszy, poszedł z resztą swych ludzi. Sasi wtargnęli już wszyscy do pustej izby tej i zabierali się żelazne drzwi dzielące ją od zamku wyłamywać, gdy załoga się opatrzyła, jakie jej zagrażało niebezpieczeństwo.

Bratanek biskupi, niejaki Jarosz, był naówczas starszym na zamku, chłop dzielny i

nieulekniony a przytomny. Gdy z tej strony krzyki się słyszeć dały, a on właśnie u wrót stał, porzuciwszy tu Białego i jego gromadkę niesfornie biegającą około mostu, aby się dostać ku bramie, huknął na swoich i sam na ich czele popędził ku kapitularkowi i dzwonnicy.

Sasi, którzy przed chwilą byli napastującymi, znaleźli się obłożonymi. U okien i drzwi rozpoczęła się bitwa zacięta chłopca z chłopem. Poleciały okna świeżo wprawione z błon w ołów oprawnych, rozrąbano drzwi, zmieszały się dwie kupki, okładając razami mieczów, cepów i toporów, tak że za chrzęstem broni i dźwięczeniem zbroi żelaznych, a krzykami walczących, nie było słyhać rozkazów dowódcy, ani kto wiedział, co miał czynić. Załoga naciskała, Sasi zajądło się bronili i na przemiany to jeden zastęp, to drugi brał górę. Sam Ulryk, trafiwszy na dobrze uzbrojonego Jarosza, serdecznie się począł z nim ucierać, znajdując w tym rycerską uciechę, że mu się bratanek biskupi dzielnie bronił. Ludzi z obu stron nie było wielu, lecz tak dobrze kopa wojujących jak tysiąc rozstrzyga o losie bitwy. Sasi mieli wyższość uzbrojenia, raciażcy walczyli na swych śmieciach i to im większą pewność dawało.

Gdyby był Biały, zamiast stać u wrót, łajając i krzycząc, podstępował pod dzwonnica i swoich ludzi w pomoc Sasom podesłał, mógł się by był Ulryk utrzymać w kapitularku, wtargnął na zamek i zdobyć

go.

Tymczasem Sasi, pozostawszy sami i widząc, że im posiłek nie przychodzi, gdy jeszcze

śmiały dzwonnik wpadł na wieżę i wielki dzwon poruszywszy, całą ludność okoliczną zwoływać począł na obronę, Ulryk musiał myśleć o odwrocie. Odcinając się załodze mężnie, wraz ze swymi wpadł nazad do dzwonnicy, tu drzwi zatrzaśnięto i zaparto kłodami, aby

Sasi mieli czas nazad się po drabinach wydobyć z zamku. Ulryk, chociaż we zbroi, skoczył

wprost z okna, śmiejąc się, tak zręcznie, iż mu się nic nie stało, a gdy pod murem począł liczyć Sasów, okazało się, że mu tylko jednego z nich brakło, który dopiero później nagonił uchodzących.

Po tej przygodzie, która go w wesoły humor wprowadziła, Ulryk pospieszył Białego szukać.

On i jego ludzie stali jeszcze, zabawiając się u wrót, rzucając ona nie kamieniami i

klątwami, a dziwując się, że im nikt na to nie odpowiadał.

Przypadł Ulryk do Białego.

— Do kata! — krzyknął. — Wyście winni, żeśmy zamku nie opanowali! Byliśmy już

niemal w dziedzińcu, czemuście na pomoc nam nie szli.

Książę o bożym nie wiedział świecie, ruszył się dopiero, Ulryka z sobą ciągnąć, nazad pod dzwonnice, ale za późno było. W oknach jej stała załoga z kuszami, z kamieniami, ze smołą, tak swoim zwycięstwem rozgrzana, tak pełna zapалу, że się już nie można było pokusić o zdobywanie wieży po raz drugi.

Biały z konia zachęcał swych ciurów, lecz ci nie okazywali nadzwyczajnej ochoty narażenia się ani na strzały, ani na inne pociski oblężonych. Nałajano się tylko z obu stron słowy najplugawszymi i Ulryk pierwszy, widząc, że tu już nie ma nic do czynienia, odstąpił na pobliską łąkę, aby dać Sasom swoim odpocząć.

On też tego potrzebował, bo choć go miecz Jarosza nie tknął, zbroję mu w kilku miejscach powbił niemal w ciało. Potrzeba ją było zdjąć i szukać człowieka, który by młotkiem mógł jako tako odprostować. Szyszak też był potłuczony,

Ulryk mimo to śmiał się ciągle i radował męstwem a zręczności swych ludzi, chwając się tym, że on wyszedł tak cały, a Jaroszowi krwi upuścił. W istocie bratanek biskupi zręcznym razem Ulryka raniony był w ramię, gdzie się dwie schodziły blachy.

Na Białego prawie nie patrzył Ulryk, tak gniewnym był, iż mu zwycięstwo wyrwał z rąk.

Gdy nadciągnął książę, wesoły szwagier zaczął żartować z niego. Ten miał doń żal nawzajem, iż nie dał mu znać, aby przybywał.

Byliby się posprzeczali może, jak Sasi z ludźmi ksiązęcymi, gdyby Ulryk nie miał dobrego serca i wyrozumiałości dla Białego. Ten chciał szturm przypuszczać do Raciąża, o którym ani pomyśleć z małą liczbą ludzi nie było podobna.

— Wiesz co? — odparł. — Księżemu zamkowi dajmy pokój! Kościelnej własności siła

może jaka nie znana i niewidoczna broni, powiadacie, że Gniewkowa jesteście pewni, jedźmy tam się pobawić.

Rad nierad Biały, któremu markotno było opuszczać Raciążek, przynajmniej okupu z niego nie wzięwszy, zgodził się iść do Gniewkowa.

On i Ulryk nawzajem sobie niepowodzenie to przypisywali, chociaż wina była Białego, który inaczej jak zdradą lub groźbami nie umiał zdobywać nic.

Po omyłce popełnionej tu potrzebował powodzeniem łatwym ją powetować — Gniewków

najlepszym był teraz, bo tu mnogich mając przyjaciół, ksiązę się go samym widokiem swym wzięć spodziewał.

#### IV

Starostą na zamku w Gniewkowie był Gerard ze Słomowa. Nie darmo go tam posadzono, bo

Sedziwój z Szubina obawiał się zawsze niespokojnego umysłu księcia i pokuszenia się o gród ten, w którym miał sobie oddanych ludzi, a Gerard należał do najdzielniejszych i najczujniejszych dowódców.

Inny byłby się uląkł takiego zadania, otoczonym będąc niechętnymi i w dodatku nie mając zamku tak obronnego, aby w nim być bardzo bezpiecznym. Gerard tak prawie jak Ulryk bawił się tym, gdy mu wojować się, bronić, czuwać, zabiegać było potrzeba.

Miała to do siebie sprawa rycerska, że roznamiętniała ludzi, którzy w niej szukali tych żywych wzruszeń, jakich do życia potrzebowali. Tacy rycerze ochotnicy, gdy w domu nie było co robić, ciągnęli w niedostatku krucjaty do Krzyżaków i z nimi na Litwę jak na łowy. Nawyknięcie do bojów, do pochodów, do dzielnych zapasów, gonitw, do wymyślania wojennych podstępów —

czyniło je potrzebą.

Dla Ulryka z Drzdenka, dla Gerarda ze Słomowa, dostać się jednemu na niebezpieczną a

szaloną wycieczkę, drugiemu do zamku lichego, zagrożonego, który się tylko mógł dzielnością i nadzwyczajnym wysiłkiem obronić, było najpożądańszą rzeczą. Wyzwać się na rękę, okazać męstwo i zręczność — stawało się zadaniem życia, tęskniono za tym.

Gerard ze Słomowa, niemłody już, bo miał dwu synów dorosłych, był takim łakomym na

ciężkie zadania. Sam on się wprosił do zagrożonego Gniewkowa, zabierając z sobą do niego obu synów i namówiwszy brata Bartosa.

Obejrząwszy zamek, nowy starosta spostrzegł dopiero, że w istocie na baczności się w nim mieć było potrzeba. Nie uszło to oka jego, że miasteczko, podzámce, okolica duszą całą była oddana księciu Władysławowi. Otoczony był jawnymi nieprzyjacioły, którzy milczeli ponuro, a niejeden z nich, podchmieliwszy, odgrażał się po cichu. Płatano mu sztuki różne podstępne, winowajcy poszlakować nie było podobna.

Na takie usposobienie wielką tylko surowością można było zaradzić. Gerarda obawiać się musiano, znano go ze sławy, jaką miał, że nikomu nie przepuszczał. Trudniej było naprędce zamek ubezpieczyć. Brakło mu murów okólnych w części znaczniejszej, zastępowały je starodawne ściany z drzewa, obyczajem odwiecznym grubo tylko gliną pooblepiane. Gdzieniegdzie przekopy się pozasypywały, a i w pośrodku nie stawało wiele rzeczy do odpierania silnego napadu.

Gerard, objąwszy zamek, obszedłszy je w milczeniu, natychmiast wziął się do tego, co

najpilniejsze było. Ludzi z miasteczka kazał spędzić do przekopów i swoich nad nimi dziesiętników postawił. Zaczęto oprawiać ściany i lepić je, zatykać w nich wyłomy, umacniać bramę i przystęp do niej czynić trudniejszym. Z miasta też nakazano wozić kamień, gruzy, wszystko, co do obrony służyć mogło. Przyjaciele gniewkowscy księcia byli zmuszeni przeciwko niemu dostarczać broni.

Nie było rady, czyniono to niechętnie, lecz musiano.

W bardzo prędkim czasie zamek wyglądał lepiej daleko, niż kiedykolwiek był za księcia, ale mrużąc i utrapieni podwodami a służbą zamkową mieszczanie odgrażali się, szydząc, że mimo to wszystko, byle ich pan przyszedł, nie utrzyma się Gniewków ze swą załogą. Złymi oczami spoglądano, gdy Gerard z innych zamków począł sprowadzać do Gniewkowa przybory wszelkie, których tu brakło.

Jakimi siłami naówczas napadano i broniono się, można mieć z tego wyobrażenie, iż nie licząc czeladzi, pachołków i gawiedzi licho zbrojnej, która nie na wiele się przydać mogła, Gniewków miał dwudziestu dwu dobrze zbrojnych ludzi, a doliczając do nich dowódcę, jego brata i dwu synów, było ich razem dwudziestu sześciu. Z tą siłą mieli pewność, iż, nie zajdźieli zdrada jaka, obronić się potrafią.

Wprawdzie Sasi Ulrykowi i kupa licho zbrojna Białego znacznie była liczniejszą, lecz nigdy tylu do obrony nie potrzeba, co do napaści. Gerard ze Słoniowa nie spodziewał się w najgorszym razie, ażeby książę mógł zebrać wielkie wojsko. Wiadomo było, z czego się ono składało, a pomocy Ulryka się nie domyślano, choć wiedziano, że książę od dawna w Drzdenku bawił.

Nim nadciągnęli Sasi, Gerard miał już pewne posłuchy, że się coś nań zbierać może. Zwołał

starszyzną miejską i po żołniersku się z nią obszedł, zapowiadając, że, uchowaj Boże, najmniejszego zdrady poszlaku, wieszac każe i ścinać bez sądu. Gniewkowskich mieszczan więcej to podrażniło, niż nastraszyło. Wiedzieli już, że książę nadciągał, umyślili siedzieć cicho do jego przybycia, lecz

jednomyślnie postanowiono pomagać mu, gdy się tylko ukaże.

Biały rachował też na to. Wyprzedził on Sasów i choć niewielką miał gromadkę z sobą, wszedł z nią do miasteczka. Czekano nań, ruszyło się, co żyło, naprzeciw i co tylko drąg okuty, pałkę, topór dźwignąć mogło, ogromną kupą stanęło przy nim, okrzykując go.

Godzina była ranna, dzień skwarny; Gerard, choć czujnym był, nie spodziewał się napaści w tej porze. Natychmiast bramy zawarto, ludzi porozstawiano, wrzawa od miasteczka łatwo się było domyślać, co zwiastowała.

Obyczajem swym Biały ruszył naprzód, prowadząc za sobą owo pospolite ruszenie wprost do wrót, wywołując na rozmowę. Gerard wysłał mu tysiącznika prostego. Od księcia nakazywano poddać się pod karą główną i otwierać bramy. Tysiącznik odpowiedział z rozkazu tak nieprzyzwoitym ruchem, iż dalsze z nim układy stały się niepodobieństwem.

Nadciągnęli tymczasem Sasi z Ulrykiem, który nie bawiąc się w żadne gawędy, zaraz zamek objeżdżać zaczął i opatrywać, skąd by był najprzystępniejszy. Z miasteczka drabin, kozłów, rusztowania wszelkiego dostarczono obficie.

Chociaż księżę jeszcze się spodziewał, że dowódca zda mu gródek, widząc, że całe miasteczko z nim było, Ulryk, nie zwłócząc, wziął się do szturm. Sasi już przystawiali drabiny i mieli się drapać na ściany, gdy starszyzna miejska, przybiegłszy do księcia, poczęła wołać, iż nie potrzeba było darmo ludzi narażać. Ofiarowali się natychmiast ściągnąć tyle chrustu i drzewa, aby dokoła zamek otoczywszy, podpalić go.

Stary, złamany, o kiju ledwie się wlokący, sługa jeszcze dziadowski księżęcia podał tę myśl pierwszy, zaręczając, że glina ze ścian odleci, a drzewo się zajmie i załogę zmusi do poddania się.

Białemu żal było trochę zamku, zawahał się, wołał go posiąść innym sposobem. Ulryk zaś podpalenie pochwalał i namawiał na nie.

— Nie ma tu czego żałować — wołał. — Zamek się odbuduje, a ludzi nadto nie mamy i widzi mi się, że niełatwo ich ściągniemy, bo... — uderzył, śmiejąc się, po przywieszonej do pasa tobołce, w której mało co pobrzękiwało, i nie dokończył.

Księżę, wahając się jeszcze, kazał jednemu ze swoich zagrozić oblężonym, że im ogień podłożą, ale groźba ta nie poskutkowałą.

Tymczasem mieszczanie gniewkowscy, nie pytając już, poczęli drzewo, chrust, susz i co tylko palnego mieli pod wyschłe od skwarów ściany przyciągać i gromadzić. Szło to z

nadzwyczajnym pośpiechem, a stary, który doradził ten sposób okrutny, przestrzegając też, aby nie podpalano póty, dopóki by jak największa ilość drzewa nie była dokoła zwiedziona. Ludzie miejscowi wiedzieli dobrze, gdzie ściany były najsłabsze, spróchniałe, stare, i tam właśnie stosy największe podkładali. Chociaż szło to bardzo żywo, z ochotą wielką, jednakże nim dokoła obwodu narzucono suszy dosyć, wieczór nadszedł.

Sasy i ciury książęce obozowali odpoczywając dokoła książę i Ulryk w domu sołtysa

znaleźli wygodną gospodę. Mrok już padał, gdy dano znać, że podpalać czas, aby wojsko było w pogotowiu.

Z uporu Gerarda, którego dobrze znał Ulryk wnosił, że gotów rozpaczliwą uczynić na nich wycieczkę.

Biały, gdy przyszła chwila stanowcza, stał się ponurym i milczącym. Ogień podkładać pod własne gniazdo swoje zdawało mu się świętokradztwem, lecz uległ namowom, lękając się szyderstw Ulryka.

Wieczór był pogodny i cichy, głucho milczenie na zamku panowało, gawiedź miejska, jak każda jej podobna, radująca się szkodzi i złemu, zaczęła biec, niosąc pozapalane główne i drzazgi smolne. Dokoła migwały te rozsypane ogniki, a wkrótce gęste kłęby dymu poczęły się podnosić u ścian i długo wiły się, okrywając je, nim błysnęły jasne płomienie i lizać zaczęły czerwonymi języki osmolone grody ściany.

Widok był straszny nawet dla tych, co ze śmiechem złym biegli nań patrzeć. Pożar, w

początkach częściowy, zaczynał się zlewać w jeden wielki wał płomieni i dymu. Stosy drzewa, objęte ogniem, coraz wyżej rzucały iskrami i pasami ognia, który wzbijał się ponad ściany i żarł już przyparte do nich z drugiej strony chodniki, rusztowania, budy i wieże.

Miejscami, jak przepowiadał stary, osypywała się przepalona glina, stare drzewo

spróchniałe zaczynało się żarzyć krwawo. Cały zamek, którego budowli rozeznac już nie było można, stał jako jeden stos ogromny, objęty rzeką płomieni. Nie ulegało wątpliwości, iż nie tylko zewnętrzne ściany padną ofiarą, ale i wszystek gród spłonie, a mężni jego obrońcy zginą w tym ogniu.

Białemu ścisnęło się serce i gniewem wielkim poruszył się przeciwko Gerardowi, który

gniazdo jego rodzinne na to zgłiszczce zamieniał.

Ulryk znajdował środek wyśmienitym, przyklaskiwał i stanął tylko z Sasami naprzeciwko wrót, jeżeliby załoga ratować się chciała, nie wypuścić jej wolno.

W początkach, co było ludzi wewnątrz zamku, leli wodę, starając się gasić stos zażegniony, lecz usiłowanie to było próżne. Przytłumiony nieco z jednej strony, pożar wzmagął się gdzie indziej.



Czas jakiś trwał ogień, a z zamku znaku życia nie dawano. Niecierpliwili się książę, Ulryk dziwił, Sasi podbiegali pod wrota, które płomienie obejmowały.

Na ostatek krzyk i trąbienie dało się słyszeć znad brony i Biały poskoczył tu temu miejscu, skąd one wychodziły. Zza dymu ukazała się postać starego Gerarda, który zieloną gałąź trzymał w ręku. Dla trzasku palących się bierwion i szumu płomieni nie można było usłyszeć, co mówiono.

Biały, któremu szło o ocalenie gniazda, rozkazał mieszczanom gasić ogień. Dał znak, aby wrota otwarto, ażeby ludzie w niewolę się poddali.

Stary dowódca, gdyby był sam, nie uległby pewnie do ostatka i dałby się być z zec z zamkiem razem, lecz synowie na klęczkach go błagali, aby życie swe ocalił, a brat niemal zmusił do wywieszenia zielonej gałęzi.

W chwili, gdy już zdobycia był pewien, chmurny i gniewny książę całe swe zuchwalstwo i pewność siebie odzyskał. U wrót postawiono w dwa szeregi Sasów i ciurów. Podniosła się brona, odwały się płonące wrota i stary Gerard w całej zbroi wystąpił wiedziony przez dwóch synów. Za nim szedł brat, a tuż dwudziestu i dwu zbrojnych, czeladź i pacholki.

Gerard wziął zrazu stojącego na koniu Ulryka za księcia i ku niemu się zbliżył, gdy ten mu na Białego wskazał. Nawzajem, dla ujęcia przyszłego szwagra, odesłał książę do niego, a sam na kilka kroków odskoczył, wołając, aby ogień gaszono.

Ulryk po rycersku chciał się obejść z jeńcami i byłby ich przez cześć dla męstwa uwolnił, gdyby Biały nie podesłał doń z żądaniem, aby wszyscy uwięzieni zostali dla okupu.

Mieszczanie, którym teraz równie o ocalenie dla ich księcia gródka ojczystego chodziło, jak wprzódy szło o podpalenie dla zdobycia, rzucili się gasić i rozrywać ogień, lać wodę, zarzucać go ziemią.

Po zgliszczach płonących jeszcze, z głową spuszczoną, wjechał Biały na gród swój, ma

którego dachach gdzieniegdzie gonty i dranice gaszono. Smutny to był widok. Gerard, do ostatka nie rozpaczając, w pośrodek przestronnych podwórzy zgromadził był konie, rynsztunek, zapasy, wszystko, co wartość jaką miało. Kupami leżały tu sprzęt, broń, odzież, skrzynie, wory, a wpośród nich przerażone ogniem rwały się rozhukane konie. We dworcu pootwierane okna i drzwi, poodrywane okiennice, jakby po rabunku i spustoszeniu, ogołoconym go czyniły i smutnym.

Książę stanął i ze zgrozy jakiejś a smutku wpadł w niezmierny i niepohamowany gniew,

którego nie miał na kim wyrzucić; padłby był ofiarą jego Gerard, gdyby nie ta myśl, iż za niego okup znaczny uzyskać może, a zyskanie grosza było dlań pierwszą potrzebą.

Spiesznie tłumiono ogień i ku północy dymiły tylko pozalewane węgle, a w środku ziarnku Sasi i ciury wesoło obchodzili zwycięstwo, do którego mało się przyczynili.

Biały siedział podparty za stołem, który dlań przyniesiono, i razem z Ulrykiem dopijał

wydobytego kędyś ze schówki tajemnej miodu. Misa strawy, którą przyniesiono z miasteczka, stała pomiędzy nimi. Milczeli dbaj.

Ulryk, dla którego pono ciekawą zagadką był ten człowiek, któremu pomagał uproszony

przez siostrę, badał twarz księcia, mieniając się najrozmaitszymi wrażeniami myśli, które po nim przechodziły. Można było w istocie śledzić te fale zwątpienia i zapału, dumy i obawy, które uderzały w piersi księcia i wiły się po głowie jego.

— No cóż dalej? — zapytał wesoło, z obojętnością prawdziwie rycerską, Ulryk. — Co dalej zamýślacie?

Biały zaciął usta, dumął, spojrział, Ulryk na myśl mu przywiódł siostrę swą Frydę, a ona była najsilniejszym bodźcem do czynu.

— Co dalej — powtórzył książę — to samo z siebie się rozumie. Wprawdzie nie powiodło

się nam w Raciążu, lecz powetowaliśmy to na Gniewkowie, mamy dwa zamki. Na tym poprzestać nie myślę.

Spojrział w oczy Ulrykowi.

— Chcę się nieco obwarować tu, aby mi lada kto Gniewkowa nie odebrał, którego zresztą mieszczanie strzec i bronić pomogą, trzeba wzmocnić Złotoryję, a potem...

— A potem? — spytał ciekawie Ulryk.

— Potem — pójdę na Szarlej, a może na Inowrocław... — odparł Biały z dumą i pewnością siebie.

— Nim to nastąpi — odezwał się Ulryk — ja z moimi Sasami muszę do Drzdenka. Spocząc

trochę im dać trzeba i koniom, a kto wie, może się przyjdzie bronić w domu, bo mnie gotowi karać za to, żem wam pomagał.

— Nie będą śmieli — żywo począł Biały, który sam się potrzebował ludzi. — Widzicie

sami, że mi ludu co chwila przyrasta. Jak tylko pójdzie wieść, żem Gniewków wziął, że Krystyn i Gerard w moich rękach, popłoch padnie na nich. Nie będą śmieli.

— Lecz, choćby nie dla obrony Drzdenka, a dla spoczynku potrzebuję do domu — dodał

Ulryk, wstając. — Może też, gdy wam napłynie ludzi, a gniewkowscy z wami pójdą, mnie nie będziecie potrzebowali.

Biały, któremu się zdawało, że w istocie obejdzie się bez pomocy Ulryka, o którego był

nico zazdrosnym, aby jemu i Sasom zwycięstw nie przypisywano, nie rzekł nic. I tak nad rankiem obdarzeni Sasi, obdarowany z łupu Ulryk, wyciągnął nazad do Drzdenka.

Szczęściem dla Białego wieść o jego napaści na Złotoryję, o zdobyciu, rozeszła się już była i Lasota we Wielkiej Wsi, dowiedziawszy się o tym, po krótkiej naradzie z Derśławem ruszył na powrót do Białego. Wysłano go może więcej na zwiady niż w pomoc dla niego, ale Lasocie dokuczyła bezczynność, rad był cokolwiek bądź przedsiębrać, byle darmo nie jeść chleba u starego.

Biały rozmyślał właśnie nazajutrz rankiem, kogo przy sobie ręką prawą uczyni, której czuł

wielce niedostatek, gdy ujrzał w progu Lasotę. Powitał go z wielką i może aż nadto wyrazistą radością. Brzemię mu z ramion spadało, miał na kogo je zrzucić.

— Lasota! — zawołał podchodząc. — Przybyłeś mi w porą. Mam ludzi dość, ale mi

dowódców braknie. Bóg ci zapłaci, żeś o mnie pamiętał, a ja starać się będę odwdzięczyć. Co słychać w Wielkiej Polsce?

— Cicho i pusto — odparł Lasota. — Co było ruchawszego, pojechało do Koszyc walczyć z królem Ludwikiem językami, nie mogąc kordem. Póki nie powrócą na Wielkopolskę, nie ma co liczyć, musimy sobie tu na Kujawach sami radę dawać.

Książę spojrział nań.

— Jak? — zapytał.

— Prosta rzecz — zawołał Lasota — co tylko jest ludzi, którzy mogą udźwignąć miecz, dosiąść kania, musi iść z nami. Gniewkowscy księciu sprzyjają, niechże idą!

— Muszą iść! Pójdą! — odparł ożywiony już książę. Zadumał się chwilę i postąpił ku Lasocie.

— Baję ci moc — rzekł — co uczynisz, wiem, że dobrym będzie, rozkazuj w moim imieniu!

Lasocie dwa razy mówić tego nie było potrzeba, skłonił się z lekka i zawrócił, oczy mu się zaiskrzyły.

"Jeżeli mi nie będzie psuł, co ja pocznę, nawarzym piwa królowi Ludwikowi, które mu nie bardzo będzie smakować."

Biały uspokoił się zupełnie, wiedział, że na Lasocie mógł polegać.

Rozpoczął sam na starym swym zamczysku gospodarzyć, rozkładając się i usiłując je do

dawnego przyprowadzić stanu. Jednym z najbardziej dolegliwych braków, który mu się mocno czuć dawał, było osierocenie po Buśku.

Błazna tego, do którego mógł mówić, co mu na myśl przyszło:, który mu bez ogródki i strachu odpowiadał i często myśl jego naprostował, nie dostawało, tęsknił za nim.

Jednym też z pierwszych rozporządzeń książęcych było wysłanie po niego. Niecierpliwie wyglądał przybycia. Buśko, który również był do swojego pana stęskniony, dał się wziąć i choć nie lubił na koniu kłusować, przybył dosyć prędko.

Zobaczywszy go książę, śmiejąc się, wyszedł aż do przedsieni, poklepał go po głowie i wprowadził z sobą do izb. Do nikogo tak mówić nie umiał szczerze, otwarcie, co ślina do ust niosła, jak do starego swego bazarza i trefnisia.

— Patrz, co oni mi z Gniewkowa zrobili! — zawołał. — Szczęście, że nie spalili jeszcze.

Buśko obchodził kąty, wachał i znajdował, że spaleniznę jeszcze słyszać było. Oba [razem powlekli się po zakamarkach, mruczając, rozglądając się, przypominając, jak to dawniej bywało.

Zyskał na tym Lasota, któremu zostawiono zupełną swobodę rozporządzania się około

wojska przyszłego. Gniewkowscy mieszczenie, lud ze wsi i osad okolicznych, przywiązany do dawnych książąt, a obawiający się zemsty Sędziwoja, gromadnie się zaciągał pod chorągiew Białego. Zbiegały się też owe włóczęgi i ludzie bez chleba a zajęcia, zasłyszawszy, iż się księciu wiodło. Jednych wypędzano z chat gwałtem, drugich ujmowano obietnicami, inni się garnęli, nie mając nic lepszego do robienia.

Co wieczór mógł Lasota uwiadomić księcia, iż mu rosły jego siły. Oręż chwytno, jaki tylko dał się zdobyć, a często teki, co imienia tego wart nie był. Szło więcej o lik ludzi niż o uzbrojenie.

Zdawało się w istocie szczęście uśmiechać wygnańcowi.

Sędziwój z Szubina nie miał dosyć rycerstwa pod ręką, aby natychmiast przeciwko niemu wystąpić, a zyskany czas wzmagał odwagę i (istotne siły księcia. On sam już się nie chwiał w postanowieniach, był pewien, że cel osiągnie. Dana mu przez Frydę nauka, którą ona przez posłów jeszcze kilkakrotnie mu powtórzyła, alby był surowym i nieubłaganym, utkwiała w głowie i w sercu księcia.

Powtarzał ją sobie, przejmował się nią, poprzysięgał nie zmięknąć i nie pofolgować nikomu, pilno było tylko co najrychlej czynem jakim okrutnym a głośnym przekonać Frydę, iż miał w sobie ten przymiot tak zdobywcom potrzebny. Lasota, który tu wszystkim rozporządzał teraz, musiał go powstrzymywać od porywów niebaczących, które by były ochotników zraziły.

W Gniewkowie, pomimo że się krzątano około naprawy zamku, Biały postrzegł, że mu

mniej było bezpiecznie niż w Złotoryi. Czekał tylko na przyobiecane posiłki Sasów Ulryką, aby z nimi udać się tam, gdzie postanowił główną swą umieścić stolicę.

Lecz o Ulryku jakoś słychać nie było. Pomimo nalegań i próśb siostry, nie chciał on narażać siebie, Drzdenka i przyszłości dla człowieka, który coraz mniej obudzał w nim zaufania. Uległby był może i wielkiej zawsze ochocie do awanturnicznych wypraw, i temu błaganiu Frydy, za którą ojciec się > też wstawiał, gdyby Dobrogost i Arnold bracia jego nie nadbiegli. Oba oni sprzyjali Białemu, lecz doszły ich wieści o odgrażaniu się Sędziwoja, o zewsząd ściąganych siłach przeciw niemu i jego pomocnikom. Od progu, wchodząc, Dobrogost krzyknął, zobaczywszy Ulryka:

— Ani się waż krokiem stąd! Musimy umyć ręce i więcej się do sprawy księcia nie mieszać, inaczej my wszyscy za niego pokutować będziemy!

Fryda stojąca we drzwiach z krzykiem się rzuciła przeciw braciom, ale jej mówić nie dali.

— Słuchaj, Frydo — odezwał się Dobrogost — ojca i nas trzech na zgubę narażać nie

możesz dla twojego mnicha-kochanka. Całą siłą ciągną na niego i zgniotą go, a nas razem z nim.

Przerwał Arnold, opisując przygotowania i donosząc, że z Sieradzia Jaśko Kmita ciągnie w pomoc Sędziwojowi z Szubina i że Biały, pomimo największych wysiłków, utrzymać się nie potrafi.

Fryda ściągnęła brwi, spojrzała na Ulryka, który siedział milczący, na ojca, który się już nie śmiał odzywać.

— Opuszczacie więc go? — zapytała głosem, w którym drgał gniew i męstwo razem.

— Musimy — rzekł Dobrogost zimno.

— Toście podli! — krzyknęła Fryda, rzucając wejrzenie groźne.

Na tą obelgę z ust kobiecych bracia nie odpowiedzieli. Fryda popatrzała znowu ona

milczącego ojca, jakby się od niego czegoś spodziewała, postąpiła chwilę i krokiem powolnym cofnęła się z izby.

Po wyjściu jej Ulryk poruszony chciał wziąć jej i Białego stronę, zakrzyczano go.

Dobrogost rzekł stanowczo:

— Nie puszcę cię, choćbym się bić miał z tobą, a jużci braterskiej krwi dla tego warchoła, który źle skończy, lać nie warto. Fryda wypłacze się i ukoi.

Nadeszła chwila wieczery, ale Fryda się nie ukazała, Ulryk szedł po nią, nie zastał jej w izbie, w której skrzynie pootwierane, suknie rozrzucone i nieład znalazł jakby pospiesznego z domu wyboru. Frydy na zamku nie było.

V

Od przybycia do Złotoryi Białego Księcia, który w Gniewkowie małą zostawiwszy załogą, sam z

głównym taborem swym przeniósł się do mocniejszego grodu, niezmierny ruch i czynność tu panowała. Przypisać je należało nie tyle Białemu, co tajemniczemu jakiemuś wpływowi, który go teraz innym czynił człowiekiem.

Lasota, będący prawą ręką jego, przypisywał zmianę szczęściu, Buško, słysząc o tym, uśmiechał się, a zapytany usta sobie zatulał.

Nikt prawie wśród nieustannego przyływu i odpływu ludzi rycerskich, którzy do Białego przyjeżdżali i wyprawiani byli w różne strony, nie spostrzegł jednego wieczora ze spuszczoną przyłbicą, w zbroi lekkiej nadbiegającego rycerza, z dwoma pachołkami, który do księcia samego żądał być dopuszczonym, wszedł na zamek i więcej go już nie postrzeżono. Znikł, jak gdyby potajemnie go wypuszczono. Buško jeden coś o tym wiedział. Dwie komnaty odległe stały teraz zaparte, tak że do nich nikt oprócz księcia i Buška wchodzić nie miał prawa.

Biały zamykał się bardzo często, a gdy coś stanowczego potrzebował obmyśleć, szedł tam rozważać, odosabniał się i po jakimś czasie powracał z energią nową i zawsze z postanowieniem, jakiego się po nim nikt nie spodziewał. Można było powiedzieć, że w tym zamknięciu czerpał

natchnienia jakieś i zdobywał się na męstwo, które go nie opuszczało.

Szeptali niektórzy, że się modlić chyba musi, Buško ruszał ramionami On wiedział, co się w tych zapartych izbach mieściło i gdzie podział się ów zagadkowy rycerz, który na zamek przybywszy, znikł w nim, nie okazując się więcej.

Szło też Białemu na Złotoryi szczęśliwiej niż kiedy. Ludzie kupami garnęli się i ściągani byli przez gniewkowskich przyjaciół. Ostre więzienie Krystyna i zamknięcie Gerarda ze Słomowa, których głodem morzono, nie szcędząc ni kajdan, ni cuchnących ciemnic, wygłaszane umyślnie, zmusiło Sędziwoja na prośby siostry do wykupienia nieszczęśliwego opoja, ale Sędziwój sam grosza dać nie chciał i nie dał, gniew mając do szwagra; dozwolił tylko powinowatym i przyjaciołom złożyć sześćset kóp groszy, od których Biały wypuścić taniej go nie chciał. Za Gerarda z bratem i synami nie mniej nad tysiąc żądał Biały i pozostał przy swoim pomimo błagania i wstawiania się wielu.

Te tysiąc kilkaset grzywien skarb zupełnie wycieńczony zasiliły. Część ich rozdzielono pomiędzy nowo zaciężnych, część użyto dla ściągania innych, zadatkami i obietnicami ich kusząc.

Z groszem, który się tu ukazał, gorliwość ochotników wzmożła się wielce. Lasota

porozdzielał ich na dziesiątki, na seciny, powyznaczał dowódców, i gdy jedna część ich na zamku spoczywała, druga krążyła ciągle około niego, snuła się po gościńcach, wprost po okolicy rozbijała i zabierała co mogła, do Złotoryi ściągając. Żaden dwór i wieś nie utrzymały się nie tknięte przez nich.

Szerzył się strach, wszystkie sąsiednie grodki, na które obawiano się napaści, co prędzej opatrywano i załogami obsadzano. Biały przebąkiwał o najeździe na Służewo, na Szarlej, na Inowrocław, na wszystkie niemal gródki bliższe, w których się spodziewał zdobyczy. Nie spieszył

jednak z wyruszeniem ze Złotoryi, którą naprzód, już z siebie mocną i murami warowną, jak

najpilniej na długi czas w żywność i środki obrony chciano zaopatrzyć.

Nowy duch jakiś wstąpił w księcia, czuli to wszyscy, nagłe te zniechęcenia, zmiany usposobień, zubożenie, na które dawniej chorował, ustały. Był dobrej myśli i w drugich wlewał otuchę. Nie mówił już o żadnych układach, nie przewidywał nic złego, gotów się był kusić na najśmielsze kroki i sam nawet brać w nich udział.

Tajemnicą tego zwrotu w charakterze było przybycie Frydy, która nie mogąc nakłonić braci, aby mu pomagali, wiedząc, że księżę sam wytrwać nie potrafi bez nieustannego podżegania, poświęciła się dla niego, wykradła się do Złotoryi i pozostała w niej, czuwając nad Białym, będąc jego doradcą i nadzorczą. Jej winien on był to męstwo i wytrwałość, które okazywał.

Z izdebki, w której była zamknięta mężna i czynna kobieta, rządziła nie tylko Złotoryją, ale kierowała wszystkimi krokami przyszłego męża. Ukryta, aby nie jej, ale jemu przypisywano wszystko, cicho poddawała mu myśli, kazała sobie donosić szczegół najmnieszy i z trafnością zdumiewającą korzystała ze wszystkiego, cokolwiek dało się zużytkować. Córka ojca, który niegdyś rycersko służył, siostra trzech wojaków, wychowana wśród ciągłych zajęć wojennych, obeznana z nimi, lepszym była wodzem niż Biały, który nigdy rycerskiego ducha nie miał, a resztę rzeczy rycerskich w klasztorze zapomniał i pozbył ich.

Baczny postrzegacz byłby może zrozumiał, z postępowania księcia wnosząc, że ktoś stał poza nim, że mu dyktowano to, co czynił, i kierowano nim, ale w gorączce, jaka tam panowała na zamku, nie tak bardzo na drobne odcienia zważano. Lasota zaczynał i wierzyć w księcia, i więcej mu ufać — inni też, patrząc nań, mężnieli, tylko gruby Buśko, gdy o tym mówiono, milczał głupkowato.

Fryda była jakby w gorączce nieustającej, przebrana po męsku wyrywała się wieczorami na zamek, opatrując wszystko, domagała się ciągłych doniesień, liku ludzi; w jej głowie niespokojnej legły się ciągle jakieś wymysły nowe.

W czasie gdy Złotoryję opanowano, razem z załogą i ludźmi do niej należącymi schwycono człowieka, którego Biały nie umiał zużytkować. Był to niejaki Hanko, zamożny właściciel młynów brzeskich, słynny w owe czasy z umiejętności budowania wszystkiego, co wymagało pewnej umiejętności i znanstwa mechaniki.

Młyny wodne od dawna już naówczas były znane i rozpowszechnione w Polsce; od pół wieku wznosiły się już w wielu miejscach i wiatraki. Budowa tych przyrządów prostą była cna pewno i bardzo pierwotną, potrzebowała jednak znajomości rzeczy i wprawy.

Hanko uczył się owego młynarstwa w Niemczech, budował potem w Polsce dla drugich wiatraki i rzeczne młyny, folusze i stępy, na ostatek, zubożony swym kunsztem, otrzymał

pozwolenie i wzniosł dla siebie słynne młyny brzeskie, z których wielkie ciągnął korzyści. Oprócz tego, gdzie tylko sztuki pewnej potrzeba było, używano Hanka do kierownictwa i porady. Niejeden raz już dawano mu na wzór tych, których używali Krzyżacy, budować maszyny wojenne, umiał też i statki po rzekach krążące bardzo misternie i pięknie odrabiać.

Powszechnie też uważano go, szanowano, a trocha nauki, jaką miał, kazała się domyślać daleko więcej może, niż było. Głos ogólny powiadał, że Hanko potrafi wszystko, co zechce, że zna bardzo wiele. Stary się tego nie wypierał, bo mu z tym dobrze było.

On i zięć jego Frydrusz, któremu naukę swoją Hanko wszczepił, znajdowali się na zamku, gdy go Biały opanował. Naówczas mnodzy przyjaciele młynarza, korzystając z zamętu, wyrobili to, że go na słowo do Brześcia odpuszczono wraz z zięciem. Rzecz się zdawała skończona; Biały o nim zapomniał.

Przybycie Frydy, która się gorąco obroną Złotoryi zajęła i chciała, aby na rzece statki ku obronie przygotować, a na zamku wojenne maszyny na wypadek oblężenia, poddała komuś myśl o Hance i imię jego księciu przypomniano. Fryda natychmiast sprowadzić go kazała.

Wyprawiono oddział ludzi, aby go po woli lub niewoli na zamek dostawili. Młynarz, choć nie miał wcale ochoty mieszać się do spraw Białego, aby potem nie odpowiadał za niego, nie mógł

się opierać i z pokorą, niby z dobrej woli, pojechał, zięcia z sobą zabierając.

Stary młynarz nienawidził wojny, niepokoju i wszystkich tych, którzy byli jej przyczyną, nie cierpiał księcia i burzył się przeciwko niemu, przewidując, ile on klęsk na Kujawy z sobą ściągnie. Udał jednak uniżoność, pokorę, najgorliwszą chęć służenia, chociaż wściekał się w duszy.

Nakazano mu wnet z ludźmi się zabierać do roboty, a przede wszystkim do statków, z

którymi wyprawy po rzekach przedsiębrać miano. Myśl się zdawała wyborna.

Oddział żołnierzy, który prowadził Hanke, miał za dowódcę niejakiego Bylicę, drugi już raz będącego w służbach księcia. Osławiony to był zbój i warchoł, który z kupką ludzi, tak zuchwałych jak on sam, od dawna ponad granicą dokazywał. Na rękę mu było, służąc księciu, łatwiej się obłowić i przyjść może do dowództwa.

Bylica miał lat czterdzieści kilka; średniego wzrostu, krępy, gruby, silny jak żubr, karku twardego, ręki jak topór strasznej, był przy tym przebiegłości wielkiej. Polowania na kupców i przejezdnych po gościńcach wyuczyły go lisich zasadzek, podkradania się, podsłuchów. Podsuwać się umiał, pełznąć po cichu, a spadać jak piorun. Ludzi swych, gdy się bić mieli, podpajał chętnie, ale sam tak jak nic nie pił. Chciwy był na grosz, a łasy na białogłowy, a że od dzieciństwa włóczył

się z mieczykiem, potrzebował już do życia przyprawy niebezpieczeństwa i walki.

W brzeskich młynach zastawszy ludzi, bo zawóz był wielki, Bylica przysłuchiwał się ich rozmowom. Tu mu w ucho wpadło, że z Sieradzia ciągnie w pomoc Sędziwojowi Jaśko Kmita i że już nawet przodem wyprawił swoje wozy, namioty, ludzi, skrzynie, bo pan był zamożny. Od niechcienia zaraz



wybadał Bylica, kędy mogły się znajdować te tabory Kmity i jaką one drogą prawdopodobnie iść miały, a kiedy się do Kujaw zbliżą. Lud, skłonny zawsze do opowiadania, szeroko o tym rozprawiając, dał Bylicy skazówki. Nie pokazywał on tego po sobie, jak by mu one na co przydać się miały, lecz w duchu pomyślał, że Hankę zaprowadziwszy do Złotoryi, musi na obóz Kmity uczynić zasadzkę.

Bylica byłby ją, nie mówiąc nic nikomu, sam przedsięwziął, aby nie mieć świadków i liczby nie zdawać, lecz swoich ludzi miał za mało, a porwać się na próżno nie było w jego obyczaju.

Dzielić się, choćby sławą tą, że tabory starościńskie pochwycił, nie po myśli mu było. Jak tylko stanął na zamku, poszedł do Lasoty. Wydać mu, o co szło, nie chciał, bo ani dowództwa, ani pokierowania zasadzką nie rad był mu ustąpić.

— Potrzeba — rzekł, przystępując do niego — dobrym oddziałem puścić się na zwiady. W

Brześciu na młynach ludzie powiadali, że się tu gromady przeciw nam zbierają. Rozbić by je a przepłoszyć. U mnie moich trochę za mało, dajcie mi w pomoc ludzi, pojedę, może się co da chwycić lub rozbić.

Lasota znający sprawność warchoła zgodził się natychmiast.

Bylica, ledwie koniom wychnąwszy, nie czekając drugiego dnia, zaraz z zamku wyciągnął.

Miał już w głowie wszystko obrachowane — miejsce, w którym zaskoczyć będzie najłatwiej tabor, czas i sposób. Nie zwierzając się nikomu, pospieszył.

Wozy Jaśka Kmity, na których dużo nie tylko zbroi, ale srebra było i złota, pieniędzy dla opłaty ludziom, różnych kosztowności własnych starosty, szły pod osłoną małego oddziału, powolnie a tak bezpiecznie, jakby żadnego się nie obawiały nieprzyjaciela.

Gościńiec, którym ciągnęły, był znany Bylicy, bo on na nim niejednego już złupił. W

głuchym lesie musiał nad łąką i rzeczulką przypaść nocleg albo popas. Tu na dwa oddziały ludzi swych rozpołowiwszy, w gąszczach zasiadł Bylica. Nieszczęście chciało, by istotnie tabor na noc tu przyciągnął.

Stary zbój dał mu się rozłożyć, konie popuszczać, ognie rozpalić, a potem prawie bez straży usnąć. Po podróży i wieczery sen zawsze twardy bywa... Ludzie Bylicy otoczyli tabor, objęli namioty, a ci, co w nich byli, nie obudzili się, aż im na karki siedli. Zwycięstwo łatwym było. Ci, których nie ubito, rozpierzchli się po lasach, a Bylica opanował całe mienie wojska Jaśka Kmity i jego.

W Złotoryi nie domyślano się i nie przeczuwano szczęścia tak wielkiego, gdy Fryda

wieczorem, z Białym razem wyszedłszy na jedną z baszt, postrzegła na gościńcu ku zamkowi ciągnący długi sznur wozów, koni i ludzi.

Wskazała go księciu.

— Co to może być? — rzekła.

— Albo siano, lub zboże do zamku ciągną, bom kazał, aby zapasy gromadzić — odparł

Biały obojętnie.

Bodczanka, milcząc, przyglądała się zbliżającemu orszakowi. Rozeznac w nim było można ludzi zbrojnych, wozy skórąmi pookrywane, wreszcie jeńców przy nich idących z rękami w tył pokrępowanymi. Fryda zapłonęła przecuciem jakiegoś wypadku szczęśliwego i zdobyczy.

— Ale patrzcie! — krzyknęła. — Prowadzą niewolnika, jedzie dowódca na przedzie!

Biały wpatrzył się, zdziwił mocno i począł z baszty zbiegać niecierpliwym. Fryda nie zwykła była z nim razem ukazywać się w podwórcach, pozostała więc, wróciła do swej izby i czekała.

Wkrótce ogromnym krzykiem rozległ się zamek. Nie było wątpliwości, iż łupy i jeńcy jacyś przybywali. Nie mogąc wytrzymać, wybiegła do podsieni i tu jej, cały w płomieniach, uniesiony, szczęśliwy, ksiązę zwiastował, że Bylica zabrał niezmierne dostatki, cały obóz i skarb Jaśka Kmity.

Nie znający miary w niczym ksiązę prawił już o mianowaniu Bylicy wodzem naczelnym,

swą prawicą, swym hetmanem. Fryda, która o wszystkich ludziach służących Białemu wiedziała dobrze i umiała ich ocenić, ledwie zapalczywego mogła powstrzymać.

Zwycięstwo to, które zasililo skarbiec księcia, było nie tylko pożądanym dlań, bo jego gromadom nowe natchnęło męstwo, lecz w istocie przeciwników na chwilę strwożyło. Sędziwój, któremu znać o nim dano, Jaśko Kmity też ciągnący z oddziałem Sieradzian, uznali po raz pierwszy, iż Białego lekceważyć nie było można. Zdał się im groźnym, tym, czym był w istocie, że gromadził do siebie wszystkich niechętnych, wszystkich rozproszonych warcholów.

Należało co najrychlej z nim kończyć.

Narazić się wszakże na drugą klęskę groziło niebezpieczeństwem. Sędziwój z Szubina

zgromadził około siebie wszystkich na radę. Polecono zamki i gródki osadzać, ściągać ludzi, skąd tylko było można.

Urósł Biały Ksiązę.

Sam on byłby nawet poczuł to, że był silniejszym i że powinien był korzystać z czasu, lecz Fryda wzmogła to jego przekonanie, zagrzewając i nie dając mu spoczynku. Dnie całe teraz upływały na naradach wojennych, na planach coraz śmielszych.

Lasota radził najechać na zamek z wieżycą w lasach u Służewa, bo mu się zdawało, że

Jarosław, który tam władał, osadę miał szczupłą i nie spodziewał się pewnie najazdu.

Posłano na zwiady Bylicę, którego teraz używano do wszystkiego, lecz wrócił ze złą

wiadomością, bo Jarosław się uląkł był, a Sędziwój mu ludzi podesłał. W innych gródkach także załogi powiększono.

Biały, który teraz o niczym już nie wątpił, upierał się iść na Inowrocław. Była to własna myśl jego i do niej, jako do swej, uparcie się przywiązywał. Fryda, choć z obawą, nie chciała mu się sprzeciwić. Wstrzymano tylko wyjście pod pozorem ściągania większej liczby ochotnika.

Lasota, jak mógł, gawiedź, którą spędzano, po troszę wprawiał do rzemiosła jej obcego.

Parobcy byli pobrani od pługów, od trzody, z lasów, niewprawni do żadnego oręża, niewielce ochotni do wojowania. Lik się ich pomnażał, gąb było coraz więcej do żywienia, ale prawdziwego żołnierza mało.

Biały niecierpliwił się, a że już groziło w nim zniechęcenie, Fryda po upływie kilku

miesiący nie sprzeciwiała się wyprawie. Między innymi Bylica przepowiadał jej powodzenie. Nie spodziewano się ich pewnie pod Inowrocławiem, trzeba było iść i napaść nieopatrznych.

Dzień nareście został oznaczony. Książę, który się dotąd gorączkowo wrywał, gdy

nadeszła chwila stanowcza, począł chodzić chmurny i zamyślony, przed Frydą udawał wielce mężnego i niezachwianego, sam na sam z Bušką podpierał się na stole, oburącz brał głowę i sumował smutnie.

— Co ty myślisz, głupi Bušku? Jak się tobie zdaje? Weźmiemy my Inowrocław?

— A Waszej Miłości jak się widzi? — odparł bazarz. — Bo mnie coś w oczach ciemno.

— Otóż i mnie ciemno.

Buško wskazał na drzwi, za którymi była Fryda.

— A tam co mówią?

Biały potrząsnął głową, dał znak towarzyszowi, aby nie mówił głośno.

— Różnie — szepnął. — Ja, ja... — zająknął się i nie dokończył.

— Trzeba iść — dodał po chwili. — Wielki czas. Gdy my na nich nie wyjdziemy, oni

wystąpią przeciwko nam. Ten Jaśko Kmita, daj przepadł, powiadają, że sobie dobrał Bartosza z Więcburga.

Pokręcił głową i począł marzyć.

— Pobiwszy ich, wzięwszy Inowrocław, Szarlej, nie ma co odpoczywać, na Brześć

musimy. Co najmniej całe Kujawy... Dopiero się Wielkopoleanie opatrzą, bo oni czekają tylko, a na mnie się oglądają. Ja to wiem.

Buśko ręką machnął.

— Oni czekają — rzekł kwaśno — a my na nichże nie? Gdyby oni ruszyli...

— Ruszą się — zawołał książę — gdy im pokazem, iż wojować umiemy!

Wstał książę, nie postrzegłszy, że bazarz ramionami zzymnął, i poszedł do komnaty Frydy.

Buśko siadł na przypiecku i spuściwszy wyłysiała głowę, którą pokrył czapeczką czarną, pono jeszcze z Dyżonu wywiezioną, śpiewać począł bardzo po cichu:

*Wybiera się czajka za morze,*

*Ano coś lam przeszkadza niebożę.*

*Co podleci do góry, to padnie...*

*I na jutro znów podróż odkładnie.*

Biały stał w progu, patrząc długo na siedzącą w oknie Frydę, która z brwiami

namarszczonymi, smutna, oczyma kędyś uleciała z myślami, daleko za mury zamkowe. Czuła ona, że książę się zbliżał, i zdawała się nie chcieć spojrzeć ku niemu.

— Wiecie co — zawołała nagle — gdyby nie wstyd i nie to, że w Złotoryi też trzeba kogoś, co by czuwał, gdy wy wszyscy wyciągniecie, siadłabym na konia z wami!

Biały głową potrząsnął.

— Na to bym nie pozwolił — bąknął.

— Lękam się — rzekła powoli Bodczanka — lękam się... Książę nie dał jej mówić.

— Cóż to, w moje męstwo nie masz wiary?

— Owszem, gdy do walki przyjdzie, nie wątpię o nim, ale być panem siebie, wiedzieć, kiedy przyjąć walkę i strzymać się od niej, gdy źle wypaść może...

— Tak, gorączka boju mnie opanowuje łatwo — przerwał książę — będę się ją starał hamować.

— Potrzebna i ona jest — odparła Fryda — ale nade wszystko potrzebne ci to przekonanie, iż choćby się nie powiodło, ducha zachować i wytrwać powinienes.

Książę nie mógł nigdy znieść, gdy mu o niepowodzeniu mówiono, poruszył się zaraz.

— Nie może się mi nie powieść — odrzekł gwałtownie. — Na cóż czynić takie

przypuszczenia? Oni wielkich sił nie mają — a moi już się im dali we znaki. Bylicę znają! Pamięta go Kmita.

Rozśmiał się głośno; Frydę ta zarozumiałość trwożyła.

— Tak, mój książę — odezwała się. — Bylica jest zręczny napastnik, twoi ludzie są śmiałe łotry, ale nie żołnierze prawdziwi. Wolałabym dwudziestu Sasów mojego brata Ulryka niż ich całą secinę.

Dotknięty tym lekceważeniem swych ludzi Biały rzucił się niespokojny i prawie gniewny.

— Obejdę się bez Sasów waszych! — krzyknął. — Stoją w boju twardo, to prawda, ale

ciężcy są i obracać się nie umieją!

— A takich by ci właśnie było potrzeba, aby ustali tam, gdzie murem stać powinna. Twoi tego nie umieją.

Biały niecierpliwił się coraz mocniej.

— Tak! — zawołał. — Pierzchną może, aby powrócić i nieprzyjaciela napaść, ale to ciury wytrzymałe i szalone.

Fryda poruszyła z lekka ramionami. Z czoła jej zmarszczonego widać było, że o przyszłość narzeczonego niezupełnie spokojną była. Książę przeciwnie, śmiał się, mówił, roił i usiłował w sobie wiarę utrzymać, sztucznie pobudzoną. Najmniejsze sprzeciwianie się mogło nią zachwiać i obalić, nie pozwalał więc na nic nawet Frydzie.

Wybór za Wisłę był już przygotowany. Wszystkich niemal ludzi musiał zabrać z sobą, bo mu się zdawało, że ich miał zawsze za mało, choć tak bardzo ufał ich męstwu. Fryda pozostawała w Złotoryi pod opieką Buśka, który równie smutno jak ona na odjeżdżającego pana swego poglądał.

Mała garść załogi i robotnicy młynarza Hanki, którzy na brzegu łodzie ogromne budowali, stary cieśla i zięć jego na zamku też zostać mieli, którego dowódcą mianował Biały Drzazgę, zabierając z sobą Lasotę i Bylicę.

Nałęcz, który był w początku zdumiony wielką rzutkością i przytomnością księcia, obcując z nim codziennie, w różnych wypadkach patrząc nań z bliska, znacznie osłabł w swej wierze i zmienił przekonanie o charakterze jego. Służył mu z dawną gorliwością, robił, co mógł, lecz nie widział w nim człowieka, który by mógł się stać zdobywcą i bohaterem.

Teraźniejszej wyprawie nie sprzeciwiając się, Lasota prawie ją odradzał, a przynajmniej chciał uczynić ostrożną, nie radząc wszystkiego stawić na kość jedną. Natomiast Bylica, pochlebiając panu, zachęcał, podżegał i obiecywał wielkie podboje. Księżę skłonniejszy był do usłuchania go niż do dania ucha radom Lasoty. I wyprawa na Inowrocław ruszyła.

## VI

Sama jedna na zamku, Fryda nie mogła się ani spocząć, takie przecucia złowrogie ją dręczyły. Wyglądała oknem ku rzeczce, gdzie Hanko z cieślami koło statków i machin chodził, i ten jeden widok cokolwiek ją rozrywał.

Z dala, nie mogąc słyszeć rozmów tych ludzi, widziała ich tylko wejrzeniami bojaźliwymi razem i niechętnymi oglądających się ku zamkowi, szepczących coś z sobą, Hankę na tajnych z zięciem rozmowach i chodzącego niespokojnie.

Niewieściego serca przecuciem poczęła się obawiać tych ludzi, nieprzyjaciół w nich

czując. Jednakże przypisywała to temu smutkowi swemu i niepokojowi, który ją ogarnął, a swą barwą wszystko pociągał.

Żyjąc od kilku miesięcy z tym, który niegdyś przed laty takim się jej pięknym wydał,

szlachetnym, pełnym uroku, bo wówczas bolał po stracie żony, Fryda nie mogła się oprzeć rozczarowaniu. Chciała jeszcze mieć wiarę w niego, przyoblekała go w to wszystko, czego mu brakło, lecz co dzień nędzniejszym, słabszym, prawie pogardy godniejszym się jej pokazywał.

Cierpiała okrutnie.

Niechby był choć dla ludzi, choć dla świata takim, jakim go ona mieć chciała dla siebie! I to było niepodobieństwem. Widziała z oburzeniem, że Buśko, kochając go, litował się nad nim, a w niego i w charakter męża nie wierzył.

Uczyła go mówić, obchodzić się z ludźmi, co dzień powtarzała, co powinien był poczynać, jak się stawić; księżę słuchał jej wprawdzie, lecz nie dobyło to z niego iskry życia.

Siadał lub kładł się z rękami założonymi pod głowę, kazał śpiewać sobie, bając, bawił się żartami płochymi, prawił o niemożliwej przyszłości, o skarbach, o królestwach, o wielkości, a nie umiał nic zrobić, aby te sny urzeczywistnić. Nieustannie podbudzany rzucał się gwałtownie i opadał

na siłach.

Z myślami tymi o człowieku, dla którego miłość dawna jej stygła, chodziła Fryda po pustym zamku. Przyszłość jej wydawała się straszną, bo na nim polegać nie mogła. Mówiła sobie ze łzami na oczach: — „Pójdę do klasztoru, zamknę się gdzieś w murach i umrę”...

Po wyjściu znaczniejszej załogi i ciurów, którzy zamek przepełniali, zrobiło się pusto, cicho, grobowo. Z dala dochodziło tylko powolne u brzegu rzeki ciosanie robotników Hanki i niekiedy ich

głosy.

Drzazga, czując się na zamku, słabym i bojąc napadu, miał na baczności. Po całych dniach obchodził mury, wdrapywał się na baszty, opatrywał strażę, zaglądał ku wrotom.

Wszystkich zarówno z Frydą opanował niepokój. Buśko pił, płakał i siedział w kłębek zwinięty, przysłuchując się najmniejszemu szmerowi. Fryda, która nad wszystkich była niespokojniejszą, miała zapewnienie, iż gońcy jej będą znać dawali, co się stanie z wyprawą.

Parę dni jednak upłynęło bez żadnej wiadomości. Na zamku nikt się nie zjawił. Hanko tylko pod jakimś pozorem wysunął się ze Złotoryi, zniknął. Powrócił potem, a zięcia wysłał. Oba chodzili tak przybici, niespokojni, a tak się mało troszcząc o powierzoną robotę, jakby wcale co innego mieli na myśli. Czeladnicy ciągle coś ciosali, lecz i liczba ich się zmniejszała, i budowanie szło coraz opieszalej.

Na to mało kto zważał, bo wszyscy myśleli tylko, co się dzieje z księciem i jego ludźmi.

Głucho o nich było.

Fryda kładła się do łóżka z gorączką, sen ją odbiegał, wstawała chora. Na chwilę zdrzemnąwszy się, widziała w marzeniach najstraszniejsze obrazy.

Jednego ranka tak, nie mogąc zmrużyć oka, zerwała się z pościeli, otworzyła okno i wlepiła oczy w mglisty obraz jesienny.

W dali podnosiły się opary z łęgów, jak zasłona, rzeka płynęła wezbrana i mętna. Około poczętych statków zaczęli zbierać się ludzie, którym do roboty nie było spieszno.

Nagle na wodach rozlanych ukazała się łódź wielka, pędząca spiesznie i kierująca się jakby pod zamek. Kilku wioślarzy, leżąc na wielkich wiosłach, którymi pędzili ją, oglądali się niespokojnie dokoła. Jakiś mężczyzna otulony opończą stał w pośrodku, ludzi kupka go otaczała.

Fryda, zobaczywszy barkę niepodobną do innych, widywanych co dnia, drgnęła niepokojem i przeczuciem jakimś. Im więcej się zbliżała łódź ku brzegowi, tym oczy jej uparciej w człowieku stojącym z głową spuszczoną chciały dopatrzeć podobieństwa z księciem. Lecz mógłże to być on?

Sam jeden, na łodzi, bez wojska, bez orszaku?

Fryda, nie mogąc wytrzymać, zarzuciła na ramiona płaszcz i tylnymi wschodkami wyszła z zamku ku rzece. Na ścieżce, która ku niej prowadziła, spostrzegła idącego wprost ku sobie księcia.

Dość było nań spojrzeć, aby zgadnąć, co się stało. Zuchwały ów rycerz, zdobywca przyszedł, szedł, chwiejąc się na nogach, blady, a twarz jego wyzółkła, nagle schudła, oczy wpadłe, usta sine czyniły go podobnym do powstającego z łoża choroby, wracającego od wrót śmierci.

Fryda stanęła, zakrywając sobie oczy, nie śmiała go pytać. On zatrzymał się nieco, potoczył wzrokiem błędnym dokoła, tchnął i począł, nic nie mówiąc, ku zamkowi się posuwać. Trzech ludzi odartych, porąbanych, wylękłych wlokło się za nim.

Nie mówiąc nic, Fryda zawróciła się nazad. Szli za nią.

Książę spieszył do izby swej, wszedł do niej, zaledwie na Frydę spojrzawszy, odpasał miecz z pochwą otartą, odpiął zbroję i rzucił się na łożo. Buśko już leżał u nóg jego, Fryda przyklęka w głowach.

Cichym głosem zażądał napoju. Buśko pobiegł po wino.

Fryda nie śmiała go wypytywać. Z dziedzińca dochodziły ją wykrzyki ciurów, którzy z księciem wrócili, jakiś straszny pogrom opisujących. Lecz potrzebaż było więcej co nad widok tego zbiega, aby domyśleć się, że na głowę został pobity?

Po chwili długiej oczekiwania trwożnego Biały, wychyliwszy kubek wina, który mu podał

Buśko, podniósł się na rękę, spojrzął dokoła obłąkanymi oczyma i zawołał:

— Pod Gniewkowem, pod samym zamkiem moim była bitwa... Jaśko Kmita i ten łotr

Bartek z Więcburga napadli mnie. Siły mieli przemagające... Biliśmy się mężnie, ja sam wszyscy, Lasota... tylko ten zbój Bylica, zdrajca, za wcześniej pierzchnął ze swymi... Potem... trupy leżały...

poszli wszyscy w rozsypkę... samoczwart ledwie wyrwałem się, gdy mnie do niewoli już brać mieli... Koń padł około Nieszawy... Szczęściem czółno się znalazło... ocaliło mi życie...

Obalił się na łożo i jęknął.

Fryda słuchała blada jak mur a drżąca, spojrziała na zrozpaczonego i powoli się zaczęła podnosić, wstała, twarz znowu oblał rumieniec.

— Nie wszystko jeszcze stracone przecie! — zawołała głosem drżącym. — Złotoryja

została wam. Nie wiem, czy Gniewków wzięli! Wszakżeś poczynał z mniejszym. Nie już dla jednej klęski tracić męstwo i nadzieję! Ludzie się pewnie rozpierzchli tylko, zaczną się zbierać znowu.

Padł Lasota?

— Nie wiem — mruknął książę. — Bylica, nie broniąc mnie, uszedł w lasy.

Widząc, że z zaniemiałego nagle księcia, któremu głosu brakło, niczego się nie dowie, Fryda wyszła z izby. Na podsieni stali ci, co z księciem powrócili.



Jeden z nich, Jasiek Zrąb, płakał, opowiadając i spoglądając na ucięte palce u ręki, które w krwawą płachtę zawiązane były.

Fryda przystąpiła do niego.

— Padło wielu? — zapytała go.

— A, poboiszcze trupami usłali! — krzyknął Jasiek. — Krew się lała strasznie. Myśmy

ledwie się przerabiali przez tłumy. Któż mógł podołać takiemu żołnierzowi, okutemu w żelazo, gdy nasi i tarcz nie mieli? Cośmy warci byli przy nich? Rzuciwszy się na nas, od razu złamali, nikt im nie dostał.

— Lasota? — spytała Fryda, na nim widać pokładając nadzieję.

— O, ten się bił — rzekł Jasiek — i porabali go, widziałem, jak padał. Nie wiem, czy się podniósł...

Na zamku niepokój straszny powstał. Garść załogi trwożyła się, aby Kmita z Bartoszem nie przyszli zaraz pod Złotoryję. Tymczasem zamiast nich, w kilka godzin, nadbiegać zaczęli pojedynczo i gromadkami zbiegli z pogromu pod Gniewkowem. Coraz to kratę w bramie podnosić było potrzeba i wpuszczać ich, porabianych, krwawych, rozbrojonych, wlokących pokaleczone konie.

Nadspodziewanie jednak wiele się ich nazad ściągało.

Fryda, nie czekając rozkazów księcia, sama Drzazgę zawołała do siebie.

— Pilno mi strzeżcie zamku — rzekła surowo — zdaje na was księżę wszystko. Niejeden raz wojsko 'nieprzyjaciel pobije, a jutro ono odwetem zapłaci... Nie dajcie siał trwogi.

Wróciła sama do Białego, którego Buśko nie opuszczał. Słyszac cicho prowadzoną między nimi rozmowę, przytuliła się do drzwi i zaczęła na progu.

Buśko jękliwym głosem odzywał się do pana:

— Było nam, było rwać się tu ma te złowrogie zgliszcza? Albośmy się tak źle mieli z mnichami? A nie tam, to w Budzie i Wyszehradzie nie można było żyć? A czego nam brakło?

Zawierzyłeś złym ludziom...

— Bogdajbym był ich nie znał, zdrajcy — jęczał księżę — wszyscy zdrajcy! Jeden Lasota osłaniał mnie i bronił. Bylica uszedł. Bartek z Więcburga napadł na mnie, musiałem mu się odcinać... Jeszcze czuję, jak w hełm mnie kordem raził, że mi oczy się iskrami posypały. Lasota mnie wyzwolił... Tak, Buśku, tak, mądrym za późno, dobrze było w Budzie... Odurzyli mnie i opuścili.

Frydzie dosyć było tego urywka rozmowy, ażeby zrozumieć, co się z księciem działo.

Drgnęła z trwogi, aby po tej klęsce nie wyrzekł się wszystkiego. Wtargnęła żywo do izby. Buśko, zobaczywszy ją, głowę spuścił, nogi zaczął panu obwijać i przypadł milczący.

Bodczanka, choć w duszy jej było chmurno i krwawo, okazywała twarz wypogodzoną.

Biały popatrzał na nią i niemal się zasromił. Ruszyła ramionami.

— Ludzie rozpowiadają — zawołała — że tam więcej zbiegło, niż padło. Co dziwnego? Nie inaczej się żołnierz wojować uczy, tylko klęskami. Drugi raz lepiej bić się będą. Już powracają, brama się nie zamyka, tyle ich przybiega zewsząd. Potrzeba tylko silnej ręki, aby ich ujęła. Lasota, szkoda Lasoty...

— Padł — rzekł krótko ksiązę.

— Drzazga go zastąpi — podchwyciła Fryda żywo. Zbliżyła się do łoża.

— Ranni jesteście? — zapytała.

Ksiązę, jakby nie wiedział sam, spojrzął po sobie, na ręce swe i nogi; nie umiał dać odpowiedzi, wskazał tylko głowę, którą siny pręg na pół przedzielał.

Szepnąwszy coś Buškowi, Fryda wyszła.

Dosyć niezgrabnie zabrał się stary sługa do rozbierania księcia wraz z przywołanym

pacholęciem. Biały miał na sobie dobrą zbroję, nie doszły go więc wymierzone nań ciosy, ale przez nią niemal każde cięcie czuć mu się dało. Blachy gięły się pod razami i cisnęły ciało, które krwią zaskórnią nabiegało.

Ręce, plecy, ramiona, głowa były sińcami okryte. Przyniesiono wina z ziołami gotowanego i zaczęto nim okładać potłuczonego, który zapominając już o klęsce i o wszystkim, głębokim snem usnął.

## VII

Gdy pod Gniewkowem Jaśko Kmita z Bartkiem z Więcburga zadali klęską tak wielką

Białemu Księżciu, wieść o niej rozchodząca się po Wielkiej Polsce, właśnie w chwili, gdy ziemianie i dygnitarze ze zjazdu w Koszycach wracali, poruszyła zarówno umysły, jak nowiny, które z Węgier przyszły.

Derśław Nałęcz, zawsze niby bezczynny pustelnik siedzący w swej Wielkiej Wsi na uboczu, a wiedzący lepiej od innych, co się na świecie działo, zabierał się jechać do Poznania.

Z tego, co do niego doszło z dala i głucho, miarkował, że Wielkopolanie nie zyskali w Koszycach, czego chcieli, że tam, jak zawsze, krakowscy panowie, Topory i Leliwy, Zawisza z Kurozwęk z ojcem i bratem wyrobili, co chcieli, a Wielkopolan do milczenia zmusili.

Tyle tylko wnosił z opowiadań, a chciał wiedzieć więcej. Stary więc, mimo pochmurnego dnia, już konia sobie podawać kazał i zabierał się nań siadać, gdy nędzny wóz chłopski parą konikami ciągniony wtoczył się na podwórze, powstał nieco u bramy, a potem skierował ku dworowi.

Na wozie wysłanym sianem nikogo siedzącego widać nie było, stał więc Derśław, czekając nań, gdy konie przyciągnęły wreszcie furę i z niej podniosła się blada, obwiązana szmatami głowa Lasoty.

Derśław aż krzyknął z podziwu, a ma krzyk ten wnet jego niewiasty z domu wybiegły; na wozie leżał okryty siermięgą, okrwawiony biedny Nałęcz.

— Spod Gniewkowa! — krzyknął Derśław, załamując ręce.

— Ledwie żyw — odparł Lasota. — Chciałem się tu zwlec, abyście mi choć pogrzeb chrześcijański sprawili.

Derśław się odwrócił, wołając:

— Hej, ślać po babę, po Truchlicę, i po owczarza! Oni mu radę dadzą.

I przystąpiwszy do wozu, pytać zaczął po wojskowemu:

— Ucięli ci rękę albo nogę? Nie, chwalić Boga! Wnętrznosci całe? Głowę pokaż! Kość nie przerabana. Ran dużo, ale mięsnych... Krew się odrobi...

Zajął się zaraz gorąco.

— Na rękę go wziąć i na posłanie moje! — krzyczał. — Truchlicę choć za włosy mi ciągnąć, aby z zieleń tu bywała, a rażno!

Gdy Lasotę ludzie podnieśli, choć zęby ścinał, krzyk mu się wyrwał. Niewiasty zawtórowały jękiem.

— Wstydź się! — zawołał Derśław. — Co ból znaczy, gdy człowiek w sobie serce ma?

Śmiej się! Będiesz zdrów jak ryba. Truchlica ma zioła, co goją, choćby ogień był w ranie. A, dawajcie Truchlicę!

Może lepiej niż zioła baby podziały na Lasotę piękne łzawe oczy Piotruszy, która z matką za chorym poszła.

Derśław konia odprawił i został przy Lasocie, po męsku się nim zajmując.

Gdy Truchlica oglądała rany i okładała je a lepila, ów opowiadał, jak niegdyś posiekamy leczył się i wylizal dzięki temu (wedle jego przekonania), że miał rozum, bo jadł i pił ciągle, a nie dał życiu w

sobie zagasnąć.

Wnet krupnik kazał warzyć tłusto dla Lasoty, a tak był pewien, że z pomocą Truchlicy, owczarza i krupników zdrowie rychło powróci, iż chciał czekać z podróżą do Poznania, ażby się Nałęcz dźwignął.

Być może, iż zawsze podejrzewając powinowatego i Piotruszę o serdeczniejszy, niż go

sobie życzył, stosunek, wolałby był chorego z niewiastami samymi nie porzucać. A tu znowu sprawa ogólna na sercu mu leżała.

Z Lasoty dobywszy, co tylko on wiedział o księciu i jak o nim sądził, dłuższy czas z nim spędziwszy, Derśław zawyrokował:

— Na tego Piasta-znoska nie ma się co nam oglądać, darmo! Trzeba się wyrzec wszelakiej myśli o nim. Sprzeciwiłem się temu, gdy Przedpełk, Szczepan z Trląga i Wyszota, powróciwszy, zawyrokowali o nim, że z niego nic nie wyrośnie; myślałem, że wprost podrażnił ich i źli nań byli, ale teraz widzę, że to duda jest, w którą dąć potrzeba nieustannie, aby jaki taki głos wydała. Więc precz z tymi dudami! Niech się na nią nie oglądają nasi, trzeba Ziemowita Mazura uprosić... Ci wiedzą, czego chcą i dokąd idą.

Właśnie z tym postanowieniem pilno było na zjazd Derśławowi, lecz że do Poznania się, czekając na wyzdrowienie Lasoty, opóźnił, a niechętni królowi mieli się zebrać w Gnieźnie, tam i stary pospieszył. Nie był na zjeździe w Koszycach na Węgrzech i mało co wiedział o skutkach jego, chciał się i o tym dowiedzieć, i wniesć, aby się już Białego i na nim pokładanych wyrzeczono nadziei.

Gniezno wybrali sobie wielkopolscy malkontenci dlatego może, iż tam i najliczniejszy ich zjazd mógł przejść nie postrzeżony, bo go bodaj niedziela, święto i pobożność usprawiedliwiały.

Zaleciwszy więc żonie, aby na Truchlicę zdała pilność około chorego, a Piotruszy do niego na straż nie posyłała, z dodatkiem, że młody, choć posiekany, niebezpieczny, Derśław podjadłszy dobrze, napiwszy się i przeżegnawszy, do Gniezna wyruszył.

Znalazł tam już ludzi znacznych wielką gromadę i niemal wszystkich tych, którzy z Węgier powracali. Ponieważ na zamku arcybiskupim ani w żadnym gmachu widoczniejszym nie mogli się zebrać przybyli, musiano obradować w szopie.

Jedną z nich przy gospodzie obszerną oczyszczono z wozów i śmiecia, tatarciem wysypano i jedlinką, poustawiano stoły i ławy, podesłano słomę pod nogi, i niewymyślne rycerstwo ówczesne, jakby w najwykwintniejszych gmachach, znajdowało się pomieszczonym wygodnie.

Krom tych, którzy stronę króla i starej królowej trzymali, a z Krakowianami byli związani, znalazło się tu prawie wszystko, co Wielkopolska miała najdosłojniejszego. Nałęczów szczególnie, rozrodzonych bujnie, było mnogo. Duchowieństwo też z różnych stron licznie się zjechało.

Domagano się naprzód od tych, co w Koszycach byli, aby o przebiegu sprawy z królem

Ludwikiem dali wiadomość. Wieść już była tu doszła, że król naprzód, nie mając męskiego następcy po sobie, żądał, aby się Polacy zgodzili na przyjęcie za królowę córki Katarzyny, przeciwko czemu opór był wielki. Tymczasem Katarzyna zmarła i po niej znowu na Marię przelać chciał król jej prawa.

Z tych, co z Koszyc powracali, za najwymowniejszego uchodził Pobożanin imieniem

Spytek, na którego też zakrzyczano zaraz, aby głos zabrał, może dlatego, że choć mąż był poważny i słowa łatwego, mawiał tak zawsze wesoło o największych sprawach, że raczej do śmiechu niż do roznamiętnienia pobudzał. Spytek wstał, w boki się wziął, spojrzął po zgromadzeniu i począł:

— Miłościwi moi — rzekł — rad bym był, gdybyście mi z powodzenia i zwycięstwa kazali

sobie liczbę zdawać, a nie z pogromu, tymczasem i biedę a upokorzenie własne trzeba znać, aby się z nich dźwigać. Wiecie to, że naprzód nami bez nas chciano rozporządzać i nawet do Koszyc na zjazd nie powołano Wielkopolski, aby co Dobki i Zawisze postanowią, my przyjęli z pokorą.

Wrzawa mu przerwała. Spytek pomilczał, brodę poprawił, wąsa pokręcił i mówił dalej:

— Rozmyślili się potem i zawołali nas do Koszyc. Jechaliśmy tedy tłumnie, a z tym

postanowieniem, żeby poradnego nie dać i córki na tron nie dopuścić... Zwołano nas zrazu słodkimi słowy, na lep biorąc, którym Krakowianie aż się oblizywali. Gdy przyszło do głosów, a Dąbkowi wszyscy za soczewicą tron sprzedać ofiarowali się, myśmy się oparli. Huknięto znowu i przykłaśnięto wołaniem:

— A, opierać się będziemy, po kądzieli tron nie pójdzie! Piast się znajdzie!

Spytek poczekał, dał znak ręką i mówił znowu:

— Gdy Dobkowi zobaczyli, że przy swoim stoimy twardo, że nas ni starostwy, ni

pieniędzmi, ni łaskami nie kupią, poczęli naprzód grozić niełaską króla. Ano, kto łaską wzgardził, ten i na niełaskę zważać nie będzie. Chodzili koło nas, chodzili, nie zmogli. Co dzień spodziewali się, że zmiękniemy, a na próżno. Jeden drugiego pilnował. Duchowieństwo błogosławiło.

Ciągnęło się tak już dni kilka, aż na ostatek Jurga stary (tu wskazał na siedzącego) wniósł, że w Koszycach nie mamy czego siedzieć dłużej, byśmy Krakowian bodaj porzuciwszy, tłumnie odjechali, ażali bez nas co poczną. Musiała o tym wieść zaraz prysnąć po mieście, bo oni zawsze ludzi na podsłuchach mieli, ulękli się naszego postanowienia. Dobiesław z synem pobiegli do króla spłoszeni, wołając, że wszystko się wniwecz obróci, gdy Wielkopoleanie precz pójdą.

Dopieroż radzić.

A wiedzieć to trzeba, że to miasto Koszyce zewsząd jest warownymi murami opasane, ani do niego wleźć, ani z niego wyleźć nie można, ino przez wrota, u których i mosty zwodzone, i brody są, i strażę. Prawda, że pierwszych dni otworem dla nas stały, a kto chciał kupić, czego mu w mieście

niełatwo było dostać, wyjeżdżał na wioski.

Zawisza widać poradził królowi, aby ze strachu tłumnego odjazdu naszego wszystkie wrota pozamykać i strażę mocną ustawić. Pachołków nawet naszych po siano i obroki, o które w mieście ciężko było, nie chciano za miasto puszczać. Strach nas ogarnął, bo dalej śmiercią głodową ginąć by przyszło. Pobiegli niektórzy do Zawiszy na zwiady. Temu niewola w Koszycach słodką była, bo król go żywił, a Węgierek pięknych siła miał, do których, mimo sukni swej, mógł się przysiąść.

Szli do niego Wąż i Mleczko.

Przyjął ich podkanclerzy z uśmiechem drwiącym na ustach. Na wołania i skargi jedną miał odpowiedź:

— Posiedźcie w Koszycach, aż wam się naprzykrzy, konie wyzdychają, a wy schudniecie i dobremu panu przestaniecie się sprzeciwiać. Dla jednej Wielkopolski, że ma muchy w nosie, kraj cierpieć nie może! Cóż wy lepszego od Krakowian, czemu to, co nam dobre, wam nie do smaku?

Przemysława się wam chce osobnego w Poznaniu, ale tego mieć nie będziecie.

Zza stołów zaczęto wołać:

— Zobaczemy!

Lecz zamilkli wnet i słuchali.

— Poszliśmy z niczym raz i drugi, i trzeci — mówił Spytek. — Niektórzy chcieli z Koszyc przebojem iść, ale panowie duchowni nie radzili. Niejeden zmiękł i powiadał, podpiszmy, co siłą wymóc chcą, a potem zaprotestujemy.

Tu zaś do nas Krakowianie biegać zaczęli, modląc a prosząc, że wielkie wolności i

przywileje dla rycerstwa i ziemian król daje, i na wszystko się pisać trzeba, aby je zyskać, bo ich potem już nikt odebrać nie potrafi.

Prawdę rzec, dawał król wiele, ale nie to, co myśmy chcieli. Wymogli na nim Krakowianie od wszelkich danin, opłat i posług wolność zupełną, krom dwu groszy z łanu na Świętego Marcina; obiecał ich na służbę rycerską nie wołać za granicę, tylko za sowitym wynagrodzeniem; o wszelką sprawę rady pytać, bez niej nic nie stanowić; urzędników nie mianować, ino swoich, a książąt i z krwi ich nikogo; po miastach też sadząc tylko ojczyków tych ziem, w których one leżą. Na ostatek i podwody królewskie darował.

Słuchano w milczeniu.

— Ano — zamruczał Dersław — obiecać łatwo, zobaczymy, co strzyma. Małopolany się

otacza, oni radę jego stanowić będą, po ich myśli pójdzie wszystko, a my, jak byliśmy, tak będziemy

upośledzeni. Spytek westchnął.

— Dajcież dokończyć — rzekł — trzeba dopić kwaśnego piwa, które nam nawarżono. Za te

wszystkie łaski a swobody córkę na tran z mężem, jakiego jej wybiorą, przyjąć musimy; więc choćby Niemiec był czystej krwi, która nam jest trucizną, kłamać mu się będziemy musieli.

— Ho! Ho! — wołano po bokach.

— Zobaczemy! — śmiejąc się, dodawali inni.

— Tu nam już i głód się dawał czuć po trosze i tęsknota wielka, a bramy w Koszycach jak stały, tak stały zaparte. Rada w radę, milcząc, przystać musieliśmy, aby nam je otworzono.

Wstał sędzia Janko z Ostrowa i rzekł grubym głosem:

— Z musu się na to wszystko pisało, nie po dobrej woli, więc zgoda nie warta nic, a myśmy tako wolni, jak przedtem byliśmy.

— I córki jego nie chcemy! — krzyknął Nałęcz stary, a za nim podniosła się burza głosów wołających: — Nie chcemy!

Wrzawa taka powstała, że Spytek, obejrzawszy się i widząc, że darmo by chciał przyjść do słowa, siadł na ławie, ręką machnąwszy.

— Miłościwi — zagadał Pobóg jeden — przywilejem królewskim, jaki on jest, pomiatać się nie godzi. Mnie się widzi, że byleśmy umieli, pętlę z niego zrobić można, na której i Ludwika, i następców jego wodzić będziemy mogli, jako się nam zda. Zważcie i to, że król Kaźmirz ziemian gniótl, chłopów głaskał, mieszczan wynosił, cudzoziemców sprowadzał, że rycerstwo za niego nie mogło nic, bo je jak Maćka Borkowicza głodem morzył i ścinał, a koszycki przywilej ziemian podnosi tak, że teraz bez nich nie ruszy się nikt i jak oni zaśpiewają, wszyscy skakać będą musieli.

Przeciągłe odpowiedziało milczenie; wstał Derśław.

— Między słowem, pismem a czynem szerokie pole — rzekł. — Król, co takie swobody

wielkie nadawał, w Koszycach przecie głodem was morzył i więzieniem zmuszał, abyście te łaski przyjęli. Panowie piszą inaczej, a inaczej czynią. Wiatr to te obietnice. Co nam po nich? Pan nie swój, obyczaj mu nasz i kożuchy śmierdzą, córka też obcą nam będzie, mąż jej obcym, pójdziemy pod panowanie Niemców. Nam Piasta trzeba i do ich krwi powrócić... Nikt nie przeczył, lecz wielu mrucało:

— A skądże go wziąć? Odezwał się z kąta jeden:

— A cóż? Gromadą iść do Białego, pomagać mu... Niech się potrzyima, weźmiemy go sobie.

Warchoł niczego...

Wstał Derśław.

— Mów raczej, że warchoł do niczego! — krzyknął. — Popytajcie tu przytomnych,

Wyszoty, Przedpełka i Szczepana, co go z Dyżonu wywieźli, jako mącił a plątał im, co dzień co innego pragnąc. Widzieliśmy, jako się rzucił na zamki, zdobył ich kilka, a potem poddał, gdy się mógł trzymać. Teraz go Jaśko Kmita z Bartoszem potłukli haniebnie u Gniewkowa. Sędziwój weźmie go znowu, bo ma jak w garści w Złotoryi.

Ja sam — dodał Derśław — patrzałem nań i rachowałem na niego, miałem powinowatego u jego boku, co każdy krok śledził, i powiadam wam, że tam z tej krwi piastowskiej ino woda została.

Nie ma się co na niego patrzeć, nie godzi się mu pomagać. Słaby jest a okrutny, gwałtowny a nieporadny, i mieni się jako księżyc, który raz w raz chudnie i rośnie. Nam innego pana potrzeba.

— Skądże go wziąć? — rzekł sędzia. — Szląscy Piastowie Niemcy czyste...

— Mazurów mamy — rzekł Derśław. — Ziemowita ciągnąć musimy. Mówią, że się opiera, bo się Ludwika lęka, ano, z czasem może nie stać go, nawróci się Ziemowit...

Gdy Derśław mówić przestał, żaden głos nie dał się słyszeć ani za Białym, ani przeciwko Ziemowitowi. Naradzano się raczej, jak go sobie pozyskać, bo wiadomo było, że go już na próżno kuszone.

Bartosz z Odolanowa, na którego się oglądało wielu, słuchał, spozierał wkoło, lecz choć go się wyzywać zdawano, nie chciał głośno przemówić. Siedząc tylko na ławie, a rękami szeroko na stole się rozparłszy, rzekł najbliższym:

— Czasowi to zostawcie i nie myślcie o innym, zyszczy go. Teraz o tym mówić, a króla i królewskich oczy nań ściągąć, nie potrzeba. Już wiem, że gdy pora nadejdzie, gotowym go znajdziemy.

Derśław, który pochylony słuchał, zamknął cichą naradę słowy:

— Gniewkowskie książątko, aby ludzi nie bałamuciło, głów darmo nie zawracało i krwi nie kosztowało na próżno, potrzeba zdać na jego własne losy.

Nikt się za Białym nie ujął; owszem, Wąż rzekł, pogardliwie ramionami ruszając:

— W Złotoryi się nie utrzyma długo. Jaśko Kmita, Bartosz z Więcburga, a pono i Każko

szczeciński, który im w pomoc ma iść, zmogą wywłokę, ani mu ci z Drzdenka będą posiłkowali, choć siostrę ich wziął, słyszę, sobie, bo się ulękną. Zbójów i włóczęgów tylko kupę ma.

Zatem niektórzy z poważniejszych o Mazurach szeroko i długo mówić poczęli, jako był ród ludzi



rządnych, surowych, ale mocnej dłoni. Wspomniał ktoś opolskiego Władysława, ale przeciwko temu zaraz się głosy ruszyły, Niemcem go zwąc; Każko szczeciński, choć wielu miał

przyjaciół, na pana też nie widział się im stworzony, bo miał to, co i Biały — gwałtowność wielką, a niestałość jeszcze większą. Lepszym od niego ludziom się wydawał, jednak z Mazurami mierzyć się nie mógł.

Stanął na nich jednozgodnie.

Dopieroż na kupki i gromadki rozdzielili się różni, rozpytując o Koszyce, o ów sławny przywilej, i nie dowierzając mu a szukając w nim złego. Już to jedno, że pochodził od Krakowian, że Topory go wyciosały, a Leliwa im przyświecała, szlachcie wielkopolskiej podejrzanym go czyniło.

Zjazd koszycki nieprzyjaźni między dwiema Polski połowami nie tylko nie złagodził, ale ją podniósł do najwyższej potęgi. W ogóle też nie tylko Małopolska do walki z Wielkopolską się gotowała, ale w tej nawet na dwa obozy rozpadało się ziemiaństwo, bo kto z królem trzymał, do Krakowa jeździł, łaską się jaką chlubił, tego odstępowano i za wroga uważano.

Z tych, co ani czarnymi, ni białymi nie byli, a stali na boku, trochę się na zjazd do Gniezna przywlokło; niektórzy Nałęczom się ująć dali, ci, co się czuli więcej pociągnięci do Sędziwoja, do Grzymałów, wprędce szopę opuścili. Im liczba w niej się zmniejszała, tym narada poufalszą, otwarciej nieprzyjazną dworowi i jego stronnictwu się stawała.

Liczono siły, wymieniano tych, co króla i królowej stronę trzymać mogli, i Dersław Nałęcz dowodził, że przewagę mieć będą ci, co Piasta żądali.

Pomiędzy nimi Bartosz z Odolanowa, wielu równie możnych a mężnych i silnych się

znajdowało. Mieli też za sobą znaczniejszą część duchowieństwa, które, choć głośno się nie odzywało i czynnie nie występowało, sprzyjało Nałęczom, bo je pobór z łanu zniechęcił a poddanie ogólnemu prawu stanowisko jego zachwiało.

Tak ów zbór, długo w noc jeszcze obradując w szopie, nazajutrz słowem związany mocnym powoli się na różne rozproszył strony.

## VIII

Zamek w Złotorii, którego mury mocne i rzek dwie broniły, pomimo usiłowań Sędziwoja z Szubina, Jaśka Kmity i innych ściągniętych dokoła, aby nie dać Białemu Księżciu więcej się rozpościerać, bronił się przez zimę całą, bronił wiosną jeszcze. Książę, chociaż najmniej się może przyczynił do tak wytrwałego oporu, był nim dumny i sobie go przypisywał tylko.

Nawet przed Frydą, która go dobrze znała już, rad był odgrywać rolę bohatera, a że mu wstyd było porażki pod Gniewkowem, której zapomnieć nie mógł, przypisywał ją właśnie o tym czasie w uzbrojeniu polskiego rycerstwa zaszłej zmianie. W istocie Racowie, którzy z Ludwikiem Węgierskim na służbę do Polski przybywali, uzbrojeni byli drzewcami i tarczami.

Dawniejsze rycerstwo polskie jeździło z kuszą, miało haki u pasa i schyliwszy się na koniu, kuszę o nogę oparłszy, naciągali ją. Zbrojne też było w rohatyny, uwiązane na koniu przy łęku i wlokące się za nimi, stąd zwane włóczniami, a u boku nosiło miecze. Rohatyny te, a nawet i kusze dla drzewców rzucono, a księżę użyciu ich pod Gniewkowem, a brakowi u swoich żołnierzy, całą klęskę przyznawał. Powtarzał co dzień: — Gdyby nie drzewce! Gdyby nie te drzewa ich przekłete!

Ale ku obronie zamku ani włóczni, ni drzewca użyć nie było można. Postawiono pod

murami zbudowane przez Hankę młynarza tarany i różne do rzucania pocisków ciężkich porobione maszyny, gromadzono kamień, smołę, miano się na baczności wielkiej. Tymczasem gdy Bylica, który był uciekł sromotnie spod Gniewkowa, powrócił, tłumacząc się i uniewinniając, przyjął go księżę i do dawnej łaski dopuścił, a nawet nad Drzazgę i innych go przekładał. Bylica przypochlebiać się umiał, rozum i wielką umiejętność księcia wynosił bardzo.

Biały też powiadał o nim, iż człek był rozpuszczony, zuchwały, ale do wypraw

niespodzianych, do napadów śmiałych równego sobie nie miał. W istocie Bylica miał węż drapieżnego zwierza, miał zręczność rysia lub żbika, który zasadza się w gąszczy i pada na swą pastwę jak piorun z góry.

W ciągu kilku miesięcy z kupkami ludzi, jak on sam zwinnych, wrywał się z zamku

wielekroć, i choć na niego czatowano, nie dając się pochwycić, napadał na sioła, na dwory, na małe oddziały wojsk, nie dając im spokoju. Grabieże te udawały mu się szczęśliwie, a wiele szkód przyczyniały Sędziwojowi z Szubina.

Przyszło do tego, że oddziały prowadzone przez niego z Kujaw się posuwały w głąb

Wielkopolski, porywały, co mogły, a gnane, schraniały się w mury zamkowe. Księżę z nich równie korzystał, jak dowódca, który lwią zawsze część łupu umiał sobie przywłaszczyć. Największym zyskiem było to, iż się Złotoryja obraniała i opędzała.

Sam księżę w grabieżach tych i wycieczkach nie brał czynnego udziału, lecz zdało mu się, że nimi rozporządzał. A że gdy mu się powodziło, rósł na duchu wielce, Fryda miała tę pociechę, iż ciągle prawie widziała go zajęтым swą sprawą, wcale nie myślącym o tym, aby uległ przewadze Sędziwoja i uląkł się sił jego.

Księżę rachował wielce na umiejętność Hanki, na pomoc, jaką mu mogły dać maszyny coraz nowe i czółna przez niego budowane. Tymi niekiedy także zbrojne kupy puszczały się Wisłą i nadbrzeżne osady plądrowały. Nie wypuszczano więc bogatego młynarza ani zięcia jego ze Złotoryi, chyba pojedynczo i to na krótko, jednego zawsze zatrzymując jako zakładnika.

Hanko, który oko miał przenikające i widział, że się to wszystko źle skończyć musi, rad był

co najprędzej się stąd wydobyć i powrócić do swych młynów, a zyskać łaskę u wojewody

Sędziwoja. Począł się coraz częściej wymykać, posyłać ludzi w różne strony, wreszcie zauważono,

że opieszale chodził około tego, co mu powierzono. Fryda z przenikliwością niewieścią od dawna zdraycy się w nim obawiała, książę się śmiał z tej obawy.

Na tydzień jakoś przed Zielonymi Świątkami, powziąwszy podejrzenie większe, gdy znowu Hanko się do Brześcia prosił, Bodczanka potajemnie wysłała za mim człowieka, który kroki miał

jego śledzić. Ten powrócił wprędce, dając znać, że młynarz mu się wyśliznął, znikł, lecz że najmocniejsze miał podejrzenie, iż do obozu Kmity, ku któremu i inne siły się ściągały, musiał się udać.

Czekano go z powrotem. Biały, któremu zdradą nieochybną głowę nabito, gdy się tylko

stary młynarz z powrotem zjawił, natychmiast do siebie pozwać go kazał. Było to w naturze słabego a gwałtownego człowieka, iż gdy wziął co do serca, stawał się okrutnym. Szło mu też o to, aby Fryda słabości się jego nie urągała.

Sam książę zszedł do izby na dole, w której już pacholkiwie przywiedzionego młynarza

trzymali. Blady był i drżał stary opasły człek, ale z oczów jego oprócz trwogi i gniew okrutny tryskał. Biały wpadł nań rozszrozony jak dzik.

— Mów prawdę — krzyknął — ja wiem wszystko! Uknuleś zdradę ty z zięciem twoim.

Znosicie się z wojewodą, chcecie mu mnie wydać i zamek.

Hanko, złożywszy ręce, bełkocząc, się wypierał. Wejrzenie człowieka zuchwałe, będące w sprzeczności z postawą unizoną, zaparcie się, rozjątrzyło Białego.

— Na męki cię każę wziąć! — zawołał.

— Męczcie mnie, jak chcecie — jęknął Hanko — jestem niewinny.

U księcia, gdy wpadł w ten stan szaleństwa, od słowa do czynu nie było daleko. Chciał

natychmiast dać go na męki, ale się okazało, że tych klub, sznurów i całego przyrządu, jakiego naówczas używano do wyciągania stawów, nie było na zamku.

Uszedłby może podejrzany Hanko, gdyby w progu zbój Bylica, który wszędzie księciu się nastęrczał, nie pokazał się ze złym uśmiechem na skrzywionych ustach. Miał on do młynarza srogą urazę, że mu się obedrzyć nie dał i obchodził się z nim lekceważąco.

— Miłościwy Książę — rzekł, przestępując próg i kłaniając się nisko. — Nie potrzeba ani klub, ani żadnego przyrządu, my umiemy i bez tego z ludzi prawdę wyciągnąć...

Biały słuchał.

— A jak?

— Niech mi Miłość Wasza pozwoli, ja go tu zaraz jak należy wypowiadam.

Hanko spojrział nań, jakby o miłosierdzie błagał, ale już było za późno. Bylica zemsty pragnął.

W pośrodku izby stał ciężki, ogromny stół dębowy; na dany przez księcia znak, Bylica z wielką rozkoszą i wesoło, jakby na zabawę szedł, z pachołkami ujął Hanke, związał go i na ów stół

wyciągniętego położyć kazał.

Nieszczęśliwy starzec drżał, nie wiedząc, co z nim poczną, błagając księcia o miłosierdzie i poprzysięgając, że jest niewinny. Nic to nie pomogło. Bylica pachołkom kazał przynieść świece i pochodnie, nogi obnażyć staremu, i gdy książę, nieco strwożony, cofnął się w głąb od tego widoku, sam począł z czeladzią piec stopy młynarza.

Czas jakiś Hanko jęczał tylko, wrywały mu się krzyki bóleści, które cały zamek ściągnęły pod okna, zbiegli się ludzie.

Bylica, który serce miał okrutne, swoje robił, nogi się skwarzyć poczęły, Hanko rzucał się w boleściach okrutnych, na ostatek krzyknął, że powie wszystko. Natychmiast książę dał znak i pochodnie od popalonych już stóp odjęto.

— Mów! — zawołał, przystępując, Biały.

Wejrzenie, które Hanko rzucił na niego, pełne było wzgardy i gniewu.

— Tak! — krzyknął młynarz. — Zamek i ciebie poddać chciałem, ale nie ja jestem zdrajcą, tylko ty, coś przeciw królowi twemu i mężowi siostrzenicy swej szedł zdradą, tak, słałem do Sędziwoja, byłbym mu wrota otworzył, aby dla ciebie ludzie darmo nie ginęli.

Biały, gdyby nie wstyd jakiś, sam byłby się rzucił na młynarza, ludzie bić go poczęli, Bylica mu gębę policzkiem zamknął.

Widok był straszny i przejmujący. Zwiększyło okropność to, że wpadł na krzyk zięć Mańko, który jak szalony rzucił się naprzód do teścia, potem na kolana przed księciem, błagając go za starym i ofiarując okup, życie swe, wszystko, byle życiem go darował. Hanko sam milczał.

Księżciu oczy dziko zaświeciły.

— Masz jeden sposób ocalenia jego i siebie — zawołał podniesionym głosem. — Pójdiesz natychmiast do obozu Sędziwoja i powiesz mu ode mnie, rozumiesz, ażeby jutro się tu stawił z ludźmi niewielą, a ja otworzę mu zamek i poddam. Powiedz, że głód nas do tego zmusza. Puścim ich tu, puścim, a potem wyrzeżem do nogi!

To mówiąc, książę zatarł ręce i śmiał się.

Mańko klęczący objął nogi jego i poprzysiął, że sprawi, jak mu przykazano.

Hankę, który na popalonych nogach stać nie mógł i jęczał z bólu straszego, kazał księżę pacholkom wziąć i rzucić do więzienia. Sam, jak gdyby już był zwycięzcą, wyszedł zaraz chwalić się tym, co uczynił, do Frydy.

Krzyk i wrzawa w czasie tego okrutnego męczeństwa, na dole dokonywanego się, już były Bodeczankę zaniepokoiły, i domyślając się jakiegoś wypadku, biegła szukać księcia. Drząc z gniewu i szału, w jaki wpadł, Biały począł żywo, jękając się, bełkocząc, śmiejąc dziko, opowiadać, jak wielkiego dokonał czynu. Czekał od niej pochwały i uwielbienia dla rozumu swego i okazanej siły; Fryda zmarszczyła się, ramionami poruszyła i odparła sucho:

— Wolałabym, abyście w polu i po rycersku walczyli.

To mówiąc, odwróciła się i poszła zamknąć się w swojej komorze.

Nie zraziło to ani powstrzymało księcia, rad był z siebie, a wielkie rzeczy obiecywał sobie z tego podstępu, który obmyślił. Wyobraźnia malowała mu już pochwyconych w pułapkę

najczynniejszych dowódców, najniebezpieczniejszych przeciwników — wojewodę, za którego spodziewał się ogromnego okupu, Bartka z Więcburga, na którym pragnął się pomścić, Kmitę bogatego i mogącego mu się opłacić, a choćby siostrzeńca Każka szczecińskiego, bo o nim słyszał, że szedł także przeciwko niemu.

Wnet Bylica, Drzazga i co było najulubieńszych zauszniaków wezwani zostali na radę.

Bylica pański rozum pod niebiosą wnosił, cieszył się i zaręczał, iż nic łatwiejszego nie będzie, jak wszystkich pochwyć, wpuścić ich, bronę ciężką spuścić, otoczyć i powiązać.

Gdy na zamku się to działo, nieszczęśliwego Mańkę wnet wypędzono, aby do obozu jechał.

Dano mu nawet klucz od wrót na zamek, że zamek gotów się poddać.

Młynarz i zięć jego znani byli w obozie wojewody, puszczono więc przybyłego

natychmiast, jako chciał, do samego Sędziwoja, który pod czas w namiocie z jednym tylko Frydruszem z Uścia się znajdował. Rycerz to był odważny, dzielny, w sile wieku, a wojewodzie wielce ulubiony.

Mańko, choć pragnął się nie wydać z boleścią, która go tu przygnała, aby teścia ocalić, stanął przed wojewodą tak pomieszany, iż zaledwie mógł mówić. Sędziwój, usłyszawszy wesołą nowinę, nie zważał na to, jakim głosem była wypowiedziana. Ucieszył się niepomiernie.

— Cichoż — zawołał — oprócz mnie i Frydrusza. nikt o tym nie powinien wiedzieć.

Pójdziemy my sami i zabierzemy tego warchoła, który oto już czasu tyle na nogach nas trzymał

Bogu niechaj będą dzięki!

Mańko na dowód klucze okazywał. Rzecz się zdawała tak prawdopodobną, iż

najmniejszego podejrzenia i wątpliwości nie obudziła.

Sędziwój nie przez zazdrość jakąś, aby drudzy w sprawie tej udziału i zasługi nie mieli, ale aby nie poruszać obozu i niepotrzebnie go w niepokój nie wprowadzić, zamilczał o tym przed innymi dowódcami.

Drugiego dnia on sam z Frydruszem i seciną ludzi wyruszył ku Złotorzy, jakby tylko na zwiady szedł.

— Nareszcie wojna ta głupia i niepocziwa się skończy — mówił uradowany po drodze —

lecz jeśli Biały się spodziewa, że ja go wolno puszczę, myli się srodze. Odeślę królowi, niech z nim czyni, co chce, gotów mi raz jeszcze powrócić i wicherzyć.

Zmierzchać zaczynało, gdy zamek się ukazał, tak jakby w nim wszystko usnęło, nie

objawiający żadnego znaku życia. Na murach nikogo nie było. Widok oddziału posuwającego się ku wrotom jawnie nikogo nie zbudził. We wrotach wielkich ciężka brona żelazna, która je zawierała, była podniesiona.

Frydruszowi z Ujścia aż serce rosło, Sędziwój też cieszył się, a rycerstwo z pośpiechem ustawiło się też przy wrotach, które Mańko kluczami, jakie miał, odemknął. Podwórze zamkowe, w które wzrok mógł sięgnąć, puste się zdawało.

Chciał zaraz Sędziwój sam wjechać już na zamek, gdy pierwsi przodem jadący nacisnęli się i poczęli wciągać. Tuż za nimi jechał Frydrusz Wedel i właśnie pod wzniesioną kratą, obciążoną dwoma ogromnymi głazami, znajdował się, gdy Biały, który niespokojnie patrzył na wchodzących, aby ich zbyt wielu nie puszczano, dał znak i ciężka brona żelazna z trzaskiem padła z góry, brzęcząc łańcuchami i gniotąc męznego rycerza, który z jednym krzykiem rozdzierającym padł z koniem razem rozbity na miazgę.

Cisza, która dotąd panowała na zamku, wrzaskiem podniesionym w wojsku pozostałym

wojewody i tym, które wpadło do Złotorzy, przerwana została. Na murach zjawili się ludzie, rzucając pociski, w podwórzu napastowano dwudziestu kilku pochwyconych i rozbrajano

wylękłych.

Sędziwój stał jak skamieniały z boleści, szczególnie po

Frydruszu, którego miłował bardzo. Łza mu się zakręciła w oku.

— Pomszczę go lub żyw nie będę! — zakrzyczał, wołając do powrotu.

Księżę triumfował, na całe gardło wrzeszcząc:

— Zdrada za zdradę! Ząb za ząb!...

Sędziwój nie miał się czasu oddalić, gdy Biały wypadł na blanki i pięść mu pokazując, lżyć go począł i odgrażał mu się. Wojewoda wzgardził tym i milczący odjechał.

Ci, co weszli na zamek, musieli się poddać. Rwano od nich oręż z rąk, zdzierano zbroje, ogoławano z odzieży, naigrawając się nielitościwie. Bylica, śmiejąc się, chwycił, co było najlepszego przy rycerstwie, (przywłaszczając sobie łup chciwie. Ludzi obnażonych w części do więzienia zamknięto, część pod straż do usług przy zamku naznaczono. Mańka młynarza też ksiązę zaraz do ciemnicy, w której teść jego jęczał, rzucić kazał.

Część nocy zeszła na obchodzeniu pijatyką odniesionego zwycięstwa łatwego, z którego

ksiązę się szczególnie cieszył, nie mogąc pojąć, dlaczego Fryda jego radości nie podzielała. Jak szalony był, biegając po zamku, śpiewając, i choć mu się owych wodzów nie udało pochwycić, o których marzył, rad był temu, co uczynił. Chwalił się nawet przed Buśkiem, ten ramionami ściągnął.

— Ano — rzekł — dobra psu i mucha, ale żebyś był ksiązę nie krzyknął kratę spuszczać, byłby i wojewoda w naszych rękach.

Biały o mało nie uderzył ulubieńca za to, że śmiał mu to powiedzieć. Buśko tylko zręcznym zwrotem uniknął wymierzanej na swą głowę pięści.

Fryda zimno jakoś słuchała opowiadania.

— Nie dalej jak jutro — odezwała się — gotuj się oblężenie odpierać.

— Nie będą śmieli! — krzyknął Biały. — A zechcąli spróbować, jam gotowy i sprawię im dobrą łaźnię.

Spojrzała nań Bodczanka i zamilkła. Codzienne obcowanie

V

z księciem, jego porywczność i niestałość, gorączka i odrętwienie, przychodzące z kolei, oziębiły dlań Frydę, miłość jej wystygła już była, a Biały wydawał się jej gorszym może i mniej godnym przywiązania i współczucia, niżeli było w istocie. W tej chwili życia swojego właśnie krew stara rycerska raz jeszcze w nim zakipiała wielką potęgą; zdolnym był do czynu i pragnął być czynnym, gotów był stawić gardło, dla czci swojej. Nieszczęściem była to chwila tylko, może największej energii, do jakiej kiedykolwiek był zdolnym, ale za trwanie jej nic nie ręczyło. W

najmniej znaczących ludzi żywotach trafiają się godziny takie, podnoszące ducha i niemal przetwarzające człowieka.

Przepowiednia Frydy po krótkim namyśle zdała mu się trafną, a przynajmniej możliwością jej urzeczywistnienia prawdopodobną; potrzebował też być czynnym, wybiegł więc natychmiast, sam

rozkazując przysposabiać wszystko do wścieklej, zrozpaczonej obrony.

Drzazga sam już był wpadł na tę myśl, że Sędziwój bezkarnie spełnionej zdrady nie

przepuści, i czuwał nad zamkiem, a Bylica osławiony wiedząc, że go za rozboje nie minie surowy sąd, od którego okupem żadnym nie będzie się mógł uwolnić, biegał już, ludzi zagrzewając i na mury wynosząc, co tylko mogło przeciw szturmowi służyć.

Właśnie ten Hanko, który dziś w męczarniach wił się w ciemnicy, zbudował im był dwa

ogromne, rzucające pociski kamienne, tarany, które za działa starczyć mogły. Ustawiono jeden z nich przy wrotach, drugi w miejscu najsłabiej obronnym.

Oręż odebrany jeńcom posłużył do uzbrojenia najmężniejszych ludzi. Postawiono czaty, a Bylica, pomimo niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, wybiegł konno, aby dostać języka. Po kilku godzinach powrócił czwałem zdyszany, niosąc księciu, który z podwórca nie schodził, wiadomość, że wszystkie siły Sędziwoja i Kmita, pomnożone zastępem, który przywiózł z sobą Każko szczeciński, ruszyły z obozowisk i ciągnęły na Złotoryję.

Nie strwożyło to księcia, pragnął tylko, aby co najrychlej rozpoczęła się walka, dopóki czuł

ogień w duszy. Nie zdejmując zbroi, którą był wdział we dnie, nie myśląc o spoczynku, zapominając o Frydnie, księżę spędził noc całą na obchodzeniu blanków, baszt, murów i przemawianiu do ludzi, którym kazał beczki wytoczyć.

Sam upojonym był jakimś rozpaczliwym zemsty pragnieniem. Przychodziło mu już na

myśl, iż nie potrafi się dłuższy czas ostać. Chciał ze czcią zginąć przynajmniej. Dręczyło go i to, że Każko szczeciński, tak bliski powinowaty, szedł przeciw niemu, zamiast być pomocą, że wszyscy, nawet bracia Frydy, opuszczali go, że pozostał sam i bezsilny. Burzył się w duszy i żądał boju, który by go mógł upoić i nasycić.

Ranne brzaski zapowiadały dzień chmurny, lecz wiosna ma słoneczną siłę, która roztopia chmury i rozpędza słoty. Z oparów poranku zaczęło się wybijać słońce, gdy tętent i wrzawa nadciągające pułki Sędziwoja oznajmiły.

Biały z założonymi na piersiach rękami stał i patrzył z baszty wierzchołka. Cóż znaczyła garść jego ludzi przeciwko temu tłumowi dobrze zbrojnemu, wypoczętemu, nie znużonemu walką żadną. Wielkopolanie i Sieradzanie szli, śpiewając i chorągwiami powiewając, gromadami, które natychmiast zamek opasywać poczęły.

Można już było rozpoznać dowódców. Księżę widział poważną postać Sędziwoja,

wyrywającego się naprzód ogniście Bartka z Więcburga, a na ostatek poznał Każka szczecińskiego, panie dumne, śmiałe, ulubieńca wszystkich, co mu służyli, sławnego ze swej szczodroty, bo do ostatniego kubka rozdawał, co miał, przyjaciołom, tak że sam czasem niedostatek by był cierpieć, gdyby go królowa nie wspomagała.



Każko ten mężny, ochotny do każdej wyprawy, wybrał się na tę jak na łowy. Widać go było na koniu podbiegającego pod mury, wskazującego je ludziom i czynnego, jakby mu o własną sprawę chodziło.

Białemu żółć serce zalała na widok człowieka, który mu tak był bliskim, a niczym nie

zmuszonym do powstania przeciw niemu. Nie uczynił mu nigdy nic, za cóż szedł cisnąć go za gardło? Z baszty swej rzucił nań takim wzrokiem, jak gdyby on był bełtem, co go miał przebić.

Z ogromnym wrzaskiem, wedle zwyczaju, Sędziwojowe rycerstwo rzuciło się ku murom,

wlokąc drabiny z sobą, niosąc topory do Tąbania, ogień do rzucania pod wrota. Wiedziano, że Biały ludzi miał skąpo, rozproszono się więc, gdzie tylko przystęp był możliwy, aby nieprzyjaciela siły rozdzielić. Drzazga to był przewidywał i słabsze miejsca osadziwszy, tam gdzie mur potężny sam się bronił, postawił tylko strażę. Zużytkowano wczorajszych jeńców, dając ich po jednemu i dwóch między oddziały i pod gardłem nakazując dźwigać kamienie, poruszać sznury taranów.

Pierwszy szturm, na który czekała cierpliwie załoga, odparto z wielką siłą, padło

oblegających wielu. Z machin Hanka — jedna wyrzuciła kamień ogromny, który w oczach księcia obalił z koniem szczecińskiego księcia. Zdało mu się, że przekleństwo, jakie nań rzucił, zobaczywszy go, ręka Boża spełniła. Obalony, pomimo rzucania się, podnieść nie mógł. Ludzie na rozesłanej opończy ponieśli go do namiotu.

Nowy ten cios Sędziwoja, który nadbiegł zaraz, wprowadził w rozpacz prawie, krzyknął, ażeby wszelkimi siłami zamku dobywać. Rzucili się rozwściekani Sieradzanie, osłaniając tarczami, sypali pod mury, usiłując wdrapać na nie, lecz załoga powodzeniem rozzuchwalona broniła się mężnie i zwycięsko. Pociski z murów obalały ludzi stosami, kaleczyły i zabijały. Po kilkakroć powracały coraz nowymi posiłkami dopełniające się oddziały i musiały pobite się cofać.

Biały szalał z radości. Własnymi rękami spychał kamienie, naciągał kusze, rzucał bełty, nie dał się oderwać na chwilę. Kilka strzał odbiło się o jego zbroję, kilka utkwilo w sukniach, drasnęła go któraś i na krew spojrzął z dumą i uśmiechem.

Spostrzegłszy biegnącego na (koniu i kierującego szturmem Bartka z Więcburga, księżę nie mógł się powstrzymać, aby pochyliwszy się ku niemu, nie cisnął nań obelgą i klątwą. Bartko podniósł głowę i rękę mieczem zbrojną.

— Miałem cię już raz — zawołał — wysliznałeś mi się jako tchórz i ratowałeś ucieczką, lecz drugi raz nie ujdiesz mi, wywłóko!

Księżę zatrząsł się z gniewu i obie pięści podniósł, pieniąc się ze złości. Przypomniała mu się bitwa pod Gniewkowem, a gorzej jeszcze raniło go wspomnienie mniszego kaptura. Rzuciłby się był na zuchwalca, gdyby mury ich nie dzieliły.

Do późnego wieczora trwały coraz odnawiane porywy z różnych stron i próby wdrapania się na mury, wszędzie ze szkodą odparte. Księżę ciągle latał, podżegając, obdarowując, zachęcając i sam na żadne nie zważając niebezpieczeństwo.

Wieczorem, gdy oblegający do obozu się już cofnęli, który tuż u zamku się rozłożył i szeroko rozciągnął, tak aby żywa dusza wymknąć się nie mogła z niego, załoga, obawiając się niespodzianego jakiego napadu, pozostała, z murów nie schodząc.

Fryda, która przez cały ciąg dnia tego stała na baszcie, zarówno z Białym rozgrzana

widokiem walki, w końcu osłabła i znużoną musiała pójść spocząć. Oko jej, które policzyło wszystkich bojowników i własną moc, przewidywało, że najrozpaczliwszy opór nie podoła przemagającemu wojsku Sędziwoja. Cud tylko mógł ocalić Białego. Lękała się, aby i on nie strwożył się w końcu.

Lecz chwila tego opadnięcia na siłach jeszcze nie była dlań nadeszła. Biały wbiegł za nią do komory, pierwszy raz dnia tego zdejmując szyszak z głowy potem oblanej. Twarz miał pogodną zwycięzcy i postawę dumną.

— Dzień pamiętny w moim życiu! — zawołał. — Poznali, że wywłoka potrafi walczyć — i

serca mu z piersi nie wyjęły mnichy. A jutro zobaczą, że bezkarnie zdrady, choćby zamierzonej, nie puszczę...

Fryda podniosła głowę i pytającym okiem nań rzuciła.

— Tak — ciągnął dalej Biały — kazałem u murów pod przekopem, naprzeciw obozu nałożyć stos. Na śniadanie upiekę im na nim Hankę i jego zięcia!

I wyrazy te, i głos, jakim wymówione były, zdumiały tak i przstraszyły Bodczankę, że się z posłania porwała. Widząc nie dowierzającą, księżę powtórzył:

— Tak, jutro do dnia obu ich na stosie spalić każę, niech widzą, że się poddawać nie myślę i do ostatka bronić będę. Toć przyjaciele Sędziwoja i jego sprzymierzeńcy, niech giną!

Fryda nie zebrała się na odpowiedź, gdy Biały, popatrzawszy na nią, nie chcąc spoczywać, chwycił tylko ze stołu dzbanek z winem, nalał kubek, wychylił go duszkiem i wyszedł, z trzaskiem drzwi zamykając za sobą.

W istocie niespodziany ten widok nadaremne już okrucieństwa przygotowany był cna

ranek następny. Z obozu widziano nakładany stos, nie mogąc zrozumieć, do czego on mógł służyć.

Wbite w pośrodku dwa pale, widne z daleka, sterczały dla patrzących zagadką.

W nocy Sędziwój się nie kusił pod zamek. Ludzie jego, którzy pod przekop podchodzili i ze stojącymi na murach mieniali obelgi i pogrożki, krzyczeli, że choćby do zimy tu stać mieli, od Złotoryi nie odejdą. Ciemności dopiero sprowadziły krótką ciszę, jak ma brzask w obozie ruszać się

poczęto. Tę chwilę przygotowywania do nowego szturm wybrał właśnie Biały na ukaranie zdrajców.

Sędziwój z Bartkiem, starostą kujawskim, tylko co byli wyjechali od namiotów dla obejrzenia murów i narady, co dalej poczynać, gdy wielką furtą Bylica z pachołkami wyprowadził młynarzy na stracenie. Hanke, który na popalonych nogach stać nie mógł, dwaj pachołkowie, pod pachy ująwszy, nieśli do zgotowanego dlań słupa. Oprawca na stryczku ciągnął Mańka do drugiego.

Czeladź zażegniete pochodnie niosła.

Widok ten dziwny i straszny wstrzymał wojewodę i starostę. Hanko ku nim, błagając, ręce wyciągał — na próżno.

Nad wrotami naprzeciw stał Biały i [niecierpliwie ma stos wskazywał. Wnet skazanych

sznurami przykrępowano do słupów i suchy chrust, i łuczywa u nóg ich podpalono. Dym kłębamii wzniósł się do góry.

Sędziwój, nie chcąc patrzeć na widowisko, zawrócił do namiotów. Tu także czekała go

boleść niemała. Rażony wczoraj kamieniem z zamku mężny książę szczeciński dogorywał. Ksiądz wyszedł był od niego, a ranny z obojętnością rycerską czekał już ostatniej godziny. Sędziwój blady, pożegnawszy go, wyszedł z namiotu i mierzył zamek oczyma.

— Tyle ofiar — zawołał — tyle krwi i żywotów dla jednego człeka, który Boga, poprzysiągłszy mu, zdradził i nikomu wiary nie strzyma...

Starosta kujawski ręką wskazał na mury.

— Ujść mu tym razem nie damy! — zawołał. — Od rzeki kazałem mieć bacność pilną, aby się nocą na lada czólnie nie wymknał. Stać trzeba, głodem go weźmiemy...

— Za długo by było czekać końca — odparł Sędziwój. — Myle się może, lecz sądzę, że po rozpaczliwej obronie i tej wściekłości, w jaką wpadł, niedługo o miłosierdzie prosić będzie. Takim jest...

Bartek z Więcburga zzymał się tylko i bluznął znowu obelżywym:

— Wywłoka...

Dnia tego nie szturmowano.

Spokój ten, który mógł się zdawać dla oblężonych pożądanym, był w istocie dla nich

zgunnym. Przypadek czy rachuba sprawiła to, czego żądał wojewoda.

W walce, we wrzawie kąpiąc się Biały byłby wytrzymał z tym zapalem, jaki go unosił

chwilowo, w spokoju wytrwać długo *nie* umiał. Pod wieczór już rzucił się na łożo i twardym snem usnął, mając swojego Buśka u nóg. Fryda przyszła, spojrzała na niego i zachmurzona powróciła do swej komory. Przeczuywała, co się w duszy jego dzieć miało.

Dopiero następnego dnia zbudził się Biały, przetarł oczy i zobaczywszy Buśka, zapytał go:

— Szturmują?

Chciał już zbroję wdziewać i za oręż pochwycić.

— Nie, siedzą cicho — rzekł błazen, wzdychając. — Pewnie Każka, który umarł, grzebać będą.

— Każko? Umarł?! — krzyknął książę. Buśko głową potwierdził.

— I koń zdechł, co pod nim był, i on w nocy skończył — odezwał się — Szkoda! Taki pan był, co sam z drewnianego kubka pijał wodę, a służba ze srebra wino.

Zmilczał zasepiony książę. Rzucił się na łożo i oczy wlepił w pułap. Wyczekawszy trochę, jeść i pić podawać kazał.

Milczący pił i jadł, gdy weszła Fryda. Spojrzeli na siebie. Kobieta postrzegła zmianę na twarzy, która była u niego zawsze wiernym ducha zwierciadłem. Oblicze ostygłe było, brwi nawisłe, oczy zagasłe.

— Każko zabit! — rzekł cicho. — Widziałem jak go kamień przywalił.

Dźwięk głosu osłabły, zachryły, potwierdził to, co powiadały oczy. Nie mówili prawie z sobą, Fryda każdy ruch jego śledziła. Gdy Buśko, który ustąpił, powrócił do izby, książę wysłał go na mury, dowiedzieć się, czy walka nie rozpocznie się na nowo.

— Darmo słać — rzekł bazarz — darmo. Szturmu już oni przypuszczać nie będą.

Spojrzał nań Biały.

— Zwijają obóz? — spytał.

— Nie — zamruczał Buśko — nie, mówią, że ludzi darmo tracić nie chcą, gdy i tak wezmą mas głodem.

Książę się rzucił na siedzeniu.

— Nie pleć, głupcze! — zawołał.

— Oni to plotą, nie ja — szepnął Buško i westchnął. Wstał Biały od stołu i po izbie się przechadzać zaczął, resztką energii jego w nim drgała, mając skonać.

— Drzazgi zawołać! — krzyknął.

Stawił się dowódca, z twarzą niewesołą i blizną zalepioną od strzały.

— Na wiele czasu żywność mamy? — zapytał, stojąc naprzeciw niego, księżę.

Oczy Drzazgi zwrócone ku panu odpowiedziały wprzód niż usta.

— Dwie niedziele nie pomrzemy — rzekł — ale nie utyjem. Mąki mało, gąb przybyło, boć i jeńców dwudziestu kilku karmić trzeba...

Stali naprzeciw siebie milczący, księżę się nagle odwrócił i dał mu odprawę ręką. Popatrzył w okno, przeciągnął się i jak kłoda obalił się na swe łożo, rękę podkładając pod głowę. Fryda chodziła po izbie, Buško siadł w kącie i spoglądał ku niemu.

Czuła Bodczanka, że chwila to była stanowczego przełomu; spróbowała słowem wlać w niego męstwo.

— Gdy się spodziewać nie będą, wycieczkę niech zrobi Bylica. Żywność rzeką by podwieźć można.

— Gdyby była — odparł Biały. — Zamek ścisnęli jak w garści, nie wymknąć się i myszy z niego. Dwie niedziele... a potem!

Nie dokończył. Zerwał się niespodzianie z łoża.

— Dwie niedziele!... — począł tym dawnym głosem zwątpienia. — Wszyscy mnie opuścili, wszyscy, twoi, moi... Każkę Pan Bóg skarał, tak, ale królowa Elżbieta kochała go bardzo, król także, większy jeszcze gniew mieć będą ku mnie...

Ręce rozłożył szeroko.

— Nawet poczciwie zginąć nie mogę! — dokończył. Padł znowu na łożo, oczy zakrył i

Fryda słowa już z niego dobyć nie mogła.

## IX

Tydzień upływał, wojsko obozem stojące dokoła zbliżało się wprawdzie ku przekopom walczyć na słowa z załogą, lecz szturm ani napaści nie przedsiębrało.

Biały stracił zupełnie odwagę, nadzieję i cierpliwość. Z każdym dniem słabł więcej, Fryda chłostała go szyderstwem, znosił je z obojętnością, milczący. Chciał się z zamku ratować ucieczką przez rzekę — okazało się, że pilnowano wszędzie i strażę się na barkach dzień i noc zwijały.

Nie tylko on, lecz załoga też w tym przymusowym, złowrogim spoczynku straciła siłę swą i znużyła się nim. Drzazga z obawy głodu karmił ją coraz gorzej. Skargi i narzekania słyszeć się dawały.

Najzjadlejszy obrońca, Bylica, przez dni kilka pochodziwszy zasępiony, jednej nocy zniknął, jak by wpadł w wodę. Domyślano się, iż z murów spuścić się musiał, a że po nim wszystkiego można się było spodziewać, książę uląkł się zdrady. Podwojono czujność.

Następnej nocy, cicho bardzo, Biały Buśka obudził, który spał przy nim. Długo rozespany bazarz nie mógł po śnie twardym odzyskać przytomności.

— Trutniu — zawołał książę, schylając mu się do ucha. — Słuchaj! Na ciebie nikt nie zważa, boś ty ani żołnierz, ni wódz, puszczą cię wszędzie... Każ sobie do dnia furtę otworzyć, idź do wojewody.

— Aha! — przerwał Buśko — jam wiedział, że się to tak skończyć musi.

Biały udał, że nie słyszy.

— Głodem nas wezmą — dodał. — Ty nie ode mnie, ale od siebie mu się nastęrcz.

Zobaczmy, co powie...

Nie bardzo rad narzuconemu pośrednictwu, zasępił się Buśko poskrobał, lecz musiał spełnić przykazanie. Głód i dla niego był bardzo strasznym.

Książę, odprawivszy posła, położył się w łóżku, kryjąc przed Frydą z tym, co uczynił.

Posunął do tego stopnia udanie, że wstawszy, pilno i głośno począł się dopytywać o starego sługę i gniewać, że się gdzieś bez odpowiedzi zawieruszył.

Wszystko to nie oszukało Bodczanki, która ciągle chodziła milcząca, dumna, nie okazując jak dawniej ani czułości żadnej dla księcia, ani zbytniej troskliwości o los jego. Książę też był dla niej ostry, jakby mu ciążyła, lecz wiązały go przyrzeczenia, słowo dane a trochę potrzeba serca, które się do nikogo nie przywiązało, a do niej nawykło.

Z Buśkiem mówił otwarcie, nie potrzebował grać żadnej bohaterskiej roli, bo ten znał go nadto, z Frydą bawił się w bohatera tragicznego, sądząc, że masce tej uwierzy.

Wiedzieli wszyscy w twierdzy, że stary kłębek (tak nazywano książęcego bazarza) był

wiernym sługą, a co czynił, to z polecenia jego było; z rana, gdy zażądał, aby go puszczone, choć się to podejrzanym wydawało, otwarto mu furtę. Drzazga przez okno w murze popatrzył, dokąd się uda, i widział, że zakręciwszy się trochę, bokiem ku obozowi zmierzył. Dało mu to do myślenia.

Buśko musiał dobrze rozważyć, jaką przybrać postać, wchodząc do obozu, co mówić i w

jaki sposób. Śpiewak, trochę trefniś, bazarz mógł łatwiej niż kto inny półzartem na próbę rzucić, co by pospolitemu nie uszło człowiekowi. Nieszczęściem przychodził w złą godzinę, gdy w obozie panowało rozdrażnienie i smutek, żal po zabitym Frydruszu i po zmarłym z rany Kazku

szczecińskim.

Nie zapytał go nikt, gdy się do obozu wsuwał, ani kim był, ni skąd i z czym szedł. Namioty stały popodnoszone dla gorąca, ludzie pokotem odpoczywali, czynności nie było widać wielkiej, tylko czaty pod zamek chodziły.

Z namiotu szczecińskiego księcia zdjęto jego chorągiew, a zawieszono czarną — widać w nim było trumnę już zabita i osmoloną, przy której świece się paliły i księża śpiewali.

Sędziwoja wielki namiot z chorągwią hetmańską łatwo poznać mu było. On też sam w

łosiowym kaftanie, bez zbroi, siedział na pniu u wnijscia i z Bartkiem z Więcburga rozmawiał.

Zobaczywszy Buśka, który miał całym życiem wyrobioną i fizjognomię, i postać stanu swojego, Sędziwój się namarszczył. Nie widział go nigdy w życiu, ale się domyślił posła od księcia i jego dworaka.

Buśko, raz i drugi krąg zrobiwszy, w końcu zbliżył się i zdjąwszy kołpaczek, pokłonił.

— Skąd? — zapytał wojewoda. Buśko na zamek wskazał.

— Od księcia? — Cóż za obowiązek sprawujesz przy nim? Buśko skromną przybrał

postawę.

— Jak kiedy — odparł — gdy wesoło nam, to ja mu śpiewam, gdy smutno, to z nim płacę, a gdy głodno, mrę jako i on.

— Posłano cię, czyś sam z zamku uszedł? — pytał wojewoda.

— Sam, sam — bijąc się w piersi, począł bazarz. — Nudno mi się zrobiło siedzieć tam

zamkniętemu.

Wojewoda i Bartek ciekawie mu się przypatrywać zaczęli, a badawcze ich spojrzenia

poniekąd zmieszały Buśka, chociaż starał się butno nastawić.

— Z czymżeś to przyszedł, mój człecze? — odezwał się Sędziwój.

Po krótkim namyśle Buško rzekł:

— Z prośbą, z prośbą, ino nie od pana, bo on nadto hardy, aby prosił o co, ale od siebie, od siebie, królu mój...

Milczał, patrząc nań pilno, wojewoda. Buško też cedził wyrazy, badając, jakie robią wrażenie.

— Z prośbą, z próśbeczką — rzekł. — Mnie się widzi, panie wojewodo, królu mój, że gdyby księciu kto dobre słowo powiedział, cała ta niepotrzebna wojna by się skończyła.

Sędziwój podumał.

— Alboż na słowa z nim można co uczynić? — odparł. — Poddał się raz i nie strzymał przyrzeczenia.

— Panie mój! A król też dał mu co? Choć na obwinięcie palca! — pochwycił Buško. —

Cóż biedota ma robić? Kaptur mu zaciężył, ojcowizny tylko pragnie, więcej nic...

— Króla pana naszego obraziwszy tak srogo! I tyle krwi wylawszy! — krzyknął wojewoda.

Buško wydał tłuste policzki i pogłaskał się po głowie łysej.

— Jużci mu coś dać trzeba — szepnął.

— I nic nie dawszy, go weźmiemy — przerwał Bartek.

— Pewnie za rok, za dwa — rozśmiał się trefniś — i nabije wam jeszcze ludzi.

Sędziwój, który po stracie Frydrusza nie mógł się uspokoić, westchnął.

— Ja go znam — począł Buško powoli — dobrym słowem wiele z nim zrobić można.

Poślijcie doń kogo.

Strząsnął głową wojewoda.

— Próżno kłamać — rzekł — on ciebie posłał do mnie, więcej posłów nie potrzeba.

Powiedz mu, żeby mi się poddał, a może u króla przebaczenie otrzymać, i jeśli nie swoje księstwo, bobyśmy, gdyby siedział na nim, nigdy spokoju nie mieli, to okup zań...



Ze spuszczoną głową słuchał zakłopotany poseł.

— Poślijcie — kogo powtórzył.

— Aby uwięził lub na męki dał, jak tego nieszczęśliwego Hankę. Nie! — Ja nie poślę nikogo.

— To będzie się tak ciągnąć długo — odparł Buško — boć trzeba go przekonać, namówić trzeba. On ani myśli o poddaniu się i będzie do ostatka walczył.

— Do ostatka chleba — przerwał Bartek szyderczo — a tego, my wiemy, że już niewiele imacie.

— Do głodu daleko — rzekł Buško. — Ano, jak wola wasza.

To mówiąc, na kołpak, który w ręku trzymał, popatrzał i cofać się zaczął.

Wojewoda, choć tak ostro go zbył, nierad puszczał z niczym. W istocie chciał skończyć co rychlej z warchołem i gotów był do umowy przystąpić, godność swą tylko musiał poszanować i nie okazywać żądzy zbytnej ani pośpiechu.

Buško już szedł, gdy zawołał za nim:

— Powiedz księciu swojemu, że dobrze uczyni, gdy rychlej się podda, bo prędzej później musi to uczynić, a dziś — może by król łaskawszym był.

Zawrócił się bazarz.

— Ode mnie co posłyszysz, niewiele ważyć będzie — rzekł cicho — wezwijcie na rozmowę.

Wojewoda potrząsnął głową.

— On niech o nią prosi — rzekł krótko i wszedł do namiotu.

Tak z małym czym Buško musiał powracać. W drodze ci, co go poznali jako sługę księcia, poszturgali go trochę, obronił się im, błaznując. U furty pilnujący Drzazga kazał mu ją otworzyć.

Księżę sam leżał na dole.

Od wrót idącego do izby jego zobaczyła Fryda i już pewną była prawie, że księżę znowu knuje coś, myśląc o poddaniu się. Jej krew się na to burzyła.

— Ni żyć, ni umierać nie umie! — powtarzała do siebie, miotając się.

Na widok Buška zerwał się Biały, kazał mu przyjść blisko, aby ich nie podsłuchano, i

uważnie nastawił ucha opowiadającemu. Oburzenia nie widać było na jego twarzy, prawie się wy pogodziła ona; nie rzekł nic.

Położył palce na ustach i wstał, aby pójść do Frydy. Spodziewała się go może, zastał ją chodzącą niecierpliwie po komorze.

— Oni nas głodem zamorzą! — odezwał się, siadając.

— Do tego jeszcze daleko — wybuchnęła kobieta — gdy głód przyjdzie, z załogą można wyjść i przebić się.

Ruszył ramionami księżę.

— W gołym polu nasza garść się im nie ostoi.

— To wybiją nas i umrzemy rycersko a godnie! — zawołała Fryda.

Biały spuścił głowę.

— Ale ja mam nadzieję, że mi król Gniewków puści, gdy... Nie dokończył. Fryda za niego rzuciła szyderstwo:

— Gdy mu się poddasz i przestaniesz na jałmużnie? Nie sądz, by ci dał choć piędź ziemi, zapłaci za nią, a na księstwo nie puści!

Biały zamilkł.

— Śmierć z głodu albo od miecza — zamruczał — ot, co zostało. Ja żyć chcę.

— Choćby z kajdanami na nogach? — spytała Bodczanka. Nie dając odpowiedzi, wyszedł gniewny.

Z południa zatrąbiono u wrót, księżę jednego z jeńców wyprawił, prosząc o rozmowę z

Sędziwojem. Lecz, sam raz zdradą go podszedłszy, obawiał się też napaści jakiej. Chciał rozmowy na moście u wrót lub za przekopem i żeby sami byli.

Wojewoda odparł, że on ma więcej powodów niedowierzania, chciał rozmowy w polu, przed obozem.

Biały się lękał.

Zawieszono układy, posłać nie miał kogo. Drzazga się bił dobrze, ale mówił nie do rzeczy.

Uszedł dzień, Biały zaczął już niecierpliwie się i zżymać. Cokolwiek poczynał, pilno mu było, jutra

się obawiał, bo siebie się nie czuł pewnym.

Połowę niemal załogi wzięwszy na most, aby być od napaści bezpiecznym, wyszedł do

Sędziwoja na pół drogi do obozu. Wojewoda wyjechał z małą kupką, lecz pięknie zbrojnych ludzi.

Pozsiadawszy z koni, zesli się sami, nieufnie patrząc sobie w oczy.

Wzrok Sędziwoja z Szubina miał tę siłę, jaką daje charakter męski, Biały nie mógł go

znieść, spuścił oczy pierwszy, drgnął, buta, z jaką chciał wystąpić, opuściła go.

Zabełkotał, że rad by wojnę skończyć.

— Ja także — odparł Sędziwoj — lecz ja księcia mam w ręku. Chcecie li zdać się na mnie?

— A cóżeście mi wyrobili pierwszym razem, gdy tak piękne otrzymałem obietnice? —

zapytał ksiązę.

— Nie obwiniajcie mnie — rzekł Sędziwój. — Ja wam nie mogę nic dać, nic przyrzec,

wszystko od króla zależy, lecz słowem rycerskim ręczę, że się starać będę, aby los wasz osłodził.

Ze zwieszoną na piersi głową słuchał ksiązę, widać było, że się wahał, że gotów był się już poddać. Sędziwój dodał jeszcze:

— Czyniłeś Miłość Wasza, coś mógł, sromu nie ma zdać się, gdy inaczej być nie może.

Weźmiemli Złotoryję, naówczas prawo wojny zawyrokuje o was, łaski się spodziewać nie możecie.

Dumny ksiązę nie odparł już ani żalem, ani groźbą, stał, to cofając się, to podchodząc, otwierając usta i nie wiedząc, co powie.

— Dajcie mi słowo wasze rycerskie, że się ze mną obejdziecie nie jak z jeńcem i więźniem, ale jak krwi mojej przystało.

Wojewoda z wolną ręką mu wyciągnął. Biały, który miał żelazną rękawicę na ręku, zdjął ją i bladą, wychudłą 'dłoń podał. Jedno słowo rzekł tylko ponuro i cicho:

— Jutro...

Tak, nad wszelkie spodziewanie wojewody, skończyło się rokowanie prędko i stanowczo.

Uległ Biały, sam nie wiedząc, jak do tego został doprowadzony, lecz gdy zawrócił się ku zamkowi, gdy pomyślał o sromocie, jaką musiał znieść, o wyrzutach Frydy, o upadku własnym, wstrząsł się cały, zapragnąwszy raczej śmierci.

I ten poryw trwał niedługo. Do wrót doszedł już ostyglejszy.

— Do klasztoru nie powrócę — mówił, sam się pocieszając.

Do dolnej izby wszedłszy, znalazł tu Buśka, który wiązał jakieś sakwy, jakby się wybierał w drogę. Ten pewnym już był końca. Mruczał sam do siebie, nie patrząc nawet na pana, nie pytając go o nic.

Fryda też nie zeszła z komory swej, a ciałem do niej nie śmiał.

Pod noc piosnkę jakąś kazał zaśpiewać Buśkowi, ale ten głową potrząsnął.

— Bij, kiedy chcesz — rzekł — tnie będę śpiewał, płacz mnie dławi.

Na zamku, choć nikt nie wiedział, że się poddać miano, gotowali się do tego wszyscy.

Twarze były prawie wesole, bój bez nadziei dokuczył wszystkim.

Podniósłszy się z łoża, niespokojny książę myślał, co uczyni z Frydą, jak jej powie, iż poddać się przyrzekł, jak namówi, aby do ojca wracała. Na to potrzeba było odwagi, której nie miał.

Lękał się wyrzutów, trwożył własną słabością. Przecież słowo jakieś wyjąknąć było potrzeba.

Kilka razy szedł i powracał. Gwałtownie potem wpadł do izby Bodczanki. Ta siedziała

odziana na pół po męsku, gotowa do podróży, z twarzą zestarzałą, smutną i bladą.

— Muszę się poddać — zawołał książę — umowa stanęła. Czekał na odpowiedź,

Bodczanka milczała wzgardliwie.

— Wracajcie do ojca, ja nie mam kąta — dodał Biały.

— Nie opiekujcie się mną — zawołała suchym głosem boleści zwyciężonej Fryda — do ojca nie powrócę, bo i ojciec, i bracia szydziliby ze mnie. Nie! W Gdańsku klasztor mnie czeka...

Odwróciła się od niego.

— Frydo! — odezwał się z wyrazem rozpaczliwym Biały. Wskazała mu na drzwi, milcząc;

zwróciła się ku oknu i płakała może, lecz łez jej nie widział nikt.

Książę, postawszy u progu upokorzony, wysunął się po cichu.

W obozie, w którym już poddania się spodziewano, ruch był widoczny, książę po kilkakroć szyszak kładł, wychodził i wracał. Wstał potem, wybiegł i kazał otwierać wrota.

W tejże chwili z komory swej zbiegła Bodczanka, na którą koń czekał i sług jej dwu. Nie oglądając

się, nie pytając o księcia, który wyjść do niej nie śmiał, siadła ma konia. Zaledwie podniesiono broń, ona pierwsza, nie zakrywając twarzy, wybiegła z zamku. Sędziwój, który stał niedaleko, Bartek z Więcburga, wiedzący, kto była, przepuścić ją kazali, nie zatrzymując.

Pominąwszy ich, mając wolną drogę przed sobą, Fryda uderzyła konia i puściła się cwałem.

Oblegający już się do wrót zbliżali, mając na czele Sędziwoja i Bartka, gdy Biały cały we zbroi swej najlepszej, w płaszczu szkarłatnym, w pasie rycerskim ukazał się na koniu.

Buśko z węzełkami na plecach szedł za nim.

Bartek z Więcburga, którego ta pycha książęca przy zdaniu się na łaskę oburzyła i rozśmieszyła, buchnął szyderskim śmiechem. Posłyszawszy głos ten, książę drgnął, konia strzymał i zdarłszy z ręki żelazną rękawicę, cisnął ją w twarz kujawskiemu staroście.

— Na ostre! — krzyknął. — Na ostre!

Niespodziewanego wyzwania tego Bartek nie mógł odrzucić. Wziął rękawicę i zawołał:

— Na ostre!

Książę się z miejsca nie ruszał.

— Natychmiast! — krzyczał głosem drżącym, obracając się do swoich, aby mu drzewo podano.

Wstrzymać go nie było sposobu. Chciał mówić coś Sędziwój, przerwał wołaniem rozpaczliwym Biały:

— Na ostre! Na ostre!

Kupa ludzi, która otaczała ich, na dany znak rozstępować się zaczęła. Bartek z Więcburga jechał ma plac spokojny i obojętny, Biały rzucał się rozwścieczony, miotał na koniu i ledwie się mógł utrzymać.

Widowisko było dziwne. Niektórzy śmieli się, inni ciekawie cisnęli patrzeć końca w tej walce, w której łatwo było Bartkowi wywróżyć zwycięstwo.

Zaledwie stanęli w odległości, jaka zwykle do takiego spotkania wyznaczoną była, ledwie podnieśli drzewa i złożyli je, jak należało, gdy Biały, wraziwszy ostrogi w bok koniowi, jak szalony się puścił, zniżając kopię na Bartka. Ruszył się i on z miejsca, lecz rozważniej, drzewo jego wymierzone dobrze uderzyło w ramię Białego, gdy jego kopia ośliznęła się staroście po zbroi i w ziemię zaryła. Książę,

nie mogąc się utrzymać na koniu, rzucił kopię i padł na wznak obalony. Z

rany krew buchnęła.

Sędziwój natychmiast dał znak, że walka była skończona; podniesiono księcia i

zaniemiałego z bólu na rękach zawrócono do zamku.

Złotoryją zajęły wojska królewskie.

## X

Zbliżała się już zima, a Biały jeszcze pod pozorem rany, z której go leczono i wyleczono, jeszcze się na nią i na bole srogie uskarżał, leżał w Złotoryi, wypraszając się ciągle wysłaniu do Węgier.

Niezbyt nalegał na to Sędziwój, który pod strażą go trzymając, poznawszy lepiej, nie

obawiał się już wcale. Chociażby był chciał coś przedsięwziąć niespokojny ów jeniec, nie miał z kim, bo wszyscy go odstąpili, oprócz wiernego Buśka.

Życie cna zamku płynęło dosyć smutnie, jednostajnie, lecz dla zleniwiałego księcia znośnie może. Wolał je niż wygnanie do Budy, spotkanie oko w oko z królem Ludwikiem i wyrzuty, jakie by musiał znosić od niego.

Żądania swe posyłał królowi, królowej siostrzenicy, wszystkim znajomym, po których

pośrednictwie się czegoś spodziewał, lecz w odpowiedzi otrzymał tylko, że Ludwik gotów był mu coś za Gniewków zapłacić, a oddać go odmawiał stanowczo. Zamiast wdzięczności za tę

powolność i obietnice, Biały śmiertelne gniewy w sercu żywił przeciwko (królowi i starej królowej Elżbiecie, przypisując jej i otoczeniu a doradcom to, że mu Gniewkowa dać nie chciano.

Raz jeszcze pewnie byłby się porwał na próżno za oręż, do którego nie miał szczęścia, gdyby najmniejszą mógł mieć nadzieję, że mu kto stanie do boku. Po pierwszych doświadczeniach wzdragali się wszyscy, słuchać nikt nie chciał.

Sędziwój bez straży puścić się go obawiał, parę więc dni upłynęło, nim orszak mu taki dobrano, aby się drużyną zdawał, chociaż był w istocie dozorem. Prowadzić miano Białego na Kraków, gdzie właśnie znowu królowa stara bawiła i króla się pono spodziewano. Tu mógł się jego los rozstrzygnąć, jak on pochlebiał sobie jeszcze, oddaniem mu Gniewkowa, a w istocie wedle postanowienia króla nową za ten dział jałmużną.

Kraków był bardzo ożywiony, gdyż ilekroć stara Elżbieta ze swym dworem zamieszkała tu lub w innym mieście, płynął za nią próżniaczy tłum młodzieży, śpiewaków, pochlebców, młodych jej ulubieńców, wesołego ludu, którego obowiązkiem było rozrywać ją i nie dać jej na chwilę się zachmurzyć.

Z rana modliła się gorliwie i szła na nabożeństwo, potem na chwilę już samą jej zostawić nie godziło się; niewiasty. panicze, mieniali się przez dzień cały i część nocy. Nie mogąc płaszać sama, lubiła choć patrzeć na zwijającą się młodzież.

W tym pustym tłumie zuchwałych ulubieńców królowej, których się jak ognia obawiano, bo pewni bezkarności dokazywali straszliwie i dopuszczali się oburzających gwałtów, mniej było Polaków niż Węgrów. Ostatni właściwie składali towarzystwo najulubieńsze królowej, do którego była nawykła. Przez tych faworytów u niej wszystko było można wyrobić, bez nich nawet dojść do niej nikt nie mógł.

Nie było dnia bez muzyki i śpiewów na zamku, a bez jakiejś zamieszki na mieście, bo

Węgry zawsze się tu znajdowali jak w zawojowanym kraju. Ze skargami na nich docisnąć się do królowej nie było można, a docisnąwszy się, nic wskórać.

Przybywszy do Krakowa Biały, drogą znużony, choć go na zamek prowadzić chciano, oparł

się temu, nie życząc sobie ze starą królową się spotkać. Zażądał gospody w mieście i gdy mu ją wyznaczono w pobliżu Wawelu, zabrał się tu odpoczywać.

Widok życia, gwaru, wesołości, jaka tu panowała, rozwielenionych Węgrów, tłumnie

przybywających ziemian i wszystkiego, co znamionowało potęgę króla i jego spokojne panowanie, rozjątrzył księcia. Na złe jego usposobienie wpłynęło i to, że znalazł Jaśka Kmitę z Wiśnicza starostą tutaj, przypominającego mu starostę sieradzkiego tegoż nazwiska, który się do pokonania go przyłożył.

Najrzał też z okna, jak mu się zdawało, Lasotę, który go opuścił, a miał doń żale w sercu.

Cóż dziwnego, że sam więźniem będąc wśród wesołych i rozhukanych smutnym, wszystkim

zarówno, na których patrzył, życzył jak najgorzej. W dzień świętego Mikołaja, dość uroczyście obchodzony, Biały do kościoła nawet pójść nie chciał, leżał na pościeli, Buśka wysyłając po plotki, lub że dzień był niezbyt mroźny a pogodny, w bramie stawał i przechodzącym się przypatrywał.

To go jedno cieszyło, że Węgrowie, przesuwający się tędy z zamku, wszyscy z Polaków się naigrawali, w czym on im dopomagał, bo się był języka ich w Budzie nauczył, a Polacy narzekali na ucisk Madziarów, czemu też potakiwał, jątrząc jednych na drugich. Bawiło go to przez dzień cały.

Nazajutrz rano wyszedł znowu przed wrota, aby się podobnym widowiskiem rozerwać, lecz tylko co się usadowił na czatach, gdy od strony bramy Bocheńskiej, do której nie było daleko, dał

się słyszeć tumult i wrzawa zapowiadająca coś groźnego.

Księżę, za miecz porwawszy, ciekaw, co się stać mogło, natychmiast pobiegł, gdzie się już krzyki coraz głośniejsze i wyraźniej słyszeć dawały. Do Bocheńskich wrót ani się było można docisnąć.

Wśród ogromnego zbiegowiska gawiedzi, pomiędzy którą łącno było Węgrów rozpoznać,

stała fura siana wysoko się piętrząca. Ludzie powiadali, że siano to, należące do Przedbora z Brzezia, który je dla koni swych sprowadził, stało się przyczyną zgiełku i okrutnego zajścia.

Węgrzy chcieli je sobie przywłaszczyć, straż, którą Przedbór postawił, broniła. Z jednej i drugiej strony do oręży się rwano.

Księżę uradował się niezmiernie. Z wielkim trudem przebił się pod ścianami domostw, jak mógł najbliżej wozu, i do Polaków wołać począł:

— Bijcie Węgrów, co ich żałować będziecie!

I natychmiast do Madziarów w ich języku krzyknął:

— Co wy sobie Lachom dajecie rozkazywać? Albo to wy nie panami tu? Alboście nie królewscy?

Żgał tak jednych i drugich na przemiany, a niewiele potrzeba było, aby ich do walki

pobudzić. Węgry nie ustępowali, ludzie Przedbora bronić się zabierali. Niektórzy się już suchymi razami okładać poczęli. Rosło zbiegowisko w oczach.

Z okolicy zamku Węgrowie biegli, z całego miasta ziemian, pachołków, rycerstwa, co było szło zasłyszawszy, że Węgry dokazują. Rozdrażnienie już przygotowało tak obie strony, że wóz siana starczył, aby wybuchło zajście krwawe. Zapobiec by mu może jeszcze mógł ktoś baczniejszy, gdyby Biały, którego tu nikt nie znał, głosu nie podnosił i oleju do ognia nie dolewał.

W tej chwili, gdy już do utarczki przyjść miało, krzyki doszły na zamek i królowa,

domyślając się, że Węgry coś spłatać musieli, wysłała Jaśka Kmitę z małym oddziałem ludzi, aby porządek utrzymał.

Za późno przybywał. Madziary rozwściekieni tym, że się im opierać i burzyć przeciwko nim śmiano, dobyli mieczów i naciągali łuków. Jaśko Kmita zbliżył się i krzyczał na Węgrów w imieniu królowej, aby wnet odciągali na zamek, gdy jeden z nich, łuk napiąwszy, strzelił, a bełt w szyję ugodził starostę tak nieszczęśliwie, iż w miejscu zachwiał się zaraz, padł z konia i ducha wyzionął.

Ledwie się to stało, a już, jak fala burzą gnana, tłum, który dotąd poruszał się i drgał tylko, pochłonął Madziarów w sobie.

— Bij, zabij! — wołano ze wszech stron. Biały też wtórował, krzycząc:

— Bij, zabij!

Ledwie dwóch z jego straży, którzy pogonili za nim, potrafili z ciżby wychwycić i



uprowadzić z sobą. Ale nie dał się do gospody wieść, bo mu to sprawiało jakąś radość złą, że widział mordujących się z sobą.

Węgry już tylko się bronić musieli, takie gromady na nich się rzuciły z zawziętością wielką za zabitego Kmitę.

— Bij, zabij! Nie żywić nikogo! — krzyczano po całym mieście i gdziekolwiek winny czy niewinny Węgrzyn się trafił; mordowano.

Była to pomsta krwawa za długo znoszone upokorzenie.

W samym domu Przedbora, chociaż ocalić się ich starał, zginął Słowak ze dworu królowej, Michał Pogan, zginęło dwóch ulubieńców Elżbiety...

Biały mógł się krwawym nacieszyć widokiem, bo co chwila ścigano kogoś w ulicach, a z kamienic, do których się skryli, oknami wyrzucano zabitych.

Nikt już nie miał mocy powstrzymać rozwścieczonego tłumu, który aż do zamku pędził

Węgrów, a że bramy były zaparte, bo się obawiano napaści na cały dwór starej królowej, kobiety zrzuciły z okien drabinki dla uchodzących, a lud je strącał i chwycił, nie patrząc kogo, byle się Madziarem wydawał.

Księżę, jak gdyby widowisko to dla niego było sprawione, nie wszedł do izby przez cały dzień, od wrót swoich krzycząc:

— Bij, zabijaj!

Ludzie go poskromić nie mogli, a Buśko przelekle na próżno targał za szaty, błagając, aby się w ten wrzący tłum nie mieszał i milczał. Odpychał go Biały, i choć krwawe zajście dla niego nie mogło przynieść żadnej korzyści, przyklaskiwał mu.

Noc dopiero ten uliczny dramat zamknęła, gdy już na mieście ani jednego nie było

Madziara, a Wawel zamknięty, ostawiony strażą jakby wśród oblężenia od nieprzyjaciela bronić się musiał.

Księżę obchodził go dokoła i wołał:

— Tak samo królowę oblegają, jak mnie niedawno w Złotoryi. Palec Boży nad nimi!

Zemsta Boża! Tak samo też Ludwik i ona z królestwa tego uchodzić będą musieli, jakom ja uszedł z mojej dzielnicy...

Przez całe trzy dni, dopóki się w Krakowie nie uspokoiło i królowa w podróż się nie

wybrała, (książę pod Wawelem przechadzał się, radując jej losowi. Byłby może i wyjeżdżającej szyderstwem jakim drogę zastąpił, lecz zasnął ranek, a królowa niespodziewanie i cicho wymknęła się z miasta.

Tą małą pociechą z cudzej szkody skończył się pobyt Białego w Krakowie. Przysłano mu tu ostateczne słowo króla, iżby okupem za Gniewków się zaspokoił, który mu z łaski dawano, a uroczystą podpisał ugode, po czym wolność odzyska.

Książe na wszystko się zgodził, poddał, lecz w piśmie, jakie dał, zawarował sobie rychłą grzywien przyobiecanych wypłatę. Po czym małą część przyrzeczonego okupu wzięwszy, z dziwną myślą powlókł się do Gdańska, gdzie Fryda do klasztoru wstąpić chciała. Nie znalazł jej tu ani żadnej o niej wieści, a już go nigdzie nic nie ciągnęło, w Gdańsku osiadł, czekając na pieniądze od króla.

Tu kilka lat w beczynności smutnej, zleniwiały, niezdolny do niczego, ostatnich dziesięciu tysięcy wyglądając, przespał aż do r. 1380. Król Ludwik wreszcie odesłał mu je przez Piotra Małochę, starostę kujawskiego i podkanclerzego Szymona. Wieczorem złożyli mu okup ten, z którego miał nazajutrz króla kwitować i podpisać zrzeczenie się wszelkich praw do swej dzielnicy.

Lecz nocą myśl mu przyszła szalona ujścia bez podpisu do Bukowca (Lubeki) i nazajutrz już go w Gdańsku nie było.

Powiadano, że tam książę dworem się wielkim otoczył i pańsko występować zaczął, odgrządzając się, że Ludwikowej śmierci doczeka i córek jego na tron nie dopuści. Czcze to były słowa, z których Buško nawet się uśmiechał.

Zawieruszyło się potem w Wielkiej Polsce, a Biały na próżno oczekiwał, aby go tam wezwano. Zapomnieli o nim wszyscy i po śmierci króla Ludwika, a ci, co nie chcieli córki jego, oglądali się na Ziemowita mazowieckiego, nie na niego.

Snując się tak z miasta do miasta, a nie śmiejąc czy nie chcąc powrócić do klasztoru, zmarł

Władysław w podróży, w Strasburgu 1 marca 1388.

W opactwie, z którego uszedł, pamięci niewdzięcznego położono kamień grobowy.

Tak jeden z ostatnich Piastów, marzący o koronie, skończył zapomnianym, zapartym wygnańcem między obcymi.

Krew Piastów, którą niemieckich matek mleko uczyniło obcą i zimną, nie miała już miłości gniazda swego ani nią natchnąć mogła.

# Document Outline

- [Spis treści](#)
- [TOM PIERWSZY](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [TOM DRUGI](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [TOM TRZECI](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [V](#)
- [IX](#)
- [X](#)